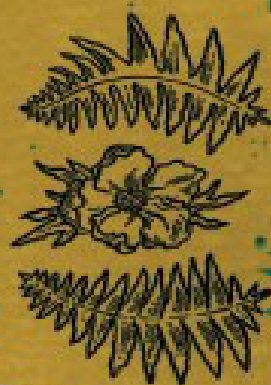




Kwiat paproci

i inne legendy słowiańskie

PAULINA HENDEL
ANETA JADOWSKA
MARTA KISIEL
MARTA KRAJEWSKA
AGNIESZKA KULBAT
KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK
MARTYNA RADUCHOWSKA
JAGNA ROLSKA
MAEGÓRZATA STAROSTA
ANNA SZUMACHER

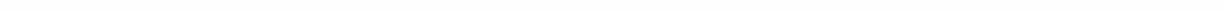




Kwiat paproci i inne legendy słowiańskie

PAULINA HENDEL
ANETA JADOWSKA
MARTA KISIEL
MARTA KRAJEWSKA
AGNIESZKA KULBAT
KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK
MARTYNA RADUCHOWSKA
JAGNA ROLSKA
MAŁGORZATA STAROSTA
ANNA SZUMACHER





SPIS TREŚCI

[Paulina Hendel ■ *REM-X*](#)

[Aneta Jadowska ■ *Sezon na nowożeńców*](#)

[Marta Kisiel ■ *Kukuk*](#)

[Marta Krajewska ■ *Maliny na śniegu*](#)

[Agnieszka Kulbat ■ *Dziecina się kwili, matusieńka lili...*](#)

[Katarzyna Berenika Miszczuk ■ *Noc nas tu zastanie*](#)

[Martyna Raduchowska ■ *Iskra niebieska*](#)

[Jagna Rolska ■ *Wiedzmi kamień*](#)

[Małgorzata Starosta ■ *Noc Kupały w Babiborze*](#)

[Anna Szumacher ■ *Na kwiatu urok*](#)

Copyright © Paulina Hendel, Aneta Jadowska, Marta Kisiel, Marta Krajewska,
Agnieszka Kulbat, Katarzyna Berenika Miszczuk, Martyna Raduchowska, Jagna
Rolska, Małgorzata Starosta, Anna Szumacher, 2023

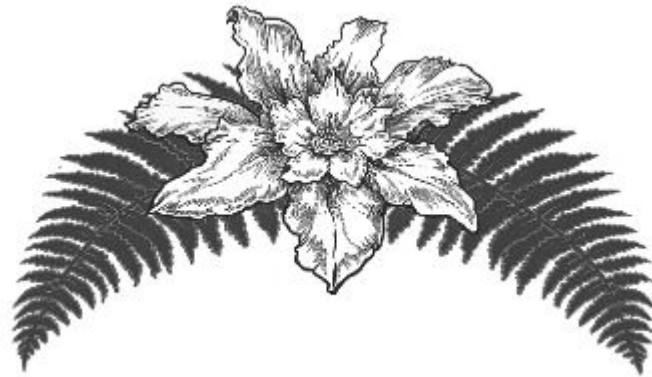
Wydanie I
Warszawa MMXXIII



PAULINA HENDEL

REM-X

Paulina Hendel – pochodzi z Miastka. Jest autorką postapokaliptycznej serii dla młodzieży *Zapomniana księga*. Od najmłodszych lat ma słabość do literatury fantastycznej. Pasjonuje się wierzeniami ludowymi oraz słowiańską demonologią, co znajduje odzwierciedlenie w jej twórczości. Owocem tej pasji jest cykl *Żniwiarz* (czwarty tom, *Droga dusz*, zdobył tytuł Książki Roku 2019 w kategorii fantastyka młodzieżowa w plebiscycie Książka Roku Lubimyczytac.pl). Godzinami potrafi opowiadać o dawnych wierzeniach, zabobonach oraz metodach leczenia najróżniejszych dolegliwości.



Ktoś dobijał się do drzwi, lecz Egon postanowił zignorować natręta, który najwyraźniej nie wiedział, że stoi pod domem wariata. Pukanie jednak nie ustawało.

– Kogo demony nadały?! – Egon wytarł brudne ręce w spodnie i ze złością szarpnął za klamkę.

Pierwsze, co zobaczył, to szeroki uśmiech.

– To ty – mruknął, mierząc podejrzliwym spojrzeniem młodą kobietę w sportowym stroju. Jej rude włosy jak zwykle były upięte w ciasny kok, a błękitne oczy przywodziły na myśl niebo latem.

– Mam pączki. – Uniosła papierową torbę.

Egon zerknął za siebie. Kuchnia wyglądała jak rzeźnia w trakcie uboju.

– Usiądźmy na ganku – zaproponował, zamykając za sobą drzwi.

– Czy to... krew? – Ida wpatrzyła się w jego dłonie.

– Królika sprawiałem – rzucił oschle.

– Hodujesz króliki? – zdziwiła się.

– Już nie. – Opłukał ręce w misce z deszczówką, po czym usiadł na krześle.

Ida usadowiła się na barierce i poczęstowała go pączkiem.

– W mieście przygotowują się do jakiejś imprezy – zaczęła mówić między kolejnymi kęsami. – Rozkładają scenę i rozwieszają dekoracje. Wybierasz się? Jak cię znam, to pewnie nie. Ja w każdym razie pójdę...

Egon jak zwykle słuchał jej tylko jednym uchem. Ida była strasznie gadatliwa. Zamieszkała w pobliskim, dotąd opuszczonym domu zaledwie miesiąc wcześniej, a już wiedział, że ma na nazwisko Szczygieł, jest rozwódką, pisze kryminały i szuka tu natchnienia do nowej książki. Zdążyła też poznać wszystkie plotki z pobliskiego miasta. Ale jego ta paplanina nie obchodziła. Zapatrzył się na jezioro. Ciemna powierzchnia wody zmarszczyła się, jakby tuż pod nią przepłynęło coś dużego. „Pieprzone topielce” – pomyślał i splunął na deski.

– Ogłady to ci nie brakuje – rzuciła ironicznie Ida.

– Jakbym słyszał własnego ojca – mruknął. – Egonie Raj! Zachowuj się jak przystało na twój status społeczny! – zacytował pompatycznym tonem.

– Jesteś z Rajów? – Ida nagle się wyprostowała. – Tych Rajów?! Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś?!

Wzruszył ramionami. Od rodziny odciął się dawno temu i nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Tylko dziadek go rozumiał, ale zmarł, kiedy Egon był nastolatkiem.

– Jeśli liczysz, że złapiesz mnie w swoje sidła, to wiedz, że ojciec mnie wydziedziczył. – Raj sięgnął po leżący na deskach patyk i zaczął go ostrzyć nożem, który zawsze nosił przy pasku.

– E tam. – Ida machnęła ręką. – Jeden były mąż mi wystarczy. A poza tym nie przyjechałam na to odludzie szukać faceta.

Wciągnęła w płuca haust powietrza pachnącego jeziorem i świerkami.

– Po ciemnym lesie poniósł się szloch – odezwała się nieobecny tonem. – Wiedziała, że to koniec. Oprawca w masce na twarzy stał nad nią. W jego oczach dostrzegła żądzę mordy. Uniósł ostrze, w którym odbiło się srebrne światło księżyca. „Nie, błagam”, szepnęła, czując zimną stal na gardle. Krew skapnęła... nie, krew chlusnęła na suche liście, a stare drzewa zaszumiały beznamiętnie. – Ida zamilkła, wpatrując się w pobliskie świerki. – Co o tym sądzisz? Prolog zacznę chyba od śmierci ofiary...

I znów zaczęła mu opowiadać, o czym będzie jej następna książka.

„Poszłabyś ze mną na polowanie, to poznałabyś prawdziwy strach, poczuła zapach krwi i strzał adrenaliny we własnym ciele” – pomyślał z przekąsem. Ponoć ludzie lubili jej książki, ponoć nieźle na nich zarabiała. On sam jednak nie sięgał po taką literaturę. Nawet nie było okazji, żeby dowiedzieć się więcej o pisarce i jej dziełach, bo nie miał tu ani internetu, ani nawet telefonu komórkowego. Zresztą, inne rzeczy zaprzętały jego głowę.

Naraz usłyszał szelest w kuchni. „Kurwa”.

– A ty dokąd? – zapytała Ida, gdy ruszył do drzwi.

– Muchy mi do mięsa nasrają – rzucił przez ramię. – Dzięki za pączka.

Ida, wcale nie urażona, zeskoczyła z barierki i zaczęła się rozciągać.

– Do jutra! – zawołała i truchtem oddaliła się leśną drogą.

Egon patrzył przez chwilę za nią, po czym wyciągnął z pieńka do rąbania drewna siekierę i wszedł do domu.

– A ty dokąd? – zapytał.

Zakrwawiona łapa stoczyła się właśnie ze stołu i wbiła czarne pazury w podłogę, kierując się ku reszcie truchła. Egon odkopnął ją pod same szafki i stanął nad cielskiem młodej strzygi, którą ubił w nocy. Widział, jak pod skórą zaczynają drgać mięśnie. Gałki oczne poruszyły się pod zamkniętymi powiekami. Krew z poderżniętego gardła dawno temu już zaschła, a rana zaczęła się zasklepiać.

Egon zerknął na zegarek. Sześć godzin. Tyle czasu potrzebowała strzyga, żeby się odrodzić. Mężczyzna rozejrzał się, a jego wzrok padł na stary dywanik. I tak miał go wyrzucić. Zwinął go w rulon i podłożył pod kark demona. Uniósł siekiere, dobrze wycelował i opuścił ostrze. Dało się słyszeć głucho łupnięcie, gdy przecinał kręgosłup, posoka chlusnęła na podłogę i ścianę. Łeb strzygi potoczył się po kafelkach, zostawiając za sobą krwawy ślad. Paszcza otworzyła się, jakby chciała kogoś ukąsić, po czym znieruchomiała.

„Co za syf. Powinienem to robić na zewnątrz”. Tak jak tydzień wcześniej, kiedy zabił w lesie oszalałego z wściekłości borutę, ale wtedy wciąż miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Zawsze w takich chwilach obawiał się, że napatoczy się jakiś durny zbłąkany turysta, który od razu wezwie policję, a Egon miał już dość tłumaczenia tym idiotom, że właśnie zabił demona i tym samym po raz kolejny uratował niczego nieświadomych mieszkańców Świętovic.

*

Pierwsze promienie słońca przebiły się przez warstwę chmur. Egon otworzył oczy i dostrzegł złote drobinki kurzu fruujące w słupie światła padającym na trawę tuż przed jego twarzą. Gdzie on, do wszystkich demonów, był? Z jego gardła dobył się głuchy jęk.

Spróbował poruszyć rękoma. Zabolało, ale miał władzę w ramionach. Dźwignął się i usiadł, opierając o pień drzewa. Jego ubranie było przesiąknięte zaschniętą już krwią.

– Przeklęty mesza... – burknął Egon.

Jego dom znajdował się za najbliższym zakrętem. Szkoda, że nie udało mu się tam dotrzeć w nocy. Dał sobie jeszcze chwilę na odpoczynek, po czym wstał i na chwiejnych nogach ruszył przed siebie. Te kilkaset metrów zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się jego chata z dachem porośniętym mchem. Raj odetchnął. Wkrótce stanął przed czterema schodkami prowadzącymi na ganek. Spróbował unieść nogę, ale stracił równowagę i runął jak długi na ziemię.

– To ja tu chwilę poczekam – stwierdził, siadając na stopniu.

W pamięci spróbował odtworzyć polowanie na meszę – demona przypominającego skrzyżowanie psa ze szczurem. Stwór był wychudzony, jego skóra płatami odchodziła od ciała, a cuchnął tak, jakby już za życia się rozkładał. Nic dziwnego, że niegdyś ponoć przepowiadał zbliżające się głód i choroby. Bestia była jednak bardzo cwana i niewiele brakowało, a by go załatwiła.

– Egon! – rozległ się krzyk pełen paniki. – Co się stało?!

Zamrugał i nagle pojawiła się przed nim twarz Idy.

– Jesteś ranny!

– Co ty nie powiesz – burknął.

Pociągnęła go za rękę, zarzuciła jego ramię na własne barki i głośno stękając, zaprowadziła do domu.

– Wezwę pogotowie – sapnęła, gdy opadł na kanapę.

– Nie! – Natychmiast odzyskał werwę.

Ida zastygła z telefonem w ręku.

– Nie potrzebuję pogotowia – powiedział twardo.

– I tak nie mam zasięgu – stwierdziła, chowając komórkę do kieszeni. Jej wzrok padł na telefon stacjonarny.

– Nie waż się nigdzie dzwonić! – warknął, a Ida wzruszyła ramionami.

– Co się stało? – Przykucnęła przed nim. – Wyszłam sobie skoro świt na biegi, myślałam, że jeszcze śpisz, a ty... – Rozłożyła ręce.

– I tak byś nie uwierzyła – odparł.

– Zdejmuj koszulkę – poleciła. – Nie chcesz pogotowia, ale i tak trzeba obejrzyć te rany.

Zrobił, co kazała. A gdy tylko odsłonił swój umięśniony tors, syknęła cicho, i to na pewno nie z zachwyty.

– Co cię tak urządziło? – zapytała.

– Wilki – skłamał. – Wypiłem trochę, wybrałem się w nocy na spacer i chyba wlałem na ich teren czy coś.

Ida pokręciła głową, jakby mu nie wierzyła.

– Gdzie masz apteczkę?

Machnął ręką w stronę łazienki.

Zanim się obejrzał, oczyściła wszystkie rany, a te głębsze zakleiła stripami. W jej ruchach nie było ani krzty wahania, jakby robiła to nie po raz pierwszy.

– Przeżyjesz. – Klepnęła go w ramię.

– Skąd się na tym znasz? – zapytał, ubierając się.

– Jestem pisarką. Muszę znać się na wszystkim. – Dotknęła palcem skroni.

Tak naprawdę to spodziewałby się po niej, że na widok krwi spanikuje i ucieknie.

– A teraz tak na serio – odezwała się po chwili ciszy. – Co to było? Bo jeżeli wilki, to trzeba ostrzec ludzi z miasteczka. Jeżeli były wściekłe, powinieneś zgłosić się na obserwację czy coś...

– I tak byś nie uwierzyła – powtórzył niczym mantrę.

Nikt nigdy mu nie wierzył. Nawet ci, których dosłownie uratował ze szponów demona. Tylko dziadek go rozumiał. On widział potwory. „To nasze przekleństwo – mawiał. – Ale też wielki dar, bo możemy ocalić choć jedno ludzkie życie”.

– Piszę kryminały, nic mnie nie zaskoczy – rzuciła lekko.

– To był mesza.

Sam nie wiedział, dlaczego jej to zdradził. Może miał nadzieję, że go wyśmieje i sobie pójdzie, a może liczył, że jako jedyna żyjąca osoba na świecie mu uwierzy?

– Mesza? – Zmarszczyła brwi. – Co to jest?

Później zrzucał to na karb tego, że został ranny i nie myślał trzeźwo, ale powiedział jej wszystko. Dosłownie wszystko. O polowaniu na meszę, o tym, że już jako dziecko widywał różne stwory. To dziadek wyjaśnił mu, że pogańskie demony nie dość, że naprawdę istniały, to jeszcze przetrwały do teraz i choć są niewidoczne dla większości ludzi, co noc zbierają krwawe żniwo.

– I co? Uciekniesz teraz z krzykiem? – zadrwił na koniec.

– Trudno w to uwierzyć – przyznała, kiwając głową. – Daj mi czas, żebym to sobie jakoś poukładała, dobrze?

Wstała z kanapy i zaczęła krążyć po pokoju, co chwilę zerkając na niego. Egon patrzył na jej skupioną minę, na usta wypowiadające po cichu jakieś słowa, aż w końcu odpłynął w krainę nieświadomości.

*

Ocknął się, kiedy zmierzchało. Wstał z kanapy, rozprostowując zeszywniałe mięśnie. Idy już dawno nie było, ale na stole w kuchni stał talerz pełen kanapek. Zwiała. Jak każdy, kto usłyszał prawdę o demonach. Ale i tak miło z jej strony, że zrobiła dla niego kolację. Egon najpierw napił się wody bezpośrednio z kranu, a później zjadł wszystko, co przygotowała.

Z ostatnią kanapką wyszedł na ganek i zerknął w lewo na drogę niknącą między gęstymi świerkami. Gdzieś tam, dwa kilometry dalej, znajdował się domek, w którym zamieszkała Ida Szczygieł, autorka kryminałów. Sympatyczna, wesoła kobieta. Do tej pory sądził, że go drażniła. Te jej niezapowiedziane wizyty z kawą albo pączkami, to jej gadulstwo. Naprawdę miał jej dość. Teraz jednak, gdy wiedział, że już nigdy prawdopodobnie jej nie zobaczy, zaczęło mu jej brakować. Myślał, że jest samotnikiem, łowcą demonów, który w pojedynkę musi mierzyć się z bestiami, ale okazało się, że nawet on łaknął towarzystwa drugiej osoby.

Potrząsnął głową. Zawsze był i będzie sam. Wytarł o spodnie palce tłuste od masła, a w jego głowie zaczęły pojawiać się wspomnienia. To, jak ojciec go wyśmiał, kiedy powiedział mu o demonach. Jak starszy brat mu dokuczał, przebierając się za potwory. Jak matka stała bez ruchu z poszarzałą twarzą, kiedy zamykali go w szpitalu psychiatrycznym.

– Dosyć – warknął Egon. Musiał wziąć się w garść.

Demony rzadko odpoczywały i ktoś zawsze musiał stać na straży. Nawet gdy wszyscy uznawali go za wariata.

Egon zacisnął dłonie na barierce, uspokajając oddech. Dziadek mu wierzył i zostawił w spadku nie tylko ten dom i dziesiątki hektarów lasu, ale również misję zabijania potworów.

– I bogowie mi świadkami, że nie zawiodę – szepnął.

Wyprostował plecy i choć zaboląły go liczne zadrapania oraz ugryzienia meszy, nadal czuł, że ma powód do życia.

*

Dni mijały jeden za drugim. Egon powoli dochodził do siebie. Rany się zablizniły, siniaki pożółkły, a Ida nadal nie pojawiła się na jego progu. Zaczął przywykać do myśli, że ich krótka znajomość się skończyła.

Jak zwykle wieczorem wyszedł na ganek, żeby odetchnąć wczesnojesiennym powietrzem. Liście na drzewach pożółkły, a nad ciemną taflą jeziora unosiła się biała mgła. Egon odruchowo zerknął za dom. Właśnie tam zakopywał truchła demonów, które z różnych przyczyn zaciągnął aż tutaj. Strzyga po odrąbaniu łba nie mogła się odrodzić, ale codziennie na wszelki wypadek sprawdzał, czy ziemia w miejscu jej pochówku nie była poruszona.

Rozprostował ręce. Rozpuścił długie do ramion ciemnoblonde włosy i ponownie związał je w niedbały kucyk. Jeszcze dzień lub dwa i znowu wyruszy na polowanie.

Już miał wracać do domu, kiedy jego uwagę przykuł cichy dźwięk. Ktoś lub coś nadchodziło leśną drogą. Słyszał stłumione kroki i przyspieszony oddech. Zszedł z ganku i wziął do ręki siekiere. Cokolwiek się zbliżało, był gotów stawić temu czoła.

Zza zakrętu wypadła blada Ida. Jej ruchy były chaotyczne, a w oczach czaił się obłęd.

– Egon! – sapnęła, wpadając w jego ramiona.

Jej włosy, do tej pory zawsze upięte w ciasny kok, teraz były rozczochrane, tkwiły w nich drobne gałązki i świerkowe igły.

– Co się stało? – zapytał, podtrzymując ją, żeby nie upadła, a jednocześnie zerkając na drogę.

– Ktoś... coś... – zaczęła. – Ktoś próbował... się do mnie włamać!

Zaprowadził ją do swojego domu. Nadal trzęsła się w jego ramionach, jej błędny wzrok strzelał na boki.

– Ida! Opanuj się! – nakazał pewnym głosem. – Oddychaj głęboko.

Spojrzała mu prosto w oczy i wzięła kilka wdechów.

– Dobrze – pochwalił. – Jesteś bardzo dzielna.

Po raz pierwszy byli tak blisko siebie i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jaka była drobna. Miał wrażenie, że gdyby tylko mocniej zacisnął wokół niej ramiona, mógłby ją zgnieść.

– Co się stało? – powtórzył, kiedy przestała się już trząść.

– Coś hałasowało pod moim domem – wyrzuciła z siebie, jej oddech znów przyspieszył.

– Spokojnie, tu jesteś bezpieczna – zapewnił.

– Myślałam, że to jakieś zwierzę, chciałam je przegonić, ale... – Urwała.

– Ale?

– Nie wiem! – jęknęła i opadła na kanapę. – Wydawało mi się, że zobaczyłam człowieka. Ale był bardzo chudy i wysoki. I... nagi.

W głowie Egona zapaliła się czerwona lampka.

– Tak...? – zachęcił.

– I on... ja uciekłam do domu, zamknęłam wszystkie zamki, ale... – Potrząsnęła głową, jakby sama nie wierzyła w to, co

mówiła. – Ale nagle coś zaczęło hałasować na piętrze – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Opisz mi dokładnie, jak on wyglądał – polecił Egon.

Ida spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Jak wyglądał? – powtórzyła. – Ja muszę zadzwonić na policję! – Zerwała się z kanapy, jakby ocknęła się z głębokiego snu. – W komórce nie mam zasięgu w tym przeklętym lesie! – Ruszyła do telefonu wiszącego na ścianie.

– Nie! – Egon stanął jej na drodze. – Nikt ci nie uwierzy.

– Ktoś włamał się do mojego domu! Muszę wezwać policję!

– Ida, poczekaj. – Złapał ją za ramiona, ale mu się wyrwała i dopadła do telefonu.

Egon westchnął ciężko i machnął ręką, kiedy wykręcała numer alarmowy.

– Dzień dobry – odezwała się do słuchawki. – Tak, chciałabym zgłosić napaść. To znaczy włamanie. Jakiś człowiek, no może to było zwierzę, bo nie miało ubrania... Nie, nie dzwonię z mojego domu. Uciekłam do sąsiada... – Jej twarz stężała. – Jaki masz adres? – szepnęła do Egona. – Świętowice 23 – powtórzyła za nim. – Tak, jestem w domu Egona Raja... Że co proszę?! Ale jakie żarty?! Halo!

Oderwała słuchawkę od ucha i na nią spojrzała.

– Rozłączyła się – powiedziała powoli. – Ta durna baba powiedziała, żebym nie robiła sobie żartów, i się rozłączyła!

Ida z hukiem odwiesiła słuchawkę na widełki.

– Co za wstrętny babsztyl! – wrzasnęła. – Nie uwierzyła mi! A powinna wysłać tu jakiś patrol!

– Ida – odezwał się Egon.

– Napiszę na nią skargę! – Zaczęła krążyć po pokoju.

– Ida!

– Co?! – Zatrzymała się gwałtownie.

– Opisz mi, jak to coś wyglądało – polecił spokojnie.

– Nie wiem! – Rozłożyła gwałtownie ręce. – Było ciemno! A on był nagi i brązowy, i chudy! I miał taką twarz jakby... jakby...

– Jakby co?

Ida skrzyżowała ręce na klatce piersiowej.

– Nie uwierzysz mi – mruknęła.

– To ja z naszej dwójki jestem ponoć wariatem – przypomniał.

– Miał taką jakby pergaminową skórę i ona wyglądała, jakby się na nim topiła – powiedziała spokojnie, po czym spojrzała mu wyzywająco w oczy.

Egon skinął głową i bez słowa ruszył do swojego gabinetu.

– Ej, ale dokąd ty idziesz?! – zawołała Ida, ruszając za nim. – O cholera... – Gwałtownie zatrzymała się w progu.

Egon nikogo nie wpuszczał do swojego gabinetu. Na jednej ścianie znajdowała się wszelaka broń, zaczynając od noży, poprzez maczety, na kuszy kończąc. Były tam też pułapki, takie jak na niedźwiedzie. Na kolejnej wisały trofea. Może nie powinien ich zbierać, w końcu jego misją było tylko ratowanie ludzi i życie w cieniu, ale nie potrafił sobie odmówić tej małej przyjemności. Tak więc można było tam zobaczyć ususzoną łapę strzygi, kawałek futra meszy, łańcuch zwida, jęzor żądlicy, czaszkę lejina i wiele innych „pamiątek” po licznych polowaniach. Teraz jednak Egon skierował się do olbrzymiego regału pełnego książek. Szybko namierzył dziennik dziadka i go otworzył.

– Czy on tak wyglądał? – zapytał, pokazując Idzie rysunek.

Kobieta przekrzywiła lekko głowę i zmarszczyła brwi.

– Może trochę – przyznała. – Miał dłuższe łapy i większe szpony... ale tak. W sumie był bardzo podobny. – Jej wzrok powędrował na sąsiednią stronę, na której znajdowały się notatki. – Łepi? Co to znaczy?

– Łepi – powtórzył Egon. – Albo ópi, kaszubski demon. Często błędnie utożsamiany z wampirem. Bardzo krwiożerczy. Gdy zawitał do jakiejś wsi, ginęli wszyscy jej mieszkańcy. A ja tropię tę bestię już od kilku lat.

Z hukiem zamknął dziennik, aż Ida podskoczyła ze strachu.

– Tej nocy w końcu ubiję dziada. – Ściągnął ze ściany maczetę i sprawdził ostrze.

– Poczekaj! – Ida ruszyła za nim przez korytarz. – Nie możesz ot tak...

– Czego nie mogę? – Odwrócił się w drzwiach. – Jestem myśliwym, a on zwierzyną. Już raz zabił w moim lesie i nie pozwolę, żeby zrobił to ponownie. Poczekaj u mnie, tu jesteś bezpieczna.

Zgarnął jeszcze z szafki woreczek z solą i ziołami, po czym ruszył w mrok, czując na plecach spojrzenie Idy.

*

Szybko dotarł do domku ukrytego na polanie w lesie. Z niewielkiego ogrodu docierał do niego oszałamiający zapach jesiennych kwiatów. Biała elewacja, duże okna i zadbane obejście – jakże ten budynek różnił się od jego starej chaty. Ich domy, tak samo jak oni, reprezentowali dwa zupełnie różne światy.

Drzwi wejściowe były otwarte. W salonie paliło się światło. Egon, trzymając przed sobą maczetę, przekroczył próg. Jego słuch

był wyczulony do granic możliwości, mięśnie aż drżały z napięcia, był gotów stawić czoła wszystkiemu.

– Gdzie jesteś, cholero jedna? – zapytał szeptem, przemierzając pomieszczenia na parterze.

Nic jednak nie zwróciło jego uwagi. Ostrożnie wszedł na piętro, ale tutaj również nie było nawet śladu po demonie.

– Zwiął – stwierdził pół godziny później, opierając maczetę o ramię.

Zszedł na parter i jeszcze raz dokładnie wszystkiemu się przyjrzał. W kuchni dostrzegł na kafelkach błotnisty odcisk stopy.

– Czyli jednak tu byłeś – ocenił.

Ida nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jakie miała szczęście. Tak niewiele brakowało, a padłaby ofiarą łepiego.

Egon podszedł do biurka, na którym stał laptop. Z czystej ciekawości trącił palcami myszkę i ekran rozbłysnął. Pojawił się na nim plik tekstowy.

– Anna biegła bosą przez las – przeczytał. – Drobne gałązki uderzały ją w twarz, lecz nie czuła bólu. Co chwilę oglądała się za siebie...

Egon odsunął się od komputera.

– Też miałbym stracha, jakbym pisał takie rzeczy, a tu nagle łepi wlaźby mi do domu – ocenił, na powrót wychodząc w mrok nocy.

*

Ida, zawinięta w koc, stała na ganku jego domu.

– I co? – zapytała, gdy tylko do niej podszedł.

– Łepi był w twoim domu – odparł Egon.

– Chyba sobie jaja robisz – jęknęła.

– Chodź do środka, zrobię nam kawę – zaproponował.

W progu jeszcze obejrzał się za siebie, czy nic nie szło jego tropem. Na szczęście jego dom był zabezpieczony antydemonicznie i nic nie miało prawa się tu wdrzeć.

– Opowiedz mi o tym łepim – poprosiła Ida, siadając przy stole.
Egon postawił czajnik na gazie.

– Czatuje na niego już od dawna – odparł. – Diabelec jest sprytny i wie, jak mnie unikać. Jakieś dwa lata temu byłem o tyle od dorwania go. – Pokazał kciuk i palec wskazujący znajdujące się zaledwie o centymetr od siebie. – Prawie go dorwałem, ale zabił jednego faceta, po czym ukrył się na dobre.

Ida patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, ale nie kryła się w nich drwina, tylko autentyczne zainteresowanie. Pod wpływem spojrzenia jej błękitnych oczu Egon znów się otworzył. Opowiedział dokładny przebieg polowania na łepiego i o fiasku, jakim się skończyło. A później język sam mu się rozwiązał i zaczął mówić o swoim dzieciństwie w domu bogatych rodziców, którzy w ogóle go nie rozumieli. O byciu hospitalizowanym wbrew jego woli, o ucieczce ze szpitala i o tym, jak ojciec się go wstydzi.

– Poczytaj sobie o mojej wesołej rodzinie w internecie – rzucił gorzko. – Nie znajdziesz tam informacji o Egonie Raju. O nie. Moi starzy wszędzie twierdzą, że mają tylko jednego syna. A mój przeklęty braciszek jest ideałem doskonale wpasowującym się w obrazek wspaniałej rodziny. To on przejmie firmę i majątek po ojcu. – Egon odstawił pusty już kubek po kawie, po czym wyjął z szafki dwie szklanki i whisky. – Dzisiaj przyda się nam coś mocniejszego.

Ida, nadal zawinięta w koc, skinęła głową i od razu upiła duży łyk, po czym skrzywiła się lekko.

– Możesz zawsze walczyć o zachówek – poradziła.

– I na co mi ich pieniądze? – Egon roześmiał się. – Wystarczy mi ta stara chałupa po dziadku, kawał lasu i jezioro, które należą tylko do mnie. Kiedyś ojciec chciał mi nawet to odebrać, ale mu się nie udało. Dziadek dobrze skonstruował testament. Tutaj jestem nietykalny.

– No dobra, a co z tym łepim i mężczyzną, którego zabił? – Na samo wspomnienie o demonie kobieta zadrżała i odruchowo obejrzała się na zamknięte drzwi. – Nikt go nie szukał?

– Nie, bo to był jakiś bezdomny, więc mieli na niego wylane – odparł Egon, siadając wygodniej w fotelu. Zakręcił szklanką i zapatrzył się na bursztynowy trunek. – Tylko ja chciałem go ocalić. Ale dupa z tego wyszła. Facet zginął w szponach demona i wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? – Zaśmiał się gorzko. – Że to mnie posądzono o morderstwo!

– Że co proszę? – Ida wyprostowała się. – To dlaczego nie siedzisz za kratkami?

– Bo mój tatuś wszystko zatuszował – rzucił gorzko. – Nie obchodziła go śmierć tamtego człowieka. To było akurat w czasie, kiedy otwierał nową filię swojej przeklętej firmy i nie zamierzał pozwolić, aby po świecie rozeszły się plotki o jego synu mordercy. Przekupił lokalną policję i kogo tam trzeba było, żeby zamknęli gęby na kłódkę, i tyle. Sprawa załatwiona. Biedaka pochowali w bezimiennym grobie, a mnie zabronili wyściubiać nosa z moich terenów.

– Przykro mi. – Ida wstała z kanapy i położyła dłoń na ramieniu Egona, lecz szybko ją cofnęła. Sięgnęła po butelkę i dołała im whisky. – To byłby dopiero materiał na książkę – westchnęła pół żartem, pół serio.

– I to na kilka tomów – dodał Egon. – Wiesz, co u mnie zdiagnozował doktor Wawrzyniec?

– Kto?

– Przyjaciel mojej rodziny, ponoć najlepszy psychiatra w kraju – prychnął, opróżniając swoją szklankę. – Psychoza maniakalno-depresyjna.

– Choroba afektywna dwubiegunowa – dodała Ida. – Jej podłożem są zaburzenia neurotransmisji...

Egon zmarszczył brwi.

– A ty skąd...?

– Autorka kryminałów, pamiętasz? – Uśmiechnęła się słabo. – Kiedyś pisałam powieść o mordercy, który właśnie na to cierpiał. W początkowej fazie manii cechowało go lekkie pobudzenie psychoruchowe i gadatliwość, ale za to był czarujący dla kobiet i dobry w łóżku. Ostatecznie porywał je i więził w piwnicy swojego wielkiego domu, po czym zabijał. A w fazie depresji obwinał siebie o ich śmierć i nieraz usiłował popełnić samobójstwo...

– Wypisz wymaluj ja – rzucił sarkastycznie Egon.

– *Epizod*, taki ma tytuł – ciągnęła Ida. – W sumie sprzedaje się najlepiej ze wszystkich moich książek. – Wzruszyła ramionami, jakby to był nic nieznaczący szczegół. – Ale skoro jesteś taki „chory” – zaznaczyła palcami w powietrzu cudzysłów – to dlaczego cię jeszcze nie hospitalizowali?

– Bo już raz im nawiałem. – Zaśmiał się gorzko. – A niedawno mój ojciec założył organizację charytatywną, w której pewnie pierze pieniądze ze swoich lewych interesów i ostatnie, czego chce, to jakikolwiek negatywny rozgłos, jak na przykład to, że jego syn uciekł z wariatkowa. Woli więc, kiedy siedzę w swoim lesie i nie sprawiam mu kłopotów.

Ida opróżniła szklanę do reszty.

– Powiedz mi wszystko o tym łepim. I o innych... demonach – poprosiła.

– Chodź. – Egon dźwignął się z fotela i zaprowadził ją do swojego gabinetu. – Siadaj. – Wskazał jej fotel za biurkiem i zaczął zdejmować książki z półek.

Ida otworzyła jedną z nich na losowej stronie.

– Żądlica – przeczytała. – Ma wygląd kobiety i długi jęzor, na którego końcu znajduje się śmiercionośne żądło. Coś takiego też istnieje? – Skrzywiła się, podnosząc wzrok znad tomiszcza.

– Tam masz jej jęzor. – Egon wskazał przeciwległą ścianę.

– No nie do uwierzenia – westchnęła, przypatrując się trofeum.

– Swoją drogą, całkiem szybko oswoiłaś się z istnieniem demonów – zauważył.

– Od dziecka miałam otwarty umysł – odparła. – I zawsze wiedziałam, że świat kryje przed nami więcej tajemnic, niż podejrzewamy.

– Szkoda, że moja rodzina tego nie rozumie – rzucił z żalem Egon.

*

Egon gwałtownie poderwał się z łóżka. Z gabinetu dochodziły ciche dźwięki. Wziął do ręki siekiere, którą ostatnimi czasy trzymał przy sobie, i w samych bokserkach ruszył przez korytarz. Ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka, w każdej chwili gotów odeprzeć atak. Ku jego zaskoczeniu za biurkiem siedziała Ida.

– Nie spałaś? – zapytał, chowając siekiere za plecy.

– Co? – Podniosła nieprzytomne spojrzenie znad stosu książek. – To już rano? – zdziwiła się. – Te książki mnie wciągnęły...

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, a Egon poczuł się bardzo nieswojo. Od dawna żadna kobieta nie widziała go prawie nagiego. Wiedział, że dzięki ciągłym polowaniom i ćwiczeniom jest umięśniony, ale wolał ukrywać przed światem swoje liczne blizny.

– Ogarnij się – rzucił może nieco zbyt oschle. – Zjemy coś, a potem czeka nas mnóstwo roboty.

Godzinę później stanęli pod domem Idy.

– Zabezpieczymy go tak, że żaden demon się nie wślizgnie – obiecał, zaglądając do swojej torby.

– Czy to jest...? – Ida zmarszczyła nos.

– Krowie łajno. – Ułożył wysuszony placek w metalowej miseczce i posypał mieszanką ziół. Znalazły się wśród nich ruta, przywrotnik, bagno i wiele innych. – Najpierw okadzimy cały budynek. – Wyjął zapalniczkę i przyłożył ją do roślin. Ku niebu powędrowała szara smużka dymu.

Egon ruszył wzdłuż ściany budynku, zamawiając pod nosem. Ida szła krok w krok za nim, krzywiąc się, jakby nie do końca mogła uwierzyć w to, co robią.

Później usypali wąskie ścieżki z soli oraz suszonych ziół na wszystkich parapetach i przy progach. Nad głównym wejściem Egon

powiesił „aromatyczną” srokę.

– Czy to nie przegięcie? – zapytała Ida.

– A chcesz, żeby oprócz lepszego do domu weszła ci jeszcze zmore?

Pokręciła głową, po czym pobiegła do salonu i wróciła z tabletem w rękę.

– Czyli sroka jest przeciw zmore? – upewniła się, notując. – A jakie zioła wymieszałeś z solą?

– Po co ci to? – naskoczył na nią Egon, gotów wyrwać jej tablet z rąk.

– Nie jestem pewna – odparła z wahaniem. – Po prostu nie zawsze będziesz w pobliżu, a ja chciałabym wiedzieć... jak się bronić.

Niechętnie skinął głową.

– Mam tutaj miętę, rutę, dziurawiec... – zaczął wymieniać.

Wkrótce dom Idy był zabezpieczony na wszelkie możliwe sposoby. Egon przekonywał, że żaden demon już do niego nie wejdzie, ale kobieta nadal miała wątpliwości.

– Jak chcesz, dziś też możesz nocować u mnie – zaproponował niechętnie.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego z nadzieją w błękitnych oczach. – Dziękuję! – Sprawiała wrażenie, jakby z wdzięczności chciała rzucić mu się w ramiona, więc na wszelki wypadek cofnął się o krok.

Na szczęście Ida okazała się niewymagającym gościem. Gdy tylko wrócili do niego, zaszyła się w gabinecie, by przeglądać kolejne książki i robić notatki, a wieczorem wyszła do salonu z wypiekami na twarzy.

– Wiem, co zrobię! – oświadczyła.

– Taa? – mruknął bez entuzjazmu, pakując plecak.

– Napiszę książkę fantastyczną! – powiedziała i z emocji zaczęła krążyć po pokoju. – Może wydawnictwo nie będzie zachwycone, w końcu fantastyka jest bardziej niszowa niż kryminał, ale jaki to ma potencjał! – Wyrzuciła ramiona w górę.

– Ida, zwolnij. Po co ci taka książka?

– Sam mówisz, że ludzie codziennie padają ofiarami demonów i często nawet nie zdają sobie z tego sprawy – powiedziała. – A gdyby tak podprogowo przekazać im odpowiednie narzędzia? To byłoby dopiero coś!

Egon wyprostował się i skrzyżował umięśnione przedramiona na piersi.

– Nie rozumiesz? – Pisarka aż trzęsła się z emocji. – Napiszę książkę o demonach! Przedstawię ją jako zupełną fikcję, ale umieszczę w niej prawdziwe sposoby na potwory. Opowiem chociażby o tej soli albo o okadzaniu domu! Czytelnikom na pewno zapadnie to w pamięć, a jak trafią na takiego demona, choć w przybliżeniu będą wiedzieli, jak sobie z nim poradzić!

– Nie jestem pewien, czy to dobry... – zaczął Egon.

– To jest genialny pomysł! – Ida wyglądała, jakby za chwilę miała unieść się w powietrze. – Wystarczy, że w taki sposób ocale choć jedną osobę, a będzie warto!

Egon się zamyślił. Jemu nikt nigdy nie wierzył, ale jeśli ludzie dowiedzą się o magii obronnej przeciw demonom od prawdziwej pisarki, to może się uda? Nagle poczuł, jakby ktoś zdjął z jego barków olbrzymi ciężar.

– Ubieraj się – polecił. – Idziemy na polowanie. Tylko nie zapomnij tego swojego tabletu.

*

– Ostrożnie! – Egon złapał Idę za rękę, żeby się nie przewróciła.

Poczuł, jak przez jego ramię przebiega prąd, i cofnął dłoń, gdy tylko kobieta odzyskała równowagę. Za żadne demony nie chciał się angażować w związek ani nic podobnego.

Czasami zastanawiało go, dlaczego inni ludzie nie mają tak wyostrzonych zmysłów jak on. Nie widzieli tak dobrze w ciemnościach, mieli gorszy słuch i węch. Może lata polowań zrobiły swoje, a może to natura wyposażyła go w odpowiednie narzędzia do walki z demonami?

– Teraz musimy zachować absolutną ciszę – szepnął.

Ida pokiwała głową, a on wyczuwał bijące od niej podekscytowanie wymieszane ze strachem.

– Przy mnie jesteś bezpieczna – zapewnił.

Ruszyli dalej przez ciemny las. Kobieta co jakiś czas potykała się o korzenie lub spróchniałe gałęzie, a on za każdym razem był przy niej i pilnował, żeby nie upadła. Nagle się zatrzymał i wciągnął powietrze głęboko do płuc. Czuł charakterystyczny zapach, którego nigdy nie potrafił opisać.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął wprost do ucha Idy, aż zadrżała.

Nie musieli długo czekać, gdy między drzewami pojawiły się słabe, błękitne światła.

– Co to? – szepnęła Ida.

– Nieochrzczeniec – odparł. Po lesie poniosło się ciche kwilenie dziecka.

Przez jakiś czas obserwowali niezwykle zjawisko, aż Egon namierzył wzrokiem miejsce, w którym było najwięcej ogników. Natychmiast ruszył w jego stronę, a światełka zniknęły.

– Co teraz? – zapytała Ida.

– Muszę się upewnić, czy to odpowiednie miejsce. – Egon wbił saperkę w ściółkę leśną.

Odrzucał na bok kolejne warstwy ziemi, aż trafił na to, czego szukał.

– Kości – szepnęła Ida, przyświecając mu latarką.

Skinął głową ze smutkiem. Zawsze nurtowało go, co zmuszało matkę do pochowania jej poronionego lub martwo urodzonego dziecka w takim miejscu. Jakie tragiczne historie kryły się za takimi czynami?

Egon wyjął z kieszeni szklaną buteleczkę ze święconą wodą i skropił szczątki dzieciątka.

– Jeśliś chłopiec, nadaję ci imię Adam – odezwał się głośno. – Jeśliś dziewczynka, nadaję ci imię Ewa.

Kwilenie, które do tej pory im towarzyszyło, nagle umilkło. A to znaczyło, że dobrze wykonał swoją robotę. Pozwolił sobie jeszcze na chwilę ciszy, po czym zaczął zakopywać szczątki.

– To było niesamowite – odezwała się Ida w drodze powrotnej. – Miałam wrażenie, jakbym czuła... – Rozłożyła ręce, nie potrafiąc opisać własnych emocji.

– Warto dać się zepchnąć na sam margines społeczeństwa chociażby dla tego uczucia – odparł z lekkim uśmiechem. – Dziś ocaliliśmy jedną duszyczkę przed wiecznymi katuszami.

Ida wróciła do swojego domu, ale na dobrą sprawę tylko tam nocowała. Całe dni spędzała z Egonem albo przesiadywała w jego gabinecie, czytając. Wciąż nosiła przy sobie tablet, w każdej chwili gotowa robić notatki. Dla mężczyzny przyzwyczajonego do samotniczego trybu życia było to dość niezwykłe, ale szybko doszedł do wniosku, że jej towarzystwo wcale mu nie przeszkadza, wręcz przeciwnie – gdyby nagle musiała wyjechać, brakowałoby mu jej. Również zapalił się do jej planu napisania książki i wciąż podpowiadał jej nowe pomysły na demony, które mogą zaatakować bohaterów książki. Zabrał ją na kolejne polowania na niegroźne bestie, a ona wciąż notowała.

– Mam pączki – oświadczyła z uśmiechem, wracając z porannej przebieżki.

Nie do końca podobało mu się, że sama biega każdego ranka do miasta, ale nie chciał jej ograniczać. Zaparzył mocną kawę i razem usiedli na ganku.

– Myślę, że mogę zacząć pisać – powiedziała. – Już wszystko ułożyłam sobie w głowie, stworzyłam całą drabinkę wydarzeń i mam tyle notatek, że wystarczy mi na co najmniej pięć tomów. – Zaśmiała się. Ładnie się śmiała.

Egon pokiwał głową.

– Usiądę do komputera chyba dziś wieczorem – dodała.

– Tak, to dobry pomysł – przytaknął.

On sam z kolei czuł, że łepi jest coraz bliżej. Raj od wielu dni rozglądał się za jego śladami i choć na żadne nie natrafił, podświadomie wiedział, że demon wkrótce zaatakuje. Dlatego wolał wyjść mu naprzeciw, szczególnie tej nocy, gdy Ida będzie

bezpiecznie siedziała w swoim gabinecie, pochłonięta tworzeniem nowej książki.

*

Zmierzchało, gdy Egon stanął na ganku przed domem. Jesienne słońce już jakiś czas temu skryło się za horyzontem. Samotna ryba wyskoczyła nad powierzchnię jeziora, tworząc kręgi rozchodzące się po wodzie. Może uciekała przed topielcem? Egon już dawno chciał na niego zapolować, ale zabrakło mu czasu. Od kilkunastu tygodni demony dbały o to, żeby się nie nudził. Może zimą zdoła odpocząć? Będzie razem z Idą przesiadywać przed kominkiem i opowiadać jej o kolejnych potworach, a ona będzie wszystko spisywać. Niedługo stuknie mu czterdziestka i nie zapowiadało się, żeby kiedykolwiek miał dzieci. Dobrze więc będzie móc przekazać komuś swoją wiedzę.

Wziął kilka głębszych wdechów chłodnego powietrza i ruszył w las. Suche liście szeleściły pod jego butami. Świerki w oddali zaszumiały złowieszczo. Łepi był w pobliżu. Egon wyczuwał go jako natarczywe swędzenie pod skórą. Zdawało się, jakby wszystkie jego zmysły jeszcze bardziej się wyczuliły. Słyszał odległe pohukiwanie puszczyka, widział w ciemności ziemię zbuchtowaną przez dziki. Nieco dalej dostrzegł tropy jeleni, lecz ani śladu łepiego.

Egon odnalazł miejsce w samym środku boru, gdzie demon przed dwoma laty zabił bezdomnego.

– Gdzie jesteś, diable jeden? – szepnął z irytacją.

Nic nie przykuło jego uwagi. Krążył więc po lesie, swędzenie pod skórą przybierało na sile, stawało się niemal nie do wytrzymania, ale demon się nie pojawił. Raj spojrział na księżyc w pełni prześwitujący przez korony drzew. Miał ochotę zawyc z złości. Gdzieś na granicy

jego zmysłów czaił się ten potwór, zagrażał mieszkańcom miasteczka oraz Idzie, a Egon nie potrafił go dopaść. Jego myśli podążyły ku kobiecie, która teraz pewnie siedziała przed komputerem, całkowicie pochłonięta pisaniem. Dlaczego łepi włamał się do jej domu? Dlaczego pozwolił jej wtedy uciec? A jeśli znów ją zaatakuje?

W głowie mężczyzny zaczęły pojawiać się coraz to koszmarniejsze wizje ataku potwora. „Sam zabezpieczyłem jej dom – przekonywał siebie Egon. – Jest bezpieczna”. Lecz ziarno niepewności zostało zasiane. Jego stopy jakby wyczuły jego obawy i same skierowały się na drogę wiodącą do domu Idy. Wkrótce między pniami dostrzegł światło wylewające się przez okna na podwórze. Egon stanął na skraju lasu i oparł się bokiem o pień drzewa. Zobaczył ją przez okno, jak siedziała przed swoim laptopem. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, a palce śmigały po klawiaturze. Nagle podniosła głowę i zmarszczyła brwi, jakby coś ją zaniepokoiło. Egon drgnął nerwowo, kiedy kobieta wstała od biurka i skierowała się do kuchni, znikając mu z oczu.

– Co robisz? – szepnął, stukając z niecierpliwością palcami w trzonek siekiery.

Wtem w polu jego widzenia pojawił się łepi. Miał ponad dwa metry wzrostu. Był strasznie chudy, wręcz zagłodzony, a jego pergaminowa skóra sprawiała wrażenie, jakby się na nim topiła. Demon rozglądał się po pokoju, za czymś węszył.

Egon, niewiele myśląc, ruszył pędem do drzwi. Szarpnął za klamkę i znalazł się w szerokim przedpokoju.

– Ida! – wrzasnął.

Odpowiedziała mu cisza. Miał nadzieję, że nie przybył za późno. W kilku susach znalazł się na progu gabinetu. Łepi natychmiast zwrócił ku niemu paskudny pysk.

– Dzisiaj cię dopadnę – zagroził Egon, mocniej zaciskając palce na trzonku siekiery.

Demon otworzył paszczę naszpikowaną ostrymi zębami i oblizał się. W jego oczach tliła się żądza mordy.

Egon zaszarżował. Uniósł siekiere i wykonał zamach, ale łepi odskoczył do tyłu. Z jego paszczy dobył się niski warkot. Machnął długą łapą, a jego pazury o milimetry minęły klatkę piersiową przeciwnika. Raj schylił się, unikając drugiego ciosu. Wykonał obrót i wbił siekiere w udo demona. Po domu poniósł się basowy ryk wściekłości.

Egon zaśmiał się obłąkańczo. Znów mógł zmierzyć się ze swoim największym wrogiem. W jego ciało wstąpiły nowe siły. Ciął siekiere, a łepi zaczął ustępować mu pola, aż został przyparty do ściany. Raj uniósł ostrze nad głowę, adrenalina buzowała w jego ciele. W takich chwilach czuł, że żyje. Już miał wbić siekiere w łeb demona, gdy ten gwałtownie go odepchnął i przemknął pod jego ramieniem, po czym wskoczył na kanapę i przebiegł po niej. Egon zaś chwycił szklaną kulę leżącą na biurku i cisnął nią prosto w plecy stwora, który stracił równowagę i stoczył się na dywan.

Raj dopadł do niego i uderzył obuchem siekiery w skroń. Demon zaczął się czołgać po dywanie, zostawiając za sobą krwawy ślad. Egon stanął nad nim niczym kat i opuścił ostrze wprost na jego łeb. Usłyszał trzaśnięcie pękających kości, a stwór padł bezwładnie na podłogę.

Egon nabrał do płuc powietrza, z jego gardła dobył się pierwotny wrzask. Wyciągnął siekierę i wbił ją w kręgosłup potwora. Na podłodze zaczęła tworzyć się kałuża krwi wymieszanej z mózgiem i odłamkami kości.

Raj jeszcze nigdy nie czuł się tak silny, wręcz niezwyciężony. Mógł przenosić góry. Już chciał ruszyć na poszukiwania Idy, kiedy usłyszał buczenie na biurku. Odruchowo spojrzął w tamtą stronę i zobaczył telefon z podświetlonym ekranem. *Nowa wiadomość od Abelard Raj.*

Egon potrząsnął głową. To niemożliwe. Dlaczego jego ojciec miałby pisać do Idy? Przecież nie mogła mieć jego numeru zapisanego w telefonie! Ostrożnie podszedł do biurka i zapatrzył się na ciemny już wyświetlacz. Obejrzał się jeszcze na zakrwawione ciało demona, ale ten nie wyglądał, jakby chciał uciec, więc wziął komórkę do ręki. Kilka razy widział, jak Ida ją odblokowywała, a że miał doskonałą pamięć, bez problemu wpisał kod zabezpieczający.

wtorek, 25 paź ■ 2:14

*Powodzenia. Kolejna transza
jutro będzie na Pani koncie.*

– Co, do wszystkich demonów?! – Egon nie rozumiał, co to miało znaczyć. Bez zastanowienia zaczął czytać wcześniejsze wiadomości.

*wtorek, 25 paź ■ 1:23
Jutro wprowadzę REM-X.
– pisała Ida.*

sobota, 22 paź ■ 16:48

Spokojnie, wszystko mam pod kontrolą. Myślę, że łepi będzie naszym punktem kulminacyjnym.

sobota, 22 paź ■ 16:41

Mam nadzieję, że nikt nie ucierpiał.

sobota, 22 paź ■ 13:16

W ciągu ostatnich dwóch tygodni „polowaliśmy” na zwida, zmorę i żądlicę.

czwartek, 20 paź ■ 22:36

Epizod manii się nasila. Wkrótce będę mogła zakończyć podawanie MD-V.

wtorek, 4 paź ■ 8:27

Dziś w nocy skropiliśmy wodą święconą kości zakopane w lesie. Pobieżna analiza wskazała, że to szczątki psa. Pacjent prawdopodobnie sam je tam zakopał, choć tego nie pamięta.

poniedziałek, 3 paź ■ 14:13

Proszę się nie martwić, to nie pierwszy taki przypadek, z jakim się spotykam.

poniedziałek, 3 paź ■ 14:05

Tylko niech Pani uważa.

poniedziałek, 3 paź ■ 12:55

Leczenie idzie po naszej myśli. U Pacjenta nasila się irracjonalne zachowanie i wiara we własną misję.

niedziela, 2 paź ■ 23:14

Spokojnie, mam znajomego patologa.

On zidentyfikuje wszystkie ludzkie szczątki.

niedziela, 2 paź ■ 22:43

Niepokoją mnie trofea na ścianie.

Po wszystkim będzie trzeba wezwać do nich eksperta.

czwartek, 22 wrz ■ 23:12

Na kilka dni odstawię MD-V.

czwartek, 22 wrz ■ 22:46

Moi ludzie znaleźli w lesie truchła dwóch wilków.

czwartek, 22 wrz ■ 14:54

Znalazłam Pacjenta na progu domu. Był ranny.

Twierdzi, że walczył z meszą. Ślady na jego ciele

wskazywały na atak wilka albo dużego psa.

środa, 21 wrz ■ 13:00

Dziś Pacjent rąbał siekierą we własnej kuchni

ciało jakiegoś zwierzęcia. Podejrzewam, że to był dzik.

poniedziałek, 12 wrz ■ 21:16

*Tylko niech będą bardzo ostrożni. Urojenia
i halucynacje mogą sprawić, że weźmie ich za potwory.*

poniedziałek, 12 wrz ■ 20:54

*Chryste... Wyślę tam swoich ludzi,
żeby mieli na niego oko.*

poniedziałek, 12 wrz ■ 19:39

*Dziś Pacjent oskórowywał w lesie kota.
Był przekonany, że to demon.*

piątek, 9 wrz ■ 8:27

*Co drugi dzień podaję Pacjentowi leki.
Nie ma żadnych powikłań.*

sobota, 3 wrz ■ 18:13

*Nawiązałam kontakt.
Pacjent przyjął pierwszą dawkę MD-V.*

środa, 10 sie ■ 14:55

*Wspaniale, jeszcze dziś prześlę Pani
pierwszą transzę. Proszę informować
mnie na bieżąco o wszelkich postępach.*

środa 10 sie ■ 14:46

*Przez kilka tygodni będę podawać MD-V, aby nasilić wszelkie
objawy choroby i przeciążyć system nerwowy. To bardzo*

innowacyjne podejście, ale odkryliśmy, że jest skuteczne. Gdy chory znajduje się na skraju epizodu, wdramy leczenie REM-X. Poprzednie dziewięć wersji leku dało satysfakcjonujące rezultaty. Na tym etapie zaczniemy psychoterapię, która razem z lekiem będzie prowadzić do całkowitej remisji.

środa, 10 sie ■ 14:34

Bardzo dziękuję, że zdecydowała się Pani nam pomóc. Doktor Wawrzyniec bardzo Panią polecał. Proszę jeszcze opisać w kilku prostych słowach działanie tych leków, żebym umiał wytłumaczyć to żonie. Z poważaniem, Abelard Raj

– Że co, kurwa?! – Egon odrzucił telefon i wpatrywał się w niego jak w obrzydliwego robaka. Nic z tego nie rozumiał, a jednocześnie podświadomie czuł...

Jego mięśnie zaczęły drzeć, głowa zrobiła się taka ciężka. Zapomniał już o truchle łepiego, zapomniał, że miał szukać Idy. W jego umyśle pojawiły się czarne burzowe chmury. Przetoczył się po nich grzmot, niosąc ze sobą dobrze mu znaną treść: *Znów cię zdradzili!*

Egon spojrział w bok, na laptopa. Poruszył myszką, aż zniknął wygaszacz ekranu, a w jego miejsce pojawiła się tapeta w kwiaty. Po lewej u góry znajdował się folder REM. Raj od razu go otworzył, a w nim znalazł kolejne pliki. Szybko namierzył ten zatytułowany REM-X, a jego oczom ukazał się jasny plik tekstowy.

REM-X

Dr prowadząca: Ida Pliszka

Pacjent nr 47 cierpi na nasiloną chorobę afektywną dwubiegunową, przy czym występujące u niego epizody są mieszane. Pojawiają się objawy psychotyczne – urojenia i halucynacje (zawsze dotyczą słowiańskich demonów). Pacjent przejawia manię wielkości, cechuje go lekka anhedonia, podejmuje niebezpieczne działania zagrażające jego życiu oraz życiu postronnych osób, jest przekonany, że ma wyostrzone zmysły.

Zostanie wprowadzony MD-V, a po nasileniu objawów REM-X...

Plik miał co najmniej czterdzieści stron. Egon nie był w stanie czytać tego dalej. Poderwał się z krzesła i odepchnął od siebie laptopa, a ten z głośnym łupnięciem wylądował na podłodze.

– Jakie, kurwa, urojenia?! – wrzasnął. – Jakie halucynacje?!

Dopiero teraz spojrzał na środek dywanu, gdzie w kałuży krwi, z rozrąbaną czaszką leżała... Ida Szczygieł, a raczej doktor Pliszka. W głowie Egona coś zaczęło tępo pulsować. Zamknął oczy i je otworzył, pewien, że to umysł płata mu figle, ale nie było tam łepiego. Może nigdy nie istniał?

Za oknem rozległ się hałas. Egon kątem oka zobaczył ruch. Ktoś lub coś go obserwowało.

Wziął kilka głębokich wdechów. Miał wrażenie, jakby nagle znalazł się obok własnego ciała i patrzył na swoje ruchy, nie mając na nie żadnego wpływu. Podszedł do zamordowanej lekarki, oparł o nią stopę i wyciągnął z jej kręgosłupa siekierę, po czym skierował się ku drzwiom.

Nieważne, czy stanie naprzeciw całej hordy demonów, czy ludzi ojca, tej nocy wszystko się rozstrzygnie.

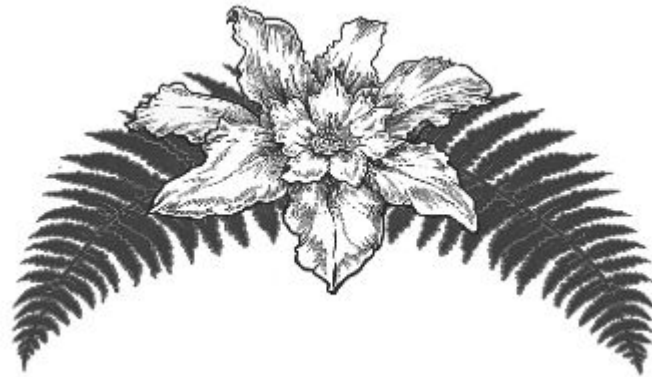


ANETA JADOWSKA

Sezon na nowożeńców

Aneta Jadowska – pisarka seryjna, wielbicielka kryminalistyki i popkultury. Powołuje do życia silne i wyraziste postaci. Stwarza alternatywne miasta wypełnione magią. Nieustannie knuje zbrodnie i intrygi, przyprawiające jej bohaterów o ból głowy. Swobodnie wędruje między fantastyką i kryminałem. Pisze dla dorosłych i dla dzieci.

Autorka serii: fantastycznych *Heksalogia Dory Wilk*, *Trylogia Nikity*, *Trylogia szamańska* oraz przygód Koźlaczek (*Cud*, *miód Malina*, *Cuda wianki*), obyczajowo-kryminalnej *Garstki z Ustki* oraz dziecięcej *Franek i Finka*.



Zajął mi dłuższą chwilę przypomnienie sobie, skąd znałam tę twarz. Dosyć przeciętną (jeśli nie liczyć wąsów – gęstych i obfitych, jak spasione, kudłate gąsienice, poruszające się nerwowo nad wąskimi ustami), ale bez wątpienia znajomą. Gdzieś go już widziałam.

I nie chodziło tylko o to, że włóczył się za mną przez pół dnia. Widziałam go przed pałacem Romana, potem czał się w cieniu przed komisariatem, a teraz przechadzał się nerwowo pod kamienicą, co jakiś czas zadzierając głowę, jakby czekał na znak z nieba.

– Myślisz, że wreszcie się odważy i wejdzie? – zapytał Miron, opierając się o parapet obok mnie.

– A cholera go wie – mruknęłam, próbując wyciągnąć z pamięci odpowiednią fiszkę.

Pod pięćdziesiątkę, średniego wzrostu, z lekkim brzuszkiem wypychającym lnianą beżową koszulę, pasującą do spodni cargo i skórzanych sandałów. Ściągnął z głowy oliwkową czapkę z daszkiem, zwinął ją w rulon i zaczął uderzać nim o udo. Drugą ręką targał przydługie siwe włosy z wyraźnie odgniecionym przez otok śladem nad uszami.

I już pamiętałam.

Wzdychając, włożyłam trampki i wyszłam do niego, zastanawiając się, w jakie kłopoty znów się wpakowałam.

– Panie Henryku – powiedziałam, kiwając mu głową na powitanie.

Wypuścił powietrze z głośnym świstem.

– Pamięta pani. – W jego głosie słyszałam dziwną mieszankę ulgi i ostrożności.

Widzieliśmy się raptem raz, i to przelotnie, w korytarzu ratusza Wernigrode, gdzie ściągnęła nas oboje komisja śledcza, badająca okoliczności śmierci trojga mieszkańców. Zamieniliśmy ledwie kilka słów. Minęło już, szybko policzyłam, pięć miesięcy, odkąd sprawę ostatecznie zamknięto. A może nie, skoro tu przyjechał?

Tamta sprawa od początku była przekłeta. Dwójka zaginionych nastolatków, majątni i wpływowi rodzice, polityczne piekielko wiszącego na włosku akcesu Wernigrode w granice administracyjne Thornu były ledwie początkiem. W komplecie znalazło się jeszcze morderstwo wiedzmy z lasu, klątwa Hexenwaldu i jedna z najbardziej brutalnych form wymierzenia sprawiedliwości, z jaką się zetknęłam w swoim życiu. Z dzieciaków została kupka kości, ich matka zginęła w męczarniach, a ojciec nigdy nie odzyskał równowagi psychicznej. W porównaniu z tym, co widziałam w Hexenwaldzie, *Ptaki Hitchcocka* można by uznać za bajeczkę dla dzieci.

Henryk Krammer pełnił funkcję szeryfa Wernigrode i gdyby nie upór Metzlerów i ich nadzieja na upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu, nigdy nie mieszałabym się w jego jurysdykcję. Chyba nie miał mi tego za złe. Lepiej ode mnie rozumiał prądy polityczne w swoim miasteczku. A gdy przyszedł czas zeznawania przed

komisją, poparł mój raport i z brutalną szczerością stwierdził, że Metzlerowie sami ścignęli sobie na głowę to gówno, po czym zapytał, czy komisja mogłaby przestać marnować jego czas. Zeznania podsumował:

– Jeśli musicie mieć z tego jakiś morał, nie wkurwajcie lasu i nie mordujcie wiedźm, które las uznaje za swoje. Na wszelki wypadek może w ogóle nie mordujcie wiedźm, bo kto wie, w których Hexenwald ma upodobanie. Ta tu wyszła z niego cała – powiedział, rzucając wymowne spojrzenie w moją stronę.

I na tym skończyła się moja przygoda z Wernigrode i znajomość z szeryfem Krammerem. A jednak pięć miesięcy później stał przed moim domem. Nie znałam go wystarczająco, by zaprosić go do mieszkania, gdzie poza Mironem przebywała nasza przybrana córka, ale ciągle był pod nosem Szatański Pierwiosnek, ulubiona knajpa i moje nieoficjalne biuro.

W środku było przyjemnie chłodno – na zewnątrz temperatura dopełzła do trzydziestu stopni i czerwiec z każdym dniem był bardziej bezlitosny. Zamówiłam nam dwa zimne piwa, przyniosłam je do stolika. Krammer siedział wyraźnie skrepowany.

– Panie Henryku, przejechał pan kawałek w tym upale, może pan po prostu wyrzuci z siebie, co pana do tego skłoniło, i zastanowimy się nad tym, czy mogę jakoś pomóc? – zaproponowałam.

– Cholera – mruknął. Westchnął ciężko, a potem powiedział: – W teorii to nie jest twoja sprawa, ani nawet moja. Ale giną ludzie. I nie potrafię udawać, że o tym nie wiem... Ale sam sobie z tym nie poradzę, wyczuwam magię na kilometr, a nie mam żadnej

przydatnej... Poza tym w ratuszu przypną mi tarczę strzelecką do dupy, jeśli choć wychylę palce za wyznaczoną granicę.

– Czy wszystko w Wernigrode jest polityczne? – zapytałam retorycznie, spodziewając się, że u źródeł problemu znów leży jakiś miejscowy wierchuszka.

– Wszystko i jeszcze parę rzeczy. Ale to faktycznie poza moją jurysdykcją... Tylko że tam w ogóle nikt nie ma jurysdykcji i nikt tam się tym nie zajmie. Ludzie mają sobie sami radzić. – Aż sapnął i potarł spocone czoło.

Hmm. Poza naszą jurysdykcją? Przymknęłam oczy, przywołując w pamięci mapę podmiejskich osad. Wykluczyłam wszystkie, które podpadały pod administrację Thornu i Wernigrode. Chyba nie zamierzał mi zrzucić na głowę problemów Rubieży czy kolejnych ekscesów Hexenwaldu?

– Wiesz o Enklawie? – zapytał.

O cholera.

– Enklawa stanowczo jest poza naszą jurysdykcją. Dzieci Welesa nie potrzebują ingerencji ludzkiego świata, jasno dały nam to do zrozumienia. To był warunek układu pokojowego z tysiąc osiemsetnego roku i wyłącznie dlatego, że przestrzegamy tych reguł, trzymają się z daleka od naszych miast i dzieci – przypomniałam.

Pokiwał głową.

– Tylko że problem nie leży w samej Enklawie. Moja przyjaciółka jest kierowniczką małego ośrodka wypoczynkowego dla nowożeńców, Przystań Mokozy, zaraz przy Białym Stawie. To jest paseczek ziemi niczyjej. Jurysdykcja Wernigrode tam nie sięga, ale Enklawy też nie. I tak pomyślałam, że w sumie twoja jurysdykcja jest najbardziej mętna, bo ty i tak nie trzymasz się granic. Może nie

musisz nawet wytaczać dział oficjalnie? Możesz to zrobić, no wiesz, po godzinach? Masz dość magii, by wywąchać, co się tam dzieje, zanim sytuacja całkiem się wymknie spod kontroli.

– Ile ofiar? – zapytałam cicho.

– Jeszcze wczoraj były dwie. Dziś rano już trzy.

– Ośrodek dla nowożeńców, powiadasz? Tak sobie właśnie pomyślałam, że przydałby mi się mały urlop. Mojemu narzeczonemu też. Chętnie bym się wyrwała z miasta. Na ryby na przykład – powiedziałam, obserwując, jak rozjaśnia się twarz szeryfa.

– Ryby tam biorą o takie! – wykrzyknął z entuzjazmem, rozsuwając dłonie na dobry metr.

Lepiej, by były bezzębne, skoro Miron i ja robiliśmy za przynętę...

*

Kiedy Henryk dowiedział się, że nie jadę z nim natychmiast, zmarkotniał. Jakby spodziewał się, że jednak się migam. Wyjaśniłam, że czasy, kiedy mogłam ruszyć w drogę z biegu, z parą majtek na zmianę za cały bagaż, minęły bezpowrotnie. Miałam w domu nastolatkę, której musiałam znaleźć opiekę na kilka dni, skoro Miron miał jechać ze mną. Szczęśliwie miała dwóch świetnych dziadków. Leon i Luc uwielbiali młodą i korzystali z każdej okazji, by ją porozpieszczać.

Henryk westchnął ciężko i zaczął mi rysować na serwetce mapę. Uważałam wtedy, że trochę przesadza, ale następnego dnia uświadomiłam sobie, że bez niej faktycznie miałabym kłopoty z dojazdem. Co było całkowicie zgodne z intencjami mieszkańców Enklawy.

Dzieci Welesa, specyficzna mieszanka sekty, mniejszości i potworów, od dwustu lat utrzymywały swoje terytorium w izolacji. Dzieliło je od Thornu ledwie czterdzieści kilometrów w linii prostej, ale mieszkańcy Enklawy zadbali, by nie było między nimi ani jednej porządnej, utwardzonej drogi. Cywilizacja i technika dla wielu z nich była szkodliwa, ale ważniejsze było to, że woleli, byśmy trzymali się od nich z daleka. Thorn nie przepłakał z tego powodu nawet jednej nocy. To, że my nie mogliśmy odwiedzać Enklawy, oznaczało, że oni nie mogli wpadać do miasta. W szerokiej perspektywie to Thorn na tym wygrywał.

Właśnie dlatego zamiast na południowy wschód skierowałam się bardziej na południowy zachód, do Wernigrode, a potem, robiąc spore kółeczko wiejskimi drogami, dojechałam do szerokiego szutrowego traktu, z którego według notatek Krammera miałam „zjechać do Przystani Mocoszy, zanim będzie za późno”. Droga wiodła w głąb Enklawy, a tam o wiele łatwiej o przygody z tych, po których nie wraca się do domu w jednym kawałku. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zobaczyłam wymalowany na drewnianych deskach, nieco obdrapany znak z czarną strzałką i napisem „Przystań Mocoszy 3 km”.

Droga zajęła dłużej, niż zakładałam. Dochodziło południe, słońce było wysoko, a temperatura dobijała do trzydziestu stopni. Doceniałam klimatyzację w aucie i to, że gdy wreszcie dojechaliliśmy do ośrodka, otulił nas przyjazny cień starego drzewostanu. Lekki wiatr pachnący tatarakiem i wodą też zaliczyłam na plus.

Wrażenie sielanki było tak silne, że przez kilka minut po prostu siedziałam za kierownicą i wpatrywałam się w wiszący nad bramą wjazdową szyld. Farba nieco się łuszczyła, kolory odrobinę

wypłwiała, ale wciąż miał zdolność pchnięcia mnie w próchnicę swoją słodyczą – dwa łąbądky stykały się dziobkami w pocałunku, a obok czerwone literki kojarzące się z walentynkami retro układały się w hasło: „Miłość kwitnie w Przystani Mokoszy”, zwieńczone trzema wykrzyknikami, które wyglądały jak baloniki w kształcie serduszek, unoszące się nad serduszkowymi kropkami.

Miron siedział rozparty na fotelu pasażera. Na ustach błąkał mu się lekki uśmieszek. Jakoś nie docierało do niego to, że jesteśmy tu incognito, by przeprowadzić dyskretne śledztwo w sprawie zniknięcia bez śladu trzech nowożeńców. Był w doskonałym nastroju. Nie stresowało go nawet to, że robi za potencjalnego wabia, skoro to panowie młodzi ginęli, a taką mieliśmy przykrywkę. Nic nie mogło przebić jego balonika entuzjazmu. Obwieścił ten czas naszym prawie urlopem, próbą generalną miesiąca miodowego, jakby to, że takowy się odbędzie, było już czymś przyklepanym i zapisanym w terminarzach. Jeśli tak, ja nic o tym nie wiedziałam.

– Wiesz, zasada prawdopodobieństwa. Jeśli na próbnym obrywamy trupami, podczas prawdziwego miesiąca miodowego statystyki będą po naszej stronie – przekonywał.

Wjechałam przez łąbęzią bramę na teren ośrodka. Jego styl można było uchwycić dwoma słowami: słodkie retro. Teren lekko nachylał się w stronę jeziora, a na kilometrach zielonego trawnika, ozdobionego licznymi klombami, donicami i ułożonymi z płaskich kamieni ścieżkami, wyrastała mała pastelowa wioska – drewniane domki z uroczymi werandami, okiennicami i dwuspadowymi dachami układały się na planie okręgu.

Zaraz za bramą, na krawędzi okręgu z domków, stał przeszklony piętrowy pawilon. Przy jego krótszym boku był niewielki parking,

a na nim kilka aut. Zaparkowaliśmy obok. Nawet z tego miejsca widziałam połyskujące na końcu kamiennej ścieżki jezioro, równie niebieskie jak połąć nieba nad nami. Takie ładne miejsce, pomyślałam, jaka szkoda, że ktoś tu musiał zginąć.

– Przygoda, przygoda, każdej chwili szkoda – nucił pod nosem Miron, zacierając ręce.

Coś w naszym życiu musiało pójść nie tak, że cieszył się na myśl o weekendzie z potencjalnym zabójcą.

Wysiadłam i z miejsca otoczył mnie zapach bzu i tataraku. Tak powinna pachnieć świeczka o nazwie „Wakacje”. Spodziewałam się, że zaraz skądś wyłoni się Krammer z burdą, że się nie spieszyliśmy, ale zamiast niego zobaczyłam zmierzającą w naszą stronę niewysoką, krągłą brunetkę, z gęstymi lokami podskakującymi wokół jej głowy przy każdym energicznym kroku. W letniej sukience, czerwonej w czarne groszki, ze spódnicą z koła, sięgającą do połowy łydki i amerykańskim dekoltem wyglądała jak stylowa biedroneczka. Gdy podeszła bliżej, zauważyłam, że nie była tak młoda, jak założyłam po jej energicznym dreptaniu w espadrylach na wysokich koturnach. Mogła być po czterdziestce, może bliżej pięćdziesiątki, była jednak dowodem na to, że nic nie robi na skórę tak dobrze jak kilka dodatkowych kilogramów, które wypełniają policzki i zmarszczki.

– Pani Dora? – zapytała, wyciągając w moją stronę rękę. – Może mi pani mówić Tereska, jak wszyscy w ośrodku – dodała.

– Miron – przedstawiłam mojego towarzysza.

Spojrzała na niego ostrożnie spod falującej grzywki, ale nic nie powiedziała, pomachała mu tylko na powitanie.

Nie byłam pewna, ile Henryk jej powiedział. Mnie zapewnił, że na kierowniczkę ośrodka – Tereskę Piwowar – możemy liczyć jak na Zawiszę, bo była kobietą ze wszech miar rozsądną. Ledwie o niej wspomniał, oczy mu się rozjaśniły, jakby połknął żarówkę.

– Zapraszam do recepcji, zameldujemy was i zejdziemy z oczu postronnych obserwatorów – powiedziała ciszej i uśmiechnęła się szeroko i życzliwie. – Normalnie o tej porze miałabym kłopot z domkiem na ostatnią chwilę, ale bieżące wydarzenia, cóż, nie wpłynęły najlepiej na samopoczucie naszych gości. Kilka par wyjechało przed końcem rezerwacji, dwie odwołały przyjazd. Wybrałam dla was domek numer sześć, jest z niego dobry widok na cały ośrodek i znajduje się najbliżej pawilonu. Mieszkam na piętrze, więc jeśli czegoś byście potrzebowali, będę pod ręką. I mam nadzieję, że rozwiążecie sprawę szybciotko i reszta pobytu minie wam na wypoczynku. Wszystkim tego życzę – dodała i znów obdarzyła nas promiennym uśmiechem. Była absolutnie urocza. – W pawilonie jest jadalnia, serwujemy śniadania i obiadokolacje. Jeśli potrzebujecie coś przekąsić poza tym grafikiem, też się coś znajdzie. Wiezorami w nieparzyste dni tygodnia odbywają się tu dancingi, w parzyste wieczory zabawy, kalambury, bingo, planszówki.

Złapała z szafki w recepcji klucz z wisiorkiem w kształcie muchomorka i powiedziała:

– Może ja państwu wszystko opowiem u mnie, na pięterku? Z tarasu łatwiej będzie pokazać, co i gdzie się działo – dodała.

– Pan Henryk do nas dołączy? – zapytałam.

Pokręciła głową, wyraźnie oblewając się uroczym rumieńcem.

– Coś go zatrzymało w Wernigróde, ale dzwonił, będzie na kolacji.

Na pięterku mieściło się biuro kierowniczk i magazynek, oraz mieszkanie z przeszkloną jedną ścianą, widokiem na jezioro i wyjściem na ogromny taras. Tu, przy stoliku zacienionym największym parasolem, jaki w życiu widziałam, opowiedziała nam o wszystkim – o zaginięciach, o letnikach, o historii tego miejsca, a gdy dopytałam, też co nieco o sąsiedztwie Enklawy i Dzieci Welesa.

– Nie miewamy z nimi problemów, muszę przyznać. Biały Staw nie jest całkiem w ich typie, zbyt płytki i za mały. Świetnie się w nim czują ryby, ale Dzieci Welesa wolą Czarny Staw, to prawdziwa głębina, czarna jak smoła i bardzo rozległa.

– Chętnie się rozejrzemy – przyznałam.

– Biały Staw nie jest wielki, można go spokojnie obejść, tylko lepiej się trzymać szlaku, by nie przegapić mostu. Szukanie brodu może zabrać mnóstwo czasu i zapędzić was za daleko w Enklawę. Ale poza tym to wspaniała trasa spacerowa, bardzo lubiana przez nowożeńców. A jeśli mogę dodać, w określonych celach radziłabym jednak wykorzystywać sypialnie w domkach. Co roku mamy kilka przypadków poparzenia pokrzywami czy pogryzienia w miejscach nieco zbyt intymnych.

Parsknęła śmiechem, widząc moją minę.

– Państwo nie słyszeli, widzę, legendy? Przystań Mokozy jest tak popularna wśród nowożeńców z konkretnego powodu. Mówi się, że spędzając tu miesiąc miodowy, zyskuje się błogosławieństwo bogini, przez co związki są trwałe, a niejedna para wraca do domu przy nadziei.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedziałam rozbawiona.

Miron stanowczo za dobrze się bawi przy tej sprawie, pomyślałam, widząc, jak się szczerzy. Odruchowo sięgnęłam po

swoją magię, wzmacniając zaklęcie antykoncepcyjne. Tak na wszelki wypadek.

*

Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak, że coś łypie na mnie z ukrycia. Może to przez magię, której grube warstwy wyczuwałam w powietrzu, obcej, niepokojącej, innej od wszystkiego, co znałam. Nie potrafiłam ocenić, czy to magia Enklawy, czy coś zupełnie innego, ale miałam ciarki.

Większość dnia poświęcałam na dyskretny rekonesans, próbując delikatnie wy badać reakcje na zniknięcie trzech panów młodych, ale przyznam, gdyby nie włączące się po ośrodku trzy panny młode z zapuchniętymi od płaczu oczami, pomyślałabym, że Henryk Krammer i Tereska Piwowar wpuszczają nas w maliny. A do tego ludzie byli tacy przyjaźni i uśmiechnięci, że robiłam się nieco podejrzliwa. I nikt nie był specjalnie przejęty zaginięciami, nic nie mogło zburzyć nastroju urlopu i sielanki.

Wbrew sloganowi na szyldzie Przystani Mokozy nie odwiedzali tylko nowożeńcy. Dwie pary obchodziły tu rocznice ślubów. Irenka i Stefek świętowali czterdzieści lat razem. Agata i Mirek piętnaście, ale jeśli ich poziom zauroczenia sobą nawzajem miał być jakąś przesłanką, dociągną do tej czterdziestki bez trudu. I będą jak Irenka i Stefek przyjeżdżać tu co roku, dla „odświeżenia rzeczy”. Cokolwiek to znaczyło. Seniorzy byli zaś tak nieznośnie zakochani i słodcy, że zęby robiły mi się lekko nadwrażliwe od nadmiaru cukru. Spędzali razem każdą chwilę, czytali sobie w myślach na tyle, by kończyć swoje zdania, ewidentnie świata poza sobą nie widzieli i migdalili się pokątnie i całkiem na widoku.

„Rocznicowcy” zajmowali domki drugi i trzeci. Zaprzyjaźnili się przez te kilka dni urlopu, bo przesiadywali razem przy piknikowym stole w cieniu starej wierzby, świegółąc jak przekupki.

Była też Halinka spod czwórki. Umordowana matka liczego drobiazgu. Wiecznie zirytowana mężem – Kazikiem, który wisiał godzinami na telefonie albo drzemał na hamaku, zostawiając na jej głowie cztery bardzo ruchliwe dziewczynki. Najstarsza wyglądała może na dziewięć lat, młodsza na siedem, dwójka mniejszych to na oko czterolatka i dwulatka. Wiedziałam, że mają na imię Iwonka, Martyna, Justynka i Julka, ponieważ co chwilę słyszałam ich matkę nawołującą je po imieniu, gdy któraś zniknęła jej z oczu na zbyt długo. Najmłodsza, lekko zataczając się w za dużych o kilka numerów crocsach i różowym kostiumie kąpielowym, przydreptała do naszego domku, ledwie przyszliśmy z walizkami. Małe ciekawskie jajo. Była zmiennokształtna, moja wilczyca była tego pewna, ale jakiego rodzaju, nie miałam pojęcia. Zapach był wyraźny, tylko całkiem mi obcy, choć wilczyca podsuwała mi obrazy wody. Od Tereski dowiedziałam się, że matka i córki były wydrami, a ojciec, cóż, regularnym dupkiem.

Poza nimi w ośrodku przebywały jeszcze cztery kobiety – trzy upłakane panny młode, których małżonkowie zaginęli, oraz Aurelia Maciejka, akwarelistka, która przyjechała tu malować i żadne tam zaginięcia nie mogły jej od tego zamiaru odwieść. Przez większość dnia siedziała na drewnianym pomoście i malowała wodę. Nawet biegające wokół niej dziewczynki nie rozbijały jej żelaznej koncentracji.

Ach, i rodzynek, Artur Zdanowicz, samotny mężczyzna, który emanował kompletnie nieurlopową energią – z telefonem

przyrośniętym do ucha krążył po ośrodku i wydawał się nieznośnie spięty. Myślałam, że może obawia się tego, że jako mężczyzna w kwiecie wieku mógł stać się kolejną ofiarą (od profilu zaginionych różnił go wyłącznie brak panny młodej, ale było za wcześnie, by ocenić, na ile to kluczowy element wyboru ofiar, a na ile po prostu zaginieni faceci pasowali do typu interesującego sprawcę, a to, że byli świeżo poślubieni, to kwestia przypadku i okoliczności), ale Tereska wyjaśniła, że on tu przyjechał w kompletnie innym celu. Próbował kupić ośrodek i zawracał jej dupę, jakby to ona była właścicielką i mogła podejmować takie decyzje.

– A właściwie kto jest właścicielem? – zapytałam zainteresowana. Czy możliwe, by zniknięcia coś wiązało z tą próbą kupna? Może miały obniżyć wartość ośrodka?

Tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Właściciel zmarł dwa lata temu. Spadkobierców jest pięcioro i nie mogą sprzedać ośrodka, musi zostać w rodzinie, testament Witka jest jednoznaczny w tej kwestii. Nie zawracają nim sobie przesadnie głów. Nie podważą testamentu, bo poza ośrodkiem odziedziczyli też kupę forsy i musieliby ją oddać. Nawet tu nie przyjechali, mieszkają w wielkich miastach, dwójka po drugiej stronie bramy. Ich prawnik do mnie napisał. Mam dalej prowadzić ośrodek i nie zawracać im głowy szczegółami. Zwolnić mnie nie zwolnią, o to też Witek zadbał. Mam tę pracę do końca życia albo jak długo będę chciała. Jak wcześniej moi rodzice. A przed nimi moja babcia.

– Spędziłaś tu całe życie? – zapytałam cicho.

Skinęła głową.

– Czyli zauważyłabyś, gdyby zmieniła się magia? – dopytywałam.

Tereska parsknęła i powiedziała:

– Musiałaby mnie walnąć w nos. Nie mam własnej, a wrażliwość mam nikłą. Wedle mojej mamy to błogosławieństwo. Silnym magicznym jest trudniej tak blisko Enklawy.

Rozumiałam, co jej matka miała na myśli. Miałam sporo magii. Moja magia Pani Północy czuła się tutaj nieswojo, za to zwykle nieużywana magia płodności wydawała się musować mi w krwi, podkarmiana wibracjami tego miejsca i całą tą miłością, którą emitowali letnicy.

*

Z tego, co mówili Tereska i Henryk, a co potwierdzili Irenka i Stefan, ledwie naprowadziłam ich na temat (nie musiałam nawet specjalnie ciągnąć ich za języki, wystarczyło wspomnieć, że cudem dostaliśmy domek, bo sporo rezerwacji odwołanych i coś nam się obilo, że nie bez powodu), każdy z mężczyzn zniknął w nocy. Panny młode kładły się koło mężów, budziły się całkiem same, nie było śladu przemocy, szamotaniny ani czyjejkolwiek obecności w domkach. Jakby panowie wyszli sami i nigdy nie wrócili. Nikt nic nie widział, nie słyszał. Byli, a rano ich nie było.

Po pierwszym zniknięciu szeptano, że może się pokłócili. Maja i Marcin byli ledwie tydzień po ślubie, ale wedle pani Irenki zaniedbali nieco komunikację przed ceremonią i teraz, w czasie miesiąca poślubnego, dyskutowali rzeczy, które powinny być już dawno ustalone. Na przykład to, czy w ogóle chcą dzieci. To Maja wybrała Przyszań Mokoszy. Marcin, gdy poznał reputację tego

miejsca, był raczej powściągliwy w okazywaniu czułości, na zakładanie rodziny było dla niego stanowczo za wcześnie. Maja widziała to inaczej.

– No sprzeczali się – przyznała seniorka. – Niby nie wrzeszczeli, ręki na nią nie podniósł, ale atmosfera była mało miódowa, rozumiesz?

Przytaknęłam, bo mogłam to sobie wyobrazić.

– Kiedy rano Maja zaczęła go wołać i szukać, no wiesz, wszyscy pomyśleliśmy, że poszedł szukać przestrzeni, czy jak to się tam zwie.

– Ale auta nie wziął? – dopytywałam.

– Bez auta Majeczka by się stąd nie wydostała... Myśleliśmy, że po kogoś zadzwonił, ktoś po niego przyjechał, wiesz, nikt nie myślał, że to może być coś... niepokojącego. Młodzi się kłóć. Kłóć się bardziej, gdy wcześniej się migdalili, zamiast rozmawiać o tym, czego właściwie oczekują po związku i życiu razem.

– A potem zniknął Łukasz? – podpytywałam.

– To i tu też nie od razu widać było, że zaszło coś niepokojącego – powiedziała Irenka i przyciszonym głosem dodała: – On był takie trochę ladaco.

– Przystojny jak grzech, a oczami strzelał na boki – przyznała Agata, popijając piwo z sokiem malinowym. – Nawet ze mną flirtował.

– Mówisz, jakby ci czegoś brakowało – oburzył się Mirek, jej mąż od piętnastu lat, po czym uszczypnął ją w pośladek.

Nie widziałam samego szczypania, ale widziałam reakcję Agaty, a feromony obojga aż mnie zakręciły w nosie. Rozmowa nagle przestała ich interesować i minutę później już byli za zamkniętymi drzwiami swojego domku.

Irenka zachichotała.

– No tak już mają – przyznała. – Ale co do Łukasza, nie myliła się. Widziałam, że nawet do Majeczki startował, że niby może pocieszyć ją po stracie męża. Takie toto płoche było. Kiedy ślubował swojej Gosi wierność przed ołtarzem, musiał krzyżować akurat palce za plecami.

– A Jarek? Jaki był? – dopytywałam, siląc się na luźny ton.

Seniorka obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i powiedziała:

– A wy, moi drodzy, skąd jesteście? Bo chyba nie dosłyszałam.

– Z Thornu.

– I nowożeńcy? – zapytała, wpatrując się w Mirona, jakby lepiej rokował w kwestii puszczenia farby.

– Prawie – powiedział mój diabeł. – Próbny miesiąc miodowy. Ta tu ma w zwyczaju przyciągać kłopoty, więc próbuję przechytrzyć los.

– Ach, no żeby cię to w ten kształtny wielce pośladek nie ugryzło. Bo tutaj to panowie wpadają w kłopoty.

– Będę się trzymał spódnicy mojej lubej, to mnie nic nie skusi – zapewnił diabeł i posłał jej zniewalający uśmiech.

– Ta już zajęta, psubracie – powiedział żartobliwie Stefan i pogroził mu palcem – ale metoda niegłupia. Mnie tam nic nie pożarło, a spódnicy Irenki nie puszczam!

Ostatecznie o Jarku dowiedziałam się tylko tyle, że był całkowicie bez właściwości. Normalny chłopak. Nie wyglądał na takiego, co by miał zniknąć. Nie tak przystojny czy przebojowy jak poprzednicy.

– Obstawiałam raczej, że tego Artura świśnie – zauważyła Irenka. – Spięty taki, ale ładniutki jak z obrazka. Ale panem młodym

nieprędko zostanie – powiedziała enigmatycznie.

– O, a to czemu? – zapytałam ciekawa.

– Bo na moje jeszcze trochę minie, nim śluby jednopłciowe będą legalne w tym kraju. Przepisy są zawsze bardziej zacofane niż ludzie – wyjaśniła.

Zanim zapytałam, skąd czerpała informację, Stefek wyjaśnił:

– Aurelia, gdy się robi naprawdę gorąco, maluje tam na pomoście w takim maleńkim bikini. A zbudowana jest jak Afrodyta, wspaniała figura i skóra jak jedwab. Każdy heteroseksualny facet choć zerknął i popatrzył. Ale Artura nie ruszyło zupełnie. Jakby był z kamienia.

Nie byłam przekonana, że to faktycznie wystarczy, by zgadywać jego orientację, choć parę godzin później, kiedy temperatura wzrosła, a Aurelia zrzuciła sukienkę kąpielową i stała przed sztalugami w mikroskopijnym żółtym bikini, musiałam się zgodzić z oceną Stefka – ciężko było oderwać oczy.

*

Może najdziwniejsze było w tych zaginięciach to, że nie tylko nie było śladu walki czy obcej aktywności, ale też jak szybko wszyscy przeszli nad tym, że trzech dorosłych mężczyzn wyparowało, do porządku dziennego. Jakby takie rzeczy się po prostu zdarzały i nie można pozwolić, by przesadnie wpływały na samopoczucie czy przebieg urlopu, bo tego wolnego czasu nikt im nie zwróci...

Po kolacji, na której wszyscy letnicy zgromadzili się w pawilonie, jakby nigdy nic, zaczął się wieczór bingo i planszówek. No przecież, czwartek, dzień parzysty. Jedynym, co jakoś odbiegało od pogodnej normy, były zaczerwienione oczy świeżo upieczonych

żon. Maja, Gosia i Basia siedziały razem przy stoliku, jakby z automatu związane tą samą tragedią, ale właściwie nie rozmawiały. Nie brały też udziału w grze. Ciche, jakby zapadnięte w siebie, spoglądały w stronę okna, z którego rozciągała się szeroka panorama na Biały Staw. Nagle Maja wstała, tak gwałtownie, że potrącona łyżeczka od herbaty głośno stoczyła się na podłogę.

– Mam dość – oświadczyła. – Nie zniosę tego ani chwili dłużej. On już nie wróci. Czekanie na niego nie ma sensu. Chcę wrócić do domu, do życia, w którym nie ma miejsca na takie rzeczy!

Łzy spływały jej po policzkach, ale wytarła je rękawem koszulki ze złością. Najwyraźniej płacz też już był zamkniętym rozdziałem. Trzymając się kurczowo tej złości, która teraz ją wypełniała, wyszła z jadalni. Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe i zobaczyłam ją, jak maszeruje na przełaj trawnika, prosto do domku numer jeden, który jeszcze pięć dni temu zajmowała ze swoim świeżo poślubionym mężem. Zniknęła w środku, trzaskając kolejnymi drzwiami.

Przez kilka minut w jadalni panowała absolutna cisza, żadnych komentarzy, westchnień czy rozbrajania napięcia żartem. Wszyscy patrzyli w okno, jakby w oczekiwaniu. Nie byłam pewna, na co czekali. Czy Majeczka miała wyjść z domku nago i rzucić się w jezioro?

Nie zrobiła tego. Po kilku minutach wyszła na werandę ze spakowaną walizką. Wspinała się z nią po ścieżce, w stronę pawilonu. Zajrzała do środka tylko po to, by rzucić kluczami o kontuar recepcji i krzyknąć:

– Pani Teresko, wymeldowuję się!

Chwilę później ciszę przerwał warkot silnika samochodu.

– Pękła – szepnęła Gosia. Ona najwyraźniej nie była gotowa, by postawić kreskę na swoim nie najwierniejszym małżonku.

– A jeśli on wróci? – zapytała Basia, wyraźnie wstrząśnięta zachowaniem Majki.

– To przecież złapie okazję do miasta. Nie odjechała ostatnim autem w okolicy – odpowiedziała przytomnie Aurelia.

I tyle, wszyscy wrócili do bingo. I tylko uszczuplony zespół porzuconych żon wpatrywał się w milczeniu w różowiejącą zachodem słońca tafłę jeziora.

*

Po dwudziestej goście w jadalni zaczęli się wykruszać. Pierwsza wyszła pani Halinka, pokrzykując na swoje pociechy, że mają piętnaście minut, by się porządnie wyszorować i na pewno zajrzy za uszy. Jej mąż przez chwilę został w tyle, zgarbiony przy stoliku nad telefonem, ze słuchawkami zestawu głośnomówiącego w uszach, ale zawróciła po niego, szarpnęła za kabelek i wysyczała, gotując się ze złości:

– To też twoje dzieci. I przypominam ci, że właśnie przez to się tu znaleźliśmy. Wiesz, jaka jest alternatywa.

Wstał od stolika, wykrzesał z siebie pozory entuzjazmu i zawołał:

– Dziewczynki, ścigamy się do domku! Kto pierwszy, ten wybiera bajkę na dobranoc!

Tupot dziecięcych nóg rozniósł się po ośrodku. Kazik maszerował za nimi. Halinka szła za nim, spięta i poirytowana. Po chwili zniknęli w domku numer cztery.

Aurelia uznała, że to świetny moment, by się urwać z imprezy. Poszłam za nią, ciekawa jej spojrzenia na całą tę nowożeńców sytuację. Zauważyła, że idę jej śladem, i lekko zwolniła, pozwalając mi się dogonić. Zmierzch podmalował pastelową sielankę Przystani Mokozy jeszcze słodszyimi odcieniami różu i brzoskwini. Malarka tylko pokręciła głową i powiedziała:

– Granica kiczu oficjalnie została przekroczona. Brakuje tylko jeleni na rykowisku albo delfinów.

– O jelenie pewnie łatwiej w okolicy – zażartowałam.

– No nie wiem. Coś żyje w tej wodzie – powiedziała. – Słyszę czasami w nocy pluski. Gdyby Tereska powiedziała, że ma tu jakąś swoją Nessie, wcale bym się nie zdziwiła. Więc o co chcesz zapytać?

Parsknęła śmiechem, widząc moją minę.

– Odstajesz. Może reszta tego nie widzi, bo faktycznie jesteście z tym twoim równie słodcy jak ulepek, ale za dużo się rozglądasz, za mało spijasz gwiazd z jego oczu. Rozumiem, że pan Henryk znalazł sposób, by obejść problem jurysdykcji – dodała.

– Dobra jesteś – przyznałam.

– Najlepsza. Mieszkam w Wernigróde. Domyśliłam się, dlaczego po pierwszym zniknięciu nie podjechał na miejsce radiowóz.

– A gdyby podjechał, miałabyś co opowiadać śledczym? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Nic nie widziałam, jeśli o to pytasz. Ani nie słyszałam. Ale wyczuwam magię, dużo starej i dziwnej magii. I na niewiniątka nie trafiło. Może i byli na miesiącach miodowych, ale Marcin i Łukasz się do mnie przystawiali. A Jarek składał ofertę pocieszenia Majeczce

ledwie drugiego dnia po zaginięciu jej męża. Na twoim miejscu miałabym oko na tego twojego przystojniaka dzisiejszej nocy.

– A ty się nie boisz? Jesteś w swoim domku całkiem sama.

– I do świtu na pewno nic mnie z niego nie wywabi – odpowiedziała tylko.

*

Mieliśmy nadzieję, że Aurelia się nie pomyliła i cokolwiek odpowiadało za zniknięcie facetów, teraz weźmie na celownik Mirona i to będzie początek końca tej przygody.

– Jeśli się uwiniemy, możemy wycisnąć z tego weekendu jeszcze odrobinę przyjemności – stwierdził Miron, wyciągając się na naszym podwójnym łóżku z różowym pluszowym wezgłowiem i falbaniastą kwiecistą narzutą. Cały domek był urządzony w stylu pastelowych lat pięćdziesiątych. I raczej była to stylizacja retro niż faktyczne retro, bo wszystkie sprzęty działały i nie przywodziły na myśl siermiężności wczesnego PRL, ale pastelową wizję przeszłości, która nigdy nie była aż taka słodka.

Mój mózg gotów był ruszyć krętą ścieżką rozważań o dostępności stylowych sprzętów kuchennych po tej stronie bramy w czasach, gdy po drugiej stronie na półkach stał głównie ocet (czy to możliwe, że ktoś przewiózł je tutaj Rubieżami, omijając kontrole celne i granice?), ale w tym właśnie momencie usłyszeliśmy ciche stukanie w boczne okno. Wymieniliśmy z Mironem porozumiewawcze spojrzenia. Wyciągnęłam broń z torby, a Miron przekradł się w stronę okna, starannie schodząc mi z drogi potencjalnego strzału. Ku naszemu zaskoczeniu, zamiast ujrzeć coś, co mogłoby go skusić w ciemne odmęty Białego Stawu, zobaczyliśmy

postawnego wążacza w polarowej bluzie, której ciemna zieleń idealnie wtapiała się w krzaki za domkiem.

– Chciałem tylko dać znać, że już jestem i macie wsparcie – powiedział scenicznym szeptem. – Przepraszam, zatrzymali mnie w Wernigrode.

– Nie ma sprawy, na razie niewiele się dzieje – zapewniłam.

– Macie jakiś pomysł? – zapytał z nadzieją.

– Nawet kilka – przyznałam, bo faktycznie opcji było co najmniej kilka.

W lokalnym folklorze nie brakowało pięknych dziewcząt wiodących mężczyzn na zgubę. A im więcej słyszałam o zaginionych, tym bardziej byłam przekonana, że z czymś takim mamy do czynienia. Możliwości wciąż było od groma – siedząc przy kolacji, wyciągałam z pamięci wszystkie panny lubujące się w wodzie i męskim łupie. Południce, bohynie, bogunki, jeziornice, północnice, rusałki, wużalki czy topielice... nawet kani bym nie wykluczała – owszem, zwykle preferowała dzieci, ale czy pogardziłaby ofiarami, które same weszły w jej ręce? Nie sądzę. W miastach się ich nie spotykało, ale tu? Na progu Enklawy i po sąsiedzku z Dziećmi Welesa musiałam zakładać, że jesteśmy bardziej na ich terenie niż one na naszym.

*

Kolejne godziny mijały nam na czekaniu. Myślałam nawet, że może jednak przynęta nie zadziała, choć Miron kilka razy wychodził na werandę, przeciągał się, a nawet przespacerował się aż do pomostu i rzucił kilka kaczek na wodę, by przyciągnąć uwagę tego, co mogło się gdzieś tam czaić w ciemności.

Tuż przed północą usłyszeliśmy hałasy na zewnątrz, ale to tylko Halinka i Kazik wydzierali się na siebie na werandzie ich domku, jak tylko rodzice dzieci śpiących kilka metrów dalej potrafią – agresywnym scenicznym szeptem.

Mieliśmy zgaszone główne światło, a miękki blask nocnej lampki robił się z każdą minutą zbyt przytulny. Musiałam wstać z łóżka, bo zaczynało mnie dopadać pole grawitacyjne tego cudownie wygodnego materaca i mięciutkich poduszek. Usiadłam w kącie na najtwardszym krześle. Miron szczyrzył się, jakby to jego powab wprowadził mnie w panikę.

– Nie zacieszaj tak, diable. Nie obawiam się morderczej mocy twojego magnetyzmu, po prostu jeśli zostałam tam minutę dłużej, mogłabym zasnąć – powiedziałam.

Złapał się za serce, jakbym wbiła mu tam ostrze.

– Moje delikatne ego – jęknął. – Chodź tu, wiedźmo, pobawimy się w nowożeńców... Zdejmiemy z ciebie te wszystkie fatałaszki i popracuję nad podniesieniem ci odrobinę ciśnienia, co ty na to? – Jego głos ociekał seksapilem, a ja byłam tylko kobietą, niewyspaną, słabą i skorą do ulegania pokusom. Kto wie, czy nie wróciłabym do łóżka, gdyby nie kolejne stukanie w szybę. Ale tym razem byłam pewna, że to nie Henryk. Poczułam muśnięcie mokrej i pachnącej tatarakiem magii.

A potem zaczęła śpiewać. Cichutko, jej głos mieszał się z szumem drzew i szelestem sitowia, ale nie dało się go pomylić z niczym. Miron dał mi znak, a potem wyślizgnął się z łóżka i podszedł do drzwi sztywnym, somnambulicznym krokiem, jakby osiągnęła dokładnie to, czego pragnęła. Wyszedł na werandę, a potem poszedł za nią w stronę Białego Stawu.

Miała zielone włosy sięgające poniżej pasa, ciemną, jakby opaloną na brąz skórę połyskującą w świetle księżyca i wielkie, przepastne czarne oczy, pozbawione białek. Uśmiechała się, pewna, że znów jej się udało, oblizując wargi ciemnozielonym językiem. Odziana tylko w strzępy pajęczej tkaniny, która ledwie trzymała się jej na biodrach, miała krągłości, które mogły zawrócić w głowie każdemu. A jeśli facet zapatrzył się na jej obfity, sprężysty biust, mógł nie zauważyć opłętanych stóp. Zresztą marynarzom biust syren przysłaniał istnienie rybich ogonów, więc najwyraźniej piersi niektórych stworzeń były naprawdę magiczne – nie tylko dlatego, że mimo dużego rozmiaru sterczały zadziornie w górę.

Doprowadziła Mirona do pomostu, a potem skręciła w obrośniętą tatarakami ścieżkę. Mnie, idącej ledwie kilka kroków za nimi, nie widziała, bo też nie zwracała uwagi na nic poza nowym ślicznym chłopcem do kolekcji. A gdy odeszliśmy od ośrodka może pół kilometra, może ciut dalej, trzymając się ścieżki biegnącej wzdłuż brzegu, zatrzymała się gwałtownie i umilkła. Wspięła się na palce, by zajrzeć w oczy Mirona. Miała może metr sześćdziesiąt, a jemu niewiele brakowało do dwóch metrów, więc nie było to takie proste. Pochylił się lekko, spojrzał na nią płomiennym spojrzeniem pyra i zapytał:

– Czego właściwie szukasz, mokra panienko?

Wzdrygnęła się i odskoczyła. I prawie wpadła na mnie. Złapałam ją pod łokieć, zanim wyłożyła się na ścieżce jak długa, i powiedziałam:

– Koniec zabawy, jeziornico, zapędziłaś się kawałek od Enklawy.

– Nie możesz mi nic zrobić – fuknęła urażona – chyba że chcesz złamać traktat. – Wyszczrzyła się, odsłaniając zakończone ostro

zęby.

– Ale to sprawa osobista, jeziornico. Próbowalaś uprowadzić mojego faceta. Doskonale wiesz, że mogę ci upuścić wody z żył i każdy w Enklawie uzna, że to tylko sprawiedliwość i sama się prosiłaś – powiedziałam, a dla lepszego wrażenia przejechałam jej malutkim ostrzem po ramieniu. Złapała się za rankę, spomiędzy jej palców spływała czysta woda.

– Nie ma powodu, by posuwać się do ostateczności – burknęła.

– Mogę cię zabić i nikt mi złego słowa nie powie. Mogę ci też załatwić transport w głąb Enklawy po obietnicy, że nie wrócisz i nie będziesz niepokoić gości Przystani Mokozy – zaproponowałam.

Burknęła coś, ale w końcu powiedziała:

– Niech tak będzie.

– Co z zaginionymi? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– A skąd mam wiedzieć? Ja ich tylko zwabiłam, upiłam, a potem sami weszli do wody. Nie moja wina, że nie głową myśleli.

– Utopiłaś ich? – naciskałam.

– No, w końcu pewnie się utopili. Ludzie nie oddychają za dobrze pod wodą – odpowiedziała i zaśmiała się z własnego dowcipu.

Odeskortowaliśmy ją do ośrodka. W drodze zadzwoniłam do Henryka Krammera. Było już po północy, ale odebrał od razu.

– Złapaliśmy jeziornicę. Potrzebuje podwózki do Enklawy – powiedziałam.

– A to mogę zrobić! Nikt mi nie zabroni! Czyli już po wszystkim? – zapytał jeszcze.

– Tak, więcej żaden młody nie wpadnie w jej piosenkę. Przynajmniej nie tutaj – dodałam, bo jeziornica natury nie zmieni, a jak długo chodzili po ziemi mężczyźni, którzy myśleli futem, będzie miała ochotników do płasów na dnie jeziora.

Odstawiliśmy jeziornicę na parking przy pawilonie. Tereska stała tam już z Henrykiem i była doskonale przygotowana do transportowania kusicielki. Założyła jej sprawnie na nadgarstki żelazne kajdanki, a między zęby włożyła jej knebel z gałązki jarzębiny.

– Pojadę z nim – dodała – tak na wszelki wypadek. Na mnie ich śpiewy nigdy nie działają.

Patrzyliśmy jeszcze chwilę, jak światła ich samochodu połykała ciemność.

– Czyli co, mamy to? – Miron zatarł ręce.

– Pewnie nigdy nie znajdziemy zwłok – powiedziałam markotnie.

– Co też nigdy nie było częścią umowy. Nie szukaj dziury w całym, kochanie, mamy urlop. Chodźmy do domku. Wypróbujemy materac, wykorzystamy to, że za ścianą nie mamy nastolatki, a Roman nie zacznie nawalać w drzwi przed świtem.

– Kiedy tak to ujmujesz... – Uśmiechnęłam się i pozwoliłam się zaprowadzić do domku.

*

Rano zniknął kolejny facet, ale tym razem nie było w tym nic tajemniczego i nadprzyrodzonego. Może poza tym, że to nie żona go ubiła. Nawet nie potrafiłabym jej za to specjalnie winić...

Zbieraliśmy się do pójścia na śniadanie, kiedy usłyszałam kląskanie crocsów na werandzie, a gdy wyjrzałam, zobaczyłam tuptającą w nich Julkę, która w jaskrawozielonym kostiumie kąpielowym wyglądała jak korniszon na opalonych nóżkach.

– Nie ma tatusia – powiedziała, ale nie wyglądała na smutną czy wytrąconą tym faktem z równowagi.

– Pojechał gdzieś? – zapytałam odruchowo, bo patrzyła na mnie tymi wielkimi brązowymi oczyskami, wyraźnie chcąc mi coś opowiedzieć.

– W diabły – powiedziała.

Nagle zza krzaków wyłoniły się dwie kolejne wydry – Justynka i Martynka, jeśli mnie pamięć nie myliła. Obie w kostiumach kąpielowych, odpowiednio – neonowopomarańczowym i wściekle różowym – i przytaknęły słowom Julki.

– Do diabła i może nie wracać – dodała Martynka z powagą siedmiolatki.

Miron nie krył rozbawienia, ale nie ujawnił dziewczynkom, kim jest. Jeszcze by uznały, że ukrywamy w szafie ich tatusia.

– Ale my zostajemy – dodała Justynka.

– Nie zepsuje nam pierwszego urlopu od urodzin Julki. A gdy wrócimy, lepiej, by go nie było już w domu. – Martynka wyraźnie miała gumowe ucho i słyszała sporo z kłótni rodziców.

– Chcecie popływać? – zapytała Julka.

– Może później, po śniadaniu? – zaproponował Miron.

– Nie będziemy czekać – odpowiedziała poważnym tonem Justynka. – Można od czekania zakwitnąć – dodała.

Najwyraźniej kiedy my uganialiśmy się za jeziornicą, dramat w domku numer cztery dotarł do ostatniego aktu i jeśli wierzyć pani

Irence – Kazik naciągnął ostatnią nitkę cierpliwości Halinki jak procę i sam nie wie, co go trafiło. Seniorka wyjaśniła, że to on zaproponował ten urlop w romantycznej miejscówce „dla poratowania małżeństwa”. Sęk w tym, że był owego małżeństwa i urlopu wyłącznie biernym uczestnikiem. A wczoraj po kolacji wyskoczył do Halinki ze „świetnym planem”. On sobie pojedzie do miasta popracować, a ona tu sobie odpocznie, samiuteńka z czwórka pociech. Dziwię się, że dał radę odjechać. Gdyby to mi próbował zwalić na głowę potomstwo po obietnicy wspólnych wakacji, chyba bym skorzystała z pobliskiego jeziora i tego, że po trzech zaginionych mężach Kazik też by pewnie poszedł na konto jeziornicy. Halinka miała lepszy charakter niż ja, bo tylko wywaliła jego rzeczy na trawnik przed domkiem i kazała mu spierdalać w podskokach. I była, wedle pani Irenki, zdeterminowana, by dać córeczkom miłe wspomnienia, które przysypią jakoś tę katastrofę na dwóch nogach, którą nazywały tatą.

*

Jedno jest pewne – dziewczynki zapamiętają wakacje w Przystani Mokozy na długo. Możliwe, że za trzydzieści lat będą opowiadały o tym poranku swoim terapeutom. A może nie? Zmiennokształtne dzieci są zdumiewająco odporne na makabrę, a małe wydry nie wyglądały na straumatyzowane... W przeciwieństwie do ich matki.

Nie dziwiłam się Halince specjalnie. Sporo przeszła, a tu jeszcze to! Bo jak tu reagować spokojem na zwłoki, które molestują twoje dziecko swoim napuchłym i nadgryzionym istnieniem?

Iwonka nurkowała, kiedy coś klepnęło ją w pupę. Wierzgnęła gwałtownie, gdy zorientowała się, że to nie była żadna z jej sióstr,

i wynurzyła się na powierzchnię, prychając wodą. A zaraz za nią wyskoczyła spod wody noga. Błada, nadgryziona i bez wątpienia ludzka. Iwonka pchnęła ją z obrzydzeniem w stronę Martynki, a ta pisnęła i cisnęła nią w stronę młodszej siostry i mogłyby się nią pewnie bawić godzinę, gdyby Halinka nie dojrzała z brzegu nowej zabawki córek.

Jej głośny krzyk rozbił nastrój zabawy.

– Dziewczynki, na brzeg! Natychmiast! – zawołała i już wyciągała je z wody w trybie matki kwoki, warcząc pod nosem: – No kurczaczki! Nie zostawia się zwłok na widoku! Tu są dzieci!

Nie zauważyła, że Justynka doholowała kończynę na brzeg, oszczędzając mi wchodzenia do wody. Wyszczrzyła ząbki jak wilcze dzieci, kiedy poprosiłam, ale pod surowym spojrzeniem matki oddała mi łup.

Obejrzałam fragment ciała z bliska. Bez wątpienia ludzka, prawie na pewno męska, wyrwana ze stawu biodrowego siłą – ciągle widać było strzępy rozerwanej skóry i ścięgien. Ślady rozkładu, gdy uwzględniłam wodę i temperaturę, sugerowały, że to mógł być kawałek pierwszego zaginionego. I jeszcze jedno... Ślady zębów na pewno nie należały do jeziornicy czy regularnych ryb, które mogłyby mieszkać w Białym Stawie.

A więc to jeszcze nie koniec. Coś się czaiło w tych wodach.

*

Po prawie dwóch godzinach przedzierania się przez tataraki wzdłuż linii brzegowej odkryłam kilka faktów. Po pierwsze, w krzakach, jakiś kilometr, półtora od ośrodka, znalazłam porzucone męskie ubrania. A kawałek dalej w podeschniętym błocie dziwne odciski

upazurzonych, jakby gadzich łap i ślady wleczenia czegoś bardzo ciężkiego, co zostawiło szerokie bruzdy w błocie i zaschnięte ślady krwi na liściach tataraku. Wyglądało na to, że znalazłam miejsce zbrodni.

Ale to nie wszystko. Gdy dotarliśmy z Mironem do przesmyku, który miał łączyć Czarny Staw i Biały Staw, okazało się, że most komunikujący obie strony głębokiej zwykle strugi teraz wisiał nad wyschniętym korytem. Co właściwie wyjaśniało wiele. Teresa mówiła, że Biały Staw nie był miejscem, w którym stworzenia z Enklawy chciałyby pomieszkiwać, bo był za płytki. Gorzej, jeśli fala upałów i zmiany klimatyczne odcięły jakiegoś marudera i ten, choćby chciał, nie zdołał wrócić do matecznika.

Poza tym kurczak jest całkiem uniwersalną przynętą na potwory wszelakie, w tym demony słowiańskie. Ałbast musiał być wygłodniały mimo podgryzania ofiar jeziornicy, bo rzucił się na kurczaka jak na ostatni posiłek. Wyglądał jak zwaliste i obłe skrzyżowanie suma i volkswagena. Wyglądał także jak coś, co preferuje głębiny, gdzie słońce nie dociera – a jeśli sądzić po otarciach i pęcherzach na sonej skórze, w Białym Stawie było mu za ciasno.

Złapanie go w pułapkę nie było proste, ale zapas kurczaków z zamrażarki Tereski bardzo pomógł. Im dalej od wody, tym łatwiej było sobie z nim poradzić – w wodzie był śmiertelnie szybki i niebezpieczny, na lądzie głównie ciężki jak wół, więc ułożyliśmy z drobiu szlak, niczym z okruszków chleba, wyciągający ałbasta spory kawałek od brzegu, gdzie wpadł w zastawione wcześniej wnyki. We dwójkę z Mironem z trudem zdołaliśmy go związać. W tym cholernym upale i po siłowaniu się z ogromnym rybiogadzim

demonem rozmiarów małego auta byłam upocona, brudna i wkurzona. Na szczęście dla nas on też się zmęczył walką po jakimś czasie. Związaliśmy go jak bożonarodzeniową szynkę kilometrem linki holowniczej i zadzwoniłam do Henryka Krammera, że mamy jeszcze jednego pasażera do odwiezienia do Enklawy. Tylko większego. Szeryf Wernigrode podjechał po godzinie pożyczonym od kogoś żukiem. We trójkę z trudem zdołaliśmy wciągnąć ałbasta na pakę. Jeszcze jedna rundka w trzewia Enklawy rozwiązała ostatecznie problemy Przystani Mocoszy i Tereski, za którą Henryk wodził oczami jak wygłodniały szczeniak za krwistym stekiem. I nie było to uczucie bez wzajemności. Moja magia miała ochotę popchnąć ich na siebie ze słowami „a teraz się pocałujcie”, ale powściągnęłam zapędy. Dojdą do tego w swoim czasie.

*

Uwinęliśmy się z robotą do końca soboty. Leon i Salcia spodziewali się nas w Thornie dopiero w poniedziałek. A to dawało nam jeden dzień wolny.

– Trzeba się upewnić, że nic więcej na letników nie czyha – szeptał mi Miron do ucha, podskubując szyję.

Nie wiem, czy coś czyhało na letników. Na mnie na pewno. I miałam kilka pomysłów, jak okiełznać tę bestię. Lub jeszcze lepiej: dać się jej okiełznać na chwilę czy dwie...

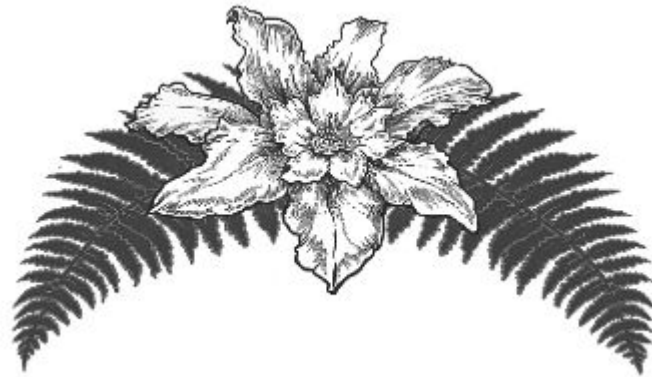
W końcu nawet Namiestniczce należy się wolna niedziela raz na jakiś czas. Zresztą, to nawet nie była moja jurysdykcja...



MARTA KISIEL

Kukuk

Marta Kisiel – pisarka i tłumaczka, wrocławianka z pochodzenia, z wykształcenia polonistka. Autorka bestsellerowych komedii kryminalnych (*Dywan z wkładką, Efekt pandy, Zawsze coś, Nagle trup*), powieści humorystycznych (*Dożywocie, Siła niższa, Oczy uroczone*) oraz tzw. cyklu wrocławskiego, łączącego wątki przygodowo-historyczne z fantastyką grozy (*Toń, Nomen omen, Płacz*). Wielokrotnie wyróżniana i nagradzana za swoje książki z cyklu *Małe Licho* skierowane do młodszych czytelników.



Uszanowanie pani doktorowej.

Uprzejmie kiwała głową w odpowiedzi. Na lewo, na prawo, na wszystkie strony świata. Który to już raz darowała sobie tłumaczenia, że wedle wszelkich językowych prawideł doktorowa to inaczej żona doktora, tymczasem jej mąż dorobił się tytułu profesorskiego. Nie liczyła, bo i po co? Choć ten przekaz jeszcze by miał szansę dotrzeć do celu – gdyby zamiast podkreślać własne tytuły, zasłoniła się godnością męzowską i męzowskimi zasługami. Mąż mój, proszę panów, jest z zawodu profesorem. Mąż mój, proszę pań, jest człowiekiem zasłużonym dla ojczyzny i nauki. Cenionym. Wybitnym.

Mój mąż, proszę państwa.

Mój mąż.

Przyjechali tu z turnusem rodzinnym, choć tylko we dwoje. Cały ośrodek wypoczynkowy plotkował, że wczasują tu co roku ponad normę czasową, w warunkach bez mała luksusowych, a to za sprawą osobiście i głęboko wdzięcznego kierownika. Bo ten łysiejący jegomość, ten pocziwina jakby wiecznie zafrasowany, to był Tupatajko Leopold, wybitny specjalista od spraw sercowych, zaś

kobieta u jego boku to nie córka, proszę państwa, nie Tupatajkówna na nieco spóźnionym wydaniu, choć mogłoby się tak wydawać. Nie córka jednak – a żona! Tupatajkowa Jadwiga, państwo sobie wyobrażą. Żona jak malowanie, żonka, żoneczka, istne cacuszko. Taka zgrabna, strzelista, aż miło oko zawiesić. Niby też doktorka, szeptał ośrodek, i też sercowa, jak mąż. Ale gdzieżby ona bez niego, proszę państwa...

No coś podobnego?

A tak, tak.

No wie pani...

Co pan, wczoraj się urodził? Jak świat światem, piękne, młode ptaszyny wiją sobie najlepsze gniazdka pod skrzydłami takich starych, ślepych gawronów.

Oj tak, tak... Kukułeczki takie!

Kukułeczki, otóż właśnie! Nim się człowiek obejrzy, ta już się mości wygodnie.

A dajcie wy spokój...

A co, a nie?

A pan by nie przygarnął? Takiej ptaszyny? Proszę pana!

Proszę pani, no co też pani!

Tak, proszę pana, tak... Ja sroce spod ogona nie wypadłam, proszę pana. Ja swoje wiem.

Niosły się szepty i żarty, cmokania i zatroskane komentarze, niosły się po całym ośrodku razem z wiatrem od jeziora. Bo kto to widział, żeby taka młoda z takim starym. Taki stary z taką młodą. Kto to widział!

Cóż. Jaga zawsze miała dobre serce, nie żałowała więc ludziom ciekawych widoków. Co rano zjawiała się w stołówce razem

z mężem, zbierając uszanowania – oto, proszę państwa, wybitny specjalista od spraw sercowych, u jego boku zaś żona, żonka, żoneczka, szczupła i prosta niczym trzcina, z włosami upiętymi wysoko, jak lubiła najbardziej, w kolorowych fatałaszkach. I tylko przelotny błysk w jej niespotykane żółtych oczach zdradzał pokłady kpiny i inteligencji, lecz komu by się chciało przyglądać, kiedy nogi takie zgrabne, kibić taka wąska, aż by człowiek chwycił, ach, ależ by chwycił!

Stolik zajmowali zwykle w ustronniejszym kącie, zaraz pod oknem. Śniadanie zjadali wspólnie, bez pośpiechu – wszak byli na wczasach, wolni od obowiązków dnia codziennego, którym by się trzeba na gwałt podporządkować, żeby zdążyć, żeby dopilnować, dopełnić, dopiąć, stanąć na wysokości zadania. Na koniec wypijali kawę zbożową z wyszczerbionych kubków, po czym wybitnego specjalistę zaczynało nosić jak młokosa.

„Jadwiniu ty moja”, zawsze tak do niej mówił. Jak gdyby wciąż nie mógł uwierzyć, jak to się stało, że ona tak z nim, więc wciąż przyklepywał, tak na wszelki wypadek, sprawdzał, upewniał się, że to nie sen czy inne złudzenie.

– Jadwiniu ty moja, to ja się może... może udam? Co? Jak ty uważasz?

Z uśmiechem rozedrganym w kącikach ust Jaga pokręciła głową. No bo cóż tu ona miała do uważania? Małżeństwem byli od lat już piętnastu, zdążyła się przecież połapać, że myśleć ten jej Tupatajko potrzebował tak jak oddychać, a najlepiej myślało mu się w ruchu. Niespokojna dusza na niespokojnych nogach. Powsinoga zatracony.

– Tylko się nie zgub w lesie – poprosiła półżartem.

– Oj, byłby wstyd. – Tupatajko pokręcił szpakowatą głową. – Wstyd na cały ośrodek!

Lecz ona machnęła ręką.

– A tam wstyd. Tylko jak ja tam ciebie potem znajdę? – Jaga skinęła na gęstwinę okolicznych borów, która zieleniła się ciemno za oknami stołówki. – Sama się zgubię i dopiero będzie.

Jeszcze całus w policzek i mogli się rozejść do swych spraw prywatnych, pełni ludzkiego uszanowania i zbożowej kawy. On miał tu już swoje ścieżki, które wydeptywał z oddaniem, ona zaś ulubione miejsce na plaży. Wypatrzyła je sobie zaraz pierwszego dnia. Leżało na uboczu, z dala od wody, za to blisko linii drzew, gdzie piasek jeżył się dziesiątkami patyków, sosnowych igieł i szyszek. Jaga rozsiadała się tam na leżaku, z nogami w słońcu, głową w cieniu i papierosem w dłoni. Spoglądając na migotliwą taflę rozległego jeziora, cieszyła się tym skrawkiem samotności.

Lecz nie tym razem. Już z daleka spostrzegła, że jakaś kobieta w pasiastej sukience mocowała się właśnie z równie pasiastym leżakiem, usiłując rozłożyć go w cieniu drzew. Wypchana słomiana torba co chwilę zjeżdżała jej z ramienia na łokieć i objała charakterystyczną krągłość brzucha.

No i masz, westchnęła w duchu Jaga, przystając na piasku. Przepędzisz taką choćby najuprzejmiej, a potem i tak ci się myszy zalęgna... Nic to, trzeba się będzie socjalizować. A zresztą... Jaga zerknęła w niebo. Zanosilo się na upalny dzień, więc nic dziwnego, że ciężarna postanowiła przysiąść właśnie tu, w cieniu drzew, gdzie na dodatek nikt się nie ścigał z wiatrem, nikt nie chlapał, nie sypał piaskiem na innych ani nie darł się, bo ci inni sypnęli na niego. Nieliczni poszukiwacze szyszek na zamkowych rycerzy szybko

zawracali i zmykali z łupem gdzieś, gdzie plaża nie kłuła tak okrutnie w boscie stopy. Życie toczyło się tam, w pełnym słońcu, a tutaj co najwyżej trwało.

– Może ja pani pomogę – zaoferowała głośno Jaga.

Wzięła leżak z bezradnych rąk nieznajomej i rozłożyła z wprawą. Na nic się zdały protesty zawiasów, bądź co bądź ćwiczyła tę umiejętność od tygodnia. I tylko raz wylądowała tyłkiem i godnością osobistą na piasku, gdy ustrojstwo postanowiło się na powrót złożyć, razem z nią w pakiecie.

– Bardzo pani dziękuję. – Nieznajoma z wyraźną ulgą opadła na leżak. Pasiasty materiał napiął się pod jej ciężarem, ale mechanizm na szczęście nie zarządził odwrotu. – Bo tu się coś zacięło, a ja... ja zupełnie nie mam do tego głowy.

– Zrozumiałe – przyznała Jaga zdawkowo i schyliła się po własny leżak.

– Czy ja zajęłam pani miejsce? – zapytała kobieta. Przytknęła dłoń do piersi i z osobliwym przestraczem w oczach wyczekiwała odpowiedzi. Przypominała teraz dziecko, które nagle zdało sobie sprawę, że nabroiło, a co gorsza, zostało na tym przyłapano i jak nic zaraz trafi do kąta.

– Co najwyżej kawałek. – Jaga uspokoiła ją z uśmiechem. – Pani co prawda jest nieco krągłejsza, a ja dłuższa, niż przewidują normy budowlane, ale myślę, że jakoś się tu pomieścimy.

Po krótkim namyśle rozsiadła się kilka kroków dalej, po zawietrznej. Zrzuciła sandały, wyciągnęła nogi przed siebie, palce stóp zanurzyła w miękkim piasku, aż poczuła przyjemny chłód tych jego warstw, których nie rozgrzało słońce. Wreszcie sięgnęła po papierosy.

– Nie przeszkadzam? – upewniła się, unosząc wymiętą nieco paczkę, bo gdy podniosła głowę znad torby, zauważyła, że młoda kobieta zerka na nią przez ramię.

– A nie, nie, skąd... Proszę się nie krępować.

„Och, nie kuś, dziecko, nie kuś”, przemknęło Jadze przez myśl. Już i tak potrafiła wypalić dwie paczki dziennie. Zapaliła, zaciągnęła się zachłannie.

– Nie widziałam tu pani wcześniej – rzuciła niby w przestrzeń, a jednak prosto do celu. Dobrze wyczuła. Młoda kobieta rozpromieniła się w okamgnieniu, złakniona niezobowiązującej rozmowy o wszystkim i niczym zarazem.

– Bo mnie tak zmogło po tej podróży – zaczęła tłumaczyć. – A sama trochę się bałam tak na plażę. Męża zatrzymali na zakładzie, wiadomo, jak to jest. Nic nie poradzisz, jak robota pilna... Bo mąż jest brygadzystą. Tak się cieszyłam, że nam ten turnus z nieba spadł, a tu o. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Ja to nawet wolałam zostać, bo jakoś tak... dziwnie mi bez niego. Ale się uparł, żebym chociaż ja wypoczęła, póki jeszcze mogę.

Trajkotała, ale jakoś tak ujmująco, że Jagi to wcale nie męczyło. Ileż ona mogła mieć lat, ta złotowłosa, piwnooka żona brygadzisty? Dwadzieścia? Nie, no gdzież. To ta sukienka, choć upstrzona falbanami niczym fartuszek dzielnej przedszkolaczki, niepotrzebnie dodawała jej lat i powagi.

– I słusznie się uparł, jeszcze się pani nabiega – zauważyła Jaga. – Na ostatnich nogach, co?

– Siódmy miesiąc leci. – Pulchna dłoń, kierowana tym samym instynktem, który niestrudzenie wprawia w ruch kołyskę pośród nocy, ociera łyzy i krew, mierzwi włosy prostym, tkliwym gestem,

powędrowała teraz do wypukłości brzucha i zaczęła ją gładzić. – Ale ja to nawet tak lubię, wie pani? Nabiegać się. Żeby się coś działo. Bo co to za życie, jak się nic nie dzieje? Aż szkoda.

– Oj, to nie wiem, czy tutejsze życie wypoczynkowe aby pani nie rozczaruje, pani...?

– Walasiukowa Hanna – przedstawiła się i szybko dorzuciła: – Ale proszę tak do mnie nie mówić. Bo nikt tak do mnie nie mówi. Wystarczy Hanka.

– Jaga.

– Jak Baba...? – Dłoń wystrzeliła do ust niczym błyskawica, lecz i tak zbyt wolno, bo słowo już się rzekło, już poleciało kamieniem. Piwne oczy Hanki zaszyły łzami, kiedy drżącym głosem zaczęła przeproszać: – Och, naprawdę nie chciałam! Pani się nie gniewa? Bo ja to zawsze coś chlapnę...

– Zatem łączy nas coś więcej niż tylko upodobanie do cienia – podsumowała Jaga, starając się nie wybuchnąć gromkim śmiechem, bo Hanka spiekła imponującego raka. – Tu się za wiele nie dzieje, obawiam się. Ot, bory, lasy... i ta oto plaża nad tym oto jeziorem. Znajdzie się też kilka jezior pomniejszych w okolicy. Gdyby szukała pani odmiany – dodała z przekąsem. – W tym, proszę sobie wyobrazić, nawet jedno zaginione. Zaginione jezioro Kukuk.

– A to coś znaczy?

– Na moje ucho to pewnie z niemieckiego *Kuckuck*, czyli kukułka. Ot, taki podrzutek wśród tych prawdziwych, istniejących jezior.

– Jak to: zaginione? To jezioro może zaginać?

– Pewnie wyschło. Albo zarosło? Kto wie. – Jaga wzruszyła ramionami. – Choć nie będę szczególnie zdziwiona, jeżeli i wyschło,

i zarosło, a ten mój powsinoga i tak do niego wpadnie.

– Przepraszam, kto taki?...

– Powsinoga, zwany też moim mężem. Jak widać na załączonym obrazku – Jaga uniosła dłoń z papierosem – ja zażywam świeżego powietrza. Mąż tymczasem krąży po okolicznych borach i płoszy miejscowe pogłowie wiewiórek, zaskrońców czy tam innych kleszczy. Oraz, jak liczę nie do końca po cichu, zbieraczy chrustu na ognisko.

– Będzie ognisko? – Aż jej piwne oczy rozbłysły. Och, jak niewiele było trzeba, żeby spod tego dostojęstwa, tej ociążałości z nadzieją znów wychyliło się dziecko, szczere, prędkie, nienasycone. A to wstydu trochę, a to strachu, a to znów radości.

– Żeby tylko... – Jaga wydała z siebie przeciągłe westchnienie. – Jaśnie tu panujący referent kulturalno-oświatowy zarządził przedwczoraj wielkie świętowanie sobótki. Z przytupem! Będzie zatem ognisko, puszczanie wianków, wróżby, tańce i inne swawole aż po świt – wyliczyła na palcach. – I to dosłownie po świt, bo podobno w planach jest również poszukiwanie kwiatu paproci. Wszystko zgodnie z pradawnymi słowiańskimi obrzędami – podsumowała z przekąsem, przewracając oczami. – Albo współczesnym wymysłem znudzonego kaowca.

– Czyli jednak będzie się działo! – ucieszyła się dziewczyna na pasiastym leżaku.

– No będzie, będzie, to fakt... Aż szkoda, że z tego dzikiego pędu do pielęgnowania tradycji kaowiec nie zamknął kąpieliska. – Jaga zachichotała radośnie na tę myśl. – Wtedy by się działo!

– A dlaczego by miał zamykać? – zapytała zdumiona Hanka, bo nijak nie widziała związku.

– Bo jak wieść gminna niesie, przed kupalnocką nie wolno za dnia zażywać kąpieli w rzekach, jeziorach czy stawach. Żeby człowieka złe nie porwało. Za to w kupalnockę kąpać się wręcz należy, bo to zapewnia zdrowie, lekki poród i inne cuda-wianki.

– Oj, bo to przecież wszystko bajki – zaśmiała się Hanka. – Te wodniki, syrenki i cuda. Kto by w to wierzył?

– Może i bajki. – Jaga pokiwała głową. Pomału obracała papieros w palcach, a razem z nim tę myśl, która naraz zaświtała jej w głowie. – A może echo...

– Jak w studni?

Jadze aż dech zaparło, jak gdyby ktoś ją ścisnął w imadle. Sama nie wiedziała, co właściwie zaskoczyło ją bardziej – te słowa, tak proste i trafne, czy reakcja własnego ciała? Zanim się spostrzegła, wyciągnęła stopy z piasku, łydki podciągnęła pod siebie, ramiona przycisnęła bliżej boków. Jak gdyby chciała się skulić, ukryć w cieniu sosnowego boru przed czymś nieuchwytnym, niepojętym, co ledwie majaczyło gdzieś w jej podświadomości. Tyle że ten cień nie przynosił już ulgi, której każdego dnia szukała. Wprost przeciwnie. Ledwie zapanowała nad przemożnym odruchem, żeby zerwać się, wybiec prosto w blask czerwcowego słońca, umknąć przed tym chłodem.

– Jak w studni – przytaknęła wreszcie, wciąż zamyślona. – Nieuchwytnie odbicie tego, co ukryte gdzieś dawniej. Głębiej. Tak dawno i głęboko, że zdążyliśmy zbudować na tym całą cywilizację, przysypać stare lęki zupełnie nowymi cudami. Kiedyś liczyło się diabły na główce szpilki, dziś liczy się krwinki pod mikroskopem. Tyle że... – Szybko prześlizgnęła wzrokiem po dłoni dzierżącej papieros i zatopiła go w błękitcie, który rozpościerał się ponad ich

głowami. – Tyle że przyszła wojna i w okamgnieniu ten świat tak... tak zdziczał, tak się odczłowieczył... że kto to wie? Kto to wie. No a sobótka to noc szczególna – dodała już z ożywieniem, jak gdyby w końcu przebudziła się ze śnienia. – Najkrótsza w roku. W takie noce jak ta różne rzeczy się dzieją, a jeszcze różniejsze wychodzą na powierzchnię.

– Z lasu? – zapytała Hanka z zaciekawieniem.

– Z lasu. Z ludzi. – Jaga Tupatajkowa przechyliła dłoń i zapatrzyła się w krąg czerwonego żaru na czubku papierosa. – Zewsząd.

*

Do brydża i tak brakowało im czwartego do pary, a nie mieli za bardzo ochoty szukać więcej towarzystwa, dlatego Jaga niezwłocznie nauczyła Hankę zasad skata. Od tej pory spędzali wieczory we trójkę, grając w karty pod gołym niebem. W domku zajmowanym przez Tupatajków nie dało się wytrzymać. Po długim upalnym dniu w środku panowała duchota nie do zniesienia, którą trzeba było starannie wywietrzyć razem z duszącym, jakby zapalczanym zapachem. Inaczej nie szło tam spać, żeby nie dorobić się porannego bólu głowy i mdłości. Nie narzekali jednak, gdyż domki zwykle przydzielano rodzinom z dziećmi, a oni cóż, tego warunku nie spełniali. Cieszyli się więc luksusem przestrzeni i prywatności, pomimo jej niedostatków.

Turystyczny stolik Tupatajków, nieco chwiejnej konstrukcji, nie był zresztą jedynym, do którego dołączyła Hanka. Zaprosili ją też do stolika pod oknem stołówki, gdzie w trakcie posiłków spływały na nich zewsząd wyrazy uszanowania, co bardzo onieśmiało

dziewczynę. To jest z początku, bo wystarczył jeden niefortunny incydent z udziałem zupy mlecznej i profesora, opatrzony czułym, acz kpiącym komentarzem jego małżonki, żeby Hanka przestała w nich widzieć jaśnie państwo profesorostwo.

Sympatia ta była zresztą obopólna. Szczera, trochę nieuważna dziewczyna przypadła do serca i Jadze, i Tupatajce, który szybko zaprosił Hankę do wspólnych leśnych przechadzek. Szczególny nacisk kładł na walory zdrowotne aktywności fizycznej na świeżym powietrzu tak dla młodej matki, jak i nienarodzonego dziecięcia. Widząc jej wahanie, Jaga zaraz zadeklarowała, że chętnie do nich dołączy. Na plaży nie szło dłużej wysiedzieć w spokoju, nawet w cieniu. Nie tylko ze względu na upał, choć ten stawał się dokuczliwy ponad miarę, ale nade wszystko gwar i tłok, jakie zapanowały nad jeziorem, odkąd tydzień później miejscowa dzieciarnia rozpoczęła wakacje. Aż dziw, że rybom wody nie zabrakło.

Na kartach i spacerach zszedł im tydzień. Do sobótkowego ogniska zostało już tylko kilka godzin, należało zatem wzmóc poszukiwania odpowiednich ilości opału, które zaspokoilyby ambicje kaowca. W spokojnych dotąd lasach okalających ośrodek wypoczynkowy zaroilo się od poszukiwaczy chrustu. Spacerowicze ledwie własne myśli słyszeli, gdy tak snuli się po miękkich ścieżkach z sosnowego igliwia, a wokół, zamiast dźwięcznych ptasich treli, niosły się teraz ludzkie głosy z przeróżnym zaśpiewem – a to lwowskim, a to wileńskim, warszawskim czy śląskim. Drepczący dostojnie przodem Tupatajko przysłuchiwał im się mimowolnie, aż nasza go myśl, po niej zaś kolejna, którą natychmiast przekuł w pytanie:

– No masz, zupełnie mi umknęło. – Gdyż istotnie, wiedział, ile kaftaników znalazło się w wyprawce albo ile dzieci wybijano w kołysce przekazywanej w rodzinie z pokolenia na pokolenie od czasów kaisera, ale ten szczegół istotnie przeoczył. – Pani, pani Hanko, to skąd przyjechała?

– Ja? – Hanka przystanęła i na moment zapatrzyła się w przestrzeń, jak gdyby musiała przestawić się z chodzenia na myślenie, żeby dotrzeć do tej informacji. Nic dziwnego, nawet tu, pośród drzew, było dziś duszno i parno. Nawet Jadze trybiki w głowie z trudem się obracały, a przecież jej serce nie miało aż tak pod górkę jak serce Hanki, bijące teraz za dwoje. – Ja ze Świerklańca.

– Jadwiniu, czy ja...? – Tupatajko zawiesił głos, wyczekując z nadzieją, aż żona dopowie za niego ciąg dalszy.

– Nie, Poldku, tam cię jeszcze nie było.

– Cóż za niedopatrzenie!

– Mój mąż jest z zawodu lekarzem, z natury zaś nieuleczalnym powsinogą – wyjaśniła Jaga zdezorientowanej dziewczynie.

– Z urodzenia wręcz! – podkreślił z dumą Tupatajko. – Bo widzi pani, pani Hanko, otóż na świat przyszedłem we Lwowie, dorastałem w Warszawie, studiowałem w Wilnie, praktykowałem zaś w Chełmie. Przed wojną.

– Po czym wywiało go razem z frontem aż do Poznania, stamtąd zaś do Wrocławia, gdzie się poznaliśmy – dokończyła Jaga, która nie pierwszy raz słyszała tę geograficzną litanie. I zapewne też nie ostatni, nie miała w tej kwestii większych złudzeń. – Latem czterdziestego piątego, pośród bezkresnego morza gruzowisk.

– Jak romantycznie... – westchnęła Hanka.

– Czy ja wiem? – mruknęła z przekąsem, wspominając tamtą chwilę.

– A nie, Jadwiniu? A nie? Wszak patrzyliśmy sobie prosto w oczy...

– A trzeba było patrzeć nie w oczy, tylko na to, co robisz. Poldek zszywał mi wtedy rozbity łuk brwiowy – wyjaśniła dziewczynie. I na dowód przytknęła palec do miejsca, gdzie spomiędzy gęstej brwi wyzierała zawadiacka blizna. – No, to teraz przynajmniej wiem, czemu tak krzywo mu wyszło. Romantycznie, że proszę siadać... – Pokręciła głową, po czym mówiła dalej: – Z tej romantyczności we wrześnie wzięliśmy ślub, w październiku zaś rozpoczęłam studia. I co? Pstro. Rok później już się pakowałam, bo tego znowu gdzieś niosło.

Tupatajko zmarszczył czoło pod jasną panamą.

– A dokąd mnie wtedy niosło, Jadwiniu ty moja?

– No jak to dokąd, Poldku? Do Łodzi przecież.

– Sądziłem, że do Łodzi to w pięćdziesiątym.

– Nie, w pięćdziesiątym przenosiliśmy się do Gdańska.

– A tak, tak, do Gdańska... Czy do Gdyni?

– Gdańska, Gdańska. – Jaga twardo obstawała przy swoim.

– A w Polanicy? Kiedy ja byłem w Polanicy?

Westchnęła wymownie.

– Bóg jeden raczy pamiętać...

– No toteż właśnie pytam, Jadwiniu! – odparował Tupatajko, po czym puścił oko do Hanki, wielce zadowolony z udanego fortelu.

Tak nieoczekiwanie ubóstwiona Jaga mogła jedynie poszperać głębiej w zakamarkach pamięci.

– Między pięćdziesiątym trzecim a pięćdziesiątym szóstym.

– Ja to bym chyba tak nie mogła żyć – przyznała Hanka. Słuchała z zachwytem tych opowieści i przekomarzań, lecz na samą myśl, że ona, Hanka, miałaby taką nieustanną małżeńską włóczęgę uprawiać, aż jej się słabo robiło na duszy i ciele. Bo niby miejsce żony jest przy mężu, ale... no jak tu zapuścić korzenie?

– Muszę przyznać, że jest w tym coś... wyzwalającego. Tak odciąć ten kamień u szyi i lecieć przez świat i lecieć, i tylko przysiąc to tu, to tam. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Cóż. Widać wolę skrzydła od korzeni.

– A pani skąd jest, pani Jago?

– Ja? Z miejsca, którego już nie ma – odparła enigmatycznie i zostawiwszy ich na iglastej ścieżce, ruszyła niespiesznie przodem, wychodząc na wprost swoim myśłom. A może uciekając przed nimi? Bo choć jeden za drugim mijały czerwcowe dni, słoneczne, bezchmurne, pachnące, Jagi wciąż nie opuszczało wrażenie, że spogląda w głąb studni.

Że nadal siedzi w tamtym cieniu, z bosymi stopami zagrzebanymi w chłodzie piasku, i liczy diabły na szpilkowym łebku.

*

Na godzinę przed zmierzchem zapłonęły sobótkowe ogniska. Wczasowicze i miejscowi, kobiety i mężczyźni, młodzież i dzieciaki, chłopci, robotnicy i inteligenci zbierali się tłumnie wokół ognia. Woda niosła ich podniesione głosy daleko, dalej, niż sięgał wzrok, gdy tak nawiązywali towarzyskie kontakty i przekraczali klasowe podziały w imię pięknej, słowiańskiej, prapolskiej tradycji. Spełniony sen ambitnego kaowca.

Tupatajkowie tymczasem uprawiali niespieszny relaks przed domkiem, skąd obserwowali Hanke, która wracała właśnie z głównego budynku, gdzie zawezwano ją do telefonu. Dzwonił małżonek brygadzista, najwyraźniej stęskniony wielce, bo dziewczyny nie było chyba z godzinę, a może i lepiej. Przyglądali się teraz we dwoje, jak szła wytyczoną ścieżką, jak zwalniała kroku, zerkając z zaciekawieniem w stronę zbiorowiska na plaży. Jedną dłoń trzymała pod brzuchem, jak gdyby tak było jej łatwiej go dźwigać.

– Jakie to młode... – westchnął Leopold Tupatajko, profesor, człowiek zasłużony i tak dalej. – Toż ja bym mógł być jej ojcem, Jadwiniu. Rozumiesz? Mógłbym być jej ojcem i czekać właśnie pierwszego wnuczęcia, żeby je bujać na kolanie, bawić kłaskaniem i strojeniem cudacznych min. A tak...

Jaga bez słowa sięgnęła do paczki po papierosa. Nic nie powiedziała, bo też co tu można było powiedzieć? Liczby wszak nie kłamały, dwa plus dwa zawsze dawało cztery. W przypadku Poldka ostateczny wynik też nie brał się z sufitu.

– Mówią, że ze mnie dziad – podjął po chwili. – Wiesz, Jadwiniu?

– Kto mówi? – zapytała jak gdyby nigdy nic.

– Ludzie.

Ano tak. Ludzie. Rzeczywiście, coś jej się obilo o uszy. Żeby to raz... Ech. Ludzie. Szkoda gadać. Gdy już skończyły im się gładkie wyrazy i uszanowanie, zniżali głosy, pochylali głowy, aż słodki jad kapał im z ust wykrzywionych troską o los bliźniego.

Kto to widział.

Żeby taka młoda z takim starym.

Żeby chociaż dzieci mieli, to jeszcze.

A tak?

Aż żal patrzeć.

No i tak to się potem kończy, proszę pana.

Taka młoda.

Taka młoda...

Aż żal.

Jaga zaciągnęła się głęboko, zapatrzona w nieodległy tłum. Młoda? Boże drogi, toż miała już trzydzieści pięć lat. Poldek dobiegał sześćdziesiątki, a jednak... Z nich dwojga to jemu bliżej było do stanu umysłu zwanego młodością. Wiecznie spragniony ruchu i zmian, wiecznie ciekawy świata w każdym jego wymiarze, od rozległych krajobrazów po naczynia włosowate. Niczym dziecko, któremu nigdy dość, które zachłannie poszukuje bodźców i doświadczeń, pchane naturą... cóż, dziecka. Czasem mu tego zazdrościła. Czasem miała wrażenie, że sama porosła już mchem.

– I ty ich słuchasz? – zapytała po chwili z niedowierzaniem, którego nie próbowała ukrywać, ba!, które podkreśliła jeszcze, wypuszczając przy tym niespiesznie papierosowy dym.

– Nie słucham. Ale słyszę. Nic na to nie poradzę, że słyszę. – Turystyczne krzesło zaskrzypiało cicho, gdy się na nim poruszył. – A może oni mają rację. Może ty sobie przy mnie tylko życie marnujesz?

– Rany boskie, co ten człowiek wygaduje...

– A nie? No sama powiedz. A nie?

Długo i uważnie dobierała słowa, które wyraziłyby to, co wyrazić chciała, jednakże bez niepotrzebnych ofiar.

– Posłuchaj mnie, Poldku. Posłuchaj – zaczęła.

– No słucham, słucham przecież, Jadwiniu...

– Są takie rzeczy – ciągnęła z rozważą – które determinują człowieka, choć nie dają mu żadnego wyboru. Żadnego. Rodzina chociażby. Środowisko, z którego się wywodzi. Przeróżne wrodzone talenty albo ułomności. Czy też miłość.

– Chcesz przez to powiedzieć, Jadwiniu, że cię zdeterminował? Tą moją miłością?

– Wprost przeciwnie. – Sięgnęła do popielniczki na stoliku, żeby zgasić niedopałek, po czym odwróciła się do męża i spojrzała mu prosto w oczy. – Chcę powiedzieć, Poldku, że nasze małżeństwo to jedna z nielicznych rzeczy w moim życiu, w której rozchodziło się wyłącznie o mój wybór, a nie żadne tam odgórne determinanty, na które nie miałam żadnego wpływu. Rozumiesz? Takiego cię poznałam, takiego cię chciałam i takiego cię wzięłam. I takiego cię mam.

– A jak mnie takiego porzucisz? – zapytał z ufnością i bojaźnią zarazem.

– To również będzie mój wybór – odparła Jaga łagodnie. – I oboje będziemy musieli się z nim pogodzić.

Nie to chciał usłyszeć, z miejsca po nim poznała. Nie to. Chciał, żeby zbyła te jego lęki śmiechem i kpina, jak zawsze. Albo chociaż ostentacyjnym brakiem zainteresowania. Porzucić? Ciebie? Ależ Poldku, nie wygaduj głupstw. Ja się nigdzie nie wybieram.

Zanim jednak Tupatajko zdążył otworzyć usta, do ich stolika doczłapała Hanka.

– Co, korci zabawa? – Jaga przywitała dziewczynę uśmiechem.

– Oj korci, korci – przyznała i znów obejrzała się w kierunku plaży. – Poszłabym choć na chwilę, ale... to chyba nie wypada? Co?... – Zawiesiła głos, przytykając dłoń do brzucha.

– A czemu? – zdziwiła się Jaga. – Nie wypada to macica przed pierwszym porodem. Co tu dyskutować. Idziemy! – orzekła.

Szczerze powiedziawszy, nie przepadała za podobnymi spędami, ale postanowiła zdobyć się na poświęcenie. Po trosze za sprawą tęsknoty w piwnych oczach Hanki, po trosze zaś... wyczekiwania w jasnych oczach Poldka. Gdyby została, pewnie kontynuowałiby rozpoczętą rozmowę, a na to stanowczo nie była gotowa. Nie dziś. Nie teraz.

Bo wtedy musiałaby mu powiedzieć.

Wszystko.

Jaka miłość zniosłaby coś podobnego?

Podniósłszy się z turystycznego krzeselka, Jaga spojrzała ciepło na męża.

– Poldku, czy zechcesz dołączyć do słowiańskich uciech?

– Przecież wiesz, Jadwiniu, że po zmierzchu robię się ślepy jak kogut – odparł tym tonem, jakim skarżą się na swe niedomagania ludzie starzy na wskroś, ciałem, duszą, umysłem. Zaraz jednak wzięła górę czy to natura, czy to siła przyzwyczajenia i Tupatajko zachichotał szelmowsko. – Ale wy idźcie, idźcie, drogie dziewczęta. Tylko sobie niewymownych nie osmalcie, sadząc te dzikie susy przez ognisko!

Poszły więc we dwie między ludzi i ogień, śmiech i muzykę, i furkoczące w tańcu spódnice, żeby bawić się i dokazywać, i harce słowiańskie wyprawiać. Hanka cieszyła się i kręciła jak fryga wokół ognisk roziskrzonych, młoda, bujna, z zielnym wiankiem na głowie, po brzegi wypełniona miłością. Jaga początkowo zamierzała trzymać się z boku, przyglądać się co najwyżej. Ale sposobem jakimś niepojętym nogi ją same poniosły, ramiona pociągnęły i nim się

spozstrzegła, tańczyła z sercem dudniącym, rozedrganym od tego upojenia, jak gdyby kto piołunu dorzucił do sobótkowych ognisk. Wymykała się gładko codziennym konwenansom i obcym dłoniom, rozochoconym piwem i mężowską nieobecnością, które aż rwały się do tej żonki, żoneczki, cacuszka istnego. Cacuszko miało jednak głowę na karku i własne dłonie silniejsze, twardsze, niż mogłoby się zdawać. Przekaz, który niosły, szybko dotarł do celu, a ona tańczyła dalej i dalej, i dalej.

A gdy zabrakło im już sił i tchu, i śmiechu, gdy zapadł zmierzch i pierwsze gwiazdy rozbłysły na sobótkowym niebie i ciemnej tafli jeziora, wielce uszanowana doktorowa Jaga Tupatajkowa w wianku na głowie przystanąła na moment, na chwilę i nim się spozstrzegła, pochłonął ją las.

Niepojęte, myślała, niepojęte, że ona, nieodrodne dziecko wielkiego miasta z jego brukowanymi ulicami, szpalerami dostojnych kamienic, czuła tak dojmującą tęsknotę na widok sosnowego boru. Zwyczajnego przecież, znajomego – a bo to raz ostatnimi czasy przemierzała go, podążając ścieżkami miękkimi od igliwia? Więc czemu teraz wszystko w niej się rwało, żeby się w nim zanurzyć, teraz, natychmiast, a potem iść i iść przed siebie, coraz głębiej w tę wonną sosnową ciemność?

Zresztą... czy to ważne?

W taką noc jak ta?

– Chodźmy. – Chwyciła Hanę za łokieć i pociągnęła delikatnie za sobą, oddalając się od ognisk i ludzi. – Chodźmy!

– Dokąd?

– Do lasu! – wyszeptała gorączkowo. – Przez ognisko raczej nie poskaczemy, to chociaż poszukamy tego kwiatu paproci.

– Ale to nie za wcześnie?

– Za wcześnie, za wcześnie – zgodziła się Jaga. – I właśnie dlatego pójdziemy już teraz! Oni tu jeszcze popiją, aż padną, a my im w tym czasie zagramy na nosie.

Hanka zaśmiała się, jak gdyby to był przewyborny psikus, psikus nad psikusami, a Jaga zawtórowała jej dźwięcznie. W jednej kieszeni miała niewielką latarkę, którą przezornie zabrała z domku, w drugiej papierosy i pudełko zapalek. Dość, żeby oświetlić sobie drogę przez sobótkową noc.

Czmychnęły z jasności i duchoty prosto w cień i chłód sosnowego boru, który pachniał tak upojnie, aż im się w pierwszej chwili w głowach zakręciło pod zielnymi wiankami z magicznej bylicy. Jaga wyjęła latarkę i skierowała szeroki snop światła przed siebie. Szły tak i szły kolejnymi ścieżkami, śmiejąc się i skręcając to w lewo, to w prawo, to znów w lewo, jak gdyby odurzone lasem i nocą nad nocami, i szczęściem, i wyglądały magicznego kwiatu z pradawnych legend. I w końcu nie umiały powiedzieć, czy to one kierowały światłem, czy światło kierowało nimi, prowadząc je coraz dalej i głębiej.

Aż na samo dno.

Jaga drgnęła, jak gdyby przeszyta tą myślą, lecz nim zdążyła ją uchwycić, obrócić, ogarnąć instynktem lub rozumem, las rozstał się przed nimi i ujrzały – jezioro.

Zdawało się, że było tam zawsze, od wieków, a może i dłużej? Niewielkie, niepozorne, wtulone w sosnowe ostępy. Jego brzegi kryły się pośród gęstych paproci i bylin, ziół i chwastów, które z jednej zaledwie strony rozchyłały się nieco, dając do siebie dostęp. Czy to

cień rzucany przez wysokie sosny, czy jego wody tak ciemne, że aż czarne, nie odbijały gwiazd?

– Czy ty to widzisz? – Jaga wyszeptała gorączkowo do Hanki. Na te słowa dłoń dziewczyny zacisnęła się mocniej na jej dłoni.

– Widzę, ale... Jego tu przecież wcześniej nie było!

– Ano nie było... – Jaga puściła dłoń Hanki i postąpiła kilka kroków, rozglądając się uważnie. Aż naraz odwróciła się z błyskiem w oczach. – Znalazłyśmy je. Słyszysz? Znalazłyśmy zaginione jezioro Kukuk!

– Tak pani myśli? – W głosie dziewczyny drżało teraz to samo podniecenie, które rozświetlało żółte oczy jej towarzyszki.

– Ja to wiem! To ono. To musi być ono!

Nie zastanawiając się długo, Hanka zaczęła rozpinać sukienkę.

– No przecież nie wejdę w ubraniu – zwróciła się ze śmiechem do Jagi, która przypatrywała się temu z oszołomieniem. – Jak bym potem wróciła taka mokra?

– Będziemy się kąpać? Na waleta?

– A nie? No sama pani mówiła, że tej nocy trzeba się zanurzyć w wodzie, żeby się cuda działy. Ja tam się za zdrowie nie obrażę!

– A podobno to wszystko bajki! – wytknęła dziewczynie z przekorą, ale już czuła, jak wzbiera w niej rozkoszny dreszcz.

– Może bajki... a może echo – rzuciła chytrze Hanka. Rozpięła ostatni guzik, zrzuciła sukienkę na ziemię i w samym tylko wianku wbiegła z radosnym piskiem do cichej czarnej wody.

Jaga rozsunęła suwak spódnicy, ściągnęła bluzkę. A gdy była już całkiem naga i bezwstydna, nasadziła bylicowy wianek z powrotem na głowę i zaczęła iść przed siebie, przez gęste, łaskotliwe paprocie, zaczęła stąpać po miękkim, mulistym dnie, a zaginione jezioro

obmywało jej ciało łagodnymi falami. Wpierw stopy, potem smukłe łydki, mocne uda. Wreszcie sięgnęło dłoni splecionych na brzuchu.

Jaga nabrała głęboko powietrza i zanurkowała w czarnej kukułczej wodzie.

*

Obudził ją lęk.

Nie czuła takiego lęku już od piętnastu lat. Aż zapomniała, jak smakuje, jak szarpie, jak dławi, ściska imadłem gardło, serce, duszę.

Poldek chrapał na łóżku obok, na wyciągnięcie ręki. Uważając, żeby go nie obudzić, Jaga wymacała na podłodze porzuconą latarkę i tak jak stała, bosa, w koszuli nocnej, z włosami splecionymi w luźny warkocz, wybiegła z domku. W ostatniej chwili złapała jeszcze swój sobótkowy wianek, cały już zwiędły i smętny. Wróżba smagnęła ją całą mocą, lecz Jaga nie miała teraz czasu, żeby się nad sobą użalać. Musiała iść, musiała biec, bo z Hanką działo się coś niedobrego. Tak kazał jej instynkt, a ona miała dość rozumu, żeby go posłuchać.

Pamiętała mgliście, że Hanka mieszkała na parterze budynku, który stał na drugim krańcu ośrodka, daleko od skupiska domków. I że okna jej pokoju wychodziły prosto na niewielki plac zabaw – nic wielkiego, ot, kilka ławek, piaskownica, huśtawki, i tyle. Dość jednak, żeby Jagę naprowadzić. Na jej szczęście noc była gorąca i duszna, a Hanka zostawiła uchylone wysokie okno balkonowe. Jaga ostrożnie odsunęła firankę i zajrzała do środka.

Kilkoma susami znalazła się przy łóżku, przy półprzytomnej dziewczynie.

Słyszając czyjaś obecność, Hanka rozchyliła powieki.

– Coś spać nie mogę... i jakoś tak... ciężko – wydyszała. – Ciężko. Ale to nic. To nic... prawda?

Jaga przytknęła dłoń do czoła dziewczyny. Zimne i mokre od perlącego się potu. Dłonie za to miała lodowate, podobnie stopy, jakby krew odpłynęła z kończyn, by ochronić witalne organy, przygotować się na najgorsze. Tętno nierówne, oddech urywany, źrenice powiększone... To przez te tańce? Ten dym? Kąpiel w nocnym jeziorze? Boże drogi, czemu jej na to pozwoliła, durna! Durna! Klęła na siebie i pospiesznie trzepała pościel, szukając śladów krwi, gdy naraz musnęła lewą dłonią stwardniały brzuch Hanki – i prawie zadławiła się krzykiem.

Gdzieś tu, gdzieś w pobliżu czyjeś palce splatały już los jej dziecka, szarpiąc nić żywota, strzępiąc ją i płacząc, szukając początku i wyznaczając koniec. A gdy już skończą, gdy uprzedą, wtedy ta roześmiana dziewczyna, której było dane szczęście, jakie ominęło Jagę, zapłaczę gorzkimi łzami. O ile zdąży.

Hanka też to rozumiała, a jeśli nie rozumiała, to czuła podskórnie, bo raz po raz powtarzała:

- To za wcześnie... za wcześnie...
- Już, już. Będzie dobrze, słyszysz?
- Będzie? Będzie?

W gardle Jagi znów wezbrało dojmujące, przeciągłe wycie. Miała ochotę zatopić palce we własnych włosach, wbić je w skórę, w czaszkę pękającą od tego szeptu, od tego błagania o ratunek.

Nie musiała. Nie musiała. Nikt by jej złego słowa nie powiedział, gdyby teraz po prostu wezwała karetkę do roniącej dziewczyny. Nikt by jej niczego nie zarzucił. Wprost przeciwnie, uznaliby, że zrobiła wszystko, co w ludzkiej mocy.

Zrządzeniem losu była obok. Pomogła. Niosła ratunek.

Tyle że Jaga wiedziała, że jej moc z tą ludzką nie miała za wiele wspólnego. A kimże by była, gdyby nie zrobiła naprawdę wszystkiego?

– Przysięgam. Tylko leż, słyszysz? Hanka? – Przycisnęła dłoń do zlanego potem czoła, zmusiła dziewczynę, żeby na nią spojrzała. – Słyszysz, co mówię? Leż i za żadne skarby nie wychodź z pokoju.

Powinna biec prosto do lasu, ale najpierw zawróciła na plażę. Pamiętała mgliście, że gdzieś przy pomoście została resztką chrustu i drewna. I coś jeszcze, coś, czego teraz bardzo potrzebowała.

Musiała przedstawiać sobą osobliwy widok, gdy kilka minut później biegła w środku nocy z powrotem przez uśpiony ośrodek. Bosa, w koszuli nocnej, z włosami wymykającymi się z warkocza, szaleństwem w spojrzeniu – i siekierą w ręce. Cóż, na szczęście Jaga nigdy nie przejmowała się za bardzo tym, co ludzie powiedzą na temat jej godności. Albo poczytalności. W przeciwieństwie do męża słyszała, lecz nie słuchała.

Zdyszana dopadła znów okna Hanki, wzięła zamach i z całych sił wbiła ostrze siekiery w wąski drewniany próg. Żaden inny lekarz nie stosował zapewne podobnego remedium u swych pacjentów, a z pewnością lekarz poważny i szanowany. Jaga jednak wiedziała, że to powinno spowolnić nadciągające nieszczęście lepiej niż jakikolwiek medykament.

Bo tego, co działo się z dziewczyną tam, za tym progiem, nie zdołałby powstrzymać żaden lekarz ani żaden lek, choćby i najcudowniejszy. Ktokolwiek próbował odebrać Hance jej dziecko, tylko ona mogła go znaleźć i powstrzymać. Za wszelką cenę.

Piętnaście lat.

Boże drogi.

Piętnaście lat umykała przed tym, co ją determinowało najmocniej i najokrutniej, ukryta za plecami męża. Najpierw z rodzinnego domu, potem z rodzinnego miasta. Byle dalej od przeszłości, od sióstr i mocy, o którą nigdy nie prosiła, a która została im dana.

I co? Wszystko na próżno. Wszystko na nic.

– Ale chociaż po coś – wyszeptała do siebie. Nie zwlekając dłużej, włączyła latarkę i wkroczyła do lasu, pozwalając, by światło raz jeszcze zaprowadziło ją do zaginionego jeziora Kukuk.

Świt nadciągał, słabła magia sobótkowej nocy. Czy to dlatego coraz więcej widziała, rozumiała coraz więcej? Wcale nie natrafiły przypadkiem na to jezioro, ukryte i urokliwe.

To pierwotna moc uroczycka zwabiła je do siebie.

– Czym ty jesteś? – wyszeptała Jaga, na próżno przepatrując mrok otulający jezioro. – Och, Matyllda by wiedziała. Matyllda zawsze wie...

Ciemność najwyraźniej nie zamierzała wyznać swego sekretu po dobroci. A zatem Jaga musiała jakoś ją do tego zmusić.

Nie miała kołowrotka – piętnaście lat temu zostawiła go bez zastanowienia i żalu we Wrocławiu, na strychu starego domu, w którym przyszła na świat jako druga z trojaczków o niewiarygodnie żółtych oczach. Ale przecież nawet bez kołowrotka wciąż była sobą. Kukułką w zwyczajnym świecie, w którym ludzie są... jedynie ludźmi.

A one zawsze były czymś więcej. I zawsze były trzy. Trzy mojry, norny, prządki, rodzanice. Matyllda, Jaga i Mila. Siostry z domu Bolesne i bolesne z natury.

Tak, Matylda by wiedziała, Matylda od razu by wiedziała, co robić... Tak. Tyle że Matylda – najstarsza, twarda i harda – była teraz daleko stąd. Co więcej, dysponowała nieco inną mocą niż ta dana średniej siostrze. A to wszak Jaga była tą, która przędzie nić ludzkiego żywota, nadając mu początek.

– Skup się, skup się, do jasnej cholery... – mamrotała do siebie. Skup się, bo wbita w próg siekiera nie powstrzyma na zawsze tego, co obudziłyście, kąpiąc się w sobótkową noc w czarnych wodach zaginionego jeziora, w czarnych wodach uroczyska. A wtedy na nic te kaftaniki, na nic kołyska przekazywana z pokolenia na pokolenie, bo nie będzie wyczekanego dzieciątka. Ani Hanki o piwnych oczach.

Wypuściła powietrze przez usta, zbierając w pośpiechu strzępy wiedzy i wspomnień. Musiała się otworzyć, a zatem żadnych guzików, żadnych supłów i pętli, a nade wszystko żadnych ostrzy. Tylko to, co zdołają uczynić jej ręce. Stopy już miała bose, warkocz prędko rozplotła. Zerwała jeszcze zwiędły wianek z głowy i obrączkę z palca, cisnęła je na ziemię. Drżącymi dłońmi jeden za drugim rozpięła guziki nocnej koszuli. Dopiero wtedy padła na klęczki i zaczęła rwać, szarpać, zagarniać. Paprocie i bylice, gałązki i mech, igliwie i ziemię. Gięła je i splatała ze sobą w podłużne kształty, nieforemne i niesforne, długie trawy splotła w dwie kule. I szlochała przy tym, szlochała boleśnie, gdy materia co rusz sypała jej się w rękach, rozsypywała z łatwością, szydząc z jej usilnych starań.

Tymczasem z ciemności ponad wodami jeziora tchnął odór pradawnego rozkładu.

Nie podnosząc wzroku, Jaga przełknęła żółć, która podeszła jej do gardła. Szarpnęła skraj nocnej koszuli raz, drugi, aż nici puściły i falbana z białej bawełny dała się oderwać od reszty. Szybko, szybko!

Zamotać, na krzyż, i jeszcze, i jeszcze, byle mocno, bo to już idzie, już wstaje, wyłania się z sobótkowej nocy i podnosi pradawny łeb, wężąc za dziewczyną i jej nienarodzonym dzieckiem.

Zachlupotały czarne wody zaginionego jeziora.

Jaga ostrożnie ułożyła na ziemi dzieło własnych rąk – cudaczną, pokraczną kukiełkę, zamotaną z tego, co żywe, i tego, co martwe. Sięgnęła do zwiędłego wianka i wyrwała z niego kilka pędów bylicy, które zwinęła byle jak, byle szybko i nasadziła kukiełce na głowę, aby mogła spokojnie odejść z tego świata tam, gdzie jej miejsce. Ale to wciąż nie było to! To wciąż nie był początek, który mogłaby podsunąć temu zachłannemu stworzeniu. Zbliżało się, brodząc przez wody jeziora, a jego palce znów szukały nici, żeby ją uprząć i pociągnąć ku sobie. Stąd czuła jego smród. Jego głód. Jego pragnienie.

Pragnienie.

Prawa dłoń mojrzy, tej, która splata, spoczęła na kukiełce, lewą przycisnęła do swojego brzucha, zacisnęła zęby i sięgnęła – jak najdalej, jak najgłębiej, aż do samego dna studni, gdzie na główce od szpilki czekały już diabły, czekały demony, których od piętnastu lat nie dopuszczała do głosu. Jej żal. Gniew. Rozpacz. Ból ciała i serca. Wspomnienia z czasów oblężenia – utrwalone w bliznach, którymi naznaczone były jej dłonie i dusza, powracające w koszmarach bez końca, rozchodzące się echem po brzuchu wciąż pustym mimo tak wielu prób i miłości tak wielkiej. Drętwota, nieskończona drętwota, w której się skryła, żeby nie oszaleć z tęsknoty za tym, co utraciła wtedy i co traciła wciąż. Za siostrami, które porzuciła. Za mężem, którego okłamywała. Za zwyczajnym życiem, którego tak bardzo łaknęła.

Była sobótkowa noc, noc oczyszczenia, a mojra klęczała w igliwiu i błocie, w studni swych najskrytszych pragnień i łez gorzkich jak piołun i przędła z nich nić nowego żywota. A gdy wypłakała ostatnią łzę, gdy splotła ostatnie włókno, podniosła z ziemi kukiełkę i uniosła wysoko przed sobą, w darze dla pradawnego stworzenia, które stało tuż przed nią i pragnęło wszelkiego życia równie mocno co ona.

Kukiełka zakwiliła cicho, cichuteńko.

*

Nastał świt, gdy Jaga Bolesna-Tupatajkowa stanęła na brzegu jeziora i spojrzała w milczeniu na wzbierające, jasne słońce. Na głowie miała wianek z bylicy, zwiędły bez reszty i poszarpany, w ręce bezużyteczną już siekierę, we włosach błoto i liście. Rozpięta, podarta koszula zsunęła jej się z ramienia, niemalże odsłaniając pierś.

Czuła się brudna, zmęczona.

Patrzyła na słońce i myślała o stworzeniu, które wyłoniło się z ciemności, z przeszłości, z rozkładu. Mamuna. Dziwożona. Zamianica. Obudziły ją przypadkiem w tę sobótkową noc pośród uroczyńska, zanurzając się razem w wodach zaginionego jeziora – mojra o życiodajnej mocy i młoda dziewczyna z nowym życiem pod sercem. Tak niewiele brakowało, by ta noc skończyła się łzami i krwią... Lecz mamuna dała się ugłaskać. Zabrała kukiełkę, tuląc ją i pieszcząc niczym najprawdziwsze dziecko. Bo tak też kwiliło, tak ją chwyciło za lepkie kudły, za ni to ludzkie, ni to zwierzęce dłonie.

A razem z kukiełką mamuna zabrała wszystko, co tchnęła w nią mojra, pozostawiając w tym miejscu ziejącą pustkę. Nic więcej.

– Jadwiniu?...

Odwróciła się powoli.

Co go tu przygnało, tego powsinogę? Obudził się o świcie i zobaczył puste łóżko pod przeciwległą ścianą? Nawet tej chwili nie mógł wytrwać bez niej, więc poszedł jej szukać? Poczciwy powsinoga...

– Jadwiniu... czy ty... co ty...? – próbował znaleźć słowa, lecz wszystkie mu się gdzieś pogubiły. Jak na złość. Więc patrzył bezradnie na żonę, brudną i potarganą, półnągą i dziką, a zarazem tak spokojną, jakiej jej chyba nigdy dotąd nie widział.

– Obawiam się, Poldku, że wylazła Bolesna z Tupatajkowej – odparła łagodnie Jaga. A potem zaczerpnęła głęboko rześkiego, porannego powietrza. – Wiesz, mnie nigdy nie przeszkadzało, że wszyscy wszędzie widzą tylko ciebie. Bawiło? Owszem, ale nie przeszkadzało, że wszędzie ty i tylko ty. Nawet w tytułach przed moim własnym imieniem i nazwiskiem. – Pokiwała głową w zadumie. – Fakt, skłamałabym, mówiąc, że nie zawdzięczam ci niczego. Z moją przeszłością, moim pochodzeniem... kto wie, może nawet bym się nie dostała na medycynę? I już, po karierze, po tytułach, zasługach i dokonaniach.

– Jadwiniu, ty chyba... Doprawdy! Mnie by nigdy taka myśl nie powstała, że ty się... wybiłaś na moich plecach!

– Och nie – odparła jasnym, pewnym głosem. Ten jeden raz mogła się zdobyć na szczerość. – Ja się za nimi schowałam. Przycupnęłam cicho jak kukułka w cudzym gnieździe. I bardzo mi tam było dobrze przez tych piętnaście lat.

– Schowałaś? Przed czym? Jadwiniu? Przed czym ty się schowałaś? – dopytywał Tupatajko, lecz na próżno. Jaga milczała,

a jemu od tego milczenia myśli aż kotłowały się w głowie, miały się bezradnie, żałościwie. – Powiedz mi, Jadwiniu, ja ciebie błagam, powiedz mi cokolwiek. Choć ten jeden raz powiedz, co ciebie gnębi. Ty mi nigdy nic nie mówisz, od początku, od samego początku. Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego oni cię tak wtedy pobili, że aż ci musiałem rany zszywać... – Urwał, a jego mądre, ufne oczy zaszkliły się łzami. – Piętnaście lat? To już tyle? Piętnaście lat, a ja wiem o tobie tyle co nic.

Boże drogi, a co mu miała powiedzieć?

Prawdę?

Była lekarką. Kardiolożką.

Człowiekiem.

Kukułką.

Mojrą. Prządka.

Razem z siostrami trzymała w rękach ludzkie życie. Mogłyby się nim bawić jak dziecko kawałkiem kolorowej wstążki. Dwukrotnie nadużyły swej mocy i dwukrotnie przyszło im za to zapłacić. I właśnie przed tym piętnaście lat temu uciekła ochoczo pod skrzydła męża – nie przed okropieństwami obłączenia, jak zawsze sądził. To dlatego tak chętnie towarzyszyła mu w nieustannych wędrówkach i przeprowadzkach, bo w ten sposób uciekała od Wrocławia, od rodzinnego domu i kołowrotka, od mocy i poczucia winy.

Mogłaby mu to powiedzieć, wyjaśnić jakoś... tylko po co? Żeby pewnego dnia skończył tak jak ich ojciec, ich papa – z pętlą na szyi, obłąkany, uciekając rozpaczliwie w śmierć przed świadomością zbyt przytłaczającą, zbyt przerażającą, by dało się z nią dalej żyć?

Dlatego go okłamywała. Dlatego wyszła za Poldka ze świadomością, że jeśli wyjawi mu prawdę, ta prawda prędzej czy

później zaprowadzi go na krawędź. Zniszczy lata zwyczajnego życia, lata współdzielonej miłości i pasji, tęsknoty i rozpacz, lata oddechu pełną piersią. A on już nigdy więcej nie spojrzy na nią tak, jak patrzył jeszcze wczoraj.

Został jej tylko jeden sposób, żeby ocalić chociaż tę wspólną przeszłość, która wciąż ich łączyła – poświęcić teraźniejszość, zanim podzieli ich bezpowrotnie. Wbić siekierę i w ten próg. I w ten.

– Nie pleć bzdur, Poldku – rzuciła oschle, po czym obróciła się z powrotem do jeziora.

A zatem pustka.

Cóż.

Pustka to też początek. I sama go sobie uprzedła.

– Tak wybrałam. Tak wybrałam – powtórzyła dźwięcznym, mocnym głosem. A potem czarną od błota ręką sięgnęła do zwiędłego wróżebnego wianka i rzuciła go daleko, daleko, na nieruchome wody jeziora. – Niech więc i tak będzie.



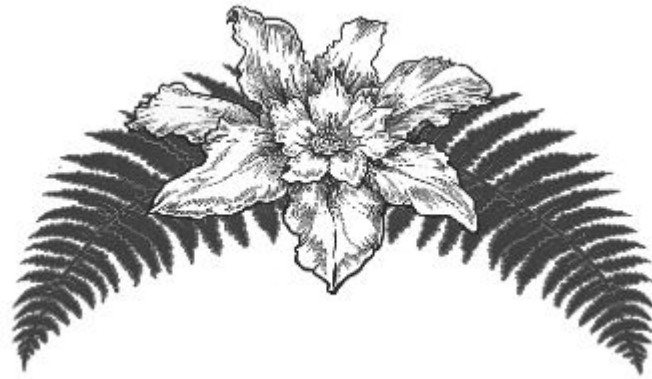
MARTA KRAJEWSKA

Maliny na śniegu

Marta Krajewska – autorka powieści dla dorosłych i dzieci ze słowiańskiego uniwersum Wilczej Doliny oraz seriali Storytel Original. Pierwszy tom cyklu o opiekunce Vendzie, *Idź i czekaj mrozów*, doczekał się wydania w Stanach Zjednoczonych, Nowej Zelandii i Rosji. W 2021 roku premierę miał słowiański erotyk pisarki, *Pragnę więcej*, osadzony w realiach wczesnego średniowiecza.

Poza pisaniem prowadzi warsztaty o życiu codziennym wczesnych Słowian dla szkół i placówek kultury. W 2021 roku była pomysłodawczynią i koordynatorką pierwszego festiwalu fantastycznej literatury słowiańskiej SlavicON (online).

U honorowaną Złotym Płomieniem Kultury 2023, Nagrodą im. Macieja Parowskiego (2020). Trzykrotnie nominowana do Nagrody im. J.A. Zajdla, nominowana do IBBY.



Wokół obejścia smolarzy nie było płotu. Nie było też podwórza, tylko plac oddzielający las od domostwa. Mieszkali z dala od wsi, w skleconej byle jak chacie, opartej plecami o pionową białą skałę. Las dostarczał im drewna na węgiel i smołę, kory na dziegieć, owoców i grzybów do zapełnienia brzuchów. Skała chroniła przed wichrem, amulety, modlitwy i zamawiania broniły dostępu potworom. Żyli w lesie i z lasem. A że dzika zwierzyna przelazła czasem obok chaty, to nic. Nie uprawiali ziemi, nie było gdzie wejść w szkodę, szczególnie teraz, zimą, gdy wszystko spało pod śniegiem. Wicher zamiatał plac przy skale, przeganiając w tę i we w tę białe płatki, szarpał smugą dymu unoszącą się z dziury w strzesze.

W chacie królowało palenisko, roztaczając wokół światło i ciepło. Wicher mógł więc dąć na potęgę, ale mężczyzna i kobieta, mieszkający w środku lasu, puszczali dziki wizg śnieżycy mimo uszu.

Żyli we dwoje. Kiedyś było ich więcej, ale rodzice Gorazda zmarli kilka wiosen wcześniej, a w poprzednim roku jego brat poszedł w las za zwierzyną i nie wrócił. Została mu jedynie Nieradka, sporo młodsza od niego żona, którą poślubił, gdy ledwie weszła w dorosły wiek. Oczarowały go jej wielkie oczy w kolorze miodu, małe usta

i włosy barwy dojrzałych żołądzi. Ciało też miała niezgorsze, choć drobne. Cała wydawała się krucha.

Mimo usilnych starań nie doczekali się dzieci, nie było więc komu przekazać wiedzy i umiejętności. Lecz gdy zima trzymała tak długo jak tego roku i gdy nie było co do garnka włożyć, przynajmniej nie musieli się jeszcze martwić o pusty brzusek dzieciątka.

Może w przyszłym roku będzie lepiej. Może w przyszłym roku będzie ich już w chacie więcej, a zima okaże się łagodniejsza.

Tymczasem mróz trząsał po górach i lasach, a cichy śpiew kobiety wypełniał izbę. Nuciała ulubioną pieśń męża, chcąc przypodobać mu się przy robocie. Zarabiała glinę z piachem i żwirkiem, bacząc, by mieszanka nie zrobiła się zbyt sucha ani zbyt tłusta. Zerkając przy tym na Gorazda, który w skupieniu wypełniał wielki dzban zwitkami brzoźowej kory. Milczał przy tym, lecz Nieradka, wyczulona na najmniejszy grymas męża, poznawała, że jest w pogodnym nastroju. Jego twarz, okolona długimi do ramion ciemnymi włosami, wydawała się kobiecie najpiękniejszą pod słońcem. W czarnym zaroście dostrzegała pierwsze oznaki siwizny, lecz nie szpeciły one Gorazda, wręcz przeciwnie, dodawały dostojeństwa. Jasne oczy, które zwykle wyróżniały się w okopconej dymem, pobrudzonej sadzą twarzy, teraz zdawały się ciemniejsze na tle po zimowemu bladej skóry.

Wicher wpełznął ulatujący przez dziurę dym z powrotem do chaty. Palenisko przygasło, płomień się zachwiał, a pracujący obok ludzie zakaszleli zgodnie.

– Ki biesy się dziś żenią? – warknął Gorazd, kryjąc usta w załomie łokcia.

Nieradka zamruwała. Oczy szczypały do łez.

Nie odpowiedziała, bo i co miała rzec. Zamiast tego odważyła się podzielić tym, nad czym od dłuższej chwili dumiała.

– Trudno będzie na taką pogodę wypalać.

Mąż pociągnął nosem i wrócił do roboty.

– Cóż ci poradzę – westchnął. – Z tego żyjemy. Jak dziś wypalimy, to jeszcze zdążę przed wieczorem zanieść dziegieć owczarzowi i jutro pojemy jagnięciny!

Nieradka aż się uśmiechnęła na tę myśl.

– No ja wiem, ty na pewno sobie poradzisz z ogniem – przysłodziła mężowi. – Na taki wicher i mróz to tylko ty znasz sposoby.

– A pewnie – zgodził się, mile połechtany. – Jak będę we wsi, obadam, jak sprawy. Zima zimą, ale niedługo powinna w końcu nadejść wiosna, a wtedy się zaczniesz lepienie łodzi, to rybacy smołę będą chcieli. Kowala zapytam, czy mu węgla nie potrzeba, to byśmy za jednym zamachem zarobili na smole i na węglu. Duży mielerz ustawimy, drewna już nazbierałem, jeno podsuszyć trza na małym ogniu...

Rozpuścił wyobraźnię, snując dalej plany, a Nieradka z przyjemnością zerkiała, jak jego twarz mięknie, roztapiana wizją dobrobytu.

Zauważył jej wzrok.

– Nic się nie martw. – Uśmiechnął się i mrugnął. – Ze mną nie zginiesz, ja jestem najlepszym, co ci się w życiu mogło trafić!

Roześmiała się i pokiwała głową.

– Oj tak, tak. Przecie, że wiem! Chodź mi tu lepiej powiedz, czy taka glina dobra, czy czegoś dodać.

*

Glina była świetna, a umiejętności Gorazda wielkie, ale i tak namęczyli się przy wypale. Na takie pogody mieli już gotowy dół w zacisznym kącie między ścianą chaty a skałą, ale tego dnia wichur zdawał się tańczyć i wciskać wszędzie ciekawskie podmuchy. Trudno było utrzymać temperaturę w niecce, w której, otoczony płonącymi szczapami, prażył się oklejony glinianą polepą dzban.

Gorazd złościł się i wyklinał w głos a to pogodzie, a to ogniewi, a to w końcu i żonie. Naradka starała się odgadywać polecenia męża, nim wybrzmiały, ale i tak oberwało jej się kilka razy po uszach. Nie miała tego za złe małżonkowi, rozumiała, w jak wielkich był nerwach. Glina była wrażliwa na zmiany temperatur i przy nierównomiernym ogrzewaniu pękała. Wypał trzeba było ciągnąć całe popołudnie, a wiatr nie ustawał. Groźba utraty urobku wisiała niczym ostrze nad głowami smolarzy.

– Trzeba się z tym było przenieść do jaskini! – Nieradka przekrzykiwała wichur wyjący w skalnych załomach powyżej.

– Trzeba, trzeba – ofuknął ją Gorazd. – Nie zawracaj mi teraz głowy. Najmądrzejsza na świecie...

Kobieta zamilkła posłusznie.

Rzeczywiście, nie było co roztrząsać.

Wpatrzona w ogień, wijący się wokół polepionego dzbana, poczuła ssanie w brzuchu.

– Wiatr ucichł – powiedział Gorazd. – Idźże do chaty, zagrzej się, teraz sobie poradzę.

Naradka spojrzała na jego zaczerwienioną od mrozu twarz, na niebieskie oczy załzawione od żaru i wiatru i zalała ją fala

wdzięczności.

– Tak mówisz? – ucieszyła się. – To skoczę, podpłomyki na szybko upiekę. Więcej mam kory niż mąki, ale dobre będą, ciepłe.

Gdy wróciła, wiatru już nie było. Pewnie pognał w inne, ciekawsze strony, skoro tu ludziom nie udało się dopiec.

Koniec końców wypał się udał. Gdy smolarz, delikatnie stukając w polepę, odłupał ją od dzbana, naczynie było w nienaruszonym stanie. Przez dziurki w dnie dzbana do powiązanej u dołu miski w czasie prażenia wyciekła czarna, gęsta maź o ostrym zapachu.

– Nie jest to najpiękniejszy dziegieć, jakim zrobił – stwierdził Gorazd – ale najgorszy też nie. Czysty przynajmniej, nada się owczarzowi. Zaraz do niego pójde.

– Teraz? – zatroskała się Nieradka. – Rychło będzie ciemno, nie zdążysz wrócić.

– Zdązę. A jak nie, to we wsi przenocuję, choćby i z owcami! – Roześmiał się. – Ty się tu szykuj, jutro jemy baraninę!

I poszedł. Gdy opuszczał chatę, Nieradka już wiedziała, że na noc nie wróci. Widać ciekawiej mu było z owczarzem wieczór spędzić, napić się i zasnąć w sianie. Ale przecież potrzebował odmiany, rozumiała to. Tyle nerwów stracił przy wypale. A jakby nocą przez las łąził, toby jeszcze pobłądził albo na strzygę jaką trafił czy błędne ognie, o wilkach nie mówiąc.

Niech wróci jutro, za dnia. Rozumiała. Nie musiał jej nikt tłumaczyć.

I tylko straszno jej było samej w chacie spać. Bała się, że ktoś przyjdzie. Po co? Dlaczego? Wiedziała, że strach nie ma podstaw, ale go czuła. Trudno. Musiała sobie poradzić, jak zawsze, gdy mąż zostawiał ją samą.

I poradziła sobie. Przetrwała noc.

O poranku przejrzała zapasy pożywienia, choć w zasadzie nie było czego przeglądać.

Wyglądała powrotu męża. Na myśl o baraninie usta wypełniały się śliną, a brzuch ścisnął ból. Poranek minął, minęło południe, słońce iskrzyło się na śniegu, cienie drzew zaczynały sięgać drzwi chaty, co niechybnie oznaczało zbliżający się zmrok.

Głodna i zmartwiona Nieradka opatuliła się chustą, wdziała rękawice i przywiązała karples do butów, by nie zapadać się w śniegu, a potem wyruszyła w las.

Las był jej ratunkiem, jej schronieniem i ukojeniem. Wierzyła, że nie pozwoli jej umrzeć z głodu.

*

Gdy Gorazd wrócił, Nieradka wybiegła mu na spotkanie niczym stęskniony szczeniak. I niczym szczeniakowi mężczyzna pozwolił się powitać, a potem skrócił czułości i poszedł do chaty.

– Co tak późno? – dopytywała żona, drepcząc za nim w samej sukience. – Masz mięso? Ile dostałeś?

– A dajże mi spokój, kobieto! – huknął, aż skuliła się w sobie. – Musisz tyle gadać? Dajże mi wejść do chaty. Skaczesz wokół jak pchła.

Nieradka zamilkła i posłusznie wsunęła się za mężem do ciepłej izby. Gorazd wzdychał ciężko, rozbierając się z warstw odzieży.

– No ale... – nie wytrzymała Nieradka, nerwowo skubiąc warkocz w kolorze dojrzałych żołądź. – Co się stało? Nie chciał dziegiu? Okradli cię? Przepiłeś?

Za to ostatnie słowo zarobiła od męża takie spojrzenie, że skuliła się jak po razie.

Nie uderzył jej jednak. Nigdy w życiu nie podniósł na nią ręki.

– Nie miał mięsa – odparł z ociąganiem. – Umówiliśmy się, że z następnego bicia wydzielili zapłatę.

Usiadł ciężko na klepisku i wyciągnął zmarznięte dłonie ku palenisku. Po chwili podniósł na żonę zmęczone, zrezygnowane spojrzenie.

– Nie ma nic do jedzenia, co? – zapytał, choć spodziewał się odpowiedzi.

Nieradka natomiast aż podskoczyła na to pytanie. Jej wielkie oczy zajaśniały jak dwa kaganki.

– O matko Mocoszy! – pisnęła. – Nie uwierzysz! Mam zająca! Tylko skruszyć musi, ale mam!

A potem przypadła do męża, uklękła przy nim i opowiedziała, jak to głodna niczym wilk wybrała się do lasu, w duchu modląc się do Welesa, dzielącego darami zimowego pana, żeby jej co znaleźć pozwolił.

– I znalazłam! Tak mi leszy krokami pokierował, że naszła na długoucha, co się w skoku na ułamane drzewko nabił. Biedak, pewnie nawet nie czuł, że umiera, bo mu pierś zaostrzony palik świerkowy przekłuł. Las jest dobry, zawsze mówię.

Gorazd słuchał jej paplaniny, ale tylko do czasu.

– Nie będziemy czekać – orzekł. – Musimy zjeść go teraz, dzisiaj, już!

Nieradka była głodna na równi z mężem, musiała więc przyznać mu rację. Strapiała się jednak.

– Ech – westchnęła, wstając od paleniska. – Gdybym wiedziała, że wrócisz bez mięsa, wziąłabym i tamtego koziołka.

– Jakiego koziołka?

– Wracając do chaty, znalazłam w wykrocie roczniaka. Przywaliła go gałąź, ten wicher musiał być naprawdę silny. Na szczęście udało mi się podnieść ten konar, a koziołek jak nie wyskoczy! Aż żem się złąkła, że nogi połamię, tak się szamotoł. Chyba jednak nic sobie nie zrobił, potłuczony był tylko i...

– Co zrobiłaś?! – Gorazd spojrział na żonę z niedowierzaniem, zza którego błyskał gniew. – Czemu go nie ubiłaś? Tyle mięsa!

– Miałam zająca – odparła Nieradka, truchlejąc. – No i ty miałeś przynieść baraninę...

– Babo! – Gorazd uniósł palec ostrzegawczo, ale już sam ton jego głosu sparaliżował kobietę. – Nie wypominaj mi tego mięsa, bo to nie moja wina! To ja się tak staram, robię, co mogę, żebyśmy do wiosny przeżyli, na wietrze i mrozie pracuję, a ty ratujesz koziołki?!

Nieradka skuliła się w sobie.

– Ale miałam już zająca, a las...

– Co las?! Przestań z tym lasem! Ja sobie flaki dla ciebie wypruwam. Wziąłem cię z tej gnijącej chaty, nic beze mnie nie miałaś! W jednej sukience przyszłaś! I tak się ciągniesz za mną całe życie jak ten smród z ogniska. Ja wszystko bym mógł, gdyby nie taki balast. Jak do wsi idę, to tam inne życie mają. Wiesz, jak się baby oglądają za mną? A ty co?! Nie możesz czasem ruszyć tą pustą łepetyną? Kiedy się nauczysz dbać o chatę, o męża jak należy?

Przesłonił twarz dłońmi, dysząc ciężko.

Nieradka słuchała ze wzrokiem wbitym w klepisko.

– O Welesie... – jęknął smolarz. – Zobacz, do czego ty mnie doprowadziłaś, kobieto. Czemu ja sobie takiego strupa wziąłem na plecy...? Inny by cię już dawno sprął. Ja za dobry jestem i mam za swoje.

Potrząsnął głową i spojrział na żonę z cierpieniem w oczach. Nieradka chciała podejść, przytulić go, przeprosić i błagać o wybaczenie, ale nie mogła ruszyć się z miejsca. Wiedziała, że odtrąciłby jej ramiona, a wtedy umarłaby na miejscu.

Była zła i niewarta jego dobroci. Wszystko, co mówił, było prawdą. Gdyby mogła, rzuciłaby się w las szukać tamtego koziołka, ale nie była w stanie upolować zwierzęcia. Nie mogła naprawić tego błędu.

– I tylko las to, las tamto – ciągnął Gorazd spokojniej. – Ja też żyję w lesie, a co on nam takiego dał? Pytam się. – Wbił zły wzrok w żonę. – Co ci ten las dał? Upiory za ścianą? Gdyby nie ja, nie przeżyłabyś tu jednego lata, co dopiero zimy. Las! Las jest dobry! – przedrzeźniał ją. – No to idź do niego! Proszę bardzo, idź! Niech ci da ten twój las schronienie, niech ci da jeść, proszę! Idź, przynieś te leśne skarby. O, malin mi może przynieś, pojemy. No, wynocha!

Chwycił Nieradkę za ramiona i siłą wypchnął za drzwi.

– Ale... Gorciu, niedźwiadku mój... – mamrotała smolarzowa, przymilając się i nie dowierzając temu, co się dzieje.

– Idź! – Rzucił w nią wełnianym płaszczem z koca. – I nie wracaj mi tu bez malin, bo obiję jak sukę! Niech ci las pomoże, jak taki dobry!

Brunatny wełniany prostokąt upadł w śnieg u stóp kobiety, a drzwi do chaty zatrzęsnęły się z hukiem.

Nieradka płakała, biła pięściami w twarde deski, błagała i obiecywała poprawę. Wszystko na próżno. Jakby gadała do głazu.

Łzy szczypały w policzki, zamarzając. Rozpacz Nieradki zmieniała się w bezsilność. Spojrzała w stronę lasu. Do zmroku zostało niewiele czasu. Gdzieś z głębi smutnych myśli wyłoniła się ta o znalezieniu schronienia na noc.

Podniosła koc, otrzepała ze śniegu, pociągnęła nosem i owinęła się płaszczem. Nie miała czym go spiąć, musiała przytrzymywać jego poły.

Wiedziała już, że Gorazd jej nie otworzy. Musiała zasłużyć na jego wybaczenie. Musiała go udobruchać.

Tylko gdzie znaleźć maliny w zimowym lesie? Przecież to niemożliwe.

Gdzie ma się podziać? Pomyślała o wsi, lecz na samo wspomnienie ludzi stamtąd poczuła niechęć. A potem przyszedł i wstyd. Jakże to, przecież nie przyzna się, że mąż wyrzucił ją z chaty, bo co by sobie o nim pomyśleli! Nie zasłużył na to.

Zresztą ona też nie chciała, by widzieli, w jakiej znalazła się sytuacji. Za bardzo cieszyła się, gdy wychodziła za mąż, żeby teraz przyznać się do porażki. Zresztą ludzie nie zrozumieliby tego, co było między nią a Gorazdem, ocenialiby ich oboje, a ona najadłaby się tylko wstydu.

Znała las bardzo dobrze, lepiej od smolarzy, którzy choć mieszkali w nim całe życie, ciekawi byli tylko gatunków drzew, ich żywiczności i tego, jak je ściąć i przytargać pod chatę, do mielerza. Nieradka czasem myślała, że choć uważają się za ludzi lasu, bardziej go niszczą, niż z nim żyją. Nie ośmieliła się jednak powiedzieć tego na głos.

Zresztą, kim ona była, żeby to oceniać. Gorazd miał rację. Jej rodziny we wsi nikt nie szanował, nim wziął ją za żonę, przymierała głodem. Teraz, co prawda, też nie żyła dostatnio, ale miała męża, którego mogła kochać. Bez niego nie dałaby sobie nigdy rady. Bez niego była nikim. Na samą myśl o tym ścisnęło ją w piersi.

Musiała go jakoś przebłągać.

Zatopiona w rozmyślaniach, wytykając sobie głupotę i szukając wyjścia z sytuacji, brnęła przez głęboki śnieg. Z każdym krokiem zapadała się do połowy łydki, sapała ze zmęczenia i grzała się pod wełnianą sukienką i płaszczem.

Nawet nie dostrzegała, że gałęzie rozsuwają się nad jej głową i zamykają, gdy tylko je mijała. Nie widziała, że krzewy, zasypane i zwalone pnie wytyczają jedyną możliwą ścieżkę, prowadząc ją dokładnie tam, gdzie iść powinna.

Światło dnia uciekało z lasu, jasny śnieg nabierał coraz bardziej niebieskiego odcienia. Szarzał, odbijając czarne pnie.

Nieradka dotarła w miejsce, którego nie знаła. Tuż przed nią otworzyła się niewielka polana, zasypana równiutko bielą. Kobieta zatrzymała się zaskoczona.

Śnieg był tu czysty, nieprzyprószony gałązkami ani korą. Jego idealnej gładkości nie psuły żadne ślady, a jednak na środku polanki biła po oczach smakowita czerwień.

Niewielki kopczyk usypany z malin.

*

Przybiegła do chaty ile sił w nogach, ile powietrza w piersi. Droga jakby sama układała jej się pod nogami, Nieradka ani razu nie upadła, wpatrzona w swoje własne ślady, po których wracała.

Zadudniła ręką w drzwi, wołając męża po imieniu, radosna jak skowronek.

Gorazd otworzył niemal natychmiast.

– Bogowie, gdzieś ty poszła?! – zakrzyknął z przerażeniem. – Wołałem cię! Przecież ja żartowałem z tymi malinami! Nie myślałaś chyba, że ja tak na poważnie?

– Ale ja je mam – odparła z uśmiechem, pokazując wsypane do zapaski maliny. – I nie tylko. Zobacz, kochany!

Jedną ręką przytrzymała zapaskę, palcami drugiej przesunęła po pięknie skreconej szpili, która przytrzymywała jej płaszcz na piersi. Mogła być ze srebra albo innego cennego kruszcu, lecz przede wszystkim z daleka szło poznać wytwór nie lada rzemieślnika.

Gorazd położył żonie dłoń na ramieniu, uważnie spojrzął na szpilę, jednocześnie gestem wciągając Nieradkę do chaty.

– Już myślałem, że cię straciłem. Nie możesz mi robić takich rzeczy!

Zamknął za nią drzwi, wypiął cenny mały drobiazg z płaszcza i uważnie obejrzał w świetle ogniska.

Nieradka, szczęśliwa i dumna z siebie, odwiesiła wełniany koc na kołek w ścianie.

– Wybacz, kochany. – Przesypała maliny do miseczki. – Szukałeś mnie?

– Wołałem – odparł. Uśmiechnął się, wciąż ściskając w dłoni zapinkę. – Nie wiedziałem, czy wrócisz. Ale skąd masz tę szpilę? Kto ci dał maliny?

– Znalazłam w lesie. Las mi dał.

Skrzywił się, nie dowierzając.

– Radeczko, ale powiedz mi prawdę.

– To jest prawda.

Gorazd podszedł, pocałował żonę w czoło.

– Przecież to niemożliwe – powiedział miękko.

– Wiem! – zaśmiała się Nieradka, szczęśliwa z okazanej czułości. – To las! Las jest dobry, mówiłam ci!

Gorazd zacisnął usta.

– Czy jest tam tego więcej? – spytał po chwili.

– Nie, chyba nie. Nie wiem.

– Musisz tam wrócić i przynieść więcej.

– Co? – Nieradka zamrugła z zaskoczenia. – Ale...

Drobne drgnienie mięśni na twarzy męża sprawiło, że nie dokończyła zdania. Gorazd już się nadał. Kobieta zamilkła w pół słowa i uśmiechnęła się łagodnie.

– Kochany, ja... – zaczęła, lecz wszedł jej w słowo.

– Idź, Radeczko. – Chwycił ją za dłonie i czule spojrzął w oczy. – Ten ktoś, kto ci to dał, na pewno ma więcej, po prostu nie szukałaś. To gdzie leży. Idź, przynieś tych skarbów. Maliny sobie zjedz, mi przynieś te świecidełka.

Delikatnie otulił ją płaszczem, który dopiero co zrzuciła z ramion.

– Ale nam się przysłużysz! – radował się, prowadząc kobietę do drzwi. – Wreszcie na coś się przydasz, czy to nie wspaniałe?! Idź!

Wystawił ją za drzwi, choć oponowała, kręciła głową i mamrotała coś pod nosem. Nie miała jednak siły mu się przeciwstawić.

I znów drzwi chaty zamknęły jej się przed nosem, a ona została sama na coraz bardziej szarzejącym śniegu.

Zmierzchało.

Uderzyła pięścią w drzwi i, jak poprzednio, wołała, by ją wpuścił.

– Nie żartuj, kochany! Już dość, to nie jest śmieszne! Zaraz będzie ciemno! Niedźwiadku!

Ale Gorazd milczał jak skała.

Nieradka zagryzła wargi, starając się powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Gdzieś w lesie z gałęzi spadła śnieżna czapa. Kobieta aż podskoczyła na ten huk.

Nie mogła zostać na noc przed chatą, a czasu na znalezienie schronienia zostało jej niewiele. W głębi lasu szybko robiło się ciemno.

Pobiegła ścieżką, na tyle szybko, na ile pozwalał głęboki i zmarznięty śnieg.

– Dobry lesie – modliła się po drodze – nie pozwól mi tu dziś zginąć. Daj mi ocaleć. Pozwól dotrzeć do jaskiń, nim zbudzą się upiory!

Dyszała i sapała, ale nie przerywała modlitwy. Skupienie na własnych słowach, na wyszukiwaniu kolejnych, wypowiedaniu ich z czcią pozwalało nie myśleć o niczym innym. Na przykład o strasznych kształtach kryjących się w zarysach pni i gałęzi. O obcych dźwiękach dobiegających z oddali. O Gorazdzie, który kazał jej odejść w las.

Nie chciała o tym myśleć, nie chciała widzieć ani słyszeć obrazów w swojej głowie.

Szła przed siebie, aż po pewnym czasie zatrzymała się niepewnie, rozejrzała wokół i serce podeszło jej do gardła. Nie poznawała tej okolicy. Stało się to, czego obawiała się najbardziej.

Zabłądziła.

Nie poznawała drogi ku jaskiniom, w których miała nadzieję znaleźć ratunek. Las wokół mroczył. Wczorajszy wiatr pozostawił po sobie ogrom połamanych i powalonych drzew, które skrzypiały przerażająco w nieznośnej ciszy.

Naraz zobaczyła przed sobą lisa. Stał odważnie na jej drodze, patrzył wprost na kobietę, a gdy się zatrzymała, ruszył w jej kierunku. Osłupiała patrzyła, jak dzikie zwierzę zbliża się spokojnym krokiem. Gdy było w połowie drogi, w ciągu jednego mrugnięcia okiem przedzierzgnęło się w wielkiego jelenia o potężnym porożu. Krok dalej było już borsukiem, a po chwili przyjęło postać wilka.

Nieradka rozdziawiła usta, pojmując, kogo ma przed sobą. Upadła kolanami w śnieg.

– Duchu lasu – zaczęła, chyląc głowę. – Dobry leszy, pomóż mi, bom zgubiła drogę! Nie oceniaj mnie surowo, nie karz...

Poczuła dotyk na ramieniu i zaniemówiła.

Uniosła głowę.

Zobaczyła nad sobą mężczyznę o długich, przetykanych paprociami i liśćmi włosach, spomiędzy których wystawało jelenie poroże. Twarz miał pociągłą, o wydatnych kościach policzkowych i szpiczastej brodzie. Trudno było odgadnąć jego wiek, nie był młodzieniaszkiem, ale też nie starcem.

Nieradka spojrzała w okrągłe sobie oczy i szarpnęła się do tyłu.

Leszy natychmiast cofnął się o krok. Uspokajająco wyciągnął rękę, a potem zmienił postać.

Urósł, plecy stały się szersze, a twarz...

– Nie! – krzyknęła Nieradka, widząc Gorazda.

Nie zgadzały się tylko oczy, zamiast znajomych niebieskich tęczęwek zobaczyła żółte ślepie.

Słyszając jej krzyk, duch lasu wydał z siebie coś jak szum liści i skrzypienie gałęzi jęczących na zimowym wietrze. Nieradka zdążyła mrugnąć i zamiast mężczyzny na śniegu stał długouchy zajac.

Zapadła cisza. Kobieta patrzyła na zwierzę, świadoma tego, że wcale zwierzęciem nie jest. Jej umysł dał się jednak oszukać na tyle, by mogła ochłonąć. Nie bała się przecież zajęcy.

Lasu też nie musiała się bać. Wiedziała, że mocarny stwór dawno by ją zgładził, gdyby taka właśnie była jego wola. Tymczasem on najwyraźniej starał się ją oswoić ze swą naturą.

– Wybacz, panie lasu. – Nieradka pochyliła czoło, prawie dotykając nim śniegu. – Rozumiem, że nie chcesz mnie przestraszyć. Przyjmij, proszę, dowolną postać według swego uznania, tylko nie zmieniaj się w mojego męża, błagam.

Zając urósł i przeobraził się w starca o długiej brodzie z wodorostów i leśnej trawy.

Nieradka patrzyła szeroko otwartymi oczami.

Duch lasu przemienił się więc w kobietę o ustach czerwonych niczym kapelusz muchomora i ciele dość kształtnym, lecz w pewien nieokreślony sposób niezgrabnym.

Na twarzy Nieradki odbiło się zawstydzenie pomieszane z zadziwieniem.

Wtedy leszy na powrót stał się mężczyzną o kanciastej twarzy i włosach pełnych gałązek i liści paproci.

Nieradka uśmiechnęła się, z ulgą witając znajome oblicze. Leszy również spróbował się uśmiechnąć i cała jego twarz rozpromieniła się tak, że smolarzowa aż westchnęła z zachwyty.

– Dziękuję. – Skłoniła głowę.

Zawsze wiedziała, że lasem rządzi sprawiedliwy duch, ni to demon, ni bóstwo. Nie zastanawiała się jednak nigdy nad tym, jak mógłby wyglądać. Naraz wydało się jej jednak, że postać, którą przybrał, bardzo do niego pasowała.

Leszy odwrócił się i ruszył przed siebie, lecz po kilku krokach zerknął przez ramię, jakby czekał, aż kobieta podąży jego śladem. Nieradka zebrała się z ziemi i otrzymawszy suknię z gródek śniegu, poszła ufnie za przewodnikiem.

Idąc z tyłu, mogła lepiej przyjrzeć się postaci. Mężczyzna nie zapadał się w śniegu i nie zostawiał na nim śladów. Jego odzież tylko na pierwszy rzut oka wyglądała na ludzką, tak naprawdę stworzona została z mchu, a tu i tam wyrastały na niej maleńkie sadzonki leśnych kwiatów.

Nieradka słyszała o dzieciach wyprowadzonych z lasu przez tajemniczego przewodnika i o drwalach przeganianych z wycinki przez strachy i dziwy. To wszystko przypisywano leszemu.

Myślała o tym, ufnie stawiając krok za krokiem.

Naraz leszy zatrzymał się i wskazał ręką drzewo rosnące na wyciągnięcie ręki. Było proste i strzeliste, lecz nieco powyżej głowy Nieradki zostało nacięte siekierą, gdy smolarz smakował je, jak zwykł był nazywać poszukiwanie odpowiednio żywicznego materiału na smołę.

Drzewo obumarło.

Nieradka poczuła wstyd, przygnieciona ciężkim spojrzeniem sowych oczu.

Spuściła wzrok zmieszana.

– Wybacz – wydusiła.

Chciała usprawiedliwić smolarzy, ale nie znalazła słów, którymi mogłaby trafić do serca lasu.

Leszy ruszył znów przed siebie, a wokół nich coraz szybciej zapadał wieczór.

Dotarli do skał wśród lasu. Leszy wskazał kobiecie szczelinę, nie szerszą niż jeden człowiek, a potem wsunął się weń i zniknął. Nieradka weszła za nim bez lęku.

Przecisnęła się przez wąski korytarz i wpadła do obszernej komory, wewnątrz której biło gorące źródło. Woda bulgotała w zagłębieniu dna jaskini, rozjaśniona od spodu niebieskawym światłem. Nieradka widywała podobne zjawisko w okolicznych jaskiniach i przypisywała je pewnym gatunkom roślin lub żywych stworzeń zamieszkujących ciepłe wody.

Światło było dość mocne, by mogła dostrzec leszego. Odszedł źródło, spojrzał na kobietę i wykonał zapraszający gest rękoma w kierunku wody.

Nieradka zmieszała się i poczerwieniła na policzkach.

– Wejść do środka? – upewniła się.

Duch lasu skinął głową i zaszemrał w swej dziwnej mowie. A potem, ku zdziwieniu kobiety, odszedł w kąt jaskini i odwrócił się do niej plecami.

Niejedno musiał podpatrzeć u ludzi. Widywał zapewne wiele par, które szukały na mchu przyjemności i nie krępowały się nagością. Najwyraźniej wiedział jednak także, że czasami należy nie patrzeć, gdy ktoś zamierza ściągnąć odzież.

Nieradka szybko zrzuciła z pleców odzienie i wsunęła się do mętnej, parującej wody. Ogarnęło ją ciepło tak przyjemne, że aż jęknęła z zadowolenia.

Leszy wydał z siebie coś na kształt śmiechu wilgi, zakończonego pytającym wizgiem kosa.

– Już możesz się odwrócić – powiedziała Nieradka, choć wciąż czuła się skrępowana.

Rogaty mężczyzna natychmiast na nią spojrzął, a było w jego oczach coś po sowiemu uważnego i po wilczemu głodnego.

Uklęknął na skraju niecki, w której Nieradka zanurzyła się aż po szyję. Otworzył dłonie i na skalną podłogę posypały się maliny, jeżyny, jagody i dzikie śliwki.

Usypawszy stos, który wykarmiłby kilka osób, mężczyzna odsunął się i spojrzął na swego gościa zadowolony z siebie.

Nieradka zdążyła zapomnieć, jak bardzo jest głodna, ale brzuch właśnie jej o tym przypomniał.

– Dzięki, stokrotne dzięki! – Uśmiechnęła się.

Siłą musiała powstrzymywać dłonie przed wpychaniem do ust całych garści owoców. Starła się jeść powoli.

Były to zresztą najsmaczniejsze jagody, najśłodsze maliny i najbardziej soczyste śliwki, jakie mogłyby rosnąć w lesie.

– To byłeś ty, prawda? – Nieradka podniosła oczy na leszego. – Tamte maliny i ta piękna szpila. Ona chyba nie należała do lasu...

Duch lasu siedział w kucki na wyciągnięcie ramienia, nie odrywając uważnego spojrzenia od twarzy kobiety. W odpowiedzi na zadane pytanie wskazał palcem podłogę i wykonał gest, jakby rozkopywał ziemię rękoma.

– Rozumiem – domyśliła się smolarzowa. – Ktoś zakopał swój skarb. Tak, słyszałam, że las jest pełen kosztowności, po które nikt nigdy nie wrócił. Mój mąż... Mój mąż wysłał mnie, żebym przyniosła więcej skarbów.

Leszy natychmiast przemienił się w Gorazda. Jego twarz przybrała wściekły wyraz, uniósł rękę jak do ciosu. I choć mąż nigdy nie uderzył Nieradki, na ten widok poczuła znajomy lęk przed jego gniewem.

– Nie, proszę! – Rozchlapując wodę, wyciągnęła dłonie ku leszemu.

Natychmiast znów przyjął poprzednią postać. Sowie oczy zamrugały niepewnie.

– Nie zmieniaj się w niego – poprosiła. – Chyba... nie chcę go teraz widzieć. Ale wiesz, on nie zawsze taki jest. Potrafi być bardzo dobry i czuły.

Leszy zamachnął się rękami, jakby ścinał drzewa. Potem naciągnął nieistniejącą cięciwę łuku.

Nieradka skinęła głową.

– Tak, ścina drzewa, niszczy je, poluje na twoje zwierzęta, ale on uważa, że jest człowiekiem lasu i że tego lasu starczy dla wszystkich.

Leszy warknął niczym wilk, jego kanciasta twarz stała się posępna i przerażająca.

– Wybacz! – Nieradka pokręciła szybko głową. – Rozumiem, że ciębie to boli. Mnie czasem też. Ale mój mąż jest smolarzem i nie potrafi robić w życiu niczego innego. Urodził się taki, z dziada pradziada smolarz. Kiedyś... – Zamyśliła się, oczy zaszły jej mgłą. – Kiedyś był inny, taki dobry. Patrzył na mnie jak nikt inny. Teraz więcej się złości, ale trudno mu się dziwić, nie jestem już taka młoda, nie dałam mu dziecka, zawsze robię nie to, co trzeba, i odzywam się, kiedy powinnam milczeć. Nie potrafię gotować strawy... Ech, powinnam się nazywać Niezdarka! Choć właściwie Nieradka też dobrze, przecież z niczym sobie nie radzę...

Zamilkła, zdawszy sobie sprawę, że zupełnie zboczyła z tematu. Ale leszy słuchał uważnie. Gdy przerwała, wskazał na nią palcem i na chwilę przemienił się w roczniaka, a ona od razu zrozumiała, co chciał jej powiedzieć, choć przecież nie używał słów.

– Tak, uratowałam koziołka. Ale to nie tak, że mój mąż jest zły, a ja dobra. Nie rozumiesz, jak to jest między ludźmi. U nich liczą się inne rzeczy. Widzisz, nie zasłużyłam na tak dobrego męża, to i wścieka się ciągle. Gdybym tylko potrafiła być dla niego lepszą żoną, taką, na jaką zasługuje...

Zmartwiła się, wrzuciła do ust kolejne maliny i zanurzyła w źródle aż po brodę.

Leszy patrzył na nią przez chwilę, a potem na moment stał się myszołowem o złamanym skrzydle. Wrócił do męskiej postaci i dobitnie wskazał palcem na kobietę.

Znów wiedziała, o co mu chodzi.

– Och, pamiętasz takie dawne dzieje? – zaśmiała się. – Już zapomniałam, że kiedyś spędził z nami zimę. Czy poradził sobie potem w lesie?

Leszy skinął głową i wykrzywił twarz w nieudolnym uśmiechu. Otworzył usta i usłyszała dziecięce głosiki wołające pomocy. Je także pamiętała.

– Tak, pomogłam im – powiedziała gorzko. – Gorzad był bardzo zły, bo mieliśmy wtedy mało zapasów, a dzieci dużo zjadły. Nie miałam serca im odmawiać. Zresztą zawsze mamy mało zapasów. Ale wiesz, co się potem stało? Dzieci wróciły do wsi i powiedziały, że trafiły do chaty wiedźmy. Narobiły mi więcej szkody niż pożytku.

Leszy zagwizdał po ptasiemu, ciekawie przekrzywiając głowę.

– Ludzie tacy są – odparła Nieradka. – Niczego dobrego od nich w życiu nie zaznałam. Jedynie Gorazd jest inny. Był. Był inny...

Westchnęła i posmutniała.

Leszy przysunął się bliżej krawędzi niecki z wodą i wskazał na siebie palcem.

Kobieta poweselała nieco.

– Tak, ty jesteś dobry. Powinnam tu zostać, zresztą i tak nie mam dokąd wrócić. Gorazd nie wpuści mnie do chaty bez skarbów, a jeśli mu je przyniosę, i tak zapragnie więcej. Znam dostatecznie dużo baśni, by o tym wiedzieć. Sama żyłam kiedyś w opowieści. W bajce o biednej dziewczynce, której ojciec poślubił złą macochę i którą uratował wspaniały mężczyzna. Wziął ją za żonę i zabrał daleko od miejsca, w którym doznała tylu upokorzeń. Miłował ją, nieba chciał uchylić. A potem... bajka się skończyła.

Zapadła cisza, lecz po chwili leszy potrząsnął głową. Zaszumiały gałązki w jego włosach. Nieradka patrzyła, jak na jego rękach powstają rany, a potem goją się, gdy przesunął je ku kobiecie.

– Nie wiem, co mi chcesz powiedzieć – rzekła, patrząc na kolejne jego gesty i przemiany. – Jestem silna? Nie, nie jestem. Tak, umiem leczyć. Babcia mnie nauczyła. To ona tak bardzo wierzyła w dobroć lasu. Przynajmniej wiem, że miała rację. Jesteś dla mnie bardzo dobry.

Złagodniał natychmiast, a potem nachylił się i jego twarz znalazła się bardzo blisko jej. W jego oczach mieszały się uczucia, jakby wciąż zmieniał postać lub chciał powiedzieć bardzo wiele, lecz ludzka postać nie pozwalała mu wyrazić wszystkiego.

Nieradka wyciągnęła dłoń i przyłożyła do jego policzka. Dopiero opuszki palców powiedziały jej, że twarz leszego pokrywała nie

skóra, lecz bardzo cienka kora.

– Dzięki ci, lesie – powiedziała cicho kobieta, patrząc w wielkie sowe oczy. – Od dawna nie dostrzegam w sobie niczego dobrego, ale gdy ty tak na mnie patrzysz, prawie wierzę, że mogę coś znaczyć. Oby tylko ta bajka nie skończyła się tak jak poprzednia...

Duch lasu przytknął usta do jej czoła. Jego wargi były suche i chropowate, jakby dotykało jej drzewo.

Poczuła spokój, jakiego dawno już nie zaznała.

Oparła głowę na ramieniu rogatego mężczyzny i przymknęła oczy. Pachniał mokrym mchem, suchymi liśćmi i sierścią.

Wiedziała, że musi mu być niewygodnie, ale nie mogła sobie odmówić przeciągania tej chwili o kolejne bicie serca.

Nie miała pojęcia, kiedy zasnęła.

*

Gdy się zbudziła, było ciemno. W jaskini nie szło poznać, czy nastał już dzień.

Leżała obok niecki z wodą, na posłaniu z mchu, którego nie pamiętała z poprzedniego wieczoru. Naga, przykryta własnymi ubraniami i płataniną traw uformowaną na kształt kokonu.

Leszy siedział w kucki pod ścianą, a jego duże sowe oczy mrugały z rzadka.

Przywitała go, czując się wypoczęta i wypełniona spokojem. Nie krępując się nagością, wsunęła na siebie odzienie.

Duch lasu podszedł i zaszumiał łagodnie, jak dębowe liście na jesieni.

– Muszę wracać. – Nieradka westchnęła z żalem. – Jestem człowiekiem, rozumiesz...

Przekrzywił głowę, ale po chwili skinął na znak zgody.

Wziął jej ręce, ułożył w koszyczek i nasypał w nie skarbów, które wzięły się znikąd. Nieradka aż usta otworzyła ze zdziwienia, gdy brosze, zapinki i monety z brzękiem wpadały do jej dłoni. Wsywała je do zapaski.

Zaraz jednak uśmiech stężał na jej twarzy, nabrał smutnego odcienia.

– Wielkie dzięki. – Spojrzała w swoje oczy. – Nie wiem, czy kupię tym dobry humor mego męża, ale jestem ci wdzięczna za pomoc.

Leszy uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

Poszli razem przez śnieg, a Nieradka rozglądała się wokół, pewna, że nie była nigdy tak daleko od domostwa. W końcu jednak zaczęła poznawać okolicę, aż wreszcie trafili do chaty smolarzy.

Kobieta pożegnała leszego na skraju lasu i dzielnie ruszyła przez przykryty śniegiem plac.

Drzwi chaty nie były zaryglowane. Gdy je pchnęła, ustąpiły, weszła więc do środka.

Palenisko ledwie się tliło, a Gorazd leżał na posłaniu obok i pustym wzrokiem wpatrywał się w głąb siebie. Gdy zobaczył Nieradkę, odwrócił głowę, by na nią nie patrzeć.

– Wróciłam – powiedziała, by złamać ciszę.

Nie odezwał się. Zamierzał ukarać ją ciszą. Znała to i poczuła w brzuchu znajome, pełne napięcia ssanie.

– Mam więcej skarbów, zobacz. – Przyklękła obok posłania i wysypała zawartość zapaski na klepisko.

Zabrzęczały drogocenne kruszce.

Gorazd obrócił ku nim twarz i zaszczycił srebro i klejnoty łaskawym spojrzeniem.

– A gdzie to byłaś całą noc? – rzucił. – Któż ci tak hojnie zapłacił za usługi?

Nieradka zacisnęła usta.

– Nikt – odparła spokojnie. – Znalazłam jaskinię z gorącym źródłem. Tam przenocowałam i tam znalazłam skarby.

Mężczyzna usiadł gwałtownie. Jego twarz, wykrzywiona wściekłym grymasem, znalazła się tak blisko twarzy Nieradki, że kobieta aż wstrzymała oddech.

– Masz mnie za głupca? Chcesz mnie ośmieszyć? – syknął Gorazd przez zęby. – Takich rzeczy nie znajduje się ot tak, do tego w środku zimy! Z kim żeś spała, pytam się!

– Z nikim! – Nieradka ośmieliła się podnieść głos. – Prawdę ci mówię!

Gorazd złapał się za głowę, zazgrzytał zębami z wściekłości.

– O słodki Perunie... – jęknął. – Że też mnie to spotkało! Co ja takiego zrobiłem, że mi przyszło żyć w takim upokorzeniu, z wrogiem pod jednym dachem?

Nieradka patrzyła na niego lękliwie. Wyraz twarzy miał tak szalony, że pragnęła odsunąć się jak najdalej, ale jej ciało było jak skamieniałe, niezdolne do ruchu.

– Przyniosłam skarby – zaczęła najłagodniej, jak potrafiła. – Zaraz pójdziemy do wsi, kupimy mięsa, zrobimy sobie ucztę...

– Tak, pójdę ja zaraz do wsi. Dorwę tego, coś się z nim puściła, i jak psa zabiję!

– Z nikim nie spałam!

– Milcz! – Gorazd uniósł ramię do ciosu, a Nieradka skuliła się w sobie.

On jednak opuścił dłoń.

– Nieee, nie zmusisz mnie, bym cię uderzył. – Pogroził jej palcem. – Nie zrobisz ze mnie potwora.

Pokręcił głową i podniósł się z posłania.

Nieradka również wstała, wreszcie odzyskując władzę w ciele. Nigdy nie widziała go takim. Grymas na jego pięknej twarzy przyprawiał ją o tak ogromny strach, że czuła się od niego chora. Gdyby nie pusty żołądek, pewnie by zwróciła jego zawartość.

Tymczasem Gorazd przechadzał się nerwowo w tę i we w tę po chacie.

– Jak mogłaś mi to zrobić? – nie przestawał mówić, choć zęby ścisnęła mu wściekłość. – Za tyle mojego dobra. Co ja ci takiego zrobiłem? Czy ja cię kiedyś uderzyłem? Sypiałem z babami? Piłem? Co takiego uczyniłem?

Nieradka milczała.

– Ludzie mieli rację – ciągnął więc. – Wszyscy wiedzieli, jaka jesteś. Po głowie mi pukali, jak cię brałem za żonę! I w końcu poszłaś się puszczać, jak twoja mamusia i jak twoja babusia. Ty to masz we krwi! Udajesz niewiniątko, a to ja tu jestem ofiarą. Ty jesteś złem wcielonym!

Mówił i mówił, a Nieradka przełykała łzy w gardle. Jego słowa raniły ją, lecz nie mogła odpowiedzieć, bo nic nie było w stanie uspokoić Gorazda. Wiedziała, że jeśli się odezwie, będzie tylko gorzej.

Spuściła wzrok i jej spojrzenie padło na rozsypane na klepisku skarby.

Wspomniała leszego, ciepło wody na skórze, zapach mchu, kory i sierści oraz spojrzenie wielkich sowych oczu.

Załkała w środku, a potem opadł na nią martwy spokój.

Nie czuła niczego, ani strachu, ani żalu, ani smutku. Podniosła wzrok na męża i zdziwiła się, że wyglądał tak obco, jakby to nie z nim spędziła te wszystkie lata.

Śledziła jego ruchy, gdy miotał się po chacie, lecz słowa, które wykrzykiwał, omijały ją, nie trafiały już do kobiecego serca.

Gorazd nie zauważył tej zmiany. Nie wiedział, że właśnie powinien zacząć się bać.

– No dobrze – odezwała się Nieradka uległym tonem. – Powiem ci, jak było naprawdę.

– No! – Gorazd uniósł ramiona. – Słucham! Proszę!

– Spotkałam w lesie wielkiego pana, widać, że władny jakiś. Spodobałam mu się, dostrzegłam to od razu, więc pozwoliłam, żeby dał mi prezenty za obietnice. Ale na obietnicach się skończyło, bo ja tylko ciebie miłuję i gdybyś mnie spokojnie wysłuchał, tobym ci powiedziała, że możemy razem do tego człowieka pójść i więcej skarbów zdobyć. On nietutejszy jest, nikt nie zauważy, jak zniknie. A my do końca życia będziemy żyć dostatnio.

Gorazd patrzył na nią kpiąco.

– I ja mam ci uwierzyć w tę bujdę? – spytał. – Gdzie niby ten chłop? Nie spałaś z nim tej nocy? Nie wierzę.

– Spałam w jaskini, jako ci rzekłam. Ale skarby dostałam od niego. Skąd inaczej bym je miała?

Była tak spokojna, że zadziwiła sama siebie. W spojrzeniu męża widziała rosnącą niepewność.

– I gdzie to było? – zapytał, ale już zwykłym tonem. – Gdzie go spotkałaś?

– W drodze do zachodnich jaskiń, blisko małej polany przy strumieniu.

Mężczyzna sięgnął po płaszcz wiszący na ścianie.

– Dobrze, zaraz się przekonamy – stwierdził, zarzucając na plecy odzienie. – Chodź, zaprowadzisz mnie do niego. Ale jeśli kłamiesz, nie wrócisz już z tej wyprawy, przysięgam ci, kobieto.

Chwycił stojącą w kącie siekiere i pogroził nią żonie.

Nieradka skinęła głową i poszła za swym mężem.

Szli po śladach, którymi wracała o poranku do chaty. Gorazd mamrotał wciąż groźby, a to skierowane do żony, a to do obcego bogacza.

– A jeśli mnie okłamujesz – rzucił złe spojrzenie idącej za nim kobiecie – to jak sukę cię ubiję. Jak sukę. Dość już pożyłem z tobą. Koniec twoich kłamstw, słyszysz mnie?

Słyszała, lecz nie odpowiadała. On zresztą wcale na to nie liczył, musiał tylko mówić.

Nieradka ścisnęła nóż ukryty pod płaszczem. Zgarnęła go z chaty, gdy zajęty sobą i swoją wściekłością Gorazd miotał się po klepisku.

Kobieta wpatrywała się w plecy męża i ścisnęła rękojeść.

Naraz smolarz zatrzymał się.

– O, witajcie! – zawołał głosem tak miłym i przyjemnym, że Nieradce znów zrobiło się niedobrze. – Co to tak sami po lesie chodzicie? Zgubiliście się?

Nieradka wyrzała zza męża i jej oczy stały się wielkie jak księżyce. Na ścieżce stał leszy, taki, jakim go ostatnio widziała. Aż zamrugnęła z niedowierzania. Gorazd szedł ku niemu, paplając przyjaźnie, jakby nie dostrzegał jelenich rogów i sowych oczu.

Może naprawdę ich nie widział?

Duch lasu stał na ścieżce i uśmiechał się lekko. Nieradka nie widziała w tym uśmiechu wesołości i nawet zdziwiło ją, że leszy zdolny jest do tak po ludzku fałszywego grymasu.

Z osłupienia wyrwał ją Gorazd, rzucając przez ramię przyciszonym głosem:

– To ten? – I nie czekając na odpowiedź, dorzucił z niedowierzaniem: – A niech to biesy, mówiłaś prawdę, że kogoś spotkałaś...

Leszy milczał, gdy podeszli do niego na odległość kroku.

– No witajcie – powtórzył smolarz. – Co robicie w tych stronach?

Duch lasu milczał, patrząc mężczyźnie w twarz z uśmiechem.

Gorazd posłał żonie zniesmaczone spojrzenie.

– Na pewno ten? – zapytał, nie kryjąc się nawet przed nieznanym. – Przecie to jaki ułomek. Półgłówek taki. Hej, człowieku, rozumiesz, co mówię?

Leszy nie odpowiedział. Popatrzył tylko na siekierę w dłoni smolarza i jego uśmiech stał się szerszy. Wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć narzędzia, lecz Gorazd cofnął rękę.

– Nie, nie, tego ci nie dam – powiedział jak do psa śliniącego się do ludzkiej strawy. – Ech, odejź, tumanie. Nie ciebie szukamy. Ty na biedaka wyglądasz, w dodatku bez piątej klepki. Idziemy, kobieto.

Minął leszego i ruszył dalej, a Nieradka spojrzała nienawistnie na jego plecy.

Równie dobrze mogła to zrobić teraz. Obecność leszego dodała jej sił.

Wysunęła spod płaszcza dłoń dzierzącą nóż i postąpiła za mężem. Leszy chwycił ją za nadgarstek. Spojrzała na niego, a sobie

oczy wbiły w nią żółte tarcze tęczęw.

Nie przestając się uśmiechać, leszy machnął ręką w kierunku odchodzącego mężczyzny i las na chwilę stracił ostrość.

Między nimi a smolarzem wyrosła ściana drzew i krzewów tak gęsta, że nie mogli już dostrzec mężczyzny. Słyszeli jednak, jak wydaje zaskoczony okrzyk. Jak wzywa żonę, dziwuje się i żąda wyjaśnień.

Nawoływał pomocy, lecz nie było nikogo, kto chciałby mu odpowiedzieć.

Po chwili jego głos zaczął się oddalać, aż zmienił się w cichy szept, a potem zniknął zupełnie.

Nieradka opuściła dłoń z nożem i rozpłakała się.

*

Drwale znaleźli ciało Gorazda na wiosnę, gdy stajały śniegi. Wkrótce potem dwóch mężczyzn przybyło do chaty pod skałą, żeby przekazać wieść wdowie.

Zdziwiło ich, jak odmienione zastali smolarskie obejście. Tam, gdzie dawniej była tylko ubita ziemia, doły po mielerzach i sadza, opuszczały się liczne kwiaty i zioła. Były różnorodne i, mimo wczesnej wiosny, bujne jak na początku lata.

Gdy zapukali do drzwi, otworzyła im smolarzowa, lecz i ona zdawała się jakaś inna. Miała w oczach coś nowego, nieprzychylnego ludziom. Na wieść o znalezieniu ciała zareagowała spokojem.

– Musiał zamarznąć w lesie – powiedział jeden z mężczyzn, kończąc opowieść.

– Musiał – odparła Nieradka, kiwając głową. – Dzięki za wieści.

Cofnęła się w głąb chaty z zamiarem zamknięcia drzwi.

– Zaraz! – krzyknął zdziwiony chłop. – Kiedy po niego przyjdiesz? Co z tryzną, ze stosem?

– Nie przyjdę – odparła zimno. – Jak dla mnie mogą go zeżreć zwierzęta, przynajmniej na coś się przyda.

Mężczyzna gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

– Jakże to, przecie się nie godzi! Gotów wrócić jako upiór!

– Za jedno mi, upiorem był już za życia. – Nieradka wzruszyła ramionami. – Potwory mi niestraszne, jak chcecie, to go pochowajcie. Gorazd nie jest już moim zmartwieniem.

*

Wokół chaty pod skałą nie było płotu. Nie było też podwórza. Tylko ogród pełen kwiatów i ziół, który łączył domostwo z lasem.

Mieszkała w nim kobieta, która pokochała las. A las pokochał ją równie mocno.

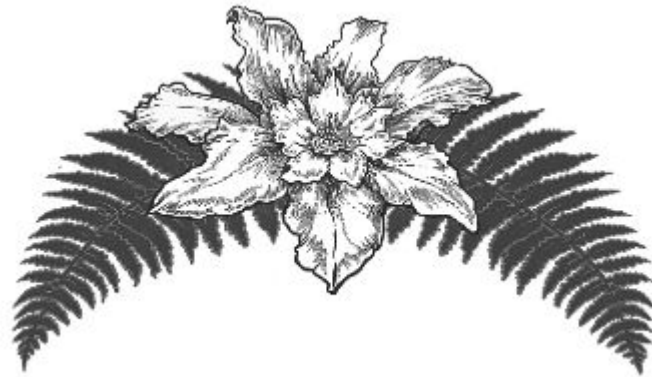


AGNIESZKA KULBAT

Dziecina się kwili, matusieńka lili...

Agnieszka Kulbat – piotrkowianka, pisarka i miłośniczka sportu, która mimo ukończenia Politechniki Warszawskiej postanowiła tworzyć powieści fantasy oraz thrillery. Jest autorką serii *Mojra* z gatunku fantastyki młodzieżowej oraz thrillera YA *Bujda*. Przez lata z sukcesami na arenie europejskiej trenowała oyama karate, dzięki czemu z przyjemnością w swoich książkach skupia się na scenach akcji, szczególną uwagę poświęcając walce wręcz.

Urodzona w 1998 roku, ukończyła Państwową Szkołę Muzyczną pierwszego stopnia w klasie fletu poprzecznego, którego nie zawaha się użyć na każdym, kto źle obchodzi się ze swoimi książkami.



*Przestań płakać, proszę, bo żalu nie zniosę,
Dosyć go mam z męki Twojej, którą w sercu noszę.*

Wojmir nie lubił przyjmować zleceń.

Nie w smak było mu łażenie po nawiedzonych chatach czy wysłuchiwanie żali krnąbrnych dusz, które jak na złość nie wykazywały chęci wstąpienia do Nawii. Ponad wszystko bowiem cenił sobie swobodę. Uznawał ją za wartość nadrzędną w swoim mało poważanym, ale za to iście beztroskim życiu bawidamka, złodzieja i wędrowca. Nie bez powodu przecież już od kilku lat, nie zważając na porę dnia czy nocy, podróżował między karczmami, zamtuzami i cmentarzami w kolejności dowolnej.

W związku z tym zleceń podejmował się tylko w stanie skrajnego zagrożenia dla ciężaru swej skórzanej sakiewki, którą podwędził kiedyś ofierze lokalnego utopca.

Zwykle zadanie Wojmira polegało na zachęceniu jakiejś upartej zjawy do odejścia ze śmiertelnego świata. Bardziej bądź mniej dobrowolnie. On jednak, mimo że był upoważniony do takich

czynów jak nikt inny, wzbraniał się przed nimi, stąd ostatnimi czasy nie śmierdział groszem. Tylko z tego powodu przyjął dzisiejszą robotę. Przy okazji próbował przekonać samego siebie, że ta wcale nie obdzierała go z dumy godnej co najmniej biesa, a nie syna barczystej karczmarki spod Gniezna, mającej, prócz niego, jeszcze trójkę innych dzieci.

Każde wyjątkowe, gdyż każde z innego ojca.

Wojmir był z nich wszystkich najbardziej niezwykły. Nie podlegało to absolutnie żadnej dyskusji, co wiele razy potwierdzał sam zainteresowany. Natura jego rodziciela wyróżniała go na tle innych ludzi, bo jako że był żmijowym bękartem, chaos towarzyszył mu zawsze i wszędzie.

A jeśli już o chaosie mowa...

– Psiamać, na co mi to było! Duszyska cholerne, przebrzydłe – syknął, zamaszystym krokiem oddalając się od nędznej, jednoizbowej chałupinki pod lasem. – Kto to widział, żeby człowiek musiał użerać się z takimi marami z własnej woli – mówił dalej do siebie pełen złości.

Duch, z którym miał dziś do czynienia, był za życia chuderlawym młodzieńcem o zdrowiu wiotkim jak świeżo skoszone żyto i stopach małych jak dzierlatka. Szczeniak jedynie serce miał zbyt wielkie, bo to pomieściło w sobie uczucia względem więcej niż jednej panny. A panny... Cóż. Wojmir znał potęgę ich zazdrości. Lekceważenie jej zalatywało głupotą, o czym młody Racisław najwyraźniej zawczasu nie pomyślał. Choć imię nosił nie byle jakie, bo już ono samo robiło z niego sławnego wojownika, poległ z kretesem w starciu z dwiema zranionymi kobietami.

Należący do nich gniew nawet po śmierci trzymał go w krainie żyjących w postaci wyrzutów sumienia.

Zwalczenie ich leżało w kwestii Wojmira, który na zlecenie matki biedaka miał przemówić mu do rozsądku. Ku uciechu mężczyzny okazało się to całkiem proste, bo aby to osiągnąć, wystarczyło wyłożyć mu swoją filozofię pod tytułem „baba jak baba, złe o wszystko są zawsze i nie warto się tak pieklić, bo to je jeno raduje”. Racisław, usłyszawszy tę prawdę objawioną, szybko zrzucił okowy swojego babskiego zniewolenia i grzecznie wybył wprost pod bramę do zaświatów Welesa, strzeżoną przez samego Żmija.

„Co z niedorostkiem zrobi już ojciec, to nie moja bolączka”, pomyślał Wojmir i wytarł brudne od sadzy dłonie o spodnie.

Wszystko dlatego, że Racisław, zanim polubownie zgodził się na odejście, wleciał w stare palenisko jak opętany i wzburzył kopeć, który zapaskudził Wojmira od stóp do głów.

– Nowa koszula na zmarnowanie – warknął ten do siebie i przyspieszył na widok pochodni w oddali wybijających się na tle ciemnego nieba.

Zmierzał do pobliskiej wioski. Pod znajdującym się w niej pręgierzem czekać miała na niego stara Radzanowa, matka kochliwego Racisława, co to każdego wieczora w gorączkę popadała z obawy, że jej najmłodszy nigdy nie odnajdzie spokoju w boskich zaświatach.

„Głupi był, to nie dziwota... Dwie panny można obracać do woli, jeśli albo te o sobie od początku wiedzą, albo nigdy, przenigdy się nie dowiedzą.

Nie inaczej”.

– Dobrodzieju mój, czekaj ino!

Wojmir na te słowa zatrzymał się i odwrócił.

W ciemności nocy, na dróżce pomiędzy chatami, ujrzał pędzącą ku niemu Radzanową. Z racji tego, że jaka matka, taki syn, stara Radzanowa była chuda niczym młodziutki brzozowy badył. Mężczyzna, patrząc na nią teraz, mimowolnie zaczął się zastanawiać, jakim cudem urodziła piątkę dzieci i nie pomarła przy porodzie z tak lichym ciałem.

– Dobrodzieju zmijowy mój. Powiedz mi – wycharczała, gdy tylko zatrzymała się przed ubabranym w sadzy Wojmirem. – Na Peruna! Co się stało?

– Syn pani się stał – odparł Wojmir, niezdolny do niezwracania uwagi na jej wystający spomiędzy warg krzywy ząb. Tylko jeden. – Zanim dał się ugłaskać, tak mnie urządził.

Oczy starej Radzanowej zaświeciły się jak na zawołanie.

– Czyli syn mój wolny jest już? Przekonać się dał?

– A dał.

Kobieta drżącą dłonią starła łzę z pomarszczonego, spalonego słońcem policzka. Wojmir już wiedział, co to znaczy, i nie miał na to ochoty. Mimo że w pocieszaniu był bardziej niż dobry, to specjalizował się w młódkach, a nie w ich matkach. Od tych drugich oczekiwał jedynie zapłaty za swoje usługi.

I to nie w naturze.

– Och, mój dobrodzieju, ty tak z tymi duchami gadać umiesz jak nikt – ciągnęła dalej stara Radzanowa, niebezpiecznie zbliżając się do granicy jego cierpliwości. – Ja z nim tyle razy próbowałam do ładu dojść, ale ani on mnie nie rozumiał, ani ja jego. Jakbyśmy w innych językach gadali do siebie.

– Bo zwykły człowiek nie rozumie duchów... – mruknął wymijająco Wojmir i zaczął rozglądać się za miejscową karczmą Na Gościńcu, na której poddaszu wynajmował pokój. Był pewien, że powinien ją stąd widzieć. – Taki mój dar, że ja z nimi i z demonami gadać umiem. – Chrząknął zamyślony. – I dlatego zapłata mi się należy.

Radzanowa w pośpiechu sięgnęła do swojej ubłoconej na krańcach spódnicy.

– Juści, juści. – Włożyła kościstą dłoń do kieszeni. – Już. Dwanaście półgroszy koronnych, tak?

– Trzyście, odkąd syn mnie tak tą sadzą urządził.

Choć nie obyło się bez cichego przekleństwa pod nosem kobieciny, monety po chwili wylądowały w dużej dłoni Wojmira, a zaraz później w jego sakiewce. Wreszcie dość ciężkiej, aby mógł dać sobie spokój z tymi cholernymi zleceniami i powrócić na jakiś czas do zwyczajowego okradania duchów.

– Do widzenia, pani Radzanowa – rzucił Wojmir, gotowy do odejścia.

Starsza kobieta jednak wtem złapała go za łokieć i z krzywym uśmiechem odrzekła dumnie:

– Ja tak czułam, że z pana dobrodzieja to jest fachowiec, więc wszystkim w wiosce powiedziałam, jakie rzeczy robić pan umie.

Wojmir jęknął cicho, obrócił się ku niej i spojrzał z góry na jej siwą czuprynę skrytą pod za małą chustą w kolorze kwitnących maków. Skupiwszy się, wejrzał w jej wnętrze, gdzie zobaczył ruchliwą duszę mieniącą się złotem.

„Aż ciężko uwierzyć...”.

Ponieważ tylko osoby o wielkiej dobroci w sercu mogły się taką pochwalić, przypatrzył się kobiecie uważniej.

Większość ludzi była wątpliwa moralnie, więc nosiła w sercu szarość brudnego srebra z wyjątkiem okrutników plugawych, morderców i innych takich, których dusze skąpane były w czerwieni na podobieństwo krwi ich ofiar.

A Radzanowa?

Wbrew podejrzeniom Wojmira promieniała złotem.

– Pani Radzanowa. – Założył ręce na piersi, poirytowany, i ściszył głos, gdy mijał ich jeden z mieszkańców. – Ja pani wyraźnie mówiłem przecież, że to ma tajemnica być.

– Ale ja nie mogłam, nie mogłam. – Radzanowa pokręciła zdecydowanie głową i znów odezwała się z pasją: – Tylu ludzi problem ma z duchami czy tam innymi zmarami.

– Zmorami jak już – poprawił ją Wojmir i poddawszy się chwilowemu zrezygowaniu, ruszył ku karczmie, a więc w stronę najbliższego zakrętu przy największej chałupie we wsi.

Radzanowa bez wahania popędziła jego śladem, drobiąc przed siebie w zawrotnym tempie, bo mężczyzna liczył sobie dwa metry i nawet nie myślał o czekaniu na irytującą go kobiecinę.

– O tak. Zmorami. – Dogoniwszy go, zgodziła się z zapalem i w porę przeszła nad końskim łajnem leżącym jej na drodze. – Ja się tam nie znam na tych potworzyskach. Dlatego takiego dobrodzieja nam tutaj w Pogorzeli trza.

– Pani wybaczy, ale jutro wyjeżdżam i wracać nie zamierzam – odparł chłodno Wojmir z nadzieją, że jego niedawna zleceniodawczyni odpuści.

Nic bardziej mylnego.

– To my tu zatrzymamy pana, a co! Gostyniowa problem z jakimś małym diabełkiem ma podobno.

– Do diabełków to sobie księdza zawołajcie.

– Oj, nie, nie. – Radzanowa skrzywiła się i splunęła z pogardą gdzieś w bok. – Oni głusi są na takie rzeczy. Tylko tego swojego Jezu Krysta chwala, ale do roboty to oni ostatni.

Wojmir odetchnął, wreszcie widząc przed sobą lichą karczmę, która starsza mogła być od niego samego, czyli lat miała więcej niż osiemnaście, ale mniej niż dwadzieścia pięć. Nieścisłość ta wynikała z zagubienia Wojmira w rachubie latek, bo liczenie ich ewidentnie nie widniało na liście jego priorytetów. Postanowił mieć więc tyle lat, na ile się czuł.

Dziś ta liczba ewidentnie wynosiła dwadzieścia jeden i pół.

Już zaledwie na wyciągnięcie ręki miał karczmę, a w niej ciepłą strawę, bulgoczącą jeszcze w garze wiszącym nad paleniskiem. Jej pyszny zapach ulatniał się na dwór i wabił do środka nie tylko Wojmira, ale też innych, co dali skusić się wizji ciepłego jada.

A on, zamiast wejść do środka, nadal sterczał na dworze w towarzystwie starej Radzanowej i patrzył jedynie, jak do tawerny wchodzi trzech mężczyzn w podobnym mu wieku. Bez wahania uznał ich za idealnych kompanów do wieczornego smakowania miejscowego trunku. Trunek ten, znaczy alkohol, był mu bowiem bliski z definicji. Palił jak ogień i płynny był jak woda, czym zaprzeczał samemu sobie – dokładnie jak Wojmir, którego imię łączyło w sobie walkę i pokój.

„I właśnie dlatego zasługuję dziś na dwa kufle ciemnego piwa, coby te wilki dwa w sobie uśpić i nikomu krzywdy w imię porządku nie zrobić. Tak”.

– Pani Radzanowa – chrząknął, chcąc raz na zawsze pożegnać się z namolną kobietą. – Zmęczony jestem, muszę położyć się spać.

– Ano jasne. – Zgodziła się ochoczo staruszka. – Męczyć pana musi to panowanie nad duchami i tymi tam, zmarami.

– Zmorami, pani Radzanowa. Zmorami.

– Słuch mnie myli czy ktoś powiedział „zmora”?

Na dźwięk pięknego jak ptasi trel kojącego głosu Wojmir spojrzął przez ramię, w stronę wejścia do karczmy.

Mącone nocnym wiatrem światło pochodni przy drzwiach oświetlało urodziwą dziewczynę odzianą w szarą spódnicę i koszulę bladą jak lico jej właścicielki. Dłonie nieznanym były smukłe i niestrudzone pracą w polu, co zauważył, gdy tylko się do niego zbliżyła. Jego uwagę natychmiast przykuły również jej sarnie zielone oczy, zadarty i drobny nos oraz dusza...

Z najprawdziwszego złota.

– O, panienka nie stąd, tak? – Radzanowa chwyciła się pod boki i oceniająco omiotła ją wzrokiem.

– Tak, tak. Przed godziną przyjechałam dopiero. – Młoda kobieta dygnęła wyuczenie w stronę Wojmira, który, zaintrygowany, skłonił się lekko. – Czy ja dobrze słyszałam, że państwo o zmorze rozmawiali?

– A tak – odparła Radzanowa, nawet nie kryjąc niechęci wobec obcej. Z dumą wskazała palcem na pokrytego starą sadzą mężczyznę. – Ten oto szanowny pan Wojmir, żmijowy syn, okiełznać duchy i inne okropieństwa potrafi w mig.

– To umiejętności godne pochwały! – zaszcebiotała dziewczyna. Uśmiechnęła się szeroko i tak cudownie, że aż Wojmirowi nogi zmiękły na myśl o jej kształtnych ustach i...

– Jeszcze jak! Nazywa siebie „widzącym”, bo duchy, te no, widzi – podchwyciła temat staruszka. – Ledwo co duszę mojego syna do Nawii odesłał!

– Pod bramy Nawii – chrząknął ten, nagle zakłopotany. – Tam gdzie ojciec mój wejścia do zaświatów pilnuje.

– No, tak, tak. Jeden pies. – Kobięcina machnęła dłonią i już chciała się ponownie odezwać, gdy nieznajoma weszła jej w słowo.

– Miło cię poznać, Wojmirze. – Panienska skłoniła leciutko głowę w geście powitalnym. – Zwą mnie Żywia, bo przyszłam na świat w pierwszy dzień wiosny.

– Mnie również miło cię poznać – odparł Wojmir, nie panując nad nieznanym do tej pory sobie speszeniem spowodowanym nadzwyczajną niewinnością i pięknem dziewczęcia wpatrzonego w niego jak w obrazek.

– Mocosz we własnej osobie musiała mi cię tutaj zesłać – powiedziała Żywia z cichym westchnieniem, po czym zmarkotniała. Jej piękną twarz momentalnie skalał smutek tak głęboki, że aż Wojmirowi zaparło dech w piersi. – Bez powodu bym nie trafiła wprost na ciebie, gdy akurat szukam takiego wojownika jak ty...

– Nie jestem wojownikiem – odparł mężczyzna i podrapał się po karku, gdzie przed chwilą ugryzł go komar.

– Z duchami walczysz, czyż nie? – Spojrzała na niego z ufnością. – Czy źle zrozumiałam?

– Źle.

– Dobrze! – Przyklasnęła Radzanowa.

– Źle – burknął Wojmir, zirytowany. – Potrafię je tylko uspokoić i wysłać pod bramy Nawii – powiedział, zwykle z początku nie chwając się zdolnością podjęcia z nimi rozmowy.

– Och! – Oczy dziewczyny rozbłysły w podekscytowaniu. – To mi w zupełności wystarczy!

– I widzisz pan, panie dobrodzieju. – Radzanowa nachyliła się ku niemu z cwany uśmiechem na swych popękanych od upału wargach, które właśnie oblizwała wymownie. – Nie dość, że zlecenie zem panu załatwiła, to jeszcze dziewczuszkę piękną jak rusałka!

Wojmir, wbrew swojemu poprzedniemu nastawieniu, zaśmiał się donośnie, bo musiał przyznać, że stojące przed nim dziewczę było naprawdę wyjątkowej urody. Dla takiej kobiety mógł skusić się na jeszcze jedną wyprawę po jakiegoś ducha.

– To jak? – Żywia dotknęła ramienia Wojmira, aby zwrócić jego uwagę. Zamrugowała kilkakrotnie i obdarzyła go jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów. – Czy mogę liczyć choćby na wysłuchanie?

– Łeee, rano najwcześniej! – Radzanowa wskazała z niesmakiem na skołowanego mężczyznę. – Nie widzisz, dziewczyno, że on sam jak zmara teraz wygląda? Brudny od stóp do głów!

– Ale...

– Żadnego ale! – wtrąciła się kobiecina, nie przyjmując niczyjego sprzeciwu. – Całyś w sadzy jest, dobrodzieju mój. Jeszcze piękną koszulę tej panny zabrudzisz. Spotkanie rano bym zrobiła.

Wojmira fascynowała werwa Radzanowej, która najwyraźniej uważała się nie tylko za swatkę, ale też za jego partnera.

„Nim się zorientuję, będzie chciała monetę od każdego zlecenia...”.

– Zgadzam się – powiedziała Żywia i cofnęła dłoń, a na jej policzkach wykwitł rumieniec, lekko zakrywając jej delikatne piegi. – Czy mogę rano liczyć na twój czas, Wojmirze?

– Cóż... Ja...

– Ależ tak! – huknęła Radzanowa i wyprostowała się, co było wyzwaniem przy garbie znaczącym jej plecy. – O świcie się widzimy, tak żem ustaliła.

Widzący, zmęczony szalenie, westchnął. W jednym Radzanowa miała rację – z pewnością nie chciał poznawać Żywii bliżej, wyglądając jak kocmołuch, i tylko dlatego przystał na jej propozycję.

– Niech będzie – przytaknął i skinął głową w stronę uradowanej dziewczyny. – Do zobaczenia rankiem.

– Do rana, Wojmirze. Do rana!

Skłoniwszy się krótko, acz sztywno i niedbale, Wojmir odwrócił się, po czym ruszył w stronę karczmy.

Z tego wszystkiego – z powodu Żywii, znaczy się – nie wypił obiecanych sobie wcześniej dwóch kufla piwa. Ba, nawet po jeden nie sięgnął, bo popędził po schodach na górę, jakby go co goniło, i zatrzymał się dopiero w swoim pokoju na poddaszu, gdzie oparł się plecami o drzwi i przymknął powieki.

„Racisława dziś pouczałem, że głowy dla baby nie warto tracić, a teraz sam głupieję”.

Nękaną tą myślą zamówił jadło z dostawą do pokoju, umył się dokładnie w balii zimnej wody i ogolił brzytwą. Godzinę po powrocie do karczmy był już gotowy na jutro. Okazało się tylko, że jutro nie było gotowe na niego.

I na Żywie.

*

Tej nocy Wojmir nie zmrużył oka.

– HUUULAJ dusza! Pieeeekła nie ma! – doleciało do niego z parteru, gdzie przed godziną zebrało się ludzi jak mrówek.

Jako że było to zwyczajowe w Pogorzeli nawoływanie do wspólnego śpiewu, karczma zatrzęsała się od kilku tuzinów głosów, jednolicie śpiewających lokalną przyśpiewkę o księdzu, co to w pobliskim jeziorze z wodnicą poszedł w tany. Piosnka była niezbyt wzniosła, ale skoczna, a o to w niej przecież chodziło. W dodatku w tym rejonie Polski bardziej niż pożądana, bo Pogorzela znajdowała się w okolicach poznańskich, to jest w pobliżu miejsca, gdzie rezydowała Rada Pogańska króla Jagiełły. Chrześcijańska osiadła w Krakowie, i to tam zwykle podejmowała swoje decyzje. Choć kraj się przez to na pół podzielił, bo nic tak dobrze jak wiara tego nie robi, naród jego pozostał spójny.

Całkiem.

Pomimo ogólnie panującej w Polsce zgody nie mogło się obyć bez oskarżeń w sprawie pogańskich czarów bądź diabelskich opętań. Zależało tylko, kto kogo oskarżał, a znaczenie miało to priorytetowe. W większych miastach z tego powodu nie było poranka bez chłosty i co Wojmira radowało przemożnie, w pięty dostawało się nie tylko welesowym dzieciom, ale tym chrystusowym też.

Jednym za magię i demony, drugim za grzechy wobec swojego boga.

„Bo równowaga w świecie być musi”.

Dziki tańce weselne trwały prawie do samego świtu, utrudniając Wojmirowi spokojny sen, w związku z czym poranek był mu trochę nie na rękę.

Szczególnie gdy zszedł na dół wraz z pierwszym pianiem koguta i zobaczył...

– No, tylko dziada z babą brakuje – mruknął pod nosem, lekko kopnąwszy leżący na podłodze pęknięty kufel.

Naczynie potoczyło się po krzywych deskach aż pod samą ladę, gdzie na taborecie ostał się ostatni uczestnik weselicha; chłop o głowie łysej jak kolano i niewładnej w połowie dolnej wardze, ukazującej jego gnijące zęby. Twarzą leżał w kałuży własnej śliny, a jego prawa ręka zwisała bezwładnie z dłonią na wysokości zdjętych do kolan spodni. I to wszystko w otoczeniu pustych glinianych mis i kubków walających się po pomieszczeniu.

Wojmir oparł dłonie na biodrach z rezygnacją.

– Nic tylko nasrać na środku – bąknął do siebie z dezaprobatą, przystając przy ladzie.

– Tak na zawołanie nie umiem...

Wojmir parsknął pod nosem, nawet rozbawiony odpowiedzią pijaka, który właśnie postanowił się przebudzić. Jedyłą niebrzydka, niezarzyganą i nieobślinioną rzeczą, jaką ten miał na sobie, był wianek ślubny panny młodej leżący krzywo na jego kanciastej głowie.

– HUUULAJ dusza, piekła nie maaa! – zawył chlejus, ledwo trzymając się na stołku. – Niech ten cały Chryst w cholere pójdzie, nie?! – Oparł się łokciem o blat tuż obok Wojmira i w przyływie radości objął go niespodziewanie ramieniem, po czym zaczął się bardzo donośnie drzeć: – Tylko Perun! Tylko Weles! Precz ze zdrazieckim jezusowym bogiem! – A potem skandować, prosto z serca i z ogromną dumą: – Po-ga-nie! Po-ga-nie! Po-ga-nieeee...

Ostatnią sylabę przeciągnął niekontrolowanie, upadając na podłogę w momencie, gdy Wojmir odrzucił go od siebie. Moczygęba zaczął bowiem nachylać się ku niemu coraz bardziej, a śmierdział

gorzej niż najgorsze prosię: tygodniowym potem, szczykami i wyjątkowo niesmacznym piwem.

– Po-ga-nie! Po-ga-nie! – wołał dalej, dopóki karczmarka, przypominająca Wojmirowi jego matkę, nie zdzieliła go chochlą po łbie.

– Zawrzyj pysk, łysa pało, bo po męża pójdę!

Ten usłuchał dopiero za czwartym trzaśnięciem go w skroń, a wtedy kobieta, zdyszana nagłym wysiłkiem, przetarła pot ze skroni.

– Zbiesił się on czy co... – rzuciła pod nosem, nadal patrząc czujnie na najzacieklejszego wroga chrześcijaństwa w regionie.

– Zbytnio wczuł się we wczorajszą zabawę – mruknął Wojmir i sięgnął po podpłomyk, których pełną misę właścicielka postawiła przed nim, zanim uciszyła pijaczynę.

– A tyś czemu nie zlażł wczoraj? – odpowiedziała pytaniem Rzepicha, karczmarka korpulentna, stanowcza i podająca przepyszne, choć skromne jedzenie. Ciągle sapiąc, przystanąła przy jego krześle. – Od tygodnia codziennie żeś hulał wieczorami, a teraz najlepszą zabawę w okolicy żeś odpuścił? Ech... – Oparła chochlę o porysowaną drewnianą ladę i pochyliła się w stronę Wojmira. – Ale może to i dobrze. Podobno wczoraj do chaty Zagłoby bożątko z wizytą wpadło. Kto wie, co jeszcze tej nocy uwolniło się z welesowego królestwa.

– Stamtąd nic się nie uwalnia, Rzepicha – mruknął między jednym a drugim kęsem podpłomyka. – Jeśli pojawiło się u nas, to znaczy, że nigdy tam nie trafiło.

– Ta, ta. Znowu te swoje żmijowe dyrdymały chcesz mi tu wciskać.

- Prawdę mówię!
- Tak jak tę, że twój ojciec to wąż.
- Rzepicha, ty mnie nie denerwuj lepiej...

Kobieta prychnęła i odwróciła się ostentacyjnie.

– Wiem, wiem, bo jeszcze się mi tu zagotujesz i tej dzierlatki, coś wczoraj ją przed karczmą upolował, nie dopadniesz.

Wojmir w odpowiedzi posłał jej spojrzenie wyrażające całą jego niechęć do kontynuowania tej rozmowy, co Rzepicha zrozumiała w mig, bo zniknęła w kuchni bez słowa. W sali pozostawiła go jedynie w towarzystwie pochrapującego pijaka wciąż leżącego na wznak na podłogowych deskach. Dopiero na dźwięk skrzypienia leciwych drzwi prowadzących do karczmy obrócił się za siebie. Od razu uniósł kącik ust w uśmiechu, gdy w progu stanęła piękna niczym poranek Żywia w sukni błękitnej jak oczy Wojmira.

– O, spóźniona jestem? – zapytała nieśmiało, oprószona blaskiem wschodzącego za jej plecami słońca. – Wybacz, wstałam rano i spaceru mi się zachciało. Myślałam, że wrócę na czas i...

– Nie, nie. Nic się nie stało. – Wojmir wstał, w ostatniej chwili strzepnąwszy z rękawa okruszki po jedzonym jeszcze chwilę temu podpłomyku. – Rzepicha! – zawołał w stronę kuchni, skąd dochodziły odgłosy szczekania naczyń. – Dwa razy miód pitny! Najlepszy, jaki masz!

Wyjął ze swojej sakiewki monetę w celu zapłaty, po czym usiadł naprzeciwko Żywii, przy stole pod oknem z widokiem na drogę.

Dumny był z siebie, bo alkohol zamówił nie byle jaki – nie najtańszy, a to już dużo.

– Się robi! – odkrzyknęła Rzepicha i w mgnieniu oka, jakby miała je przygotowane, postawiła przed nimi dwa kufle

z zamówionym trunkiem. – Na mój koszt, aby wam się dobrze gawędziło!

Po równie nagłym odejściu co przyjsciu karczmarki przy doświadczonym wieloma latami stoliku w rogu tawerny zapadła cisza. Wojmir nagle jakby stracił swoją werwę, przez co zupełnie sam siebie nie poznawał. Z nerwów zaczął bębnić palcami o blat. Nigdy nie zachowywał się tak w towarzystwie kobiety, a dziś wręcz języka mu w gębie brakowało.

„Może wzięła i urok na mnie rzuciła jakiś, bo to aż niemożliwe...”.

– Więc ja o przysługę przyszedłam prosić, póki Radzanowej nie ma – zaczęła cicho Żywia, bawiąc się dłońmi. Wyglądała pięknie, zjawiskowo, bosko. Tak pięknie, że Wojmir zupełnie nie skupił się na tym, co właśnie powiedziała. – Jak mówiłam wczoraj, to sprawa niecierpiąca zwłoki i idealna dla kogoś o tak wspaniałych zdolnościach jak ty.

Skończywszy mówić, uniosła wzrok i spojrzała prosto na Wojmira, który otrząsnął się w porę.

– Cóż, tak. Dobrze – chrząknął. – Słucham.

Żywia ujęła swój kufel i upiła z niego maleńki łyk.

– O pomoc dla mojej umierającej matki przyszedłam prosić. – Ujrzawszy nietęgą minę Wojmira, szybko dodała: – Ona żyje! Jeszcze... W każdym razie poprosiła, abym przed śmiercią przyniosła jej listy, jakie to pisał do niej jej ukochany, a mój ojciec.

Niespodziewanie w najbliższą im szybę uderzył wróbel, napędzając stracha Wojmirowi, który od razu podniósł się z krzesła. Widzący chciał uchylić okno, aby sprawdzić, jak miewa się ptak, ale dziewczyna zatrzymała go.

– Zostaw. – Wydęła drobne wargi w niechęci. – Wróble jak myszy, biedę ze sobą niosą.

Zmarszczył brwi, wahając się. Ostatecznie, zdecydowawszy się usłuchać dziewczyny, usiadł z powrotem.

– I dlaczego potrzebujesz akurat mojej pomocy? – zapytał niemrawo, czym wrócił do poprzedniego tematu.

– Bo te listy, Wojmirze drogi... – Żywia zacisnęła usta i wzdrygnęła się ze strachu. – W naszym starym domu są uwięzione. A razem z nimi... zmora.

Powiedziawszy to, objęła się rękoma na samo wspomnienie. Jej falowane włosy koloru dojrzałej pszenicy, zachwycające Wojmira za każdym razem, gdy na nie spojrzał, opadły przy tym ruchu na skryte pod koszulą panny piersi.

– Okropna zmora – mówiła dalej. – Myśmy się przez nią musieli z tego domu wynieść.

– Szeptuchy żadnej w okolicy nie było, żeby pomogła?

– Żadna się nie zgodziła tego podjąć – powiedziała cicho Żywia i wyraźnie się zgarbiła. – Ja bym chciała tylko, żebyś tam poszedł ze mną i te listy ze środka zabrał, skoro ułaskawić takie potwory umiesz. To widziadło przebrzydłe uwięzione jest w domostwie. Do tej pory nie przekroczyło jego progu i nie sięgnęło mego gardła tylko dzięki magii wiedźmarza, co akurat w mieście się wtedy zatrzymał.

– I ten cały wiedźmarz wolał ją uwięzić niż wypędzić? – W niskim głosie Wojmira słychać było zdziwienie, na co Żywia tylko wzruszyła ramionami.

– Powiedział, że nic innego nie umie. Ale nabzdryngolony był wtedy porządnie, może to dlatego.

Mężczyzna prychnął z rozbawieniem i zapytał:

– A zapłata?

– Myśmy z braciszkiem moim najukochańszym zdecydowali, że wszystko, co w środku znajdzie nasz wybawca, jego będzie.

Brew Wojmira uniosła się w zdziwieniu.

– Skąd pewność, że cokolwiek tam zostało?

Żywia sięgnęła ku jego dłoni, objęła ją swoimi i spojrzała mu w oczy z przejęciem.

– Odkąd uciekliśmy stamtąd w popłochu, nikt nie może do środka wejść. Zmora najpierw udaje, że jej nie ma, a zaraz potem buszuje po domu i śmierć zadaje. Dlatego my tego domu nie sprzedać, ni nawet oddać nie możemy. – Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. – Jeśli niestraszna ci ta maskara, możesz sobie nawet to domostwo wziąć. I tak wszyscy myślą, że opętane jest. I mają rację.

– Jestem... trochę zdumiony – odparł Wojmir i wyswobodził rękę z jej ciepłego uścisku, który gestem był bardziej niż śmiałym, jeśli jego prowodyrem okazywała się kobieta.

– Proszę, Wojmirze – szepnęła zapamiętała Żywia. – Braciszek mój dniami i nocami pracuje, matula nam umiera. Ostatnie życzenie ma tylko i wysłała mnie, abym je spełniła. – Przepelniona żalem, zerwała się z krzesła i okrążyła stół, po czym nagle uklękła przed Wojmirem i ponownie sięgnęła jego dłoni. – Wiedźmarz zawiódł... Błagam cię, tyś nadzieją moją ostatnią i...

– Dobrze.

Oblicze Żywii natychmiast się rozpogodziło.

Dziewczyna uraczyła go nie tylko kolejnym uśmiechem zdolnym przenosić góry, ale i uściskiem równie czułym, co

niezapowiedzianym, gdyż w przypiływie radości rzuciła mu się na szyję.

– Dziękuję, dziękuję ogromnie!

Wojmir, nie zamierzając stracić sprzyjającej mu okazji, usadził Żywię na swoich kolanach i objął w talii, co wyraźnie jej się spodobało. Szybko uznał, że z bliska była jeszcze piękniejsza niż wcześniej, przez co znów zapatrzył się na jej pełne usta dłużej, niż powinien, i...

– Wznieśmy toast! – Nachyliła się ku drugiej stronie stołu i po chwili podała mu jego kufel. – Za udaną podróż!

Choć Żywia napiła się już miodu, Wojmir, zamiast uczynić to samo, zmarszczył nos w zamyśleniu.

– Ale właściwie to dokąd mamy się udać?

– No jak to: dokąd? – Żywia, zostawiwszy na jego policzku miodowy pocałunek, zaśmiała się w głos. – Do mego rodzinnego miasta. Do Poznania!

*

Pół godziny później stali już przed karczmą, gotowi do drogi. Wtedy też, gdy już byli bliscy odejścia, do akcji wkroczyła królowa wątpliwej gracji i szlachcianka na miarę Pogorzeli.

– Wasze niedoczekanie! – zachnęła się Radzanowa, nieukontentowana faktem, że Żywia i Wojmir nie zczekali na nią ze swoją rozmową, na którą ta sama ich przecież umówiła. – Tom ja z chichitunem tak dzielnie walczyła od świtu, a wy, zamiast poczekać na mnie, sami żeście interesu dobili!

– Z chichi... czym? – zapytała Żywia, przekrzywiając lekko głowę w zaciekawieniu.

– Co ty, panna, nie wiesz, co to chichitun? – Radzanowa skrzyżowała ramiona i prychnęła oburzona. – Psotnik taki, demon mały. Włochaty, śmierdzi i ma rogi. – Skierowała swoją uwagę na Wojmira, niezbyt przejętego jej opowieścią. – Jakbyś dobre serce miał, dobrodzieju, tobyś polazł ze mną do mojej chaty i go przekonał, żeby sobie poszedł!

Mężczyzna uniósł kącik ust w rozbawieniu.

– Nie da sobie pani, Radzanowa, z chichitunem rady?

– Dam, ale się muszę natrudzić! – Poprawiła na głowie chustę, zakrywającą jej cienkie i nieliczne włosy. – Najpierw ucho mi się w dzbanie od mleka urwało, potem gar do paleniska spadł. To wszystko przez tego łobuza! I tylko to piskliwe *hihihi*, *hihihi* słyszałam ciągle. Oszaleć można!

– Oj, można – zgodził się Wojmir z nadzieją, że przytaknięcie na narzekanie kobiety spowoduje, iż ta przestanie.

Otóż nie.

– A idźta w pierony!

– Nie trzeba. – Żywią, uradowana jak małe dziecko, przytuliła chłopkę z rozrzewnieniem. – My tylko do Poznania idziemy, pani Radzanowa. Dalej nie musimy.

– A byśta mogli. Wtedy już byśta tu nie wrócili na pewno i mojego humoru więcej nie psuli.

Wojmir prychnął i oparł się o tablicę z ogłoszeniami stojącą przy płocie karczmy.

– Nie miałem tu czasem na dłużej zostać? – zapytał podstępnie. – Chichituny, dusze...

– Zabierzta je wszystkie ze sobą. – Radzanowa z impetem włożyła ręce do kieszeni swojej nadal ubłoconej na krańcach

brunatnej spódnicy. – I to weźcie – powiedziała i bez ostrzeżenia rzuciła Wojmirowi dwa dojrzałe jabłka.

Ten złapał je w porę, choć aby to zrobić, rozjechać się musiał na nogach tak, że aż ciężko mu było z powrotem się wyprostować.

– Nam też było miło panią poznać, Radzanowa – powiedział z ironią, schowawszy owoce do worka przewieszzonego przez ramię.

– Tak, właśnie tak! – Żywia podeszła ku niemu i pomachała jej na pożegnanie. – Zdrówka, pani Radzanowa. Zdrówka!

– Żebym ja was tu więcej nie widziała!

Mimo że jej krzyk był mało przyjemny dla ucha, bo pełen złości, w końcu stara Radzanowa uśmiechnęła się do nich tak, jak należało od początku. Podniesiona tym na duchu Żywia zaczęła nucić pod nosem i rażno maszerować przed siebie, zgrabnie kołysząc biodrami przy każdym kroku. Wojmir ruszył zaraz za nią z jakąś radością w sercu, jakby właśnie wybywał na wielką przygodę swojego życia, a nie na kolejne zlecenie.

– Tak cieszysz się z naszej podróży? – zapytał, gdy opuścili granice Pogorzeli, zostawiwszy za sobą całe trzydzieści dwie chaty i jedną karczmę.

– Pytasz z powodu mojego nucenia? – Żywia spojrzała na niego przez ramię, przed sobą mając w oddali piękny dębowy las, do którego mieli niedługo wkroczyć.

– Też. – Skinął głową Wojmir. – Cała taka radosna się wydajesz.

– Bo jestem, jestem! – Podbiegła ku niemu i pocałowała go w policzek, chichocząc przy tym jak podłotek. – Życzenie mojej mamusi się spełni! Ty byś nie chciał spełnić jakiegoś swojej matuli?

Wojmir westchnął i niewiele myśląc, powiedział:

– To kobieta, co twardą ręką dzieci swoje wychowywała. Nie bez powodu uciekłem od niej.

– O nie, bardzo mi przykro, źle na sercu teraz – odparła Żywia, zasmucona.

Wspięła się na palce i troskliwie wyjęła spomiędzy jego jasnych włosów mały zielony listek.

– Niepotrzebnie – odparł bezbarwnie. – Tak to już bywa.

– A ojciec? Rozmawiasz ty z nim w ogóle?

Przed oczami mężczyzny pojawił się jego rodziciel w swojej jaszczurzej formie – jedynej, jaką ukazał synowi. Nigdy nie objawił mu się w człowieczym wcieleniu. Po latach Wojmir zrozumiał, że wynikało to z jego dumy, bo ludzkiej postaci potrzebował tylko do bałamucenia zagubionych młódek raz na jakiś czas. Na co dzień był bowiem najbliższym sługą Welesa; potężną bestią strzegącą bram zaświatów, gdzie przeprowadzał dusze przez wody oczyszczenia, obdzierając je ze wszystkiego, co ziemskie: uczuć, wspomnień, a nawet jestestwa. Przygotowywał je, by Weles mógł zagarnąć wszystkie bez strachu i pozwolić im paść się do końca świata na niezmiernych pastwiskach Nawii.

– Nie jesteśmy z ojcem blisko, tak bym rzekł – odezwał się po dłuższej chwili milczenia Wojmir, akurat gdy wchodzili między pierwsze dęby.

– Jakąś gorycz wyczuwam w twym głosie. – Żywia obróciła się, we włosach mając wetkniętą stokrotkę, co Wojmirowi wcześniej, w zamyśleniu, zupełnie umknęło. – Powinieneś być mu wdzięczny za swój wspaniały dar.

– Jestem. – Niechętnie przyznał jej rację. – Ale wszystko ma swoją cenę.

– A jaka jest twoja? – Dziewczyna zatrzymała się i poczekała, aż on zrobi to samo. Gdy przystanął obok niej, pogładziła go czule po policzku. – Czym płacisz za swe zdolności?

– Tym, co mój ojciec kocha najbardziej. Złotem. – Wojmir chwycił jej dłoń i ścisnął ją lekko. – Leży w zaświatach na górze złota przez prawie cały czas. Nie tylko bramie stróżuje.

– Mów dalej, mów – zachęciła go uśmiechem i pociągnęła dalej między drzewa, przez których rozłożyste gałęzie słońce wpadało do spokojnego lasu, znacząc otoczenie podłużnymi, jasnymi smugami.

– Raz do roku połowę tego, co dzięki duchom zarobię, muszę mu w złocie oddać.

– Albo?

– Albo do siebie pod bramę mnie zabierze i uwięzi, żebym cierpiał za niewierność względem niego.

– Ależ to okropne! – Żywia się uniosła.

– Nie najmilsze, prawda – przytaknął.

– W takim razie ja będę pilnowała, żebyś zawsze oddawał, ile trzeba. Co do grosza!

Serce Wojmira oplotły przyjemne uczucia ku jasnowłosej niewieście, idącej dzielnie przed siebie tuż obok niego.

– Ojciec mój okropny w swojej sprawiedliwości jest, wiesz? – mruknął i zmrużył oczy, gdy weszli na porośniętą stokrotkami małą polanę. – I nigdy nie wybacza błędów.

– Brzmi bardzo groźnie – odparła nostalgicznie Żywia i wyciągnęła ze swojej torby bukłak. – Mam nadzieję, że mój ojciec taki nie jest.

– A co, nie poznałaś go?

– Niestety nie. – Upiła łyk wody i schowała bukłak z powrotem. – Decyzją mojej rodzicielki.

– Może to i lepiej...

– Lepsza niewiedza niż wiedza? Od kiedy?

– Od zawsze, bo nieświadomość wygodniejsza niż cokolwiek innego była, jest i będzie.

Żywia nadęła policzki, wyraźnie nie zgadzając się ze zdaniem Wojmira.

– Nie lubię tak. To jest jak uciekanie – obruszyła się.

– A co jest złego w uciekaniu? – zapytał, ciekawy jej opinii.

– Bo problemy to... To trzeba na klatę brać! Jak byka za rogi!

Usłyszawszy w jej głosie determinację, którą Żywia wręcz płonęła w tej chwili, Wojmir wybuchnął gromkim śmiechem i aż prawie wywrócił się z tego wszystkiego twarzą w mech.

– Co się śmiejesz głupawo? Źle powiedziałam?

Wojmir uśmiechnął się i spojrzał na nią z sympatią.

– Nie. Po prostu zabrzmiałaś niczym nieustraszona mysz gotowa walczyć tu i teraz ze smokiem.

– Mysz... – Przewróciła oczami, niepokieszona. – Dobre sobie...

– Kura? – zaryzykował.

– Jeszcze gorzej...

– Gęś?

– Błagam, mój miły, czy ja wyglądam jak gęś?

– Królik! Może być królik? Króliki są ładne i puchate.

– I nadają się na pasztet.

Wojmir otworzył usta, aby jej odpowiedzieć, ale nie znalazł adekwatnych słów. W końcu wydusił tylko:

– Rzucasz mi kłody pod nogi, dziełatko. Wiesz?

– Ale słów na wiatr nie rzucam i od walki się nie wywijam. Nawet słownej! – powiedziała groźnie, po czym sama się roześmiała, widząc skonfundowaną minę Wojmira.

– Od dziś zapamiętam, że jesteś godnym przeciwnikiem – odparł, a ona zatrzymała się nagle i uraczyła go krótkim pocałunkiem w czoło.

– Ale na nagrodę pocieszenia to zasłużyłeś – wyszeptała rozbawiona, wciąż stojąc na palcach, po czym ruszyła z powrotem przed siebie.

*

Mimo że długa spódnica pałętała się jej pod nogami, a pierś unosiła się szybko od energicznego marszu, Żywia parła do przodu bez choćby słowa narzekania. Na twardą i zaprawioną nie wyglądała, lecz nie poddała się ani teraz, ani przez kolejnych kilka godzin, dopóki nie zatrzymali się na postój pod dorodną lipą – jedynym drzewem na rozległej łące pełnej chabrów i koniczyn.

Usiedli przy jej pniu i rozprostowali nogi, aby z cichym westchnieniem położyć się na trawie i przymknąć powieki; dać porwać się ciszy przerywanej tylko przez bzyczenie drobnych owadów i cichy śpiew skowronka schowanego gdzieś pośród traw.

– Opowiedz mi o swojej pracy – szepnęła Żywia i przysunęła się bliżej Wojmira. – Bardzo mnie ona ciekawi.

– Pewnaś? – zapytał, patrząc na nią jednym okiem.

– Bardziej niż najbardziej!

Uśmiech wstąpił na usta Wojmira, który nigdy wcześniej nie czuł się tak dziwnie i dobrze jednocześnie. Wiele kobiet przewinęło mu się i przez ręce, i przez łóżko, ale żadna z nich nie została w jego

życiu na dłużej, bo z czasem stałaby się dla niego tylko zbędnym kłopotem. Mianowicie obawiał się, że któraś z nich wyda na świat ich potomka, co to bocian postanowił go podrzucić, aby ukarać Wojmira za jego poprzednie, nieczne wobec pańienek występki. Mężczyzna jednak, wiedząc, jak tragicznym byłby ojcem, zmywał się z kobiecych pryczy zwykle kolejnego ranka, ścigany straszliwą wizją małżeństwa, do jakiego musiałyby przecież dojść, jeśli bocian wykonałby swoje zadanie jak trzeba.

Leżąc tak w cieniu pod drzewem, gdzie zamierzali z Żywią przeczekać porę najmocniej prażącego słońca w zenicie, pierwszy raz poczuł, że mógłby coś w życiu swym zmienić.

– Niezbyt to romantyczna historia – mruknął, wciąż nie do końca przekonany, czy chciał jej o tym opowiadać.

„Jeszcze pozna mnie dobrze i ucieknie. I co wtedy...”.

– Chcę ją usłyszeć i tak!

– Jestem złodziejem.

Dziewczyna uniosła się na łokciu i spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczami.

– Ale jak to? Po domach chodzisz czy jak? Ludzi we śnie okradasz?

– Nie ludzi. Gorzej. – Podłożył sobie rękę pod głowę, czując, jak słoneczne promienie tańczą po jego nieosłoniętych spodniami piszczelach. – Duchy.

– O.

– Ostrzegałem cię.

Powiew wiatru uniósł krańce włosów Żywii, przez co te delikatnie połaskotały Wojmira w szyję. Pachniały miętą, jego

ulubionym zieleń, które często wieczorem razem z melisą lubił sobie zaparzyć na lepszy sen.

– Że tak... cmentarze plądrujesz? – wydukała, tym razem uprzedzona.

„Raz kozie śmierć...”.

– Zdarzyło mi się, ale to niełatwe jest.

– Czemu?

– Bo po pierwsze, bab cmentarnych należy się wystrzegać jak ognia. Po drugie, trzeba trafić na złego człowieka, co jego dusza nie do Wyraju, ale do Nawii poszła. – Żywia powoli wtuliła się w niego, a on zaczął przepuszczać między palcami kosmyki jej włosów, aby zająć czymś ręce. Postarał się ująć swoje myśli w słowa tak, aby zasiać w jej głowie jak najmniejszy zamęt. – Co wiesz o zaświatach?

– Niewiele, mój miły. Dlatego może trochę się boję, ale chętnie cię wysłucham. – Powiedziawszy to, zaczęła delikatnie sunąć palcami po jego koszuli w okolicach brzucha. – Z wiedzy nigdy rezygnować nie można.

– Więc. – Wojmir poprawił się lekko i rzekł. – Dusze przyjęte do Wyraju wrócić umieją choćby i na dziady. Pamiętają też wszystko, co przeżyły. To duchy dobrych ludzi. Może i złodziejstwem się param, ale ich spokoju burzyć nie chcę. A tym złym z Nawii to wszystko jedno, bo ojciec, zanim otworzy im bramę Welesową, ogołaca ich ze wszystkiego. Nawet ze wspomnień.

Żywia zatrzymała dłoń tuż nad jego klatką piersiową.

– A te duchy, co u nas zostały tak po prostu? Co z nimi?

– O, to moje ulubione.

Wojmir rozochocił się i poczuł wielką ekscytację, bo właśnie zdał sobie sprawę, że do tej pory nikt inny nie był tak zainteresowany

tym, co miał do powiedzenia na temat jego umiejętności czy stylu bycia jako takiego. Towarzyszące mu panny z reguły były bardziej ciekawe jego fizycznych atutów niżli intelektualnych i zwykle tematy wspólne kończyły im się szybko, dzięki czemu równie szybko oboje mogli przejść do rzeczy.

Przedmiotu tudzież celu schadzki.

– Masz swoje ulubione duchy? – zapytała z entuzjazmem Żywia i położyła się na brzuchu, aby mieć lepszy widok na rozpromienionego Wojmira.

– Tak. Błędne ogniki, duchy bez duszy. To te, co zanim do Nawii trafią, pokutują z woli mojego ojca jako małe światełka i strzegą na ziemi swoich skarbów. Dzięki ich światłu zawsze wiem, gdzie szukać kosztowności.

– Ale to cwane!

– A jakże. – Wojmir, zachłyśnięty goszczącym w jej oczach zachwytem, kontynuował. – Po tym jak odnajdę ogniki, ich duszyczki pokutujące ułaskawiam i pozwalam do ojca wrócić. W zamian zabieram sobie to, czego pilnowały.

– Niezwykłe!

– Część z nich i tak chce zostać ze mną, wiesz? – Wyjął rękę spod głowy i sięgnął do swej leżącej obok torby. Wyciągnął z niej małą, krzywo zbitą drewnianą skrzyneczkę. Położył ją sobie na brzuchu. – Tylko się nie przestrasz – powiedział i odciągnął haczyk służący za zamknięcie.

Otworzył wieko, a ze środka wyleciało ku niebu kilkanaście malutkich jak ziarna fasoli, świetlistych kuleczek, które zawisły w powietrzu tuż obok nich, z wyjątkiem jednego, co osiadł na piegowatym policzku Żywii.

– Łaskocze! – Kichnęła i zaśmiała się, po czym wyciągnęła powoli palec ku najbliższemu duszkowi. – Ależ one są piękne!

– Zgadzam się.

– Tylko ty je tak... – Nieświadomie w trosce zmarszczyła brwi. – Więzisz wbrew woli w tej skrzyneczce?

– Skądże. – Wojmir odłożył na trawę przedmiot sporu i patrzył, jak ogniki spokojnie przysiadają na jego przedramieniu. Cała szesnastka. – Zawsze mogą stamtąd wyjść same, umieją przenikać przez przedmioty. Tylko zwykle muszę je zachęcać otwieraniem skrzyneczki. Są trochę nieśmiałe. Boją się obcych ludzi.

– Witajcie, ogniki – szepnęła dziewczyna w ich kierunku. Światełka poruszyły się, nasłuchując. – Nazywam się Żywia i bardzo miło mi was pooooooznać. – Przy końcu z zaskoczenia przewróciła się na bok, bo duszki poleciały ku niej i przycupnęły na jej ramionach oraz czubku głowy, prócz jednego, co zuchwale osiadł na jej nosie. – Ależ one są ciepłutkie!

Nie minęła jednak chwila, a ogniki zaczęły się dziwnie zachowywać. Szaleńczo drzeć i migotać, aż nagle zerwały się do lotu i zniknęły w ciasnym wnętrzu skrzyneczki.

– Szkarada, szkarada, szkarada... – zasyczały, jak syczy gaszony nagle ogień.

„A im co?” – przeleciało Wojmirowi przez myśl.

– Mówiłem, że są nieśmiałe – mruknął, aby wyjść z sytuacji bez urażenia Żywii, która choć nie rozumiała, co przekazać chciały duszki, mogła odebrać ich zachowanie jako niegrzeczne.

– Szkoda – odparła z melancholią.

Otworzył ramiona w jej stronę, a dziewczyna natychmiast ufnie przytuliła się do niego, nie wiedząc, jak wielki chaos znów rozpętała

w jego głowie swoją bliskością i usposobieniem tak pełnym akceptacji wobec wszystkiego, o czym jej opowiedział.

– Ale są też takie duchy jak Racisław, Radzanowej syn, co odejść nie chciał. – Powrót do tematu okazał się skuteczny, bo oblicze Żywii znów się rozpogodziło. – Po śmierci miał na to czterdzieści dni. Jeśliby tego nie zrobił w dobrym czasie, to w jakiego upiora by się zmienił czy innego demona. Może w zmorę, ale to rzadko.

– A więc to tak... – powiedziała do siebie Żywia. – Zmory z krnąbrnych dusz się rodzą?

– Czasem tak. Z takich, co bez względu na kosztą były gotowe na zawsze w mary się zamienić. Z doświadczenia mogę rzec, że nie odchodzą albo z miłości, albo z zemsty.

– Zaiste ciekawe...

– Nie kłamiesz? – zapytał, nagle straciwszy pewność siebie. – Nie nużę cię czasem?

Zadał to pytanie, ponieważ męczyła go obawa, że zbyt rozgadał się o sobie i znudził ją potwornie, lecz ona, jakby wiedząc już, co go trapiło, usiadła ochoczo na piętach. On więc również podniósł się do siadu. Wsparty plecami o drzewo, zastygł wpatrzony w nią niczym w prawdziwe, skąpane w południowym słońcu bóstwo o licu bladym oraz oczach dużych i pięknych, koloru świeżej trawy.

Całą tylko dla niego.

Żywia, pilnując, aby roziskrzonym wzrokiem śledził każdy drobny ruch jej smukłych palców, zaczęła powoli rozsypywać wiązanie swojej koszuli, tuż przy szyi. Gdy sznurek, nienaznaczony już żadną pętelką, opadł bezwiednie na jej piersi, rozchylając dekolt, zdrożne spojrzenie Wojmira osiadło na ledwo co odkrytym kawałku skóry dziewczyny.

– Pozwól, że udowodnię ci, jak wielkim darzę cię zainteresowaniem. Co ty na to?

Odzienie zsunęło się z jej ramion i wylądowało w trawie za jej plecami, ukazując Wojmirowi zgrabne i młode ciało, o którym myślał od wczorajszego wieczora, a które miał teraz na wyciągnięcie ręki.

Bez choćby cienia zawahania przyciągnął Żywią do siebie, aby usiadła na jego kolanach, co uczyniła bezzwłocznie, obejmując go za szyję. Nachyliła się ku niemu. Zaczęła przyglądać mu się uważnie z bliska i nie zaprzestała, nawet gdy wiatr znów objął we władanie jej długie włosy.

Przez moment cały świat Wojmira mienił się ich złotem.

Sekundy mijały, a mimo to żadne słowa nie wkradły się między nich ani teraz, ani przez następną godzinę, w czasie której nic prócz ich dwojga nie istniało na łące pełnej koniczyn przynoszących szczęście oraz chabrów zwiastujących stałość w miłości i dobroć – wszystko, czego potrzebował, i wszystko, czym mogła stać się dla niego Żywia.

Jedynie ze skrzyneczki przykrytej spodniami Wojmira dochodziło mącące tę idyllę ciche syczenie:

– Szkarada, szkarada, szkarada...

*

Choć mieli dziś za sobą już sześciogodzinną pieszą wędrówkę, tylko jedno z nich odczuwało przemożne zmęczenie i był to Wojmir.

Żywia wręcz przeciwnie, bo im bliżej Poznania się znajdowała, tym bardziej tryskała energią na lewo i prawo. Trajkotała podekscytowana bez przerwy, nie dając mężczyźnie nawet chwili wytchnienia. Zdążyła opowiedzieć mu historię Poznania, przybliżyć

korzenie swojej praprababki od strony matki, dalekiej ciotecznej krewnej Jadwigi Bolesławówny (matki Kazimierza Wielkiego), a nawet streścić całe swoje życie w zaledwie dwadzieścia cztery tysiące pięćset siedemdziesiąt dwa kroki postawione przez Wojmira w trakcie wyprawy.

Przechadzali się zachwaszczoną łąką, strasznie brzydką jego zdaniem. Słońce prażyło niemiłosiernie, wyciskając z nich nie tylko siódme, ale i ósme poty, przez co Wojmir zastanawiał się, czy może lepiej nie przeczekać znów tego czasu, jak robili do tej pory.

„Jeszcze dopadnie nas jakaś zbłąkana południca z tych pól na wschodzie i będzie po nas. A z południcą, zbłąkaną czy nie, to ja bym nie chciał mieć do czynienia”.

Jednak w swoich planach nie uwzględnił zapału Żywii.

– Ach, mój Poznań! Czego my tam nie mamy, Wojmirze! To miasto przez bogów wybrane, ot co!

– Nie śmiem wątpić.

– Blisko Zakonu Krzyżackiego leży, a nie ugięło się pod Jezu Krystem i ostoją naszej wiary rodzimej pozostało. Wiesz, że połowa Rady Królewskiej, ta pogańska, u nas na stałe rezyduje? Czyż to nie cudowne?

– Cudowne, Żywio.

– Sukiennice murowane mamy nawet! I prawo składu!

– Niesłychane.

– I król. Ten, no. Jak mu tam było... Jagier... Jagiel...

– Jagiełło.

– O ten właśnie. W tym roku, co bitwa pod Grunwaldem była, monetę nam swoją bić pozwolił. Ja uważam, że Poznań już zawsze

do Peruna i Rady Pogańskiej będzie należał, a nie do tych krzyżowców zakłamanych i ich boga. Już ten Jagiel...

– Jagiełło.

– Jagiełło, tak. On tego dopilnuje. Tak rzekłam.

Wojmir wzniósł oczy ku niebu, które uraczyło go widokiem lecących w stronę miasta gołębi. Szczególnie ich nie lubił, przeto znów wbił wzrok przed siebie, gdzie na linii horyzontu mógł już upatrywać pierwszych zabudowań.

– Zanim pójdziemy do twojego domostwa, zjedzmy coś w mieście – mruknął, wyjątkowo nieswój.

– Oj, nie, proszę, nie. – Żywia spojrzała na niego ze zboląłą miną. Dziś w swe jasne włosy miała wetknięty mak. – Dom nasz na samym skraju poznańskiego terenu leży, przed murami, na posesji pod lasem. Pójdźmy tam szybko, zrobmy, co trzeba, i wtedy będziemy mogli świętować w mieście, a co!

Powiedziawszy to, ucałowała go krótko z uśmiechem i jeszcze prędzej niż wcześniej ruszyła przed siebie. Wojmir natomiast westchnął i przyspieszył, aby za nią nadążyć, mimo że myślami był zupełnie gdzie indziej. Wciąż bowiem męczyło go dziwne zachowanie ogników sprzed dwóch dni. Spędzili z Żywią ten czas w radości i znacznej bliskości, to prawda, lecz nie przeszkadzało to Wojmirowi rozmyślać długo i głęboko nad duszkami, które jeszcze nigdy nikogo nie wystraszyły się tak bardzo.

I też nigdy, przenigdy nikogo nie oczerniły.

– Jest i nasz oleśnicki dworeczek – do uszu Wojmira dotarł szept Żywii.

– Oleśnicki?

– Tak. Jestem Żywia Oleśnicówna, korzenie na Śląsku mam, mówiłam ci przecież.

Dziewczyna zatrzymała się przy podgnitym drewnianym płocie okalającym jeden z najbardziej ubogich dworów, jakie Wojmir widział w całym swoim życiu.

Nie bez powodu nazwała go dworeczkiem.

Po wejściu bardziej w głąb okazało się, że do majątku należał jedynie spichlerz pozbawiony drzwi, mała stajnia bez dachu zdolna pomieścić zaledwie kilka koni, rozpadająca się stodoła i najważniejszy, reprezentacyjny budynek – wykonany z modrzewiowego drewna dom wzniesiony na kamiennej podmurówce. Za nim znajdował się już tylko sosnowy las, a po bokach zarośnięte pola.

Dreszcze przebiegły po plecach Wojmira, kiedy najbliższa mu, wisząca już tylko na jednym zawiasie, otwarta okiennica zaskrzypiała od lekkiego ruchu, mimo braku wiatru. Ze wszystkich stron oblepiała ją pleśń, a odsłonięte przez nią wnętrze opuszczonego domu jeszcze mniej zachęciło mężczyznę do przeszukiwania go.

– Tu się wychowałeś, tak? – zapytał Wojmir, przechadzając się po zaniedbanym terenie dworku.

– Tak – odparła Żywia cicho.

Całe towarzyszące jej dotychczas zacięcie zniknęło. Na jej twarzy zagościł lekki grymas, gdy przystanęła przy zarośniętej studni i stuknęła palcem o wiszące nad nią dziurawe wiadro – tyle wystarczyło, aby wytrącić je z równowagi i zrzucić w dół, gdzie wpadło do brudnej wody z głośnym chlupnięciem.

– Dobry to był dom, wiesz? – Dziewczyna posmutniała i obróciła się ku budynkowi. – Mieliśmy tu dobre duchy domowe, pomagały mi zawsze w głównej izbie.

Wojmir skupił się na otaczającej go przestrzeni, jednak nie udało mu się wyczuć obecności żadnych istot, które kiedyś wedle słów Żywii zamieszkiwały teren dworku. Bez problemu za to wyczuł kłębiącą się w domostwie, czarną i nieprzyjemną energię zmory, bo ta zdawała się wręcz wsiąknąć w każdy przedmiot w swoim zasięgu.

– Jak długo cię tutaj nie było? – zapytał, oparty łokciem o studnię.

– Osiem wiosen.

– A sama ich liczysz?

– Osiemnaście – mruknęła i objęła się ramionami, przystanąwszy przy zachodnim rogu budynku. – O, nie ma ściany – powiedziała do siebie i zmarkotniała jeszcze bardziej. – Drzewo się zwaliło i kawał ściany zburzyło! – krzyknęła do Wojmira, nie wiedząc, że usłyszał jej wcześniejsze słowa.

Mężczyzna, zanim odłożył na ziemię swój worek, wyjął z niego nieheblowaną znajomą skrzyneczkę. Otworzył ją, a ogniki usiadły na jego ramionach, gotowe razem z nim do wdarcia się na teren domu.

– Kim ta zmora była, przypomnisz mi? – mruknął i ukucnął.

Zaczął poprawiać wiązanie swojego lewego, przetartego już trochę buta.

– Chłopką, Znisława się nazywała.

Kiedy tylko wyprostował się z powrotem, Żywia oparła się o jego ramię, wpatrzona w upiornie skrzypiącą, pękniętą okiennicę tuż obok głównych, zabitych deskami drzwi, nad którymi wisiało przytwierdzone do ściany poroże jelenia nadgryzione zębem czasu

i niełaskawą pogodą. – W nocy zakradła się do domu, żeby nas okraść. Brat mój, wzięwszy ją za obcego złodzieja, trzasnął ją po ciemku w potylicę pogrzebaczem. I hyc, koniec Znisławy. To, coś mi powiedział, sprawdza się, bo tylko z zemsty mogła tu zostać.

Zmrużywszy powieki, przyłożyła w zastanowieniu palec do ust.

– Mówisz, jakbyś jej nie lubiła – odparł z rozbawieniem Wojmir.

– Bom nie lubiła! – Żywia podparła się pod boki i uniosła dumnie podbródek. – Krętacz był z niej, i już.

– A pochowaliście ją jak trzeba?

– Jak trzeba, jak trzeba... – bąknęła z dezaprobatą. – Coś tam Izbor pokopał na pobliskim pagórku, wrzucił ją do rowu i zakopał.

– I ty się dziwisz, że wróciła jako zmora...

– Okradła nas prawie, tośmy jej pomagać po śmierci nie pragnęli. Trumnę by trzeba było zbijać, jakieś dobra jej tam do środka nawkładać i...

– Z domu mam wynieść listy, tak? – przerwał jej Wojmir, chcąc mieć to już za sobą.

Oleśnicki dworek budził w nim niepokój. Nie wiedział, czy to obecność zmory tak splugawiła to miejsce, czy coś jeszcze innego, ale jakiś cichy głos w jego duszy zachęcał go do jak najszybszego opuszczenia terenu domostwa. Każdy szelest trawy czy jęk starych zawiasów tych przeklętych okiennic napędzał mu stracha, i to nie byle jakiego.

– Tak, listy – odparła skwapliwie dziewczyna i gestem dłoni zachęciła go do przejścia na lewy kraniec domu. – Tędy wejdz, skoro już mnie słuchać nie chcesz.

– Ale...

– Listy znajdziesz w ostatnim pokoju po prawej stronie od korytarza, w szafie, na górnej półce.

Żywia przejrzała go na wylot. Upewnił się o tym, gdy spojrzał na jej piękną twarz, skalaną przez obrazę, do której sam się przyczynił. W tym momencie jednak większym zmartwieniem niż jej niepokieszona mina okazał się zapach gnijącego mięsa dochodzący z wyrwy w ścianie zrobionej przez dorodną sosnę. Wojmir nachylił się w tamtą stronę. Skrzywił się natychmiast. Do jego nosa doleciał bowiem odór rozkładającego się ciała, a tak właściwie to wystającej z rogu męskiej nogi należącej z pewnością do jednego ze złodziei, o których wspominała dziewczyna.

– Ta... – mruknął do siebie Wojmir bez przekonania. – W ludzkiej formie nie wejść tam nawet za worek złota.

– Coś mówiłeś, mój miły?

– Tak – odparł i wycofał się, aby usiąść na trawie ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi ułożonymi na kolanach wnętrzem do słońca.

Dziewczyna popatrzyła na niego z nieufnością, gdy ten akurat przymknął powieki.

– C-co ty wyrabiasz? – zapytała.

– Cokolwiek zaraz zobaczysz, nie krzycz. Zaufaj mi.

– A-aha...

Nagle siedzące do tej pory na jego ramionach ogniki wzbiły się w powietrze i zatańczyły radośnie, po czym usiadły jak on na trawie, tyle że na planie koła. W samym jego środku znajdował się Wojmir, który, gotowy do przeprowadzenia rytuału, wziął głęboki oddech, aż po same żebra. Ostrożnie sięgnął umysłem w głąb siebie – wprost do swojej szarozłotej duszy. Nie szczędząc sił, wyszarpnął ją ze swego

środku, a ta wyfrunęła na świat przez jego usta i chwilę później Wojmir stanął przed własnym ciałem w bladej formie ducha.

– O mamuno, co to za czary... – szepnęła do siebie Żywia z ręką mocno przyciśniętą do piersi.

– Żmijowe – odparł i wzruszył ramionami. – Mogą być też duchowe, jak wolisz. – Patrzył, jak podchodzi ku niemu ostrożnie i unosi rękę, aby go dotknąć, lecz natrafia na pustkę. – Gdy jestem w duchowej formie, tylko inny duch bądź demon w swojej ostatecznej postaci może mnie...

– B-będę tu na ciebie czekać – przerwała mu i zapobiegawczo cofnęła się o kilka kroków.

– Lada chwila i będzie po wszystkim – pocieszył ją krótko, po czym mruknął do siebie trochę mniej przekonująco. – Chyba.

Zostawiwszy za sobą otoczone ognikami ciało, wykonał duży krok nad zwaloną sosną i tym samym znalazł się na terenie oleśnickiego domku. Choć przenikał teraz przez przedmioty, dalej zachowywał się jak człowiek – spodziewał się nawet, że spróchniałe deski podłogi zaskrzypią pod jego ciężarem. Niezbyt często korzystał ze swojej duchowej formy i „widzenia”, gdyż szybko go to męczyło i zawsze, ale to zawsze powodowało potem mdłości.

Oleśnicki dworeczek był pełen pajęczyn i zwierzęcych odchodów. Leśne stworzenia najwyraźniej postanowiły zrobić sobie z niego schronienie, bo znalazło się w nim nawet miejsce na małe ptasie gniazdo uwite na starej komodzie przy wyjściu na korytarz.

– Ostatni pokój po prawej stronie, w szafie, na górnej półce – mówił do siebie Wojmir z nadzieją, że pozwoli mu to odegnać od siebie niewytłumaczalny lęk, który właśnie przyspieszył bicie jego

serca, gdy mijał rozkładającego się, leżącego na deskach korytarza, trupa złodzieja.

Bez głowy.

Przez cały czas miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Przywykł do tego, bo duchy nie zawsze były od razu chętne do rozmowy, ale tym razem coś mąciło jego spokój bardziej niż zwykle. Nigdy jeszcze nie bał się konfrontacji z żadnym z nich, a zmora to przecież nic więcej jak człowiecza dusza męcząca nocą śpiących. Śmierć siała tylko w nielicznych przypadkach.

„Jak tutaj” – pomyślał Wojmir, zatrzymawszy się w pozbawionym okien, dość ciemnym pomieszczeniu. W środku znajdowało się proste łóżko, gołe krzesło stojące pod ścianą i szafa z otwartymi na oścież drzwiami. Rozochocony rychłym końcem swej duchowej podróży, uniósł dłoń na odpowiednią półkę.

W najwyższym skupieniu potrafił dotknąć czegoś materialnego, przez co teraz, wysiliwszy swój umysł, musnął powierzchnię listów...

A w sypialni zerwał się wicher, wyrywając mu je z ręki.

– Ugh! – syknął, czując nagły ból z boku szyi.

Instynktownie dotknął bolącego miejsca, w którym natychmiast poczułby na palcach krew, gdyby wszedł tutaj jako człowiek.

Krew kapiącą ze szram po zmorowych pazurach.

– Spokojnie! – krzyknął w przestrzeń. Wiatr ustał nagle, a w zamian zapadła złowroga cisza. – Gdzie jesteś? Pokaż się!

Jego niski głos, identyczny z tembrem Żmija, złagodził temperament zmory, przez co ta nie zaatakowała go ponownie. Mimo że jego ciało bezpiecznie czekało na zewnątrz zupełnie nienaruszone, Wojmir odczuwał ból tak, jakby właśnie je zraniono, przez co kolejny atak zmory nie był mu obojętny.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział ciszej.

– Jeśśli nie chcesz, to po co ci lisssty?

Z przejmującego, złowrogiego syczenia Wojmirowi ledwo udało się wyłuskać konkretne słowa.

– Aby ukochanej pomóc – odparł szczerze.

Przed mężczyzną zamajaczyła zjawa w postaci przerażającej nagiej kobiety o nienaturalnie długich nogach. Była przezroczysta, widoczna tylko dzięki ciemności pokoju i smugom słonecznego światła, z trudem przebijającym się w głąb domu.

– Rozzzumiesz mnie ty? – Widmo nachyliło się ciekawsko ku niemu. – Nikt mnie nie rozzzumiał do tej pory.

– Ja jestem inny. – Wojmir skupiał się, aby mówić ze spokojem, gdy zobaczył ją w pełnej, obrzydliwej i demonicznej krasie. – Nie chcę zakłócać twojego spokoju, potrzebuję tylko tych listów.

Istota wysunęła spomiędzy warg długi aż do piersi jęzor, poruszyła nim na boki, po czym zacharczała ponownie:

– One sssą...

– Wojmirze! Nic ci nie jest?!

Usłyszawszy krzyk Żywii, mężczyzna obrócił się odruchowo w stronę, z której doszedł go jej głos. Wtedy też wichura wzmogła się ponownie i wytrąciła go z równowagi, przez co wpadł na ścianę, w efekcie przelatując przez nią na korytarz.

Powietrze przeciął pełen wściekłości nieludzki wrzask, a mury domostwa zatrzęśły się od jego potęgi.

– Jak śśśmiałeś tu moją córrrkę przyprowadzić, łajdaku!

Wojmir zamrugał kilka razy, chcąc odzyskać ostrość widzenia, bo stracił ją na moment po niezapowiedzianym przejściu przez ścianę.

W dodatku miał pewność, że się przesłyszał.

– Córkę? – zapytał, ale zmory nie było już w zapuszczonej sypialni.

Latała po domu jak opętana, obijając się o meble i przedmioty, które upadały na podłogę z głuchym szczękiem lub tłukły się z niemilosierdnym trzaskiem. Nim się zorientował, zjawa powróciła do niego i nachyliła się ku niemu, szczerząc dwa rzędy swoich zębów.

– Nie dość, że krrradniesz to, co mi najcenniejsze, to jeszcze zmówiłeś sssię z tą przebrzydłą morrrderczynią?!

Słowa nie chciały przejść przez gardło Wojmira, gdyż w całej tej szalonej sytuacji szkopuł był jeden i nie była nim zmora, ale to, że dusze wraz ze śmiercią traciły zdolność kłamstwa, więc wszystko, co kiedykolwiek usłyszał od choćby najpodlejszego ducha, musiało być prawdą.

Zupełnie tak jak teraz.

– Nie nazywasz się Znisława? – zapytał bez tchu.

Zjawa oblizwała się obrzydliwie i wycharczała:

– Na immmie miałam Mojmira.

– C-co ci się przydarzyło?

Solidny podmuch wiatru znów uniósł listy w powietrze.

– Żywia, córrrka moja, zabiła mnie, jak ssspałam, głowę mi odrąbała i wampirzy pochówek w swojej sssypialni pod deskami podłogi urządziła.

Wspomnienia ostatnich trzech dni spędzonych z piękną jasnowłosą dziewczyną, co to wzięła jego serce i ciało we władanie tak mocno jak jeszcze nikt, oblepiła klejąca jak kapiąca ślina zmory maż.

– A dzień wwwwcześniej brata swojego, Izzzбора, do studni wrzuciła. – Mojmira zniżyła się, aby spojrzeć swoimi niczym ze szkła oczami w jego oczy.

– Czemu miałyby to zrobić?

Widmo, usłyszawszy jego pytanie, wykrzywiło się i wycofało.

– Dowwwiedziała się, że ojcem jej prawdziwym jest wysssoko urodzony szlachcic, a te lisssty to tego dowód. Wraz z Izzzborem nie chcieliśmy, żeby do niego poszła. Zabiła nas, byśmy nie ssstanęli jej więcej na drodze. A lat mmmiała tylko dziesięć wtedy.

Choć Wojmir usłyszał wszystko, co powiedziała zmora, nie chciał tego zrozumieć.

Na wpół świadomie opuścił pokój, niewidzące spojrzenie wbiwszy przed siebie, aż, odprowadzony przez zjawę, przeszedł nad sosną i stanął na trawie.

Przejęta Żywia, tak jakby zapomniała, że miała przed sobą jedynie ducha, i natychmiast rzuciła mu się na szyję, ale niezdolna go chwycić, prawie się przy tym przewróciła.

– Jesteś cały? – zapytała gorączkowo zaraz po tym, jak się wyprostowała. – Gdzie są listy, no gdzie?

Skierował na nią swój pusty wzrok, gdy odsunęła się lekko, aby zlustrować jego twarz.

Wtem lico dziewczyny przecięła niepewność, a ona sama odsunęła się nieufnie.

– Co się stało? Gadaj.

Wojmir przyjrzał się jej jakiś setny raz w ciągu ostatnich kilku dni i pierwszy raz za jej złotą duszą zobaczył cień, którego wpływ objawił się w jej zaciśniętych ustach i przymrużonych powiekach.

Krew zaszumiała widzącemu w uszach z nadmiaru wrażeń.

– Czegoś się tam dowiedział?! Gadaj, no już!

Odsłona, jaką właśnie mu pokazała, odrzuciła Wojmira równie mocno co parszywa gęba czającej się w domostwie zmory.

– Czy to prawda, że zabiłaś swoją matkę i brata? – zapytał, a ona zastygła.

Właśnie wtedy Wojmir ostatecznie ujrzał w niej to, co niewidoczne było dla zwykłego śmiertelnika. Dla niego, zmijowego syna widzącego duchy, dopiero teraz stało się to jasne jak słońce.

– Ty jesteś wieszczycą – szepnął do siebie pełen trwogi.

Nie minęła sekunda, a znajomą mu do tej pory duszę Żywii przysłoniła druga – obumarła i czarna jak smoła. Spuszczona ze smyczy wsiąknęła ochoczo w drugie serce dziewczyny bijące po prawej stronie jej piersi.

– Skąd wiesz to wszystko, gadaj! – huknęła, w niczym nie przypominając mu uroczej i niewinnej młódki, z którą spędził ostatnie noce.

Jej rysy wyostrzyły się, z oczu zniknął zachwycający go wcześniej blask.

– Zmora mi powiedziała – wydusił, na co ta wrzasnęła ze złości.

– Nic nie mówiłeś mi o tym, że umiesz z duchami rozmawiać – wysyczała mu prosto w twarz. Jej oddech śmierdział trupem, a tęczęwki mieniły się krwawą barwą czerwieni. – Gadałeś o ułaskawianiu, uspokajaniu i wysyłaniu do ojca!

– Zabiłaś matkę i brata czy nie? – powtórzył, na co Żywia zamachnęła się, aby pchnąć go na ziemię.

Powstrzymała się w ostatniej chwili.

„Kobiety z tej rodziny ewidentnie lubią pomiatać mężczyznami” – przeleciało Wojmirowi przez głowę, gdy strzyga,

stojąc przy jego nieruchomym ludzkim ciele, uniosła dłoń, tym razem zakończoną ostrymi szponami. Jednym z nich dotknęła policzka mężczyzny. Tyle wystarczyło, aby pazur przebił jego skórę, na której natychmiast pojawiła się kropla krwi.

– Wynieś z domu listy, a dam ci spokój, synu Żmija.

„Grozi mi, no bezczelna”.

– Teraz „synu Żmija”, tak? Odpowiedz – powiedział hardo. – Zabiłaś ich czy nie?

– A jeśli zabiłam, to co?! – wycharczała z głębi gardła, trawiona przez furię Żywia. – Chciałam tylko odzyskać to, co mi się należało!

– Czyli co?

– Ojca, tytuł i bogactwo!

Wojmir powoli zaczynał rozumieć, w jak wielką kabałę się wplątał.

– Ja po matce taka przeklęta jestem – warknęła z nienawiścią, choć zdecydowanie ciszej niż wcześniej. – Zanim w zmoreę się zamieniła, to strzygą była. Jak ja teraz. W dodatku wyjątkową, bo jej postać potrafiła za życia przyjmować. I ja teraz też. – Z każdym słowem jej czarna dusza miała nad nią coraz mniejszą moc. Ton dziewczyny też wydawał się coraz bardziej ludzki. – Kiedyś to ona od ojca odeszła, zaszyła się tu, w tej ruderze, zadowolając się tymi ochłapami, za które nas utrzymywał, bo jak ledwie dwa latka miałam, ujrzała we mnie to co w sobie samej. Wieszczycę. Strzygę. Potwora. Jeden chust. – Żywia zacisnęła usta i uniosła wzrok w niebo. Na krótki moment jej oblicze znów nabrało znajomej Wojmirowi łagodności. – Odeszła w obawie, że nie opanuję tego przekleństwa i pewnego dnia zamorduję cały gród. Pozbawiła mnie tym wszystkiego! – Piersią dziewczyny targnął szloch, w jej znów

zielonych oczach stanęły łzy. – A potem, kilka lat później, gdy chciałam ojca poznać i udowodnić, że nie jestem tym, za kogo mnie ma, zamknęła mnie w stodole na dwa tygodnie i biła na zmianę z moim bratem tak mocno i długo, aż musiałam przyznać jej rację.

Nie będąc w stanie jej odpowiedzieć, Wojmir milczał. Wtedy też ogniki okalające jego nieprzytomne ciało zadrżały, dając znać, że czas, jaki mógł bezpiecznie spędzić w formie ducha, dobiegał końca.

– I przyznałam – wyszeptała Żywia, po czym usiadła na sosnowym pniu, tyłem do zawalonej ściany swojego domu, w którego korytarzu majaczyła ledwo widoczna, milcząca zjawa. – Maszkara, ohyda, szkarada. Tak mnie Izbor nazywał, odkąd pamiętam. Lał mnie pogrzebaczem po nogach za zgodą matki za każdym razem, gdym tylko o ojcu wspomniała... A ona? Phi! Przed snem ziołami mnie truła. Takimi, co spać mi kazały. Im bardziej płakałam, tym więcej mi ich dawała. I śpiewała – mruknęła gorzko pod nosem i uniosła na Wojmira spojrzenie swoich urzekających, zaszklonych oczu. – Zawsze wtedy śpiewała, wiesz? Kołysanki o lulaniu takie. Ładne.

Z trudem przełknęła ślinę i zanuciła cicho:

– *Lili laj, lili lili lili laj...*

Jedna z łez skapnęła na jej spódnicę, zostawiając po sobie malutką i mokrą okrągłą plamkę na lnianym szarym materiale.

Wojmir natomiast wycofał się i skupił na powrocie do swojego ciała. To przywitało go falą dreszczy i mdłościami. Dlatego też minęła dłuższa chwila, zanim przysiadł z westchnieniem na piętach tuż przed szlochającą Żywią, która sięgnawszy do skrywanych od ośmiu lat wspomnień, otworzyła w jednym ze swych serc zasklepioną do tej pory ranę.

– Ja tylko ojca poznać chciałam... – powiedziała, łykając kolejne łyzy.

– A te listy skąd? – Chrząknął niby od niechcienia, na co ta odparła od razu:

– To ojca warunek, bo ja do niego poszłam wtedy, kilka lat temu. – Pociągnęła nosem i wytarła go o rękaw koszuli. – Ale nie uwierzył mi, mimo że identycznie jak matka moja wyglądam. Powiedział, że albo przyniosę mu listy, które do niej pisał, albo złotą obrączkę, co podarował jej na pożegnanie. Obrączkę jednak matka w mieście zgubiła, jak mała byłam. Miesiącami po niej rozpaczała. Więc zostały listy.

Uniosła drżące dłonie do twarzy, po czym spojrzała na Wojmira z uporem.

– Chcę udowodnić ojcu, że nie jestem potworem, jeno ofiarą spisku bogów, co mnie tak przeklęli. On ma mieć pewność... – Zacisnęła pięść, mówiąc to. – Ma mieć pewność, że jestem jego córką, a nie potworem, jakiego zrobiła ze mnie matka.

Wojmir usiadł na trawie i krzyknął w stronę domu:

– Czy to wszystko prawda?!

Wiatr poruszył okiennicami, a z wnętrza budynku wydobyło się charczące i niechętne: Takkk...

„Nie do wiary” – pomyślał.

– I co powiedziała? – zapytała cynicznie Żywia i odrzuciła włosy na plecy.

– Że prawda.

Uśmiechnęła się smutno na te słowa.

– Winna teraz się czuję – szepnęła. – Dobry dla mnie jesteś, troskliwy. A ja taka podła.

– Nie byłaś dla mnie...

– W Pogorzeli rzuciłam na ciebie urok, byś nawet nie pomyślał o odmówieniu mi – przyznała ze wstydem.

Szok, jaki odbił się na twarzy widzącego, ubódł złotą duszę Żywii.

– Urok? – wydusił Wojmir.

– Urok – przytaknęła. – Tak naprawdę może nic do mnie nie czujesz. Okaże się najpóźniej za dwa dni, bo o północy przy pełni księżyca moja magia przestanie działać.

Wojmir bezwiednie położył się na plecach. Pusty wzrok wbił w bezchmurne niebo.

Współczuł Żywii. Poczuł się jednak okropnie zdradzony i zraniony, bo dziewczyna celowo go oszukiwała, przez co w głębi jego serca nagle rozgorzała chęć, by się na niej odegrać, odpłacić pięknym za nadobne.

„Nie miała prawa wplątywać mnie tak bezczelnie w swoje knowania”.

I musiała zapłacić tego cenę, bez względu na to, czy był zachwycony nie nią, ale ociekającą złem, kłamliwą Welesową magią krążącą w jej żyłach, pompowaną razem z krwią przez drugie serce.

– Wyniosę z domu te listy – powiedział w końcu, a Żywia jakby przebudziła się i z nadzieją zwróciła ku niemu. – Ale dam je dopiero twojemu ojcu, żeby sprawdzić, czy nie kłamiesz.

– Dobrze, dobrze! – Klasnęła, ponownie przypominając dziewczynę o złotej duszy, którą poznał w Pogorzeli. – Zgadzam się na wszystko!

– Wszystko?

– Wszystko!

Wojmir usiadł i oparł łokieć o zgięte kolano. Ogarnięty znieczulicą wyrzucił spomiędzy palców źdźbło trawy.

– Cokolwiek od ojca dostaniesz, połowę tego mi oddasz. Chciałaś zmijowego syna, więc go dostaniesz ze wszystkim, co za tym idzie. Dobrym i złym.

– Zgoda... – odparła i wstała z sosnowego pnia. – To uczciwe.

– Wątpię.

Wojmir okropnie nieswojo czuł się z tym, co właśnie przeżył; co usłyszał od zmory i jej córki. Odrętwienie przemożne dopadło go i na ciele, i na duchu, z powodu czego głos jego stał się oschły i nieprzychylny wielce wobec wpatrzonej w niego dzierlatki.

Strzygi.

Welesowej wieszczycy.

– Ale to nie ja jestem od tego, by ciebie i twoje występki oceniać – powiedział strapiony, nie panując nad mętlikiem w głowie. – To zadanie należy do mojego ojca.

Podszedł do zburzonej ściany domostwa, w której cieniu ciągle chowała się zmora. Przystanął. Dziwnie zawiedziony spojrział przez ramię na stojącą w wysokiej trawie, bezbronną teraz, zapłakaną Żywię.

Już w pełni ludzką.

Straszliwie smutną.

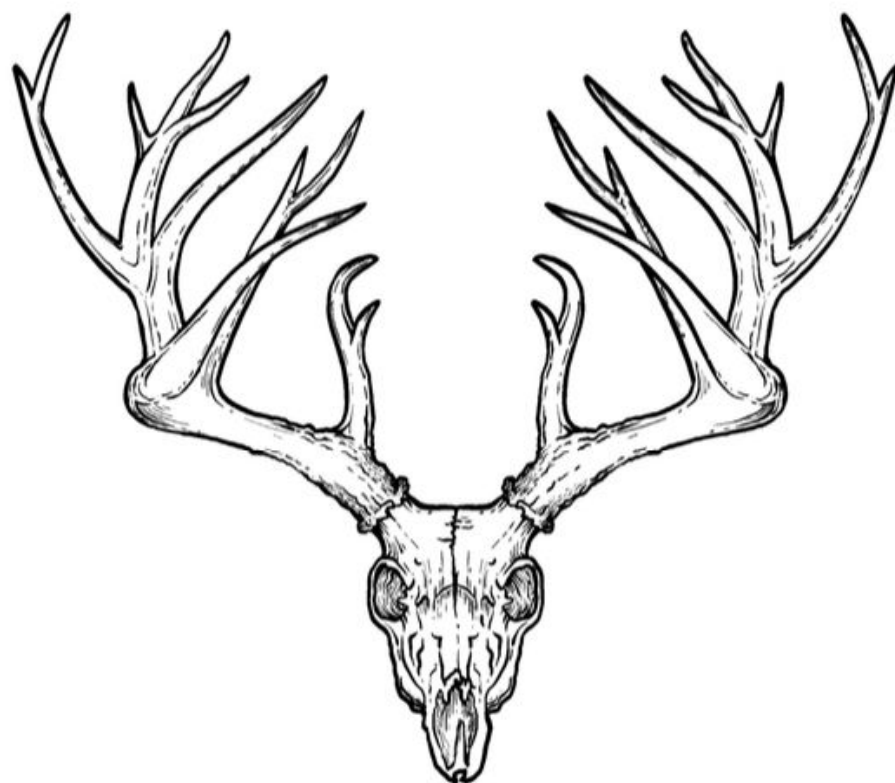
I nadal zniewalająco piękną.

– Lękaj się tylko swego końca, bo na każdego przyjdzie kiedyś sprawiedliwa pora – powiedział cicho Wojmir i odwrócił się tyłem do dworku, twarzą do dziewczyny. – Na każdą z twych dwóch dusz.

Żywia załkała po raz kolejny i otworzyła szeroko oczy, gdy ten wyminął ją, odchodząc niespiesznie w kierunku miasta.

– Wojmirze! – zawołała cklowie, nie rozumiejąc jego zachowania. – Nie miałeś czasem...

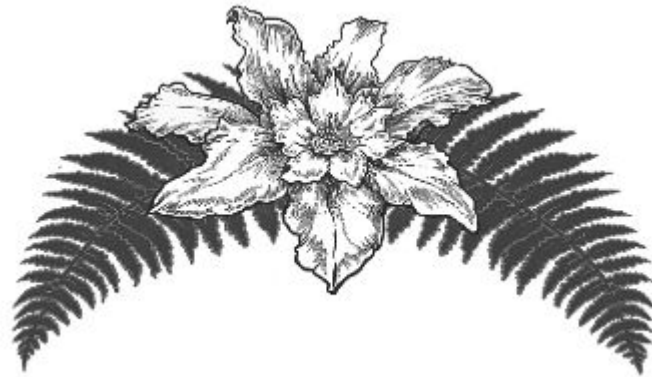
– Jutro! – rzucił przez ramię i uniósł dłoń w geście pożegnania. – Na trzeźwo tego nie zniosę!



KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK

Noc nas tu zastanie

Katarzyna Berenika Miszczuk – pisarka, scenarzystka, lekarka, współzałożycielka Wydawnictwa Mięta, a także wiecznie zabiegana mama. Pierwszą powieść pt. *Wilk* napisała w wieku piętnastu lat. Książka ukazała się trzy lata później (2006). Największe uznanie czytelników przyniosły autorce seria diabelsko-anielska: *Ja, diablica* (2010), *Ja, anielica* (2011), *Ja, potępiona* (2012), *Ja, ocalona* (2021) oraz bestsellerowy cykl *Kwiat paproci: Szeptucha* (2016, Książka Roku 2016 w plebiscybie lubimyczytac.pl), *Noc Kupały* (2016), *Żerca* (2017, Książka Roku 2017 w plebiscybie lubimyczytac.pl), *Przesilenie* (2018, Książka Roku 2018 w plebiscybie lubimyczytac.pl), *Jaga* (2019, Książka Roku 2019 w plebiscybie lubimyczytac.pl) oraz *Gniewa* (2022). Miszczuk ma na swoim koncie również książki dla dzieci ukazujące się w serii *Klub Kwiatu Paproci: Tajemnica domu w Bielinach* (2021), *Tajemnica Dąbrówki* (2022) i *Tajemnica ognia* (2023). W 2021 roku na podstawie jej powieści grozy *Druga Szansa* (2013) powstał sześcioodcinkowy serial *Otwórz oczy* wyprodukowany dla platformy Netflix.



Slasher (ang. *slash* – ciąć) – rodzaj horroru filmowego o fabule, w której liczba bohaterów zmniejsza się w „dziwnych” okolicznościach. Slashery spotykały się z ogromną aprobatą szczególnie w latach 70. i 80. XX wieku. Obecnie, mimo dalszej popularności, powstaje ich coraz mniej (za Wikipedią).

Rozchichotane towarzystwo wyskoczyło z dwóch samochodów na parkingu pod klasztorem. Plecaki, torby i puste opakowania po jedzeniu niemalże wysypały się razem z nimi na ziemię. Zajęli ostatnie miejsca postojowe, przy okazji kompletnie blokując przejście wiodące wąskim chodnikiem.

Dusznna pogoda nie zachęcała do pieszych wycieczek, ale poza jedną osobą nikt się tym nie przejmował. Matura zdana? Zdana! Trzeba się rozerwać! Nie planowali tego wyjazdu, to była spontaniczna decyzja grupy przyjaciół.

Ewa założyła na ramiona ciężki, chociaż nieduży plecak. Nigdy nie była na całodniowej pieszej wędrowce po lesie, więc wzięła chyba wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, a teoretycznie mogło się

przydać. Miała ze sobą nawet opakowanie pod pasek, mimo że to nie był ten moment w miesiącu.

Poczuła, jak po karku spływa jej strużka potu. Spojrzała na niebo z lekkim niepokojem. Błękitu nie przecinała nawet jedna cienka chmurka. A mimo to miała przeczucie, że niebawem nadejdzie oberwanie chmury. W powietrzu wisiało coś ciężkiego do opisania. Wołała nie wędrować przez las, gdyby nagle się rozpadało.

Miała ochotę odwołać cały ten wyjazd, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić.

– Jak tam, bejb, co taka skrzywiona jesteś? – zapytał Adam, zarzucając jej na szyję swoje spocone ramię.

W pierwszym odruchu chciała go odepchnąć, bo lepki dotyk wydał jej się odrobinę obrzydliwy. Ale posłała mu tylko promienny uśmiech. Dopiero zaczęli się spotykać, w co tak naprawdę wciąż nie mogła uwierzyć. Nie należała do najpopularniejszych osób w klasie, ani tym bardziej w szkole. Gdy była młodsza, często słyszała za plecami „kujonka”, a w ostatnich latach nawet „cnotka niewydymka”. A jednak Adam, żartowniś z równoległej klasy, coś w niej dostrzegł i zaczął zabiegać o jej względy. Na dodatek wciągnął ją do grupy najpopularniejszych nastolatków, do tak zwanej magicznej piątki, jak nazywali ich inni uczniowie. Poczuła ekscytację, być może niedługo wszyscy zaczną mówić „magiczna szóstka”?

– Może już chce wracać do domu? – zasugerowała Sandra, dziewczyna Patryka, najlepszego przyjaciela Adama. – Wiecie, żeby jeszcze się czegoś pouczyć.

– Nie, nie. – Ewa się spieszyła. – Po prostu jest bardzo ciepło.

Sandra przewróciła oczami. Nie lubiła Ewy i nie wierzyła w ani jedno jej słowo. Sandra nie zamierzała iść na studia, planowała kontynuować karierę instagramowej influencerki, która już teraz przynosiła jej niezłe dochody. Nauka w liceum była według niej stratą czasu i pieniędzy.

Ewa z kolei chciała, a raczej czuła, że powinna iść ścieżką wytyczoną jej przez rodzinę. Zawsze posłuszna, ułożona, pracowita, zamierzała skończyć studia ekonomiczne i zająć się księgowością jak jej rodzice, by później zatrudnić się w tej samej firmie, chociaż wcale nie było to jej marzeniem. Nie było jej stać na modne ubrania czy buty, które Sandra dostawała w barterze od firm odzieżowych. Cały rok przechodziła w jednych dżinsach. Sama wmawiała sobie, że żyje zgodnie z filozofią *zero waste*, ale tak naprawdę chodziło tylko i wyłącznie o fundusze. A raczej ich brak.

– Naprawdę jest bardzo ciepło – dalej tłumaczyła się Ewa. – Po prostu się martwię, czy słońce nam nie zaszkodzi.

– Przecież będziemy w lesie! – Sandra wydeła usta.

Adam rzucił Ewie pobłażliwe i lekko rozbawione spojrzenie.

– Spokojnie – wyszeptał prosto do ucha dziewczyny. – Nie powiem im, że pierwszy raz jesteś na takiej wycieczce. Już się nie stresuj, bejb.

– Dobra, ludzie, idziemy! – zakomenderował Patryk.

Ćwiczył od kilku lat crossfit, ale przez nie do końca zdrowe środki chemiczne, którymi sobie pomagał, zamiast żylastego, silnego ciała, posiadał sylwetkę napompowanego osiłka o zbyt szczupłych nogach. Zdawało mu się to jednak w ogóle nie przeszkadzać. Uwielbiał eksponować swoje bicepsy.

Nie patrząc na pozostałych, zamknął samochód pilotem i dziarskim krokiem ruszył w stronę szlaku.

– Czy ktoś mi pomoże? – poskarżyła się Nicola. – Nie mogę zapiąć tego cholerstwa. A w sklepie zapewniali, że to najlepszy model turystyczny...

Szarpała się ze swoim plecakiem, ale szelki i plastikowy karabińczyk pod biustem uparcie nie chciały jej słuchać. Ochocho doskoczył do niej Krystian. W kąciку ust wisiał mu nieodłączny papieros. Na razie wciąż niezapalony. Chłopak niby mimochodem musnął kilka razy sporych rozmiarów piersi dziewczyny. Nicola jednak tylko zachichotała. Znali się z Krystianem jak łyse konie, nawet mieli za sobą kilka randek. Nie było to oczywiście nic poważnego, ale Nicola lubiła dobrą zabawę, a było to coś, co Krystian na pewno umiał zapewnić.

Ewa po raz kolejny zadała sobie w głowie pytanie, jak to się właściwie stało, że wpadła Adamowi w oko. To wszystko zupełnie nie było jej bajką. W duchu westchnęła nad nowymi znajomymi. Nie pojmowała ich popularności. Ewie wydawali się wszyscy bardzo stereotypowi i przerysowani. Zupełnie jakby skupiali się tylko i wyłącznie na odgrywaniu swoich ról.

– W sumie nie jestem lepsza – mruknęła do siebie. – Zakompleksiona kujonka bawiąca się w dziennikarkę...

– Co tam, bejb? – zapytał Adam.

– Nic, nic, chodźmy już! – Posłała mu kolejny nieszczerzy uśmiech.

Chłopak złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Ruszyli wzdłuż szosy. Przytwierdzona do drzewa tabliczka upewniła ich, że

zmierzają w dobrą stronę. Trasa wiodąca przez Świętokrzyski Park Narodowy zaczynała się właśnie tutaj.

Sandra zatrzymywała się co jakiś czas i robiła selfie z ręki lub przy użyciu selfsticka. Nie prosiła nikogo o pomoc, bo uważała, że tylko ona sama umie robić dobre zdjęcia. Patryk nie zwracał na nią uwagi. Pruł przed siebie, sapiąc jak parowóz. Co krok jego olbrzymi plecak wydawał z siebie szklany brzdęk. Krystian i Nicola trzymali się razem. Papieros okazał się skrętem, którym chętnie się wymieniali.

Ewa dopiero teraz ze zgrozą zauważyła, że tylko ona założyła czapkę z daszkiem, długie spodnie i porządne buty. Reszta towarzystwa ubrała się jak na plażę. Nicola miała nawet na stopach japonki. Dziewczyna z trudem powstrzymała się przed komentarzem. Nie chciała znowu wyjść na wszechwiedzącą kujonkę. Z drugiej strony odczuła ulgę, że zabrała na wszelki wypadek środek dezynfekujący i opatrunki. Miała przecucie, że na pewno się przydadzą, i to nie jej.

Nie spieszyli się specjalnie, głównie dlatego, że spowalniała ich Sandra, szukająca wciąż dobrych ujęć. W pewnym momencie zatrzymała się nawet i nic sobie nie robiąc ze szkolnej wycieczki idącej tuż obok, zdjęła bluzkę i włożyła sportowy top. Następnie dokładnie go obfotografowała i ponownie włożyła T-shirt.

Dziesięcioletni chłopcy o mało nie poskręcali karków, kiedy speszzone nauczycielki poganiały ich, żeby szybciej minęli roznegliżowaną dziewczynę.

– Mam z nimi umowę. Muszę zrobić sobie fotkę, jak łażę w tym plastikowym wdzianku – wyjaśniła Ewie, gdy ta posłała jej zdziwione spojrzenie. – Okropnie się w tym pocę, straszne gównno.

– I będziesz je mimo to promować? – Ewa nie do końca rozumiała.

– Płacą pięć kafli za fotkę – odpowiedziała Sandra niefrasobliwie.

Ewa ucieszyła się w duchu, że nie słucha porad instagramowych influencerów, a zwłaszcza Sandry.

Gdy już weszli między stare drzewa, wszyscy odetchnęli z ulgą. W cieniu Świętokrzyskiego Parku Narodowego wreszcie można było swobodnie odetchnąć. Powietrze miało świeży i wilgotny zapach.

– Cudownie! Po prostu prze-cu-dow-nie! – wykrzyknął Krystian.

Na moment w lesie zapanowała cisza, jakby wszystko wstrzymało oddech. Adam zmarszczył brwi. Zaraz jednak jakiś ptak podjął swój wesoły trzask, a wiatr zaszumiał w koronach drzew.

– Niezła atmosfera – zgodziła się Nicola, a następnie wykrzywiła buzię. – Cholera, strasznie tu nierówno.

– No jak klapki do lasu włożyłaś... – zwrócił jej uwagę ubawiony Krystian.

– Miała być ścieżka! – obruszyła się dziewczyna.

– Szlak, kretynko, czyli taka ziemna droga. Ty się asfaltu spodziewałaś? – skomentowała Sandra.

– No tak!

– Boże, masz szczęście, że jesteś ładna. Naprawdę, tylko to cię w życiu uratuje – westchnęła Sandra, ale uśmiechnęła się przy tym z sympatią do niezbyt ogarniętej przyjaciółki.

Ewa zaśmiała się w duchu. Powoli zaczęła się rozluźniać, a pomysł na dwudniową wycieczkę z kompletnie obcymi jej osobami wreszcie przestał jej się wydawać taki straszny.

Plan pieszej wędrówki mieli dość ambitny jak na japonki Nicoli. Zamierzali przejść od Świętej Katarzyny aż na Święty Krzyż, by stamtąd zejść na dół do Nowej Słupi, gdzie mieli wykupione pokoje. Trasa liczyła około siedemnastu kilometrów, plus oczywiście dojście do miasteczka. Japonki, a co za tym idzie, stopy ich właścicielki były zdecydowanie na przegranej pozycji.

– Co zrobimy, jak Nicola skręci nogę? – Ewa zapytała szeptem Adama.

– Zatrzymamy się na postój w lesie – odparł niefrasobliwie.

– A jak będziemy tak w środku, środku lasu? Może jednak zawrócimy, niech ona kupi sobie gdzieś chociaż trampki...

– Bejb, nie przynudzaj – zbył ją. – To problem Nicoli, nie nasz. My się cieszymy spacerem.

Tu Ewa się z nim nie zgadzała. To zdecydowanie nie był tylko problem nierozsądnej koleżanki.

– Poza tym Patryk dźwiga w plecaku namiot – „pocieszył” ją Adam.

Zerknęła na spoconego sportowca, którego kark i ogolona na zapałkę głowa poczerwieniały gwałtownie od słońca i wysiłku fizycznego. Mimo gołej łepetyny i szortów on wydał się Ewie najlepiej przygotowany do wycieczki. W jego wielkim turystycznym plecaku musiało być przecież mnóstwo potrzebnych rzeczy. Poza tym miał porządne buty do chodzenia po górach. Poczowała się odrobinę bezpieczniej.

Adam niestety nie wzbudzał w niej podobnych uczuć, co w duchu gorzko musiała przyznać.

– W parku narodowym nie wolno biwakować – bąknęła jeszcze cicho, ale chłopak już jej nie słuchał. Wyprzedził dziewczynę

i dogonił Krystiana, żeby wziąć bucha z jego kolejnego, dopiero co zapalonego skręta, którego chłopak wyciągnął właśnie ze srebrnej papierośnicy.

Doszli na polanę, przy której stała drewniana kapliczka świętego Franciszka. Patryk poszedł do kasy parku kupić bilety, a reszta towarzystwa zgromadziła się przy obudowanym kamienną studnią źródelku, także nazwanym na cześć świętego.

– Wiecie, woda nigdy tu nie zamarza. – Ewa postanowiła podzielić się z kolegami znaną sobie ciekawostką.

– Dlaczego? – zapytała Nicola.

– Pewnie dlatego, że wartko płynie, ale jest z tym miejscem też związana pewna legenda – wyjaśniła Ewa.

– Dajesz, bejb! – Adam objął ją i wyszczerzył zęby do przyjaciół, zupełnie jakby się Ewą chwalił. Poczuli się odrobinę nieswojo, ale kontynuowała:

– Dawna legenda mówi, że tutaj niedaleko, a dokładniej na szczycie Łysicy, stał kiedyś wspaniały zamek. Miał dachy zbudowane ze złotych blaszek. Mieszkały w nim dwie siostry: młodsza Agata i starsza Jadwiga. Kochały się nad życie, odrzucały zaloty wszystkich mężczyzn. Pewnego dnia przyjechał jednak do zamku przystojny młodzieniec, który zdołał skraść serce Jadwigi. Zatrął jej myśli i podburzył przeciwko młodszej siostrze. Chciał władać tą krainą z Jadwigą, a Agata stała mu na drodze. Jadwiga zgodziła się zgładzić ukochaną siostrę. Gdy podjęła tę decyzję, nadeszła ogromna burza. Jeden z piorunów trafił w budynek i starszą z sióstr oraz jej kochanka przysypały kamienie. Agaty nie było w tym czasie w zamku. Gdy wróciła, wypłakała w tym miejscu oczy, a jej łzy stworzyły źródelko, które płynie do dziś. Podobno woda z niego ma lecznicze działanie,

leczy schorzenia oczu. To dlatego patronem tego źródła został święty Franciszek.

Krystian zanurzył dłoń i napił się wody.

– Ściema! – oświadczył. – W ogóle nie jest słona. Jak to ły, to chyba powinna być słona, nie?

– To tylko bajka, idioto – skwitowała Sandra. – Poza tym to niehigieniczne. Dostaniesz jakiegoś syfa. Przed chwilą te bachory stąd piły.

Odwrócili się w stronę wspomnianej przez nią wycieczki szkolnej, która po krótkim postoju ruszała właśnie czerwonym szlakiem w stronę Łysicy. Kilku chłopców zerkało co jakiś czas na influencerkę, z nadzieją, że ta po raz kolejny publicznie się rozbierze.

– Niezła bajeczka – skwitowała Nicola. – Ty tak to z pamięci czy przed wycieczką gdzieś doczytywałaś?

– Ja lubię takie... ciekawostki – wyznała lekko speszona Ewa. – Jakoś same mi wpadają do głowy.

– Nieźle, laski się pożarły o gostka i jedna umarła, a druga oślepla. Głupie pipki – zarechotała Sandra.

– Na szczęście my się nigdy tak nie pokłócimy! – Nicola przytuliła się do przyjaciółki.

– No i na szczęście nie jesteśmy siostrami – zauważyła Sandra, ale Nicola nie rozumiała aluzji.

Ewa uniosła brew. Zadziwiało ją, jak można nie usłyszeć tak jawnej drwiny. Zaobserwowała, że Sandra często złośliwie komentuje poczynania Nicoli, ale ta kompletnie nic sobie z tego nie robi. Zupełnie jakby nie rozumiała ironii.

– Opłaciłem wejście. Idziemy. – Patryk wyrósł za Ewą niespodziewanie, czym śmiertelnie ją wystraszył. – Laska, ogarnij się – dodał jeszcze, widząc jej minę.

Zmarszczyła brwi i chciała na niego nakrzyczeć, ale zauważyła, że dziewczyny dziwnie na nią patrzą.

– Zwarta, gotowa i ogarnięta – odparła Ewa fałszywie wesołym tonem.

Patryk nic już nie powiedział, ruszył tylko przed siebie z marszem na spoconym czole. Wyglądał, jakby w ogóle go ta wyprawa nie bawiła. Już w czasie jazdy samochodem był burkliwy i niemiły. Ewa zaczęła podejrzewać, że być może pokłócił się wcześniej o coś z Sandrą, która praktycznie się do niego nie odzywała. W szkole zawsze byli nierozłączni, wręcz spijali sobie mleczko z dzióbeków.

Nicola wzięła pod ramię Sandrę i zaczęły coś do siebie szeptać. Krystian i Adam zapalili na spółkę kolejnego skręta. Szli coraz bardziej rozkołysanym krokiem.

Ewie nie przeszkadzało, że została sama na końcu pochodu. Uśmiechnęła się do siebie i odetchnęła głęboko ożywczym leśnym powietrzem.

Teraz, gdy szła za nimi, podobało jej się, że może po cichu obserwować grupę powszechnie lubianych, a dokładniej mówiąc, uwielbianych przez wszystkich licealistów. W myślach udawała, że Krystyna Czubówna komentuje ich perypetie, zupełnie jakby byli jakimś nowym, nieznanym gatunkiem.

Razem z istniejącą tylko w jej głowie narratorką Ewa usiłowała zrozumieć, dlaczego akurat ta piątka nastolatków jest uważana w ich szkole za niemalże bogów. Na pewno wszyscy byli bardzo pewni siebie, a oprócz Patryka cechowali się ekstrawertycznymi

charakterami. Patryk był dodatkowo bardzo uzdolniony sportowo, zdobył dla szkoły kilka medali. Sandra oczywiście była sławna, co przyciągało do niej ludzi jak muchy do miodu. Nicola była bardzo bogata. Nawet japonki na jej nogach kosztowały zapewne więcej niż wszystkie ubrania, które miała na sobie Ewa. Adam to dusza towarzystwa, wieczny wodzirej umiejący panować nad tłumem. A Krystian? Jego popularność mogła tłumaczyć chyba jedynie niezbyt dobrze ukrywana dilerka, którą zajmował się w szkolnych toaletach.

Ewa poczuła mrowienie w palcach. Pisała pod pseudonimem w szkolnej gazecie. Zajmowała się tam rubryką ze szkolnymi ploteczkami. Był to dział, którego nikt nie chciał prowadzić. Gdy go przejęła, poczuła, jakby odżyła. Uwielbiała zaglądać tam, gdzie nie powinna, i pisać o tym, o czym inni bali się wspominać.

Teraz już oczywiście skończyła liceum, więc jej rubrykę przejmie ktoś nowy. Także jej najwdzięczniejsze obiekty do drwin i podglądania, czyli magiczna piątka, odchodziły z liceum, by zacząć dorosłe życie.

Coś się kończy, coś się zaczyna. Dobrze, że dopiero teraz Adam zwrócił na nią uwagę, pomyślała Ewa. Gdyby zrobił to wcześniej, nie mogłaby przecież opisywać go w gazecie.

Westchnęła ciężko, a Krystyna Czubówna zamilkła w jej głowie. Dziewczyna skupiła się na podziwianiu widoków, a nie zerkaniu na kolegów.

Nagle coś mignęło jej w oddali pomiędzy drzewami. Biały zad zakończony zgrabnym ogonkiem. Czyżby jeleni? Zatrzymała się z bijącym sercem i wyteżyła wzrok. Głośni towarzysze podróży nie

ułatwiali jej zadania. Zwierzak przestraszył się i zniknął w jednej chwili. Nawet nie zdążyła mrugnąć.

– Hm... – mruknęła do siebie.

– Hej! Bejb! Co tak zostałeś z tyłu? – dobiegło ją wołanie Adama.

Przyspieszyła kroku i ich dogoniła.

– Wydawało mi się, że widziałam jelenia – powiedziała z zarumienionymi policzkami.

– O, super. Zawołaj, jak następnym razem coś zauważysz! – zaproponował znowu zbyt głośno jak na okoliczności Krystian.

– Jasne – zgodziła się na odczepnego, bo wcale nie miała takiego zamiaru.

Szlak nie był trudny, ale nierówne podłoże przysypane opadłymi, butwiejącymi liśćmi bywało zdradliwe, ponieważ ukrywało kamienie lub zagłębienia, których nikt się nie spodziewał. Powoli posuwali się w górę w stronę pierwszego szczytu, czyli Łysicy. Ewa coraz częściej zerknęła na zegarek. Zbliżała się pora obiadowa. Od dawna nie mijali ich inni piechurzy. Zrobiło się już późno.

Mogła się założyć, że wycieczka szkolna, w przeciwieństwie do nich, już dawno dotarła na Święty Krzyż, by zrobić obowiązkowy postój i zdjęcia w cieniu klasztoru Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej.

– Spieszysz ci się gdzieś? – zagadnęła ją Sandra. – Cały czas patrzysz na zegarek.

– Nie, nie spieszę się. Po prostu zastanawiam się, czy nie powinniśmy zawrócić. Jeszcze jest na to dobry moment – wyjaśniła.

– Zawrócić? A czemu? – zdziwiła się Sandra.

– Bo wciąż nie doszliśmy do Łysicy, a robi się późno. Jesteśmy na samym początku szlaku. Zgodnie z oznaczeniami nie przeszliśmy nawet jednej trzeciej całej trasy. Wydaje mi się, że nie mamy szans, żeby dotrzeć do Łysej Góry i klasztoru na Świętym Krzyżu. To nierealne.

– No i co? – Szare oczy Sandry przysłonięte błękitnymi szklami kontaktowymi nie wyrażały żadnych emocji.

– Noc nas tu zastanie.

– No i...?

– No i co wtedy zrobimy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Ewa, zupełnie już nie wiedząc, do czego ma prowadzić ta wymiana zdań.

– Patryk ma namiot – odparła Sandra.

Ewa nie była pewna, czy nie robi sobie z niej żartów.

– Jesteśmy w parku narodowym. Tu nie wolno biwakować – odparła.

– Przecież nikt się nie dowie. – Tamta wzruszyła bez troski ramionami.

– Ale mamy przecież wykupione kwatery.

– Żal ci pieniędzy?

– Nie, to nie tak, tylko...

– Ty za dużo myślisz, wiesz? To dlatego jesteś taka nudna – przerwała jej koleżanka.

Ewa nie zgadzała się z oskarżeniem. Uważała, że Sandra także nie jest w ciemiej bita. Musiała mieć, kolokwialnie mówiąc, łeb jak sklep, skoro zdołała tyle osiągnąć, wrzucając zdjęcia do mediów społecznościowych. Z jakiegoś powodu jednak uwielbiała publicznie udawać klasyczną blondynkę z dowcipów.

Dziewczyna postanowiła mieć się przy niej na baczności.

Ewa przestała się rozglądać, zrównała krok z resztą grupy i skupiła się na powolnym marszu. Co jakiś czas drapała się tylko niespokojnie po karku. Nie mogła pozbyć się jakiegoś dziwnego niepokoju.

– Dalej nie pójdę! – oświadczyła w którymś momencie Nicola.

Akurat dotarli do niewielkiej polanki. Kilka ułożonych na poboczu szlaku kamieni było idealnym miejscem na krótki odpoczynek.

Nicola usiadła na jednym z nich i wyciągnęła przed siebie zmasakrowane stopy. Były brudne, poobcierane i napuchnięte. Na szczęście nie krwawiły. Wesołe towarzystwo zgromadziło się dookoła niej, by ocenić straty.

– Tępa dzida z ciebie – oświadczyła z prostotą Sandra. – I co teraz?

– Nie wiem, chcę już do tego zajazdu. Napiłabym się piwa – oświadczyła lekko Nicola.

– Zajazd jest pewnie jakieś pięć godzin drogi stąd – mruknęła Ewa i zerknęła na zegarek.

Z przerażeniem zauważyła, że wskazywał godzinę dziewiętnastą. Spacer był taki przyjemny. Nawet nie zauważyła, że nagle zrobiło się tak późno.

Adam także spojrział na zegarek.

– No, dzisiaj to raczej nie mamy szans tam dotrzeć – stwierdził. – Chyba w takim razie czas na imprezkę.

– Ale...

– Bejb, będzie spoko. – Objął ją. – Nie pierwszy raz biwakujemy. Ja wiem: ty myślisz, że my nie ogarniamy, ale zapewniam cię, że

znamy się na takich wypadach.

Ewa mocno w to wątpiła, zwłaszcza biorąc pod uwagę buty, jakie niefrasobliwie włożyła Nicola.

– Możemy zadzwonić po straż leśną, żeby nam pomogli wrócić – próbowała jeszcze, ale nikt jej nie słuchał.

Krystian, który wypalił już zdecydowanie zbyt dużo skrętów, zawył potępieńczo, co chyba miało ukazywać jego radość:

– IMPREZKA!!!

Po raz kolejny jednak jedyne, co udało mu się osiągnąć, to wystraszenie całej okolicznej zwierzyny.

– Skręcamy, ja państwa poprowadzę – oświadczył Krystian i jak gdyby nigdy nic zszedł ze szlaku i ruszył prosto między drzewa.

– Ej, ale...

– Bejb, spoko loko. Nie zgubimy się. Krystian ma kompas w dupie. Poza tym mam GPS-a – uspokoił ją Adam. – No i serio, już się kiedyś tutaj rozbiliśmy na noc. Nawet chyba gdzieś w tych okolicach. Nicola jeszcze nigdy nie doszła na Łysicę.

– Czemu mnie wcześniej nie ostrzegłeś? – syknęła Ewa. – Przygotowałam się jakoś, wzięła śpiwór, cokolwiek!

– A tak masz przygodę – oświadczył z uśmiechem. – Weź się uspokój, będzie fajnie.

Ewa została sama na szlaku. Patrzyła, jak grupa ochoczo wędruje między drzewa.

Patryk podał rękę Nicoli. Ta chętnie ją przyjęła i pozwoliła dźwignąć się do góry. Drugą dłońią schwyciła Sandrę i lekko ruszyła za Krystianem. Ewa wpatrywała się w nią oniemiała. Przecież przed chwilą jęczała, że nie zrobi nawet jednego kroku!

Poza tym... podobno nie pierwszy raz biwakowali... a jeśli tak, to dlaczego Nicola była zdziwiona, że w Świętokrzyskim Parku Narodowym nie ma wyasfaltowanych szlaków? Ewa poczuła, jak po plecach przebiegają jej zimne dreszcze. Coś było nie tak. Niepokój, który nie opuszczał jej od jakiegoś czasu, jeszcze bardziej się wzmógł.

Czy magiczna piątka czegoś jej nie mówiła?

Adam odwrócił się w jej stronę.

– Idziesz? – zapytał i wyciągnął do niej rękę.

Próbowała dopatrzeć się w jego twarzy i oczach fałszu, ale niczego nie dostrzegła. Uśmiechnęła się nerwowo. Sandra miała rację, czasem zdecydowanie za dużo myślała.

– Idę, idę... – Podała mu dłoń.

Gdzieś w krzakach za ich plecami rozległ się tajemniczy szelest, ale żadne z nastolatków tego nie usłyszało. Wchodzili coraz głębiej w zalegający pomiędzy drzewami półmrok.

Nie wędrowali długo. Po kilkunastu minutach, pokonaniu jednej górki i jednego małego wąwozu Krystian ogłosił, że są już na miejscu. Ciężko nawet było nazwać to miejsce polaną, ot, niewielkie przejaśnienie pomiędzy drzewami, połączyć mchu i paproci oraz zwalony pień drzewa.

Patryk zrzucił plecak na ziemię i zaczął wypakowywać z niego potrzebne rzeczy. Sandra i Nicola rozłożyły na pniaku koc i rozsiadły się wygodnie. Nicola wyciągnęła ze swojego plecaka opakowanie chipsów. Jak gdyby nigdy nic zaczęła chrupać słone przekąski. Sandra skupiła się na piwie, które odczekał jej Krystian. Adam gdzieś zniknął. Mruknął coś pod nosem o sikaniu oraz suchych badyłach na ognisko i tyle go widzieli.

Pośrodku polany stała za to Ewa i kompletnie nie wiedziała, co ma ze sobą począć. W końcu położyła plecak i podeszła do Patryka.

– Może jakoś ci pomóc? – zaproponowała nieśmiało.

– Nie trzeba – odparł.

Sprawnie rozkładał nieduży namiot, który nie miał najmniejszych szans pomieścić w środku szóstki ludzi. Zresztą i tak mieli tylko jedną dmuchaną karimatę.

Ewa przysiadła nieśmiało koło dziewczyn. Gdy tylko zajęła miejsce, obie zamilkły.

– Co tam? – zapytała nieśmiało.

– Nic – odparła Sandra, patrząc jej głęboko w oczy. – Tak sobie myślę, że nic o tobie nie wiemy. A ty pewnie wiesz dużo o nas.

– Ja? – Ewa się zmieszała. Poczowała lekkie mdłości. Czyżby wiedzieli, że pracowała w szkolnej gazetce? Pisała do kilku działów, do tego z plotkami wysyłała maile ze specjalnie założonego adresu. Nikt nie powinien znać jej tożsamości. – Dlaczego miałabym wiedzieć o was dużo?

– Bo wszyscy wszystko o nas wiedzą. – Sandra wzruszyła ramionami. – Pokazujemy nasze życie w mediach społecznościowych. Ty masz jakieś konta?

Nicola wydeła usta.

– Nie ma tu internetu. Sprawdzalam przed chwilą. Ewa, masz Instagrama czy Snapa?

– Nie, nie mam – skłamała w odpowiedzi.

Oczywiście, że miała, tylko konta nie były podpisane jej nazwiskiem. Musiała przecież jakoś śledzić magiczną piątkę i innych sławnych licealistów.

– Dziwna jesteś – skrytykowała ją Nicola.

– Bardzo – zgodziła się Sandra.

Ewa poczuła się nieswojo. Była pewna, że Sandra jej nie wierzy.

– To mówicie, że już nieraz tak biwakowaliście? – zagadnęła, próbując zmienić temat.

– Zdarzyło się kilka takich wypadów – odparła Nicola.

Krystian podał każdej z nich butelkę z ciepłym piwem. Ewa skrzywiła się i upiła łyk. Nie miała ochoty na alkohol, zwłaszcza ciepły, ale też nie chciała już bardziej odstawać od grupy.

– Zawsze wkładasz wtedy japonki? – Ewa nie zdążyła ugryźć się w język.

– Uuu, złośliwa jesteś. Fajnie! – Nicola się zaśmiała. – Pasowałybyś nawet do nas.

Sandra przewróciła oczami. Nie podzielała zdania koleżanki.

– Cieszę się – odparła, tym razem bez ironii Ewa.

Nagle na polankę wbiegł zziębnięty i spocony Adam. Stał na środku, oparł dłonie na kolanach i dyszał ciężko. Wszyscy patrzyli się na niego jak na wariata.

– A temu co? – rzuciła Sandra.

Patryk skończył rozkładać namiot i skupił się na dmuchaniu w ustnik karimaty. Co jakiś czas zerkał na Ewę, ale dziewczyna tego nie zauważyła.

– Kogoś widziałem – wydusił w końcu chłopak.

Usiadł tam, gdzie stał. Był wyjątkowo blady. Rozbieganym spojrzeniem cały czas sondował okoliczne zarośla.

– Kogo? – zapytała Sandra. – Mówże!

– Nie wiem. Poszedłem się wysikać. Odszedłem trochę za daleko, bo przestałem was widzieć i słyszeć.

– Ja obstawiam, że poszedł na klocka, skoro tak daleko polazł – wtrącił ze śmiechem Krystian.

Adam poczerwieniał gwałtownie, co tylko utwierdziło żartownisia w poczuciu swojej racji.

– No i odszedłem, zgubiłem was z oczu, przestałem słyszeć... – kontynuował Adam.

– ...i się obsrałem ze STRACHU!!! – Krystian rechotał w najlepsze.

Czerwony już jak burak Adam wstał z pniaka, podszedł do Krystiana i popchnął go energicznie. Śmiejący się w głos chłopak poleciał na plecy między paprocie. W ogóle nie czuł się oburzony atakiem przyjaciela.

– Zamknij się, to nie są żarty – warknął Adam. – Coś było w krzakach, ktoś... sam nie wiem. Usłyszałem jakiś taki dziwny szept... No naprawdę! Coś tam było, ale nie widziałem co!

Ewa objęła się ramionami.

– Człowieku, paliłeś ze mną zioło, ja po tym szajsie też słyszę głosy – powiedział Krystian. – I zapewniam cię, że one istnieją tylko w mojej głowie.

– To coś innego – zaprzeczył Adam. – Miałem wrażenie, że ktoś się na mnie gapił.

– No mam nadzieję, że nie próbowałaś nagrywać niczego telefonem i nie zafundujesz nam *Blair Witch Project* – zadrwiła Sandra.

– Może wracajmy na szlak? – zaproponowała Ewa. – Spokojnie zdążymy wrócić do Świętej Katarzyny do samochodu i pojedziemy sobie do Nowej Słupi na późną kolację. Co wy na to?

– Eee, to pewnie jakiś zbłąkany grzybiarz – zbagatelizowała całą sprawę Sandra. – Nie ma powodu do paniki.

– W czerwcu? Grzybiarz? – rzucił Adam, oburzony, że poza Ewą nikt mu nie wierzy.

– To może kłusownik albo jakiś wsiok chrust zbiera na zimę – zadrwiła.

Ewa lekko poczerwieniała oburzona wypowiedzią rówieśniczki. Sama mieszkała na wsi. Jej mama pochodziła z domu, w którym się nie przelewało. Ewa do dzisiaj chodziła z babcią na grzyby. Chrustu jeszcze nie miała okazji zbierać, ale biorąc pod uwagę to, co działo się ostatnio w kraju, nie zdziwiłaby się, gdyby dziadek już robił jakieś nie do końca legalne zapasy opału.

– Może to był leśniczy – rzuciła Ewa. – Naprawdę myślę, że powinniśmy się zbierać. Ktoś może na nas donieść, że rozbiliśmy obóz. Będziemy mieć kłopoty.

– Tak szybko nikt nas nie znajdzie, a rano już nas tu nie będzie – wtrącił milcząco do tej pory Patryk. – Nie trzęś gaciami. Przecież nie będziemy palić ogniska, nic nie niszczymy. Straszna z ciebie cnotka.

Dziewczyna już nabrała powietrza, żeby się z nim pokłócić, ale zmieniła zdanie. Nie było warto. Osilek najwyraźniej nawet nie wiedział, co oznacza słowo „cnotka”. Ewa doszła do wniosku, że nie będzie na niego tracić nerwów i po prostu zignoruje przytyk.

– Ja naprawdę kogoś widziałem. Coś widziałem... – Adam przeciągnął dłońmi po twarzy.

Ewa podeszła do niego i delikatnie dotknęła ramienia chłopaka. Miała nadzieję, że chociaż jemu przemówi do rozsądku.

– Jeśli chcesz, możemy się odłączyć i razem wrócić – zaproponowała nieśmiało.

Sandra prychnęła pogardliwie, Nicola i Krystian zaczęli się podśmiewywać, że Adam wypalił za dużo zioła. Chłopak Ewy spojrzał na Patryka i widząc jego minę, pokręcił głową. Ewa zrozumiała, że nie ma szans, by w grupie podjął decyzję niepodyktowaną opinią innych, silniejszych osobowości. Pożałowała, że wybrała się z nimi na wycieczkę. A także tego, że zaczęła spotykać się z Adamem. Nie był silnym i ogarniętym chłopakiem, za jakiego go miała.

– Nie, pewnie mają rację. Coś mi się przywidziało – odparł i zaśmiał się krótko. – Będzie fajna zabawa. Tylko musimy się napić.

Wyjął z dłoni dziewczyny butelkę z ciepłym piwem i kilkoma dużymi łykami opróżnił ją do dna. Zawiedziona Ewa wróciła na pień. Chłopcy skończyli przygotowywać obóz. Dziewczyny zasiadły na dmuchanej karimacie, a Krystian z Patrykiem na rozłożonym dopiero co kocu. Pomiędzy sobą postawili przenośną lampę turystyczną i nastavili ją na czerwone światło imitujące płomień ogniska.

W ruch poszły kolejne butelki, tym razem z silniejszym alkoholem. Butelka ciepłej wódki zrobiła rundkę dookoła lampy.

Adam zebrał się w sobie. Wstał, otrzepał spodnie z mchu i liści i podał rękę Ewie.

– Chodź do zabawy – powiedział.

Niechętnie usiadła obok Sandry. Za łyk wódki jednak podziękowała. Na szczęście rozbawione towarzystwo nie robiło jej z tego powodu wyrzutów.

– Poopowiadamy jakieś straszne historie! – zaproponował Krystian.

Nicola wygięła usta w podkówkę.

– Ja żadnej nie znam – powiedziała.

– Ja też nie, ale mogę się założyć, że panna encyklopedia ma coś jeszcze w zanadrzu – zauważyła złośliwie Sandra.

– Ja?

– Tak, ty. Coś w stylu tego zamku i dwóch sióstr.

– Dawaj, bejb! – Adam przytulił ją odrobinę zbyt mocno. – Na pewno coś jeszcze znasz. Wiesz, jakąś legendę.

– No, niby... – mruknęła.

Nie wychowała się dokładnie w tych okolicach, ale faktycznie znała kilka lokalnych legend. Jej mieszkająca za Ciekotami babcia była skarbnicą takich opowieści.

– Mogę wam opowiedzieć o gołoborzu i diable – powiedziała.

– Dajesz! – zachęcił ją Krystian i zapalił kolejnego skręta.

Sandra w tym czasie wpakowała się Patrykowi na kolana. Chyba nie miała zbytnej ochoty na opowieści. Wolą obmacywać swojego, szczerze mówiąc, nie do końca tym zachwyconego chłopaka.

– Jest taki wierszyk... – zaczęła Ewa. – Płot nie płot, las nie las, wieś nie wieś, biesie nieś. A dokładniej jest to zaklęcie, które musiały wypowiedzieć czarownice, by ich miotły zaczęły latać. Działo tylko wtedy, gdy nad Górami Świętokrzyskimi pojawiały się burzowe chmury, a okoliczne jodły szarpał wiatr. Wtedy właśnie Lucyfer we własnej osobie przywoływał je do siebie na szczyt Łysej Góry.

– Uuu, nastrojowo – zauważył nerwowo Adam.

Ewa przyznała mu w duchu rację. Mimo letniej pory w lesie szybko zapadał zmierzch. Ich twarze oświetlała tylko upiorna czerwona lampa. Robiło się duszno i wilgotno. Chociaż prognoza

pogody nie zapowiadała dzisiaj deszczu, Ewa była przekonana, że nieźle ich zmoczy. Coś wisiało w powietrzu.

– Góry Świętokrzyskie to siedziba diabłów od niepamiętnych czasów, a Łysa Góra była ich ulubionym miejscem. Szatan wzywał tam do siebie czarownice, by te w burzowe dni tańczyły dla niego, a potem uprzykrzały życie zwykłym ludziom za pomocą czarnej magii – kontynuowała opowieść. – Niestety, a może raczej stety, duchowni postanowili wybudować klasztor na szczycie Łysej Góry i rozpędzić diabły. Rozgniewali tym władcę piekieł. Wezwał pomniejszych diabły i z ich pomocą wyrwał olbrzymi głaz, tworząc jaskinię Piekło. Chciał rzucić kamieniem w klasztor i zburzyć jego mury. Diabły jednak zawiodły i nie zdążyły jednej nocy przenieść ogromnego głazu. Gdy rano zapały koguty, upuściły kamień. Nazwano go Diabelskim Kamieniem, można go zobaczyć na szczycie góry Klonówki. Szatan wydał kolejny rozkaz. Tym razem diabły niosły mniejsze kamienie, zawinięte w wielką płachtę. Łopot materiału zbudził jednak mieszkające w obejściu klasztoru gęsi. Te zagęgały, czym obudziły księdza odpowiedzialnego za wzywianie innych duchownych na poranną modlitwę. Uderzył w dzwon i przestraszył diabły. Upuściły wszystkie kamienie i uciekły. Tak powstało gołoborze. Diabły zostały przegonione, ale podobno do dzisiaj można spotkać tu po zmroku pojedyncze służki Lucyfera... Dlatego trzeba na siebie uważać. Zwłaszcza gdy nad puszcza pojawiają się burzowe chmury.

– Niezła ściema – skomentował Krystian.

– Myślicie, że naprawdę diabły jeszcze mieszkają w tym lesie? – zapytała zaaferowana Nicola.

Nastolatkwie spojrzeli na nią, nie do końca wiedząc, czy dziewczyna żartuje, czy może mówi całkowicie poważnie.

Nagle gdzieś niedaleko nich rozległ się głośny szelest. Zupełnie jakby ktoś szybko przebiegł po suchym poszyciu.

– Co to było? – zapytał Adam.

– Może diabły? – Krystian zaciągnął się z lubością kolejnym skrętem.

Ewa rozejrzała się z przestachem. Zauważyła, że Patryk nie spuszcza z niej wzroku.

– Co? – zapytała go.

Wzruszył tylko ramionami. Siedząca na jego kolanach Sandra rzuciła jej ukradkowe spojrzenie. Oświetleni czerwonym światłem, wydawali się obcy i groźni.

– Pewnie jakiś lisek przebiegł – stwierdziła Nicola.

– Mam dość opowieści. Proponuję, żebyśmy zagrali w prawdę lub wyzwanie – zaproponowała niespodziewanie Sandra. Zerwała się z kolan Patryka i zaklaskała.

– Gramy? Gramy? – zapytała podniecona. – Już późno.

– No i co z tego, że późno? – zapytała Ewa. – Nie powinniśmy lepiej sprawdzić, co to za hałas?

– Jesteśmy w lesie, to normalne, że coś tu hałasuje.

– Tak! Gramy! Teraz! – Nicola i Krystian zapalili się do pomysłu.

Nawet Patryk usiadł bliżej. Adam pokiwał głową.

– Ewa, ty pierwsza, bo jesteś nowa – oświadczyła Sandra. – Prawda czy wyzwanie?

– Ja... może nie ja pierwsza... – zaprotestowała słabo.

– Przecież chyba umiesz w to grać? – zapytała Nicola.

– No umiem, ale...

– Prawda czy wyzwanie? – twardym tonem zapytała Sandra.

– Pra... wyzwanie – odpowiedziała Ewa.

Próbowała złapać spojrzenie Adama, ale on odsunął się od niej i skupił na popijaniu z kolejnej otwartej właśnie butelki wódki.

– Wyzywam cię, żebyś wreszcie napiła się alkoholu – powiedziała Sandra.

– Ale...

– Hej, wybrałaś wyzwanie. Nie masz wyboru – zauważył Krystian.

Adam bez słowa podał jej butelkę. Ujęła ją w spocone dłonie. Oświetlona czerwienią Sandra sama zaczęła jej właśnie przypominać świętokrzyskiego diabła.

– Tylko to nie może być oszukany łyk – zaznaczyła dziewczyna. – Masz się porządnie napić.

Ewa nabrała powietrza i szybko upiła ciepłej wódki. Poczowała, jak robi jej się niedobrze, aż podskoczyła, gdy nią wstrząsnęło. Nikt nie zaśmiał się z jej reakcji.

– To teraz ja... eee...

Sama nie była pewna, kogo i o co chciałaby zapytać. Wolała nie narażać się Sandrze, w tym wypadku Adam wydawał się najbezpieczniejszą opcją. Coś jednak ciągnęło ją do Patryka, który wciąż dziwnie na nią patrzył.

– Patryk, teraz ty. Prawda czy wyzwanie? – zapytała.

– Wyzwanie – odpowiedział bez zastanowienia.

– Och... no tak... To może zrób dziesięć pompek? – zaproponowała.

Sandra prychnęła pod nosem. Była zde gustowana jej pomysłem. Patryk jednak karnie wykonał dziesięć poprawnych pompek.

- Teraz ty, Ewa – powiedział następnie. – Prawda czy wyzwanie?
- Znowu ja? Ale ja przed chwilą byłam – zaprotestowała.
- Tak, ty. Prawda czy wyzwanie? – powtórzył.
- Ja... wyzwanie.
- Napij się.
- Co wy? Chcecie mnie podstępem upić? – zaśmiała się sztucznie Ewa i karnie pociągnęła łyk alkoholu.

Nicola zachichotała. Krystian wyciągnął z plecaka kolejnego skręta. Ewie przyszło do głowy, że chyba jedyne, co ze sobą zabrał, to miękkie narkotyki i alkohol.

– To może teraz... – Ewa zawahała się. – Nicola? Prawda czy wyzwanie?

- Prawda! – Puściła do niej oko.
- Eee... no dobrze. Co zamierzasz robić po maturze?
- Robię sobie *gap year*. Wyjeżdżam z rodzicami na dłuuuugie wakacje – odpowiedziała z uśmiechem.
- Będziesz szukać bogatego męża? – zakpiła Sandra.
- Tatuś mi znajdzie, ja nie muszę szukać. – Nicola zachichotała. – To teraz ja wybieram. Ewa. Prawda czy wyzwanie?
- Hej, czemu znowu ja? – oburzyła się. – Czemu mnie wybrałaś?
- Bo mogę – odparła z prostotą Nicola.
- Ale...

W tej chwili szelest rozległ się ponownie. Wszyscy zamilkli i wbili spojrzenia w ciemność za drzewami. Słońce, mimo że jeszcze przez jakąś godzinę miało być na niebie, schowało się za wzniesieniem, na którego zboczu obozowali.

Coś się tam wyraźnie poruszało. Powoli i bardzo ostrożnie. Skradało się w ich stronę.

Adam zamrugał, przez chwilę wydawało mu się, że dostrzegł błysk czerwonych ślepi. Zerknął szybko na przyjaciół, ale nikt nie wyglądał na zbytnio przestraszonego. Wydawali się raczej zaintrygowani. Doszedł do wniosku, że chyba nie zobaczyli tego co on.

– Co...? – zaczęła Nicola, ale Krystian na nią syknął.

Nagle tajemnicze coś zerwało się do szaleńczego biegu, przestraszone nie wiadomo czym. W krzakach mignął im kawałek poroża, a potem biały zad.

– Czy to był Bambi? – zapytała zachwycona Nicola. – Widzieliśmy właśnie jelenka?

– Chyba tak – odpowiedziała Ewa.

– Czy on był biały?

– Ciężko powiedzieć, jest ciemno...

– Bambi albinos, no nieźle. Chcę go zobaczyć jeszcze raz! – Nicola wstała i weszła między drzewa.

Patrzyli za nią, dopóki nie zniknęła im z oczu.

– Ona naprawdę myśli, że dogoni i pogłaszcze jelenia? – zapytał rozbawiony Krystian.

– Lelenia – szepnęła Ewa.

– Co? – Krystian zwrócił na nią uwagę. Wstał i usiadł blisko Ewy. – Lelenia? – dopytał.

– Kolejna świętokrzyska legenda. – Wzruszyła ramionami.

– Opowiedz! – poprosił.

– Krystian, gramy przecież... – Sandra nie miała ochoty słuchać bajek.

– Nicola i tak sobie poszła i przerwała zabawę – zauważył. – Dalej Ewa, o co chodzi z tym leleniem?

Ewa odczuła ulgę. Wcale nie miała ochoty ponownie pić. Miała słabą głowę, a wcześniej niczego nie zjadła. Czuła, że trochę jej niedobrze. Adam wyciągnął z plecaka ciastka czekoladowe. Z ulgą sięgnęła po jedno. Byle tylko żołądek przestał skręcać jej się w ciasny supeł.

Wolała snucie historii niż zabawę w wyzwania.

– Działo się to za czasów królów. Na kielecki dwór Bolesława Chrobrego przyjechali szlachcice, w tym mężny wojownik o imieniu Emeryk. Wybrali się na polowanie w okolicznych lasach. Emeryk dostrzegł w pewnym momencie białego jelenia. Ruszył za nim w pogoń i oddzielił się od reszty myśliwych. Gdy już miał go zabić, dostrzegł w porożu jelenia krzyż. Zwierzę zaprowadziło go na szczyt góry. Emeryk darował jeleniowi życie, a w miejscu, które wskazało mu zwierzę, zbudował klasztor. Dokładniej mówiąc, klasztor na Świętym Krzyżu. Jeleń został nazwany jeleniem świętym. Jest w herbach kilku okolicznych gmin, na przykład w Hrubieszowie.

– Eee, myślałem, że ta legenda będzie bardziej krwawa. – Krystian był zawiedziony.

– Jest jeszcze druga wersja... – zaczęła, ale przerwał jej czyjś krzyk.

Wszyscy się wyprostowali. Czerwona lampa sprawiała, że wyglądali, jakby mieli zakrwawione twarze.

– Co to było? – zapytał Adam.

– Nicola – odparła Sandra. – Obstawiam, że się wywaliła po ciemku w tych swoich nedorzecznych japonkach. NICOLA!!!

Sandra zawołała kilkukrotnie koleżankę, ale odpowiedziała jej cisza.

– Pięknie! – prychnęła z potępieniem. – Teraz trzeba będzie szukać tej kretynki. Wzięła chociaż telefon?

– Tu nigdzie nie leży – mruknął Patryk, rozglądając się. – Ale i tak nie ma tutaj zasięgu. Nie zadzwonimy do niej.

– No tak. Po prostu cudownie.

– Ja po nią pójde – zaoferował się Krystian. – Patryk, daj latarkę.

– Poświeć sobie telefonem. Nie będę ci dawał jedynej latarki.

– No wiesz? – oburzył się.

– Poświeć sobie telefonem – powtórzył twardo Patryk, ani myśląc zmienić zdanie.

– Niech będzie. – Krystian skapitulował i spojrzał na wyświetlacz. – Mam całe piętnaście procent baterii. Może wystarczy.

Patryk pokręcił głową. Obstawiał, że telefon wyczerpie się Krystianowi w kilka minut. Chłopak wydawał się tym jednak nie przejmować. Odważnie ruszył rozkołysanym i zdecydowanie nietrzeźwym krokiem za koleżanką.

– Mogę się założyć, że te ciołki, nawet jak się znajdą, to potem zgubią się we dwójkę. – Patryk parsknął śmiechem.

Sandra tymczasem sięgnęła do upiornej lampy i przestawiła ją na silniejszy i na szczęście normalny, żółty kolor. Ewa wyciągnęła ze swojego plecaka bluzę i szybko ją włożyła. Zaczęło się robić chłodno. Adam wyjął ze swojego plecaka kolejne przekąski i wszyscy zajęli się jedzeniem w oczekiwaniu na powrót przyjaciół.

Ewa zerkała niespokojnie na zegarek. Czas upływał podejrzanie szybko, a nikt nie wracał. Tymczasem nad lasem potoczył się odległy grzmot. Babcia Ewy zawsze mówiła w takich sytuacjach, że burza mruczy.

Zauważyła, że Sandra i Patryk nie spuszczają z niej wzroku. Atmosfera zrobiła się nerwowa.

– O co wam chodzi? – zapytała zirytowana. Gdyby wcześniej się nie napiła, na pewno spróbowałyby teraz uniknąć konfrontacji.

– Nicoli nie ma, ale może powiesz nam, co wybierasz. Prawda? Czy wyzwanie? – zapytała Sandra.

– Macie ze mną jakiś problem, prawda?

– Zgadza się.

– Może sobie to wyjaśnijmy i miejmy to już za sobą. Nie bawmy się w głupie gierki – zaproponowała Ewa. – Adam?

Chłopak unikał jej wzroku.

– Adam? – powtórzyła. – Ty też masz ze mną jakiś problem?

Nie odpowiedział.

– O co wam chodzi?! – wykrzyknęła.

– Wybierz prawdę – doradziła Sandra. – To się dowiesz.

– Prawda – odpowiedziała.

Sandra uśmiechnęła się złośliwie.

– Czy piszesz do szkolnej gazetki?

Pytanie zawisło w powietrzu. Ewa miała wrażenie, że brzęczy jej w uszach. Zrozumiała, że oni wiedzą. To stąd te ukradkowe spojrzenia i szepty. Odwróciła się powoli w stronę Adama. Chłopak nie patrzył jej w oczy. Miał zacięty wyraz twarzy.

Alkohol, który wypła, zrobił swoje.

– Tak – odpowiedziała odważnie, nie spuszczać wzroku ze swojego chłopaka. – Piszę do szkolnej gazetki. A raczej pisałam.

– A prowadziłaś kolumnę plotkarską? – dopytała Sandra.

– Tak. – Odwaga nie opuszczała Ewy. – No i co z tego?

– Szkalujesz nas.

– Nic, co napisałam, nie było kłamstwem. – Ewa odwróciła się od Adama, który nadal nie chciał na nią patrzeć.

– Opisywałaś nasze prywatne sprawy! – zdenerwowała się Sandra.

– Jeśli na imprezie szkolnej widzi je co najmniej kilkanaście osób, to nie są prywatne sprawy – szła w zaparte Ewa.

Tak naprawdę zgadzała się w duchu z rówieśnikami. Plotkowanie było złe i małostkowe, zdawała sobie z tego sprawę. Często miała moralnego kaca po tym, jak opisywała kompromitujące zdarzenia z życia magicznej piątki. Być może, gdyby nie rozdmuchała kilku z nich, szybko odeszłyby w zapomnienie lub nawet nikt by się o nich nie dowiedział. Ona i jej kolumna w gazetce nie pozwoliły jednak umrzeć przedwcześnie skandalom.

– Bezczelna – skwitowała Sandra.

– I co zamierzacie? Jakąś porąbaną akcją rodem z *Carrie*? Wyprowadziliście mnie do lasu i co? Ogolicie mi głowę na zero? Oblejecie świńską krwią?!

Ewa zerwała się na równe nogi i mówiła coraz głośniejszym głosem. Nie wiedziała, skąd wzięło się w niej tyle odwagi i złości. Zwróciła się do Adama:

– Ty też w tym oczywiście bierzesz udział? No jasne, czemu miałbyś się umawiać z kimś takim jak ja – odpowiedziała sama sobie.

– Masz lepsze pomysły od nas – odparła Sandra i poklepała Patryka po ramieniu. – Widzisz, nawet by się nie zdziwiła, jakbyśmy ją oblali farbą.

– To co planowaliście? Spić mnie i zrobić kompromitujące zdjęcia?

– Nie. Po prostu chcieliśmy z tobą porozmawiać. Nie sądziłam, że masz nas za potwory.

Ewa nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

– I dlatego wyprowadziliście mnie do lasu? – prychnęła. – Nie mogliśmy porozmawiać gdzie indziej?

– Tak. Tu na pewno musiałybyś z nami porozmawiać. Szczerze.

– Nie wierzę ci.

– Twoja sprawa.

Wymianę ich zdań przerwał krzyk. Zamarli.

– To chyba była Nicola... – bąknęła niepewnie Sandra. – Ale jakoś dziwnie to brzmiało.

Patryk wyciągnął ze swojego plecaka ciężką metalową latarkę, która była w stanie dać długi strumień światła. Zdecydował, że pójdzie na poszukiwanie przyjaciół. Pluł sobie w brodę, że puścił Krystiana samego.

– Zostańcie przy namiocie. Adam, pilnuj dziewczyn. Ja się rozejrzę – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To zły pomysł – wtrąciła Ewa. – W horrorach zawsze się rozdzielają i potem to się źle kończy.

Patryk zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

– Nie jesteśmy na planie horroru – skwitował beznamiętnie. – Znając Nicolę, wpadła w jakieś pajęczyny i umiera.

Zrobił w powietrzu umowny znak cudzysłowu. Sandra nie była taka pewna jak on. Przerażliwy krzyk mocno ją przestraszył.

Ewa wodziła spojrzeniem po kolegach. Z jednej strony bardzo się bała. Jej także nie podobał się ten krzyk. Z drugiej strony być może robili sobie z niej tylko żarty.

Nie chciała, żeby bawili się nią i jej emocjami.

*

Patryk wszedł pewnym krokiem w ciemność. Jasne światło latarki zdawało się przecinać mrok. Sondował okoliczne zarośla w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu przyjaciół. Zastanawiał się, czy powinien ich wołać. Wątpił, że nocami po Świętokrzyskim Parku Narodowym wędruje strażnik leśny, ale wołał nie trafić niechcący na kłusowników. Już i tak czuł się wystarczająco odsłonięty, paradując tak z wojskową latarką.

Próbował właśnie sobie przypomnieć, czy w parku mieszkają jakieś większe drapieżniki, kiedy dobiegł go szelest zgniatanych liści. Robił się coraz głośniejszy. Ktoś zbliżał się w jego stronę.

*

Tymczasem w obozowisku panowała cisza. Sandra usiadła w wejściu do namiotu. Czuła się bezpieczniej, mając za plecami materiał. Adam wciąż trwał nieruchomo na swoim miejscu. Tylko Ewa krążyła niespokojnie dookoła polany, na próżno usiłując zobaczyć coś w ciemności. Sięgnęła po telefon komórkowy, żeby chyba po raz setny stwierdzić, że nie ma w tym miejscu zasięgu ani internetu. Zresztą od tego sprawdzania i tak bateria była już na wyczerpaniu.

– Robicie sobie ze mnie teraz żarty? – zapytała Ewa. – To wszystko to przedstawienie, które ma mnie wystraszyć? Takie jaja sobie robimy?

– Zamknij się! Nasłuchuję, czy wracają – warknęła Sandra.

Jej maska pewnej siebie dziewczyny znikła bezpowrotnie. Wydawała się teraz znacznie młodsza i delikatniejsza.

– Siadaj, Ewa, nikt sobie teraz nie robi z ciebie żartów – dodał Adam.

– Nie wierzę.

– Udawałem, okej? Udawałem, że mi się podobasz, po to, żeby cię tu zwabić. To chciałaś usłyszeć? – warknął na nią.

– Tak, to chciałam usłyszeć.

Ewa objęła się ramionami. Rzuciła obrażone spojrzenie Sandrze. Spodziewała się ataku i szyderstwa. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Dziewczyna zdawała się w ogóle ich nie słuchać. Cały czas przeszukiwała wzrokiem ciemność, coraz bardziej zaniepokojona. Ścisnęła w dłoni swój telefon. On także był bezużyteczny na tym pustkowiu.

– Chcieliście mnie poniżyć? – Ewa zapytała Adama.

Nie bał się patrzeć jej w oczy. Przez chwilę zobaczyła w jego spojrzeniu wstyd.

– Tak – przyznał. – Chcieliśmy, żebyś się źle poczuła. No i chcieliśmy, żebyś przyznała głośno, że na nas żerowałaś, a w tym czasie udawałaś świętoszkowatą dziewczynę, celującą uczennicę. Jesteś oszustką.

– Tak jak i wy. Sandra sprzedaje ciuchy, które dostaje w barterze, Patryk bierze sterydy, Nicola kupuje prace domowe, Krystian siedział już dwa razy na odwyku, a ty byłeś notowany – wymieniła na jednym oddechu wszystkie ich najgorsze grzechy, o których z perwersyjną radością pisała ku uciesze innych uczniów przez ostatnie miesiące.

– Tak, też nie jesteśmy idealni – zgodził się. – Ale wiesz... my tego wcale jakoś specjalnie nie ukrywamy. Wyda się, to się wyda. Ty za to rozdmuchiwałaś każdą taką sprawę, by jak najwięcej osób

wiedziało, że się w ogóle wydarzyła. Uważasz, że plotkowanie jest fair?

– Uważam, że udawanie, że jesteście bogami, jest nie fair – próbowała się bronić.

– Ale to nie my stawiamy się na piedestale – wtrąciła się do dyskusji Sandra. – Nie mamy wpływu na to, jak ludzie na nas reagują.

– Macie.

– Nie, nie mamy. Po prostu jesteśmy sobą. Nie to co ty. My po prostu nie jesteśmy zakompleksieni.

Nagle usłyszeli głośne trzaski i czyjeś sapanie. Ktoś zbliżał się do ich obozu.

– Może to Patryk – powiedziała Sandra z nadzieją.

To jednak nie był on. Na polanę wpadła zdyszana Nicola. Miała bosa, brudne stopy, podarte na kolanach spodnie i zakrwawioną bluzkę. Ułożone wcześniej włosy przypominały ptasie gniazdo, a na twarzy dziewczyny malowało się przerażenie.

Sandra w jednej chwili znalazła się przy przyjaciółce. Złapała ją za ramiona i potrząsnęła nią brutalnie.

– Co się stało?! Nicola, co się stało?! Gadaj! – krzyknęła gniewnie.

– Krystian! Krystian chyba nie żyje! – załkała tamta.

– Jak to? Co ty pieprzysz?! – Pobladła Sandra nie mogła w to uwierzyć.

– Jeleń! Jeleń go zaatakował! – Nicola się rozplakała.

Sandra, Adam i Ewa spojrzeli po sobie.

– Że co? – zapytał Adam.

– Jeleń... ten biały... poszłam za nim... zatrzymał się – tłumaczyła Nicola urywanymi zdaniami, pomiędzy kolejnymi szlochami. – Miał oczy... czerwone... chciałam go pogłaskać... nie wiem... może ma wściekliznę... potem Krystian... podszedł... coś zawołał... i on go zaatakował!

– Krystian zaatakował jelenia? – Adam pogubił się w wyjaśnieniu koleżanki.

– Nie! Jeleń! Krystiana!

– A gdzie on jest? Gdzie jest Krystian?

– Ja... ja... uciekłam! Nie wiem! Wszędzie była krew! Trysnęła prosto na mnie!

Sandra przytuliła mocno Nicolę. Krew z bluzki dziewczyny ubrudziła jej markowe ubranie. Była wciąż wilgotna. Sandra uniosła dłoń, która błyszczała czerwienią. Poczowała metaliczny zapach i zrozumiała, że Nicola nie zmyśla. To naprawdę była krew.

Dużo krwi.

Ewa cofnęła się o kilka kroków. Była przekonana, że robią sobie z niej żarty. Krew była zbyt czerwona, łzy Nicoli zbyt obfite. To przecież nie mogła być prawda.

– Jest druga wersja legendy o leleniu – wyszeptała.

Nikt jej nie słuchał, ale jej to nie przeszkadzało. Nie mogła przestać mówić:

– Leleni to stary słowiański demon, który przybiera postać jelenia. A dokładniej białego jelenia z najpiękniejszym porożem, jakie mógłby sobie tylko wymarzyć każdy myśliwy. Krąży po lesie i szuka ofiar. Najchętniej ukazuje się kłusownikom i właśnie myśliwym. Udaje rannego, by zwabić ich w gęstwiny. Gdy są sami, zrywa się nagle do ataku i zabija za pomocą poroża. Nie oszczędza

nikogo, nawet dzieci. Nie jest jak inne leśne demony. Nie karze tych, którzy niszczą zieleni lub zanieczyszczają las. Zabija wszystkich ludzi, których tylko spotka.

– Przestań! – krzyknęła histerycznym tonem Sandra. – Po co mówisz takie rzeczy?

– A co, jeśli to leleń? – wyszeptała Ewa.

– Bzdury gadasz! Potwory nie istnieją! Są tylko zwierzęta z wścieklizną. Pewnie ten jeleń jest chory! Ta debilka chciała go pogłaskać i zaatakował. – Sandra zwróciła się ponownie do Nicoli: – A ty gadaj, gdzie jest Krystian!

– Został tam. Zostawiłam go. Uciekłam... po prostu uciekłam. W oddali zobaczyłam światło, na szczęście to byliście wy. Po prostu uciekłam! – Nicola schowała twarz w dłoniach.

Sandra nerwowo wytarła ręce o dżinsowe spodnie.

– Dobra, musimy się uspokoić – powiedziała. – To na pewno jedno wielkie nieporozumienie. Musimy znaleźć Krystiana. Jeleń na pewno go nie zabił, pewnie tylko solidnie skaleczył. Trzeba wezwać pomoc.

– Tu nie ma zasięgu – wtrącił ponuro Adam. – Musimy wrócić na szlak.

– Okej, to mamy już plan. Szukamy Patryka i Krystiana, a potem pakujemy manatki i idziemy na szlak.

Ewa słuchała ich w osłupieniu.

– A jak znajdziemy szlak? Jest już ciemno, na dodatek zbiera się na burzę. Wiecie, w którą stronę iść? – zapytała.

– Mam GPS-a turystycznego. Powinien złapać na każdym pustkowiu. Załadowałem tam wcześniej odpowiednie mapy. – Adam

zaczął grzebać w plecaku i po chwili wyjął dość toporne urządzenie, którego gruba obudowa sugerowała odporność na wstrząsy i wodę.

Włączył je. Dziewczyny stanęły nad nim i w napięciu wpatrzyły się w ekran. Po chwili zabłysnął na niebiesko i pokazała się na nim mapka przedstawiająca zieloną przestrzeń parku narodowego. Ich pozycja była zaznaczona czerwonym trójkąciem. Adam wskazał brudnym paznokciem cieniutką linię oznaczającą szlak.

– Jesteśmy całkiem niedaleko – powiedział. – Ale zamiast iść szlakiem, moglibyśmy ruszyć na przełaj, w stronę ściany lasu. Wyjdziemy na jakieś pole i zadzwonimy po pomoc albo znajdziemy jakiś dom. Przecież tu wszędzie są wsie.

– Dobra, tak zrobimy. To trzeba znaleźć Patryka. – Sandra podeszła do ściany lasu otaczającej polankę i zaczęła krzyczeć imię swojego chłopaka.

Jednak odpowiedziała jej tylko cisza.

– Przestań! – Nicola złapała ją za ramię. – Bo zwabisz tu tego jelenia.

– Opanuj się, głupia, ten szalony zwierzak pewnie już dawno gdzieś polazł albo zdechł – warknęła na nią. – PATRYK!

– SANDRA! – odpowiedział jej z ciemności krzyk chłopaka.

– Tutaj! Tutaj jesteśmy! – zawołała.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Ewa ponownie zaczęła podejrzewać, że reszta towarzystwa bezczelnie robi sobie z niej żarty. Nieźle udało im się ją przestraszyć. Doszła do wniosku, że Patryk i Krystian pewnie zaraz wparują do obozu cali i zdrowi.

– Sandra! – wołał dalej Patryk.

Nigdzie nie było widać światła jego latarki.

– Tutaj! – odkrzyknęła.

– Sandra! – powtórzył.

– Patryk! Tutaj!

– Sandra!

Dziewczyna odwróciła się do reszty towarzystwa z niepewną miną.

– Brzmi, jakby w ogóle się do nas nie zbliżał – powiedziała. – Myślicie, że nas nie widzi?

Stanęli obok niej. Adam zmrużył oczy.

– Nie widać światła jego latarki.

– Może ją zgubił? – rzuciła Nicola.

Przestała już się trząść. Miała tylko lekko nieobecny wyraz twarzy. Ewa przyjrzała jej się uważnie. Doszła do wniosku, że albo to wszystko zmyślili i przestała udawać, albo jest w takim szoku, że wyparła obrazy, o których przed chwilą im opowiadała.

Tylko te zaschnięte rozbryzgi krwi na jej ubraniu... Wyglądały tak realistycznie.

– Patryk ma jeszcze jedną latarkę. – Sandra rzuciła się do namiotu. Po chwili wyszła z dużo cieńszą, ołówkową latareczką, pomocną raczej w przeszukiwaniu szafy niż podczas wędrówki po ciemnym lesie. – Ruszę mu naprzeciw.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedziała Nicola matowym głosem.

– Może jest niżej. Wiecie, w jakimś dołku. Tu są przecież te... no... wąwozy czy coś. Może dlatego nie widzi światła z obozu? Idę!

Zapaliła latareczkę i oświetlając sobie jej wątłym promieniem drogę, ruszyła w stronę wołającego ją chłopaka.

– Sandra! Na pewno chcesz iść sama? – zapytał Adam, zanim znalazła się za daleko.

– A co, chcesz iść ze mną? – rzuciła zaczepnie.

– Nie – przyznał.

– Tak myślałam! – prychnęła.

Zakrwawiona Nicola usiadła na karimacie przy lampie. Objęła się ramionami i zaczęła kiwać do przodu i do tyłu.

– Robicie sobie ze mnie żarty? – zapytała Ewa.

Adam spojrzał na nią zaskoczony.

– Co?

– Nie bawi mnie to, przestańcie.

– Nikt sobie nie robi z ciebie żartów – zaprzeczył. – Nie wiem, co się dzieje.

Ewa kiwnęła głową i usiadła w wejściu do namiotu, tak jak poprzednio Sandra. Stamtąd mogła spokojnie obserwować Adama i Nicolę, czekać, aż się zdradzą swoim zachowaniem i udowodnią jej, że to wszystko jest jednym wielkim oszustwem.

*

Sandra tymczasem szła przez ciemności. Wydawało jej się, że słyszy głos Patryka tuż obok, a jednak w ogóle się do niego nie przybliżała.

– Patryk! – zawołała teatralnym szeptem, ponieważ sama w lesie bała się głośniejsz odezwać. – Czy coś ci się stało? Czemu do mnie nie idziesz?

– Sandra! – odpowiedział jej chłopak.

Dziewczyna odwróciła się i zerknęła przez ramię w stronę ich niewielkiego obozowiska. Ledwo widziała w oddali żółty blask kempingowej lampy. Stała nad niewielkim obniżeniem terenu. Światło latarki ukazało kamienie, kilka paproci i połamane gałęzie. Głos dobiegał do niej gdzieś z dołu, gdzie już nie sięgało.

Jeszcze raz zerknęła przez ramię. Bała się, że gdy tylko straci z oczu obóz, to już nie zdoła tam wrócić. Zakłęła w myślach. Powinna była zabrać Adamowi jego GPS.

– Sandra, pomocy!

Zadrzała przejęta bólem w głosie Patryka i szybko zaczęła schodzić. Obawa o ukochanego zwyciężyła ze strachem. Ostatnie kilka metrów pokonała, zjeżdżając po ściółce na pośladkach. Miała wrażenie, że w puszczy robi się coraz ciemniej. Kilka razy postukała w cieniutką latarkę, pewna, że bateria się wyczerpuje. Wąski strumyk światła zdawał jej się coraz słabszy.

Gorączkowo przeszukiwała nieduży wąwóz, czy raczej obniżenie terenu.

– Patryk? Patryk! Gdzie jesteś?

Nagle jej latarka wyłowiła z ciemności podeszwy ciężkich trekkingowych butów. Nogi chłopaka skrywały paprocie.

– Jezu Chryste, ty matole! – warknęła, zalana olbrzymią falą ulgi. – Zleciałeś na łeb do tego dołka? Trzeba było doczołgać dupę do obozu, a nie wołasz mnie jak panienka w opresji! Może jeszcze mam cię dźwigać?

Agresywnym tonem i pogardą Sandra usiłowała zamaskować lęk. Im bliżej nieruchomych stóp podchodziła, tym robiło się ciszej i ciemniej.

– Patryk? Sieroto? Halo?

Nie widziała go zza paproci. Wsadziła sobie latarkę do ust i zaczęła rozgarniać liście na boki. Drżący promień skakał po zieleni i po ubraniu chłopaka. Chciała coś powiedzieć, ale przez smakującą rdzą latarkę tylko opluła sobie brodę.

W końcu pokonała ostatnią zaporę z liści. Światło padło na twarz chłopaka. Wpatrywał się pustym wzrokiem w czarne korony drzew. Jego rozchylone usta ubrudzone były krwią. Dziewczyna puściła część paproci i wzięła w dłoń swoją latarkę.

Drżące światło ukazało jej umięśnioną klatkę piersiową Patryka. Podkoszulek był porwany w miejscach, w których ktoś dźgnął go czymś głęboko pomiędzy żebra. Okrągłe rany przypominały kraterzy. Chłopak był kompletnie nieruchomy. Nie oddychał. Sandrze pociemniało w oczach.

– Sandra! Pomocy! – Za jej plecami rozległo się wołanie.

Głos tym razem nie miał proszącego i bolesnego tonu. Wyraźnie słychać było w nim szyderstwo. Sandra puściła wszystkie liście paproci, które zasłoniły martwego chłopaka. Usłyszała szelest poszycia, gdy ktoś do niej podszedł.

– Sandra? – odezwał się głos i zachichotał.

Odwróciła się powoli. Światło latarki skierowała pod swoje nogi. Ciemność była tak czarna, że niczego nie zobaczyła.

Niespodziewanie naprzeciwko niej zapłonęły dwa czerwone punkty. Na granicy omdlenia uniosła latarkę.

Zobaczyła biały pysk jelenia. Zwierzę rozchyliło chrapy.

– Sandra? – zapytało.

Nie zdążyła nawet krzyknąć. Zaatakował szybko i skutecznie. Ostatnie, co zobaczyła, to złote racice lecące wprost na jej wypiełgnowaną twarz.

*

W obozowisku panowała cisza. Adam i Ewa nie poruszali się. Zerkali tylko na siebie wilkiem, oboje obrażeni. Tylko Nicola kiwała się i raz

po raz zerknęła na zegarek.

– Minęła już godzina – oświadczyła, wyrywając kolegów ze stuporu. – Ona nie wróci. Nie żyje jak Krystian.

– Nie mów tak! – krzyknął Adam.

– Nie wróci, zobaczycie.

– Czekamy, na pewno zaraz przyjdzie!

– Nie wróci – upierała się Nicola. – Nie zauważyliście? Już dawno przestaliśmy słyszeć, jak nawołuje Patryka. Jego głosu też nie słychać. Przecież musiał być niedaleko.

Adam stropił się. Nicola miała rację. Nie chciał tego głośno przyznać, ale naprawdę miała rację.

– To nie są żarty, prawda? – wyszeptała cichutko Ewa.

– Czy ty możesz przestać?! – wydarł się na nią.

Skuliła się i objęła kolana ramionami.

– Idziemy – podjął decyzję Adam.

– Gdzie? – zapytała Ewa.

– Na szlak, na policję, cholera, gdziekolwiek, byle nie siedzieć tutaj! – wykrzyknął.

Złapał plecak i narzucił go na ramiona. W ręku zważył GPS. Ekran zabłysnął niebieskawo.

– Idziemy – rozkazał.

Nicola posłusznie wstała. Nawet nie szukała swojego plecaka. Zamierzała iść, tak jak stała. Ewa podniosła się niepewnie. Wzięła swoje rzeczy.

– A... a oni? – wyjąkała. – Co z Patrykiem, Sandrą i Krystianem?

– Muszą sobie poradzić sami, póki nie wrócimy tutaj ze strażnikiem leśnym – odparł chłopak twardo. – Na pewno dadzą sobie radę.

– Nie żyją – wtrąciła Nicola

– Zamknij się. Nic im nie jest. Zgubili się w lesie. Nie będziemy ich szukać, bo też się zgubimy. Niech zajmą się tym profesjonaliści. – Adam przekonywał bardziej siebie niż koleżanki. – Tak, właśnie tak zrobimy. A teraz idziemy.

Drugą ręką złapał rączkę lampy kempingowej. Ewa zrozumiała, że musi iść z nim, bo inaczej zostanie sama w ciemnościach. Nie potrzebowała większej zachęty.

Ruszyli gęsiego przez las, zostawiając za sobą namiot i rzeczy przyjaciół. Ewa miała dreszcze. Targały całym jej ciałem. Nie z zimna, ponieważ nie było aż tak chłodno, tylko z emocji i wyczerpania. Czuła się źle z tym, że zostawiają towarzyszy samych w lesie, ale jednocześnie zgadzała się z Adamem. Nie powinni sami ich szukać, bo tylko mogą się zgubić. Nie powinni byli też puszczać Sandry samej.

Był środek nocy, granatowe niebo przysłoniły chmury. W powietrzu unosiła się wilgoć, falujące włosy Adama zaczęły skręcać się w sprężynki. Chłopak parł uparcie do przodu, nie oglądając się na dziewczyny. Wbijał spojrzenie tylko w przenośny GPS i w ściółkę pod nogami.

Nicola nie narzekała na narzucone tempo, mimo że szła na bosaka. Nie czuła bólu, była otępiała. Dźwięki docierały do niej przytłumione. Miała wrażenie, jakby nie znajdowała się w swoim ciele, tylko gdzieś obok. Gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, było jej już wszystko jedno. Szła, bo kazali jej iść. Gdyby kazali jej się zatrzymać, to po prostu by stanęła.

– Pomóżcie mi! – Leśne nocne dźwięki przerwało wołanie Krystiana. – Nie wiem, gdzie jestem! Zgubiłem się!

Pochód się zatrzymał. Adam stanął tak nagle, że Nicola wpadła mu na plecy.

– Krystian?! – odkrzyknął.

– Tu jestem! Gdzie wy jesteście?!

– Krystian nie żyje – powiedziała Ewa. Miała złe przeczucia. Uważała, że powinni jak najszybciej oddalić się od tego głosu. – To nie on woła.

– Przecież go słyszemy! – warknął Adam.

– Patryka też słyszeliśmy – odparła Ewa. – A jakoś nie wrócił z Sandrą. Idźmy dalej. Nie oglądajmy się.

– Bo co? Diabły nas złapią?! – zirytował się chłopak.

W oczach Adama pojawiły się łzy. Całkiem się rozkleił. Żałował całym sobą, że dał się namówić przyjaciółom na ten biwak. Jego silna wola i potrzeba natychmiastowej ucieczki z puszczy topniały gwałtownie. Krystian był jego najlepszym przyjacielem. Już raz go zostawił, uciekając w popłochu z obozu. Adam nie był pewien, czy ma w sobie tyle sił, by zostawić go po raz drugi.

Zwłaszcza teraz, gdy słyszał jego głos.

– Nicola widziała martwego Krystiana – przypomniała Ewa.

Adam uniósł wyżej lampę, by oświetliła ich twarze.

– Nicola jest w hysterii. Spójrz na nią.

Odwrócili się do dziewczyny, która szeptała coś do siebie i delikatnie kiwała się w przód i w tył.

– Nie wiem, co widziała, ale nie jestem pewien, czy można jej wierzyć – kontynuował Adam.

– A co, jeśli to są diabły? – wyszeptała Ewa. – Ja nie chcę tu umrzeć.

Adam zaśmiał się gorzko.

– Nie umrzesz – powiedział. – Jeśli jesteśmy właśnie w jakimś pojebanym horrorze, to kto jak kto, ale ty na pewno nie umrzesz.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Jesteś *final girl*, czysta dziewczica, co to nie pije alkoholu – prychnął z pogardą. – Jeśli to jakieś pierwotne leśne zło, w co, szczerze mówiąc, wątpię, to zabije wszystkich, tylko nie ciebie. My mamy grzechy na sumieniu.

– Uciekajmy, proszę. Nie szukajmy Krystiana.

Jakby na przekór jej słowom, głos zaginionego chłopaka odezwał się gdzieś całkiem niedaleko.

– Adam? To wy? Widzę was!!! – W jego głosie słyhać było radość.

Adam wyszczerzył zęby do Ewy. Poczował ulgę. Nie musiał nigdzie iść, nie musiał zbaczać z drogi, którą wyznaczył im na GPS-ie. Krystian zaraz do nich dołączy i razem uciekną z tego cholernego lasu. A już jutro będą się z tego wszystkiego śmiać. To na pewno jedno wielkie nieporozumienie.

A krew na bluzce Nicoli? Pewnie głupia się skaleczyła i nawet tego nie zauważyła. Nikt nie zauważył.

– Krystian! Tutaj! Widzisz światło?! – Zamachał lampą.

Jak na zawołanie ciepły blask zadrżał.

– Nie machaj nią! – krzyknęła przerażona Ewa. – Bo jeszcze zgaśnie!

Chciał jej coś odwarknąć, ale sam też się przestraszył, że mogliby nagle zostać w całkowitej ciemności.

– Krystian! Idziesz do nas?

– Idę...

Adam wyteńczył wzrok.

– Widzicie go? – zapytał z napięciem.

Nicola nie odpowiedziała. Chyba nawet nie zarejestrowała faktu, że się zatrzymali. Ewa dotknęła delikatnie ramienia zastygłej koleżanki, ale ta nawet nie drgnęła. Nadal szeptała coś niezrozumiałego pod nosem.

– Ja nie widzę – powiedziała Ewa.

– Chyba coś słyszę – ucieszył się Adam.

Faktycznie, coraz głośniejsze było słychać szelest rozgarnianych liści. Ktoś szedł w ich stronę.

– Krystian! Chłopie, jak dobrze, że się znalazłeś, bo ja już... – zaczął Adam, ale nagle urwał.

– Co się...? – wyjąkała Ewa.

Jej także nie dane było skończyć. Powolne dźwięki przedzierania się przez poszycie gwałtownie przyspieszyły. Ktoś biegł jak szalony prosto na nich. Na dodatek w ciemności rozbłysły dwa czerwone punkty.

Nicola zaczęła krzyczeć. Ukucnęła i nakryła głowę rękami. Skamieniały Adam nic nie zdążył zrobić. Wpatrywał się jak oniemiały w wielkiego białego jelenia, który biegł prosto na niego.

– Idę! – Wesoły głos wydostał się z pyska zwierzęcia.

Ewa nawet nie zdążyła mrugnąć. Jeleń staranował Adama, nadziewając go na swoje olbrzymie poroże. Uniósł jego ciało do góry i pognał w las. Lampa upadła na ziemię i zamigotała. Światło przygasło. Ewa nie myślała, zareagowała instynktownie. Rzuciła się do upuszczonego GPS-u, chwyciła go i pobiegła przed siebie. Lampę i Nicolę zostawiła.

Biegła najszybciej, jak mogła, w otaczających ją ciemnościach. Co kilka chwil zerkała na wyświetlacz GPS, by sprawdzić, czy kieruje

się w dobrą stronę. Nawet nie liczyła, ile razy upadła na kolana lub twarz. Czuła strumyczki krwi płynące ze skaleczeń. Nic nie było ważne. Musiała uciekać.

Usłyszała wrzask Nicoli, który jak nagle się rozpoczął, tak równie szybko zamilkł. Zmusiła obolałe ciało do jeszcze szybszego biegu przez puszcę. Zdawała sobie sprawę z tego, że robi bardzo dużo hałasu i pewnie naprowadzi tym na siebie potwora, ale bała się, że ukrycie się w krzakach nic jej nie da.

Przed leleniem nie było ucieczki. Był demonem pochodzącym z tej puszczy, ulubieńcem świętokrzyskich diabłów, a być może nawet jednym z nich.

Wiedziała, że musi uciekać. Dla słowiańskiego złośliwego demona nie było ważne, że jest dziewczicą, że nie pije alkoholu, że stara się być dobra. To przecież nie był plan filmowy amerykańskiego slashera.

Niebo nad puszcą zaczęło się przejaśniać. Zbliżał się szary świt. Ewa dyszała, coraz trudniej było jej złapać oddech. Nie wiedziała, jak długo już biegnie, ale zdawało jej się, że robi to bez końca. Zrzuciła plecak i zostawiła go gdzieś w krzakach. Tak biegło się łatwiej.

Wyświetlacz małego urządzenia pokazywał, że znajduje się już blisko skraju lasu. Teren coraz bardziej opadał, mapa nie kłamała. Po policzkach zaczęły ciec jej strumienie łez.

Już zaraz wydostanie się na jakieś okoliczne pole lub łąkę. Przecież leleń nie będzie jej gonił poza puszcą.

Już jest blisko.

– Ewa...

Potknęła się o własne nogi i upadła ciężko w stertę liści. GPS wypadł jej z ręki i zakopał się w ściółce. Niebieski ekran zgasł.

Zaczęła gorączkowo macać dookoła siebie. Nie mógł przecież polecieć aż tak daleko.

– Ewa, Ewa, Ewa... – Głos był rozbawiony. – Myślałaś, że uciekniesz?

Wymacała nieduże urządzenie i zacisnęła na nim palce. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć przed siebie.

Demona cechowało brutalne piękno. Śnieżnobiała sierść splamiona była świeżą krwią. Z ogromnego poroża zwieszały się krwawe strzępy. Nawet złote racice były zabrudzone. Czerwone oczy zalśniły głodem.

– Leleni święty... – wyszeptała.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Och, na pewno nie święty... – Zachichotał złośliwie i ruszył w jej stronę.



MARTYNA RADUCHOWSKA

Tskra niebieska

Martyna Raduchowska – polska pisarka fantasy i science fiction. Obecnie pracuje nad swoim pierwszym kryminałem. Absolwentka psychologii i kryminologii (Aberystwyth University), neurokognitywistyki (University of York) oraz psychologii śledczej (Uniwersytet SWPS). Autorka cyklu książek i słowiańskich opowiadań o szamance od umarłaków Idzie Brzezińskiej (powieści *Szamanka od umarłaków*, *Demon Luster*, *Fałszywy Pieśniarz*; opowiadania *Wszelki duch* i *Śmierć wody*). Jej cyberpunkowa powieść *Łzy Mai* (wyd. pierwotnie pod tytułem *Czarne Światła. Łzy Mai*) w 2016 roku zdobyła nagrodę Kwazar za wartości naukowe w literaturze science fiction. *Spectrum*, drugi tom cyklu *Czarne Światła*, wybrano Książką Roku 2018 w plebiscycie Lubimyczytac.pl w kategorii science fiction oraz Książką Roku 2018 magazynu „Esensja”. Powieść zdobyła również nominacje do Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego 2019 oraz Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2018.



Dobrosława dotarła nad Rdzawy Staw, zanim jeszcze w prześwicie między drzewami błysnął pierwszy promyk słońca. Nie odważyła się podążać dalej wąską ścieżką, która już po paru krokach niknęła w blaknących ciemnościach oraz gąszczu wodnych traw. Po nocnej ulewie grunt był grząski, o wiele bardziej zdradliwy niż zwykle, kobieta przystanąła więc na bagnistym brzegu. Wsłuchana w rechot żab, szelest liści i senne szepty trzcin, czekała, aż zrobi się widniej.

Niebo nad lasem jaśniało z wolna, chłonąc ciepło brzasku i rumiane barwy ognia, lecz tutaj, w dole, wciąż panowała zimna, wilgotna szarość. Ziemia nakryła się gęstym oparem niby pierzyną, jak gdyby próbowała odegnać nikłe światło jutrzeńki i złapać jeszcze odrobinę snu. Pasma popielatej mgły snuły się od niechcienia tuż przy powierzchni jeziora. Rosa drżała na pajęczynach sznurami siwych pereł. Bure brzozy przeglądały się w lustrze wody, stalowosrebrnym od odbitych w nim chmur, i muskały taflę długimi witekami niczym płaczące wierzby.

Blady, pozbawiony kolorów świt wydawał się wręcz przezroczysty. Widmowo nierealny. Ulotny jak dym. Miał w sobie coś

czarownego i złowrogiego zarazem. Obietnicę białego dnia, a także groźbę czarnej nocy bez końca. Mrok nadal walczył z jasnością. Sen nie chciał ustąpić jawie. Wynik pojedynku był z góry przesądzony, lecz o brzasku i tak nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że ciemność lada moment na powrót zgęstnieje, na niebie zaś zamiast słońca znowu wzejdzie księżyc.

Dopiero kiedy tarcza Dadźboga wyjrzała wreszcie zza bukowych koron, zalewając zachodni brzeg Rdzawego Stawu strumieniem płynnego złota, Dobrosława wkroczyła w ochronny pierścień brzóz. Zdjęła z pleców wiklinowy kosz, postawiła go na mchu, przykucnęła obok i zajrzała do środka. Po chwili wahania uniosła pled. Patrzyła ze smutkiem na bladą twarzyczkę okoloną czarnymi kędziorami, na spierzchnięte usta, zmętniałe oczy. A potem, bardziej z przyzwyczajenia niż troski, przeniosła wzrok na drobną pierś, żeby sprawdzić, czy dziecko oddycha.

Oddychało. Głęboko, miarowo, jak zwykle. Może usnęło? Może spod opuszczonych powiek obserwowało kołysane wiatrem szuwary? Dobrosława nie była pewna. Urodziła Skierkę prawie dwa lata temu, ale wciąż niewiele o niej wiedziała. Albo, co gorsza, od pierwszej chwili wiedziała już wszystko, tak niewiele tego było... Tak czy owak, nawet jeżeli Skierka w ogóle zauważyła, że przyszła na świat, to nijak nie dawała tego po sobie poznać. Nieruchoma. Cichutka. Obojętna na los swój oraz matki, całej wsi i reszty świata. Przypominała laleczkę z gałganków, którą Dobrosława zamotała dla niej, gdy tylko zaczęła podejrzewać, że nosi pod sercem nowe życie...

– Życie – mruknęła z goryczą kobieta, starając się wypatrzeć choćby najmniejszy płomyczek w pustych źrenicach dziecka. – Śnięta ryba ma go w sobie więcej niż ty, córuś.

Odgarnęła ciemne kędziory z czoła Skierki. Z wymuszoną czułością pogładziła ją po policzku. Szybko cofnęła rękę, bo dotyk zimnej, nieprzyjemnie śliskiej skóry jak zawsze przyprawił ją o dreszcz. Zupełnie jakby głaskała twarz topielca. Ledwo przyszło do niej takie skojarzenie, niemal poczuła bijącą od dziewczynki słodkawą woń wodorostów.

To tylko zapach jeziora, perswadowała sobie w duchu, nie po raz pierwszy.

Tutaj tak, przytaknął wredny głos w jej głowie. Ale w domu?

Tam już dawno wszystko na wskroś prześmierdło, przekonywała się dalej. Całe obejście latami nasiąkało rybią krwią, chaty prawie nie widać spod sieci, węcierzy i podbieraków, to i nie ma się czemu dziwować.

Ależ jest. Przecież czułaś coś podobnego jedynie raz w życiu.

Na samo wspomnienie Dobrosława aż skurczyła się w sobie.

Nigdy, przenigdy nie zapomnisz tego smrodu.

Przestań, proszę.

Nigdy, przenigdy nie pomylisz go z żadnym innym.

Milcz, do pioruna!

Dobrze wiesz, że tak śmierdzi tylko wyjęty z wody trup...

– Zawrzyj gębę! – wrzasnęła Dobrosława, aż echo poniosło się po jeziorze.

Zawrzyj! Rzyj-rzyj! Rzyj-rzyj!

I zaraz do niej wróciło, odbiwszy się od ciemnej ściany drzew.

Żyj-żyj! Żyj-żyj! Żyj!

Może to Dobrochoczy, opiekuńczy demon puszczy, a może auki, leśne chochliki, odkrzykiwały się kobiecie raz po raz z drugiego brzegu, uderzając w najczulszą strunę jej serca. Dobrosława

zastanawiała się, czy celowo przekreśliły rzucone w gniewie słowo, czy może źle dosłyszawszy, przedrzeźniały ją tylko bez żadnych przymówek. W każdym razie to, co usłyszała od duchów lasu, więcej mówiło o niej niż o nich. A mianowicie, że pogrążona w rozpacz, bardziej przypominała upiora niż człowieka z krwi i kości i była gotowa na wiele, byle tylko ponownie zacząć żyć.

W przyływie nedorzecznej nadziei kobieta spojrzała na córkę, lecz ani podniesiony głos matki, ani rozkazujące wołanie echa nie zrobiły na małej wrażenia. Nie wywołały żadnej reakcji. Chwilę później Skierka nawet nie zamrużyła, kiedy na powiece usiadła jej wielka błękitno-zielona ważka.

To pewnikiem przeze mnie, pomyślała Dobrosława, odpędzając owada dłonią. Ona jest taka, jakby jej nie było, bo z żalu nie umiałam jej kochać.

– To moja wina, córuś? – spytała na głos. – Powiedz, proszę.

Dziewczynka nie powiedziała nic. Siedziała w koszu z główką opadniętą bezwładnie na ramię i ślepym spojrzeniem zatopionym w jeziorze.

– Oj, Radku, Radku – westchnęła Dobrosława w stronę wody. – To za tobą jej tak tęskno, że nic, jeno leży bez ducha, bez czucia, bez ruchu jak kamień. Tyle czasu wypatruje cię na darmo w Welesowej krainie, że sama tonie za życia w jego martwych wodach... – Bardzo chciała wierzyć w to, co mówi. Wtedy być może łatwiej byłoby jej zrozumieć dlaczego.

Czemu jednej i tej samej nocy, najkrótszej w całym roku, kiedy cała wieś świętowała hucznie triumf światła nad ciemnością, Dobrosława została niby-matką niby-dziecka oraz wdową – jednak tą już nie na pozór, a naprawdę? Czemu w radosny czas zaślubin ognia

i wody, dwóch życiodajnych żywiołów, których oczyszczające moce miały odtąd chronić ludzi od wszelkiego złego aż do zimowego przesilenia, woda odebrała Dobrosławie ukochanego mężczyznę, ogień zaś nie zaprószył w nowo narodzonym dziecku choćby iskry życia?

Matka bez dziecka.

Żona bez męża.

Skierka bez iskry.

Dlaczego?

Pytała o to wioskowego zercę tyle razy, że na jej widok już z daleka bezradnie rozkładał ręce, kręcił głową i czmychał między chaty. Pytała starą szeptuchę, choć ta zastrzegła od samego progu, że chorobę zamówi, urok odczyni, lecz w sprawy zmarłych mieszać się nie zamierza. Pytała znachorkę z sąsiedniej osady oraz kapłana z ksiązęcego grodu po drugiej stronie Siwego Potoku. Pytała pustelnika, który spędzał lato w samotni na szczycie Mroźnego Wierchu, a także wiedźmę z lasu na północ od jeziora. Pytała wędrownych bajarzy, bo oni zawsze widzieli i słyszeli więcej niż zwykli zjadacze chleba. Pytała nawet bacę, owczarza-czarownika, ale podobnie jak pozostali wiedzący, on także nie miał dla niej żadnych odpowiedzi.

Taka dola, mówili tylko jednym głosem, ale Dobrosławie to nie wystarczało. Musiał istnieć jakiś powód. Jakiś większy sens. Ona zaś uparła się, że go odnajdzie.

To dlatego rozpaczliwie pragnęła uwierzyć we wszystko, co szeptała do Radomiła, którego ulotną obecność czuła pośród mgieł, ilekroć zachodziła nad Rdzawy Staw. Ale chociaż od tamtej strasznej nocy miała dziwną pewność, że śmierć ukochanego łączyła

z narodzinami dziecka jakaś pogmatwana nić przeznaczenia, to jednak gdy stała teraz na brzegu jeziora, nie wierzyła w ani jedno swoje słowo. Nie rozumiała, dlaczego straciła oboje. Dlaczego w taki sposób. I nie potrafiła wybaczyć. Mężowi, że umarł. Córce, że żyła tylko na niby, utknąwszy gdzieś między Jawią a Nawią. A sobie, że okazała się tak żałośnie słaba i pozwoliła, aby śmierć Radomiła zmieniła jej życie w korowód pustych nocy, a narodziny Skierki – w pasmo pustych dni.

Dobrosława westchnęła z głębi piersi. Pokręciła głową, otrząsnęła się szybko z ponurych myśli. Wstała z klęczek, otrzepała i zakasała spódnicę, wtykając dolny brzeg za skórzany pasek na biodrach. Poprawiła przewieszoną przez ramię rybacką torbę, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła ścieżką w stronę jeziora.

Ani razu nie obejrzała się na dziecko.

*

Kiedy wyławiała z wody ostatnią wierszę, poranne słońce dopiero zaczynało ogrzewać świat, zmarznięty na kamień i przemoczony do ostatniego źdźbła po gradowej burzy, która poprzedniej nocy szalała nad doliną. Mgła gęstsza i bielsza od mleka topniała teraz w ciepłym blasku niby śnieg na wiosnę. Rosa ulatywała z bukowych koron bladymi obłokami pary, jak gdyby drzewa wzdychały z ulgą, czując na liściach kojący dotyk niebiańskiego ognia.

I tak oto dzień po raz kolejny wygrał z nocą. Świetliste dobro pokonało zło przyczajone w mroku. Aż do zachodu słońca las znów był bezpieczny...

Dla wszystkich z wyjątkiem Dobrosławy.

Kobieta nie ufała bowiem ochronnej mocy płomieni, ani tych na ziemi, ani tych na niebie, odkąd w ową pamiętną kupalnockę nie zdołały ocalić niczego, co kochała. Przestała też lękać się ciemności oraz martwej wody, bo cóż gorszego mogły jej zrobić ponad to, co już uczyniły? Co rano wymykała się z chaty na długo przed pierwszym brzaskiem, kiedy cała wieś jeszcze mocno spała, a pochodnie wokół palisady dawno już pogasły. I w drodze nad Rdzawy Staw, choć świadoma niebezpieczeństw, nie bała się wcale. Przeciwnie, z brawurą, na którą stać wyłącznie tych, co nie mają już wiele do stracenia, każdą taką samotną wędrówką przez ciemny las rzucała losowi wyzwanie. A gdy zastawiała w jeziorze samołapki i sieci, pragnęła wyłowić z niego nie ryby, tylko prawdę. Nawet tę najgorszą.

Powiedz mi, co tu zaszło, zaklinała wodę w myślach, ta jednak nieodmiennie milczała jak grób.

Aż do dzisiaj.

Czując na sobie wzrok swego falującego odbicia, Dobrosława mocniej szarpnęła za konopny sznur. Upleciona z wikliny pułapka wreszcie zamajaczyła pod powierzchnią jaśniejszą plamą. Ostatnie pociągnięcie za powróż i wiersza wyskoczyła z mętnej, brunatnej toni, zatańczyła na wodzie niczym wielki pływak. Po gładkiej dotąd tafli rozbiegły się szybkie, promieniste kręgi. Twarz istoty z głębin zmarszczyła się, rozlała w bezkształtny rozedrgany cień, a mimo to Dobrosława wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Nie z brzegu, lecz spod wody. Z trudem powstrzymywała się od zerknięcia na jeziorną siostrę, gotową wydrzeć z niej duszę przez oczy i tą samą drogą wtargnąć w puste ciało. Pokusa była silna. W plusku fal oraz szumie trzciny pobrzmiwała bowiem słodka

obietnica, że gdy tylko kobieta opadnie na muliste dno, topielisko zdradzi jej wszystkie swoje sekrety...

Może kiedyś, pomyślała Dobrosława, odpędzając od siebie zdradliwe podszepty. Jeśli nie uda mi się odkryć prawdy w inny sposób.

Sprawnie wybrała linę, chwyciła pułapkę, uniosła nad powierzchnię. Woda wyciurkała przez szpary w wiklinie i po samym ciężarze kosza rybaczka poznała, że nici z połowu. Spodziewała się tego. Poprzednie wiersze też znalazła puste, a przynęty nietknięte. I nic dziwnego. Znała okoliczne łowiska oraz zamieszkujące je stworzenia lepiej niż własną kieszeń. Kiedy więc na ziemię przed chałupą spadła pierwsza grudka lodu, Dobrosława od razu wiedziała, że gradobicie skutecznie zniechęci ryby do żerowania, nie ma więc po co iść rankiem nad jezioro.

A jednak przyszła.

Ponieważ istnieją znaki na niebie i ziemi, których nikomu nie wolno zlekceważyć. Nawet takim niewiernym duszom jak ona.

*

Poprzedniego wieczora wpełzła pod koce, gdy tylko spostrzegła, że ciemniejące niebo nad lasem przecinają zygzaki białego światła. Ani na moment nie zmrużyła oka. Z głową pod poduszką, duszą na ramieniu i struchlałym sercem nasłuchiwała grzmotów. Od dziecka bała się piorunów. Nienawidziła ich zaś całym swoim jestestwem, odkąd koszmar najgorszej kupalnocki w jej życiu zwiędziła przedziwna nawałnica, która ni stąd, ni zowąd rozpętała się nad wsią i równie nagle skończyła.

Wtedy, te dwa lata temu, nie padał ni grad, ni deszcz, za to gromiło i błyskało z każdej strony, coraz głośniejsze, coraz jaśniejsze, coraz to bliżej. Jak gdyby wszystkie burze świata gnały po czarnym sklepieniu, przyciągane do ich wioski jakąś niepojętą mocą. W dygoczącej na wietrze rybackiej chacie Dobrosława wrzeszczała do utraty tchu, aż jej krzyki zagłuszyły nawet wściekły warkot niebios. W pewnym momencie pomyślała, że z bólu pobieleła jej w oczach. Ale wtedy fala bólu cofnęła się na mgnienie, a ona pojęła, że to noc zrobiła się jaśniejsza od dnia. Ostry, rażący blask wlewał się do izby, niemalże przepalając rybie błony w oknach. A zanim kolejny skurcz natarł na jej łono niczym sztormowy przybój, zagrzmiało tak, jak gdyby niebo pękło na pół.

I w tej samej chwili, w której piorun z ogłuszającym łoskotem uderzył w serce jeziora, w sercu Dobrosławy zaległa martwa cisza.

Wczorajsza nawałnica, chociaż na pozór zupełnie inna, pod jednym względem do złudzenia przypominała tę sprzed dwóch lat. Skulona na posłaniu, Dobrosława słuchała płynących zewsząd ryków wściekłego żywiołu. I znów miała wrażenie, że jakieś potężne siły ściągają nad wioskę burzowe chmury ze wszystkich krańców nieba. Dygotała ze strachu, czując, jak wzbiera w niej krzyk bólu o wiele gorszego niż porodowy, gdyż nie spłodziła go miłość, lecz bezsilna rozpacz.

A wtedy jej wzrok padł na Skierkę. Mała leżała w kołysce z półotwartymi oczami oraz motanką, wciśniętą jej przez matkę, w sztywnych objęciach. Ślepa i głucha na wszystko, od zawsze niema jak ryba. Nieporuszona jak zwykle – czyli niezwykle. Nienaturalnie. Nieludzko.

Dobrosława wodziła oczami od motanki do córki. Od laleczki z gałganków do laleczki z drewna.

Nim zdążyła pomyśleć, nim pojęła, co czuje, nim przypomniała sobie o strachu, który raptem gdzieś z niej uleciał, kopnięciem odrzuciła koce. Zerwała się z posłania, wypadła przed dom, na środek podwórza. Spojrzała w górę, na czarne kłęby płonące zimnym ogniem, targane dzikim wiatrem, drżące od uderzeń Perunowego młota.

– Dlaczego?! – wrzasnęła w niebo, przekrzykując gromy, nie zważając na ostre lodowe drzazgi, które boleśnie cięły skórę. – Dlaczego, Perunie?! Ty wszystko widzisz i wszystko wiesz! Nawet nocą, gdy Weles przejmuje władzę nad światem, po niebie krążą wierne ci żmije! Gdzie twoje błyski, tam twoje oczy! Gdzie twoje grzmoty, tam twoje uszy! Odpowiedz mi zatem, Gromowładny Panie, albo spopiel mnie teraz swoim białym ogniem, bo ja nie spocznę, póki nie dowiem się dlaczego! – Padła na kolana, szeroko rozkładając ramiona. – DLACZEGO?! – zawyła wniebogłosy, aż zakłuło ją w płucach.

Ku jej zdumieniu Władca Burz odpowiedział.

Noc oślepiła ją rozjarzoną bielą i w tej samej chwili potężny łoskot rozdarł powietrze między czarną ziemią a ognistym sklepieniem, uderzając gromem gdzieś niedaleko wioski.

A potem wszystko zamarło.

Dobrosława знаła kierunek, z którego zaryczał grzmot. Od razu domyśliła się, że piorun znowu trafił w czarcią wierzbę rosnącą na wyspie pośrodku Rdzawego Stawu. Nagle pojęła, co powinna uczynić, i na samą myśl o tym, poczuła zimny dreszcz.

*

Wieśniacy od pokoleń trzymali się od wierzby z daleka. Żaden rybak nie odważył się choćby dłużej zawiesić oka na drzewie, które nieustannie ścigało na siebie płomienny gniew Peruna. W spalonym, pustym pniu ani chybi zaległo się złe, mawiali. Przed każdym wyruszeniem na połów obwieszali się żelaznymi amuletami, a kiedy ich łodzie mijały wyspę, rysowali w powietrzu ochronne znaki, po czym prędko odwracali się do niej plecami. Żadne uspokajające tłumaczenia żercy, jakoby zesłany z nieba grom nie przeklinał, lecz błogosławił, zatem miejsc, gdzie uderzył Perunowy młot, nie należy omijać, a wręcz trzeba darzyć je czcią, jakoś nie trafiały przesądnym do przekonania.

Tylko jeden człowiek w całej wsi nigdy nie bał się ani piorunów, ani czarnej wierzby.

Radomił.

Rodzice, bracia, młoda narzeczona, przyszli teściowe, a nawet sąsiedzi – wszyscy nieustannie suszyli chłopakowi głowę, żeby podczas połowu nie zbliżał się do wyspy. Ale młody rybak był uparty jak łosoś płynący w górę rzeki, na przekór wodospadom oraz zdradliwym wirom, i wszelkie przestrogi puszczał mimo uszu.

– Dalibyście już spokój. – Machał na nich ręką, jakby opędzał się od uciążliwych much. – Jakoś się wikliny na kosze zbierać nie boicie, a przecież ta wierzba jest taka sama jak wszystkie.

– A właśnie że inna! – zaoponowała kiedyś Dobrosława. – I w tym sęk.

– I to nie jeden. – Radomił uśmiechnął się szelmowsko. – Taka jest sękata, że możemy z niej sobie wywróżyć, ile dzieci spłodzimy.

Wzięła się pod boki, hardo zadarła głowę.

– Toć my jeszcze nawet nie jesteśmy po słowie – przypomniała cierpko.

– A czyja to wina? Ja pytanie zadałem, to ty się z odpowiedzią ociągasz.

– O, patrzcie go, jaki zdziwiony, nieborak! A która dziewczucha marzy o tym, żeby jej mąż dzień w dzień ryzykował bez potrzeby dla głupich zachcianek?

– Zachcianek, dobre sobie. – Teraz to on się zachnął. – Nie zostawię swojego najlepszego łowiska tylko dlatego, żeście sobie jedno z drugim jakieś nawiedzenia ubzdurali...

– To nie są żadne bzdury! Paskudztwo ohydne w tym drzewie się lęgnie, inaczej Gromowładny nie próbowałby go co rusz spopielić.

– Jakby Gromowładny chciał, toby spopielił już za pierwszym razem – zauważył przytomnie Radomił. – Marny z niego byłby Władca Burz, gdyby nie potrafił puścić z dymem kilku spróchniałych badyli...

– Nie bluźnij!

– A poza tym – ciągnął chłopak spokojnie, pakując wiersze i podbieraki do dębowej dłubanki – przecie sam Bożebor mówi, że piorunowiska nie trzeba się bać, bo to uświęcona ziemia. Kto jak kto, ale żerca chyba wie, co gada, nie?

– To dlaczego nawet wiedźma z lasu nie zbliża się do tej wierzby? – odpowiedziała Dobrosława pytaniem, a w jej głosie zadźwięczała triumfalna nuta. – Kto jak to, ale ona chyba wie, co robi, nie?

– O, z pewnością. Tyle że wiedźma jest zła.

– A co to ma do rzeczy?

– Skoro złe omija wyspę, to niechybny znak, że to dobre miejsce. – W oczach rybaka zaigrały wesołe iskierki. – Ciągnie swój do swego, a złe przed dobrym czmycha!

– Oj, Radku, Radku. – Dobrosława z westchnieniem pokręciła głową. – Ta słabość do piorunów to cię kiedyś zgubi, zobaczysz...

– Nie kracz, kruczowłosa, bo ślubu nie doczekam.

– Ja ci wciąż na szczęście nie dałam odpowiedzi – odgryzła się. – I wierz mi, podumam sobie nad nią jeszcze nie raz, nie dwa, bo pomyłonemu chłopu nie widzi mi się ślubować!

Zaśmiał się wtedy gromko, spychając łódź na jezioro.

– I ja ciebie kocham, Dobrochna! – zawołał i pomachał jej wiosłem na pożegnanie. – Na zabój!

A potem zaczął śpiewać:

*I widziano w dzień biały tego obłąkańca,
Jak wierzbę sponad rzeki porywał do tańca!
A tak zgubnie porywać, mimo drwin i zniewag
Zdoła tylko z otchłaniai sprzysiężony śpiewak.*

*

Dobrosława ocknęła się ze wspomnień.

Wciąż stała po kolana w wodzie z pustą wierszą w ręku. Z torby na ramieniu wyjęła świeżą przynętę i umieściwszy ją w koszu, pozwoliła samołowce opaść z powrotem na dno. Patrzyła w ślad za nią, dopóki wzburzona tafla nie zaczęła się wygładzać, a falująca na niej plama formować w ludzką postać.

Uciekła przed własnym spojrzeniem, prędko unosząc głowę. Jakiś czas wpatrywała się na ciemniejący w oddali sierpowaty

skrawek łądu z pokrzywioną wierzbą u wklęsłego brzegu.

Nadszedł czas, pomyślała i dopiero teraz poczuła bijący od wody chłód.

Obeszła już całe jezioro. Sprawdziła wszystkie pułapki, choć z góry wiedziała, że to bezcelowe, bo przez oberwanie chmury nic nie miało prawa się złapać. Ale dłużej nie sposób było tego odwlekać. Otrzymała znak, o który prosiła noc w noc przez ostatnie dwa lata, musiała więc iść za ciosem. Miała przeczucie graniczące z pewnością, że jeśli teraz zawróci, jezioro nigdy więcej się przed nią nie otworzy. Nigdy nie pozwoli prawdzie wypłynąć na powierzchnię, tylko pogrzebie ją pod mułem na dnie.

Zmusiła do ruchu zdrętwiałe z zimna nogi. Dobrnęła do brzegu, z ulgą stanęła w słońcu. Po chwili podążyła ścieżką między sitowiem a tatarakiem, aż dotarła do kręgu brzoź, gdzie zostawiła córkę.

– Witaj, kruszynko – powiedziała machinalnie, ale nawet nie spojrzała na dziecko. Widok nieobecnych oczu i bezwładnego ciała zawsze pozbawiał ją siły i odwagi, a teraz bardzo potrzebowała ich obu.

Przyklęknęła i założyła kosz na plecy. Poprawiła skórzane pasy na ramionach, po czym ruszyła w tym samym kierunku, w którym oddaliła się stąd przed niespełną godziną. Nie zamierzała jednak po raz kolejny okrążyć jeziora. Odbiła w wąską przecinkę biegnącą w stronę wody, ledwie widoczną w wysokich szuwarach. Z każdym krokiem zapadała się coraz głębiej w rozmiękły grunt. Błoto mlaskało w rytm jej niepewnych kroków, strzelało mętnymi bańkami spod bosych stóp. Dotarła do zwałonego drzewa, które gniło tu na płyciźnie, odkąd sięgała pamięcią, i dalszą drogę pokonała po jego pniu, z trudem łapiąc równowagę na mokrej, śliskiej korze.

Wreszcie wypatrzyła w zaroślach ciemny zarys pomostu, niemal całkowicie skryty pośród gęstych trzcin. Przeskoczyła zwinnie z konaru na deski, zmurszałe drewno stęknęło pod jej ciężarem. Ruszyła na koniec pomostu, zerknęła w dół. Odetchnęła z ulgą. Dębowa dłubanka Radomiła wciąż kołysała się na wodzie, przywiązana do porośniętego glonami bala.

Dobrosława najpierw umieściła w łodzi kosz z niewzruszoną Skierką, potem sama do niej weszła. Dwupióre wiosło znalazła na dnie. Chwilę mocowała się z węzłem na linie, ale po dwóch latach w wodzie był oślizgły z wierzchu i twardy jak kamień w środku i nijak nie dało się go rozplątać. Dobyła więc noża z pochewki na biodrze, przecięła sznur, odepchnęła łódź od pomostu. A potem z wprawą powiosłowała w stronę wyspy.

Nie wiedziała, czego właściwie ma tam szukać. Czy dobrze odczytała znak od nocnej burzy? I czy to aby na pewno był w ogóle jakiś znak? Przecież pioruny nieustannie waliły w to przekłete drzewo, czemu akurat tym razem doszukiwała się w tym jakichś ukrytych znaczeń? A może wiedziona zgubną nadzieją sama pchała się w łapy złego, które zabiło Radomiła?

Zastanawiała się nad tym wszystkim przez całą drogę, aż z rozmyślań wyrwał ją przeciągły chrobot, z jakim dłubanka zaryła o dno. Dobrosława wyskoczyła na brzeg, ignorując kolejny przypływ wątpliwości. Rozejrzała się za czymś, do czego mogłaby przywiązać łódź, a kiedy jej wzrok padł na wierzbę, z wrażenia o mało nie upuściła liny.

Nie, nie chodziło o ciemny rosochaty pień, popękany w tylu miejscach, że każde inne drzewo obumarłoby już dawno temu. Nie chodziło o zwichrowane gałęzie, które do złudzenia przypominały

sękate palce więdźmy, złożone do jakiegoś plugawego czaru. Nie chodźilo nawet o rozliczne dziuple, bez ochyby zamieszkane przez wodne demony czy inne Welesowe pomioty. Ani o piorunowe wzory, wypalone w korze czernią głębszą niż jeziorna toń.

Zaledwie padł na nią cień piorunowego drzewa, czas nagle zwolnił. Powietrze zgęstniało jak miód. Złote słońce nabrało srebrzystoszarej barwy, a wszystko wokół rozmyło się w smużyste popielate cienie.

Tylko one pozostały sobą. Kobieta i wierzba. Dwie zielone gałązki wśród dymiących zgliszczy.

W pewnym momencie Dobrosława poczuła, jak jakaś niewidzialna siła przyciąga ją lekko, acz zdecydowanie w stronę ciemnej wody.

Chce mnie utopić, pomyślała z przedziwnym spokojem, przekonana, że coś jej się przygląda z mroku spękanego pnia. A może pragnie pokazać mi w jeziorze to, o co prosiłam je tyle razy? Albo też zamierza wepchnąć mnie w łapy lustrzanej demonicy...

Pomna na przestrogi żercy, że każde odbicie potrafi omamić tego, kto choćby na moment spojrzy mu w oczy, Dobrosława nie poddała się wabiącemu urokowi wody i nie zrobiła ku niej choćby pół kroku. Albo jej się zdawało, albo wierzba pochyliła się nad nią w niemej groźbie. Rybaczka przełknęła ślinę, odwzajemniając spojrzenie czarnych dziupli oczu.

I tak zamarła. Nie wiedzieć jak długo stała w źmijowisku korzeni, na wprost pokręconego pnia, pod niemożliwie zmierzwioną koroną. Z mieszaniną grozy oraz mimowolnego podziwu wodziła oczami od pęknięcia do pęknięcia, od sęku do sęku, od jednej gromowej blizny do drugiej. Wypalone w korze gałęziste wzory

przywodziły na myśl zdrewniałe błyskawice uwięzione w słojach, pioruny zamrożone w nieumarłym drzewie, zimne i czarne, zawieszane na zawsze między ziemią a niebem.

Wierzby to zaiste Welesowe drzewa, pomyślała Dobrosława. Skoro tak chętnie rosną nad martwą wodą i wszędzie tam, gdzie nie chce zakorzenić się nic prócz bagiennych roślin, to muszą mieć błogosławieństwo podziemnego boga. Tej tutaj, mimo że jeszcze krążą w niej odżywcze soki, bliżej do Nawii niż do krainy żywych. Wystarczy na nią spojrzeć. Toć lada chwila z pluskiem runie w otchłań...

Jak gdyby na potwierdzenie tych niewypowiedzianych słów kawałek zwęglonej kory odpadł od pochylonego nad taflą konaru i cichutko wpadł do jeziora. Parę szybkich kolistych zmarszczek i powierzchnia znów była gładka jak lustro.

Chociaż z drugiej strony, dumiała dalej Dobrosława, każda wierzba zdaje się nieśmiertelna. Sama z siebie nie umiera nigdy i pieruńsko trudno ją zabić. Choćby ugodzona gromem, zwęglona na wskroś, rozłupana na pół, rośnie sobie dalej, jak gdyby nigdy nic. Wystarczy wetknąć jej uschnięty badył byle jak, byle gdzie, byle w ziemię, a ten już po paru dniach puszcza świeże pędy. Nawet miotła z wierzbinowych witek potrafi się zazielenić. Wierzba wykiełkuje i ze spalonego korzenia...

To jak z nią w końcu jest? Czy to drzewo śmierci, czy może jednak życia? A może obu naraz? Może wierzba zapuszcza korzenie między jednym a drugim? Czyżby to była prawda, co mówią, i jej dziuple rzeczywiście prowadziły do Nawii?

– Jeśli w którymś z jej słoików tkwi twoja dusza, córeńko – szepnęła Dobrosława, choć Skierka nie mogła jej słyszeć – to ja ją

stamtąd uwolnię. Choćbym tu miała wrócić z siekierą.

Groźba nie zrobiła na drzewie żadnego wrażenia, za to kobieta odzyskała rezon. Na tyle, żeby w końcu przypomnieć sobie, jak się przełamuje niechciane czary.

Pokonując opór stężałego powietrza, Dobrosława sięgnęła do pochwy przy boku. Dobyła noża, opadła na kolana, po czym wbiła żelazne ostrze w ziemię aż po rogową rękojęść.

I nagle urok prysł. Czas znów przyśpieszył, popłynął zwykłym rytmem. Świat odzyskał dawne kolory. Powietrze zrzędniało, pozwoliło kobiecie najpierw wstać, a potem ruszyć z miejsca.

Dopiero gdy po raz wtóry okrążając pień, potknęła się o coś i runęła w błoto, pojęła wreszcie, co przez cały ten czas wierzba próbowała jej pokazać. Serce Dobrosławy zabiło mocniej na widok powrozu okręconego wokół korzenia, który wystawał nad ziemię niby sękaty palec staruchy. Od razu rozpoznała zamotany na sznurze węzeł. Zresztą, nawet i bez tej wskazówki nie byłoby wątpliwości, kto przywiązał tutaj tę linę. Przecież nikt poza Radomiłem nie miał śmiałości łowić ryb u brzegów wyspy.

Wolno i ostrożnie podeszła do korzenia. Musnęła opuszkami splot zawiązany Radomiłową ręką i uczyniła to z taką czcią, jak gdyby dotykała nie liny, a widmowej dłoni męża. Jakby trącała palcami nić jego losu, którą trzecia z rodzanic przecięła przed dwoma laty gdzieś w czarnej głębi jeziora.

Po krótkim wahaniu ujęła sznur w drżące dłonie. Pociągnęła lekko. Poczuła opór. Nieduży, lecz z pewnością większy niż stawiany przez pustą wierszę. Coś się złapało...

Serce Dobrosławy zatrzepotało jak spłoszony wróbel. Bez pośpiechu wybierała sznur, wpatrzona w zanurzony koniec

z napięciem, które rosło w niej z każdym ruchem ramion. Gdy tylko pod powierzchnią ujrzała zarys kosza, szarpnęła mocniej. Wiklinowa pułapka w gwałtownym rozbryzgu przebiła tafłę jeziora, a Dobrosława z pluskiem wbiegła do wody. Wyłowiła wierszę, niecierpliwie zajrzała do środka. Głośno wypuściła powietrze.

Oklapła w jednej chwili. Zwiotczała jak przebity bukłak, z którego w mgnieniu oka wyciekło wszystko co do kropli.

– A czego się spodziewałaś? – spytało złośliwie jej odbicie w jeziorze, a ponieważ kobieta sama tego nie wiedziała, postanowiła udawać, że nie słyszy nic poza pluskiem fal.

Zawiedziona, zniechęcona i zła patrzyła na samotną płotkę, która trzepotała się rozpaczliwie na dnie kosza. Minęła chwila, zanim Dobrosława otrząsnęła się z otępienia, po czym sztywnym krokiem wróciła do łodzi. Uniosła smutny wzrok na Skierkę i nie po raz pierwszy pozazdrościła jej tego niezmałconego spokoju.

– Przykro mi – mruknęła bardziej do siebie niż do małej. – Myślałam, że czegoś się tutaj dowiemy.

Skierka, ma się rozumieć, nie odpowiedziała.

Dobrosława jeszcze raz zajrzała do wierszy. Płotka była tak mała, że nie wystarczyłaby nawet na obiad dla dziecka. Kobieta sięgnęła po rybę i już, już miała wrzucić ją z powrotem do wody, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zastygła w pół gestu, spojrzała na córkę. I znowu na rybę.

Płotka wiła się w jej dłoni niczym piskorz. Strzelała ogonem jak z bicia, wyginała grzbiet tak mocno, że niemal składała się wpół, raz w jedną stronę, raz w drugą. A Dobrosława uzmysłowiła sobie nagle, że ryba musiała wpłynąć do wierszy podczas nocnego gradobicia, zamiast przyczać się gdzieś w głębi jeziora, przy cichym,

bezpiecznym dniu. Mało prawdopodobne, że złapała się wcześniej, bo więzione dłużej okazy nie były nawet w połowie tak żywotne jak to młode stworzenie. Na dodatek z całą pewnością nie skusiła jej żadna przynęta, bo przecież ta włożona do wierszy przez Radomiła dawno zgniła do szczytu i wyciekła przez luźne wiklinowe sploty.

Kobieta w zamyśleniu potarła czoło.

Skoro płotka mimo wszystko wpłynęła do pułapki, podobnie jak Radomił nie bojąc się gromów, to może jednak coś się za tym kryło. Może to nie jakaś tam zwyczajna ryba. Może to wiadomość od Peruna, od Welesa albo od nich obu. Od boga życia oraz boga śmierci. Białego i Czarnego, których wrogie sobie moce łączyły się w jedno w tym przedziwnym drzewie, co to równie mocno ukochało niebieskie ognie, jak i martwe wody.

Dobrosława zrobiła krok w stronę łódki. Wyciągnęła do Skierki rękę z walczącą o życie płotką. Mogłaby przysiąc, że parę chwil wcześniej, gdy miała właśnie wypuścić zdobycz do jeziora, dziewczynka poruszyła się gwałtownie, zamachała rączkami, aż cały kosz podskoczył na dnie dłubanki.

Tym razem jednak dziecko ani drgnęło.

Musiało mi się przywidzieć, pomyślała kobieta i z westchnieniem wyciągnęła rękę nad wodę.

I już miała pozwolić rybie uciec, lecz w ostatnim momencie znów zacisnęła palce. Chuderlawe ciało Skierki nadal trwało w posągowym bezruchu, za to w oczach, ciemnych i pustych niczym dwie wyschłe studnie, zamigotała iskra. Jedna jedyna. Samotna gwiazdka płynąca przez czarne niebo tęczęwek i odbitą w nich wodę, pojawiała się raz w jednym, a raz w drugim oku.

Dobrosława nie wychwyciła momentu, w którym z głośnym pluskiem osunęła się na kolana, o mało nie wypuszczając bezcennej płotki.

– Skierko... – szepnęła przez łzy. – Skierciu, Skiereczko ty moja... Czyli ty jednak jesteś! Nadal gdzieś tam jesteś i czekasz na mnie... – Miała ochotę zerwać się na nogi i porwać dziecko w ramiona, jednak wzruszenie odebrało jej władzę nad ciałem, wypełniło umysł świetlistą lekkością, a nogi płynnym ołowiem. – Czekaj, córuś! – Na wpół śmiała się, na wpół łkała. – Czekaj na mnie! Wytrzymaj jeszcze trochę, matula już po ciebie idzie...

Trochę potrwało, zanim Dobrosława zaczęła spokojniej oddychać oraz jaśniej myśleć.

I dopiero wtedy, gdy powoli dochodząc do siebie, mocniej ścisnęła w dłoni szamoczącą się dziko rybę, wyczuła coś pod srebrną łuską. Wyraźny, uciekający spod palców guzek, twardy i obły, większy od żołądka. Nie zastanawiając się długo, wstała i wybiegła na brzeg. Chwyciła za nóż, który nadal tkwił w ziemi, powstrzymując bagienne uroki. Przypadłszy do głazu u stóp wierzby, jednym pewnym ruchem odcięła płotce łeb, drugim rozpruła srebrzysty brzuch.

Tego, co wypadło z ryby i z metalicznym stukotem potoczyło się po kamieniu, w pierwszej chwili nie rozpoznała. Rozmiarami przypominało kasztan, kształtem zaś łzę. Całe było oblepione krwią i rybimi flakami, więc o kolorze niewiele dało się powiedzieć prócz tego, że był ciemny. Nawet gdy już dokładnie opłukała przedmiot w jeziorze, Dobrosława nie była pewna, skąd zna tę niezwykłą rzecz, choć miała silne wrażenie, że gdzieś ją już widziała. I to nie raz.

Opalizowała przy każdym ruchu, mieniła się barwami od granatu nocy, przez siną stal gwiazd, aż po szkarłat zmierzchu.

Dopiero kiedy oglądając przedmiot z bliska, poczuła, jak wyrywa jej się spomiędzy palców i jednocześnie próbuje przyciągnąć do siebie ostrze noża, który wciąż trzymała w drugiej dłoni, nareszcie ją olśniło. Dla pewności znów przyjrzała się znalezisku, tym razem wypatrując pewnego konkretnego szczegółu. I rzeczywiście, wypatrzyła. Maleńki symbol spadającej gwiazdy odcisnięty w metalu niczym pieczęć w wosku.

Dobrosława skoczyła na równe nogi. Wsunęła nóż do pochwy, owinęła żelazną kropkę kawałkiem płótna i schowała do sakiewki przy pasie. Nieznacznie skinęła głową czarnej wierzbie, zaglądając w dziuple czarne jak noc oraz toń jeziora, i zdało jej się nawet, że drzewo się odkłoniło. A może to tylko wiatr poruszył bezlistną koronę.

Rybaczka wróciła do łodzi. Niecierpliwymi ruchami odwiązała linę. Dłubankę wypchnęła z turzyc na głębszą wodę i z energią, jakiej nie czuła od dawna, wskoczyła na pokład.

– Odnajdę cię, Skierko – powiedziała do córki, opadając na ławkę i sięgając po wiosło. – Odnajdę już niedługo. Bo teraz wiem już nareszcie, gdzie i kiedy mam szukać.

*

Już na początku roku do rybackiej wioski spłynęła z gór wieść, że Żelazna Klacz, kapłanka ziemi i mówczyni skał, przybywa do osady rudników miesiąc po letnim przesileniu, gdzie będzie przewodzić obrzędom podczas peruny. Dobrosława czekała na ten dzień jak na wybawienie.

Przyszedł maj, a z majem rusalia i jeziora oraz stawy zakwitły plecionkami z polnych kwiatów, na przybrzeżnych drzewach zaś zawisły kolorowe wstążki. Przyszedł czerwiec oraz Noc Kupały i łąki zapłonęły od świętych ognisk, a rzeki zamigotały płomykami łuczyw wetkniętych w strojne wianki.

Aż w końcu nadszedł lipiec. Dla niepoznaki zaczął się upalnie, by zaraz w połowie ni z tego, ni z owego przynieść oberwanie chmury, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali. Zanim ustały potężne ulewy, od których wylewały rzeki, bulgotały mokradła, a jeziora połykały przybrzeżne bagniska, nim przyschło błoto na traktach, leśnych ścieżkach oraz górskich szlakach, do Perunowego święta pozostał zaledwie tydzień. Następnego dnia o świcie Dobrosława wyruszyła w drogę.

Ledwo opuściła rybacką osadę i już ścieżka biegnąca przez moczary przeszła w polną dróżkę, po czym niepostrzeżenie zmieniała się w kamienisty szlak. Im wyżej się piał, tym rzadsze lasy porastały zbocza, za to przydrożne głązy gęstniały i rosły wokół Dobrosławy, aż zamknęły ją w przesmyku. Tak długim i wąskim, że w dole panował półmrok, w górze zaś niebo przypominało błękitną żmiję pełznącą po skalnym sklepieniu. Mniej więcej w połowie wąwozu ścieżka zaczęła opadać. Niebawem na jej końcu zamajaczył linowy most przerzucony nad ryczącą w dole rzeką.

I wreszcie tuż przed południem, przeprawiwszy się na drugą stronę przepaści, rybaczka dotarła do Lisiej Przełęczy. Czerwono-brunatnej krainy przez owczarzy przezywanej Diablim Ogarkiem, przez bazarzy Krwią Skał, przez rudników natomiast Rudą Rudawą.

A przez wszystkich innych – po prostu Glinianką.

Najeżona ostrokołem wioska z daleka nie robiła wrażenia zbyt gościnnej. A jednak Dobrosławę powitały otwarte na oścież wrota, których jedynym strażnikiem była wieńcząca je końska czaszka na kilku kręgach szyi, z ciemnym pęknięciem na czole, grzywą z żelaznych paciorków nanizanych na sznurki i dwiema bryłami szklistego, niebieskawego żużlu w miejscu ślepi. Rybaczka wzdrygnęła się jak zawsze pod martwym spojrzeniem klaczy, której śmierć widziała jako dziecko na własne oczy. Gdy weszła do rodzinnej osady, wbiła wzrok w ciemnorudą ziemię i od razu ruszyła do przeciwległej bramy.

Idąc przez wieś, czuła się jak zjawą. Cicha i niewidzialna, stęskniona za przeszłością, do której nie było powrotu. Mijała znajome chałupy o stromych, krytych gontem dachach oraz krzątających się w obejściach gospodarzy, tak zajętych ostatnimi przygotowaniami do peruny, że żaden nawet nie zwrócił uwagi na jej przybycie. Niezauważona wyszła za ostrokół przez północną furkę, gdzie w pewnym oddaleniu od wioski, tuż pod sosnowym lasem, stała chata żerczyni.

Jeżeli ludzie gór słynęli z gorących głów, serc na dłoni i domów otwartych dla każdego gościa, to stara Gniewomira robiła wszystko, aby nikt jej przypadkiem z góralką nie pomylił. Jak zawsze szorstka i rzeczowa, nawet nie wpuściła Dobrosławy za próg, choć od razu rozpoznała w niej córkę kowala Kanimira, który spędził w Gliniance całe swoje życie. Żerczyni z miną cierpiętnicy przyjęła dwie kobiałki ryb na ofiarę dla Peruna, sucho poinformowała Dobrosławę, gdzie może znaleźć mówczynię skał, po czym ubiegając kolejne pytania, zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Rybaczka uśmiechnęła się krzywo do sękatych desek, wzruszyła ramionami i ruszyła w las.

*

Kiedy wiele lat temu ze zgrozą oglądała rytuał składania siwej klaczy w ofierze dla gór, wywodzący się z powszechnej wiary, że bezcenna ruda mogła odrodzić się jedynie z ognistych okruchów nieba lub najszlachetniejszej końskiej krwi, mała Dobrusia, córka kowala, zrozumiała, dlaczego niektórych mówców skał nazywano źrebiarzami.

Teraz zaś na widok wędrownej szamanki, która klęczała w wykrocie na wpół powalonego buka o liściach koloru miedzi i rdzy, dorosła Dobrosława, wdowa po rybaku, pojęła nareszcie, czymże mówczynie zasłużyła sobie na tytuł akuszerki ziemi, jakim zwykła zwracać się do niej starszyzna rudników.

Zahipnotyzowana kobieta patrzyła, jak Żelazna Klacz nachyliła się między korzeniami, rozwartymi niby uda rodzącej. Jak sięga w głąb górskiego łona, by wygarnąć z niego glinę, mokrą, czerwoną i gęstą jak krew. Chwilę zajęło, nim cynowa misa, którą podtrzymywała kolanami, wypełniła się po brzegi, a wtedy źrebiarka przysiadła na piętach, spojrzała w rumiane niebo. Mamrocząc pod nosem, wymalowała sobie palcami zawile znaki na czole i policzkach, przymknęła powieki, rozpostarła ramiona. Długo trwała w bezruchu, a ciągliwe, mięsiste krople, przywodzące na myśl roztopiony jaspis, kapały ciężko z jej otwartych dłoni na poranioną ziemię. Potem zaś szamanka zaczęła tańczyć.

Źrebiarka krążyła i skakała po polanie, to robiąc skłon, aby dotknąć ziemi, to znów wspinając się na palce stóp, by sięgnąć

dłońmi nieba. Tymczasem Dobrosława nie była w stanie drgnąć. Stała w pewnym oddaleniu, skryta w cieniu drzew. Ani ona, ani siedząca w koszu na plecach matki Skierka nie wydały najmniejszego dźwięku, podczas gdy żelazne amulety przyczepione do kapłańskiej szaty podzwaniały rytmicznie, tym głośniejsze, im szybciej wirowała mówczyni skał. A mimo to pochłonięta tańcem kobieta naraz stanęła jak wryta, jakby usłyszała coś, co wybiło ją z rytmu. Luźna tkanina okręciła się wokół jej zastygłej sylwetki, pobrzękując paciorkami, blaszkami, grzechotkami, aż wreszcie ona także zamilkła i znieruchomiła.

I wtedy mówczyni raptownie obróciła głowę. Popatrzyła wprost na Dobrosławę. Nie powiedziała słowa, tylko wyciągnęła dłoń, kiwnęła czerwonym palcem. Rybaczka przełknęła ślinę. Po krótkim wahaniu posłusznie podeszła bliżej.

Wbrew sugestywnemu przydomkowi Żelazna Klacz była niska i wiotka, krucha jak gałązka. Nie sposób było ocenić jej wieku. Choć twarz miała młodą, to jej spojrzenie było mądre iście sędziwą mądrością, a tęczęwki blade i chłodne niczym zimowe niebo. Ciemne jak ruda włosy nosiła pozlepiane w długie, cienkie kołtuny, wśród których pobłyskiwały koraliki z kamyków i metalowe dzwoneczki.

Żrebiarka musiała wysoko zadrzeć podbródek, by zajrzeć przybyłej w oczy. Chyba spodobało jej się to, co w nich ujrziała, bo gestem kazała Dobrosławie się schylić. Pokreśliła twarz rybaczki płataniną run, używając jednocześnie obu rąk, które poruszały się w płynnej, symetrycznej harmonii jak swoje lustrzane odbicia. To samo zrobiła z buzią Skierki, po czym długo szukała czegoś w ciemnych sadzawkach jej źrenic.

– To nie jest zwykła glina, lecz krew Matki Ziemi – rzekła melodyjnym głosem, nie odrywając wzroku od oczu dziecka. – Odpędza choroby oraz złe duchy. Pielęguje i chroni skórę, tworząc żelazny pancerz, który osłania zarówno ciało, jak i gorejącą w nim duszę. Ma moc uzdrawiania, lecz pustki toczącej tę małą istotkę nie da się niczym wyleczyć. Nawet cudem.

Dobrosława gwałtownie nabrała powietrza, żeby coś powiedzieć, lecz skrwawione ziemią palce żrebiarki prędko zamknęły jej usta.

– Spójrz. – Nie odrywając jednej dłoni od warg rybaczki, drugą wskazała na ziemię. – I powiedz, co widzisz. Jeśli tylko czerwień, przypatrz się uważnie. – Mówczyni pociągnęła ją za ramię, każąc pochylić się niżej, i bosą stopą rozgarnęła glinę. – A teraz? Dostrzegasz barwy tęczy? Widzisz, jak krew Matki Ziemi mieni się niczym perła?

Dobrosława skinęła głową.

– Tęcza płynąca we krwi naszej ziemi to niechybny znak, że żelazo pochodzi z nieba. Spada tu do nas razem z gwiazdami w chwili, gdy umieramy, a dymy z ciepłych ognisk zabierają dusze tam, skąd przybyły w dniu naszych narodzin.

Żrebiarka odkleiła lepkie palce od ust Dobrosławy. Milczała długo, wpatrując się w Skierkę.

– Nie wiem, co przydarzyło się ojcu tego dziecka, prócz tego, że utonął w wodzie, która cię karmi – odpowiedziała na pytanie, które rybaczka zdążyła dopiero pomyśleć. – Ale chyba rozumiem, dlaczego to małe ciało jest zimne i puste. Czy wiesz, że gdy człowiek przychodzi na świat, na niebie zapala się jego własna gwiazda? Nie? Popatrz tam w bezchmurną noc, a wtedy ujrzysz swoją. – Mówczyni wycelowała palec w górę. – To będzie ta, która zamruga, gdy przejrzy

się w twoich oczach, zwierciadłach duszy. Spójrz na moje ręce. – Chwyła oburącz dłonie Dobrosławy, roztarła jej glinę na skórze. – Spójrz na swoje. Widzisz? W zetknięciu z ludzkim ciałem krew Matki Ziemi skrzy się cała gwiazdnym żarem. Wygląda, jakby odbijała blask niebiańskiego ognia, który płonie tam w górze jedynie dla nas i oświetla nam drogę aż po kres naszych dni.

Mówczyni puściła ręce rybaczki, po czym wyjąwszy dziecko z kosza na jej plecach, stanęła z nim w objęciach przed zdumioną matką. Runiczne znaki wymalowane na twarzy Skierki nie migotały iskrami, lecz były matowe i czarne.

– Chyba że ktoś nie ma własnej gwiazdy – skwitowała źrebiarka złowrogim chrapliwym szeptem. – Wtedy zamiast światła jest jedynie mrok.

– Czy jej gwiazda... zgasła? – wykrztusiła rybaczka, z trudem przepychając słowa przez zaciśniętą krtani.

– Nie, moja córko. Gwiazdy umierają, płoną. Świecą dopóty, dopóki do cna się nie wypalą. Ta zaś zniknęła przedwcześnie, przepadła jak kamień w wodę. W wodę, która cię karmi.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Zatonęła razem z twoim mężem. – Szamanka czule pocałowała chłodne czoło Skierki, po czym umieściła ją ostrożnie z powrotem w koszu. – Ale widzę wyraźnie w oczach tej małej, ciemnych niby zaśnieżone srebro, że jej gwiazda, choć skryta głęboko w czerni jeziora, wciąż jeszcze świeci. Tyle dobrego, że w wodzie nie może spłonąć i zgasnąć.

– Czy potrafisz ją...

– Wyłowić? Nie. – Mówczyni gwałtownie pokręciła głową. A zanim ta odpowiedź zdążyła złamać rybaczce serce, dodała

z uśmiechem: – Ale ty tak.

– Ja?

Żelazna Klacz bez słowa sięgnęła za pazuchę. Wydobyła irchowy mieszek, który wisiał u jej szyi na plecionym rzemieniu. Rozsupłała troczki, po czym uroczystym gestem wyjęła ze środka coś tak drobnego, że w słabym świetle leśnej gęstwiny Dobrosława nie mogła zobaczyć, co źrebiarka trzyma w czerwonych palcach. Dopiero gdy szamanka złożyła podarunek w jej dłoni, rybaczka rozpoznała w nim igłę, długą i grubą, podobną do tych, jakie brzemienne kobiety nosiły przy sobie dla ochrony dziecka.

– Przez całą ciążę miałam taką wpiętą w rękaw koszuli – powiedziała wolno, nie kryjąc zaskoczenia. – A gdy urodziła się Skierka, schowałam ją w kołysce pod pościelą...

– To nie jest zwyczajna igła. Zwykła nikogo nie uchroniłaby przed losem, jaki spotkał twą córkę. Ta tutaj została wykuta z niebiańskiego żelaza. Czy wiesz, co to takiego?

– Meteoryt – odparła Dobrosława zdławionym głosem i z wrażenia o mało nie wypuściła igły z palców. – Boskie żelazo. To zbyt cenny dar, nie mogę...

– Możesz, możesz. – Żrebiarka delikatnie zamknęła dłoń kobiety i nakryła ją swoją. – Daję ci go teraz właśnie dlatego, że nigdy nie śmiałaś o niego prosić, a obdarowana boisz się go przyjąć. Innym odmawiałam wiele, wiele razy. A dwa z tych wielu razy miały związek z tobą.

– Radomił był u ciebie tuż przed swoją śmiercią – podchwyciła prędko Dobrosława.

– Wcześniej był u mnie ktoś jeszcze – przerwała mówczyni takim tonem, że wdowa natychmiast umilkła. – Wciąż towarzyszy ci jego

obecność, spowija cię aura, co buzuje niby wygłodniały płomień.

– O kim mówisz?

– Woda i ogień – mruknęła źrebiarka, patrząc gdzieś w głąb siebie, a rybaczka zwątpiła, czy to aby odpowiedź na jej pytanie. – Łowca piorunów i poławiacz gwiazd... Tak do siebie podobni w czynach, a tak różni w dążeniach. Obaj prosili o to samo, lecz każdy z innych powodów. Pierwszy pragnął przychylić nieba innym, drugi zaś zagarnąć je tylko dla siebie. Ten drugi to ogień i gdyby mógł, pochłonałby wszystkie gwiazdy. Pierwszy to woda i gdyby mógł, oddałby własną gwiazdę tym, których kocha... Czy wiesz już, o kim mowa?

– Woda i łowca piorunów to Radek – odparła rybaczka bez wahania. – Ale drugi... Ogień i poławiacz gwiazd...? – szepnęła w zadumie, a po chwili bezradnie pokręciła głową.

– Drugi to ten, do kogo należy łza wypłakana nad wami przez rdzawe jezioro.

Dobrosława szeroko otworzyła oczy. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała o znalezisku, które ją tu przywiodło.

– Skąd ty...

– Jestem mówczynią skał. Znam język kamieni oraz metali, a one nieustannie do mnie szepczą. Pokaż mi ją, proszę. Słyszę, jak mnie woła.

Rybaczka potulnie sięgnęła do boku, wyjęła z sakwy żelazną kropkę. Chciała podać ją źrebiarce, lecz ta na sam jej widok cofnęła się tak gwałtownie, że poślizgnąwszy się na wilgotnej glince, o mało nie upadła na plecy.

– Dobrosławo – sapnęła chrapliwie – córko Kanimira, dziecię rudników z dziada pradziada, jak mogłaś nie poznać się na tym, co

trzymasz w ręku? Czy nie wiesz, czym są mniszki?!

Rybaczka z głośnym okrzykiem strzepnęła dłonią. Twarda łza jeziora skapnęła ciężko w miękką krew ziemi.

Mniszki. Małe demony żelaza lęgnące się w naciekach z płynnego metalu, który czmychnął z korytka podczas przetapiania rudy. Diabelskie strużki spływają na boki i zastygają tam głową w dół niczym nietoperze. Nieziemskim blaskiem i kuszącym szeptaniem nakłaniają hutników, by je ukradli. W nich skupia się cała moc żelaza, więc są dla kowali bezcennym kruszcem. Najlepsi rozpoznają je po iskrach, po wzorach, jakie w powietrzu maluje ich dym, po syku, jaki wydają, gdy rozżarzone stygną w zimnej wodzie. Lecz tylko mistrzowie kuźni potrafią wyklepać z nich doskonałe, nigdy nietępiące się ostrza.

Jednak na każdej broni wykutej z czarciego żelaza ciąży potężna klątwa, która prędzej czy później sprowadza nieszczęście na tego, kto ją nosi. Wiedzący nieustannie przestrzegali rzemieślników oraz ich uczniów, że nawet nietknięty młotem ni kowadłem mniszek bywa śmiertelnie niebezpieczny.

Żelazna Klacz trąciła demoniczny metal stopą. Nisko pochyłona, obeszała go z jednej, potem z drugiej strony.

– Ach, już rozumiem – odezwała się wreszcie. – Nic dziwnego, że go nie rozpoznałaś. Ja sama widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu... To mniszek z meteorytu. – Spojrzała Dobrosławie w oczy. – Boskie żelazo nie tworzy ich samo, trzeba je zamawiać tajemnymi formułami, aby kawałek nieba stał się przeklęty...

– Widnieje na nim twój znak – powiedziała rybaczka, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt oskarżycielsko.

Mówczyni uniosła brwi.

– Piętno spadającej gwiazdy – ciągnęła Dobrosława. – Takie samo widziałam na twoich amuletach, kiedy byłam dzieckiem.

Żrebiarka bez słowa pochyliła się znowu. Pstryknięciem obróciła meteorytową kroplę, ostrożnie starła z niej glinę samym koniuszkiem palca.

– Rzeczywiście, gwiazda – mruknęła. – Mylisz się jednak. Noszę talizmany z podobnym symbolem, lecz ten tutaj nie należy do mnie. Oba znaki są podpisami poławiaczy gwiazd, tyle że ja łowię martwe, a zatem wygasłe i spadłe z nieba, te, co już tylko dymią oraz stygną w ziemi. Natomiast właściciel tego piętna – ruchem podbródka wskazała mniszka – poluje na gwiazdy, co ciągle płoną żywym ogniem, i aby je schwytać, często musi najpierw sam strącić je z nieba...

– Kto zatem strącił i ukradł gwiazdę Radomiła?

– Nikt. Gdyby tak było, poczułabym to. Wiedziałabym, gdyby taki los spotykał którąkolwiek ze znanych mi dusz. Nie, Dobrosławo. To twój mąż strącił z nieba gwiazdę waszej córki.

– Nie! To nieprawda!

– Zapewne zrobił to przypadkiem – ciągnęła żrebiarka, nie zważając na jej protesty. – Wystarczyło, że gdy tonął, zamachał ponad wodą ręką, w której trzymał przeklęty meteoryt. A rozpaczliwą myślą o dziecku wskazał mniszkowi rodzącą się gwiazdę...

– Nie, nie uwierzę w to! To musiał być ktoś inny! To ten poławiacz odebrał mi ich oboje!

– On nie zabił Radomiła, tylko mniszek – przerwała jej szamanka. – Nie ma sensu z tym dyskutować, skoro sam mi to powiedział.

– Poławiacz? I ty mu uwierzyłaś na słowo?

Mówczyni skał spojrzała na rybaczkę z łagodnym pobłażaniem.

– Mniszek, oczywiście.

– Ach... No tak.

– I owszem, uwierzyłam mu. One łąją jak z nut, lecz rzadko potrafią oszukać kapłanów ziemi.

– Ktoś jednak podarował go Radkowi albo mu podrzucił...

– Niekoniecznie. Dobrze wiesz, jak podstępne są mniszki. Wiesz, do czego namawiają, jak mamią i kuszą.

Dobrosława gwałtownie potrząsnęła głową.

– Radek nie był złodziejem.

– Nikt nie jest, dopóki nie znajdzie się pod działaniem diabelskiego kruszcu.

– On go nie ukradł!

– Lepiej uwierz, córko, że tak właśnie było. Twój mąż wypytywał mnie o metale i skały zdolne ściągać gromy z jasnego nieba, a to właśnie meteoryt potrafi dokonać tej sztuki. Radomił nie dostał go ode mnie ani od człowieka, który używa piętna spadającej gwiazdy. Ale za to w pracowni poławiacza Radomiła odnalazły meteorytowe mniszki. Od razu wiedziały, co mu obiecać, byle tylko zabrał je ze sobą i ściągnął na siebie śmierć. Zawsze najłatwiej zawładnąć duszą oraz wolą tego, kto sam je już opętał własnymi marzeniami.

Rybaczka milczała długo, ze wzrokiem wbitym w łąę żelaznych demonów, która leżała u jej stóp.

– Tylko po co to wszystko? – spytała, a głos zdradliwie jej się załamał. – Dlaczego tak mu zależało na meteorytach i piorunach? Na co mu to było, do diaska?!

– Nie domyślasz się? – Mówczyni skąd uśmiechnęła się smutno. – To wszystko dla ciebie. Twoim żywiołem jest ogień, a wybrałaś wodę. Zgasłaś w niej. Ostygłaś. Radomił o tym wiedział. Marzyłaś o kuźni, śniłaś o czerwonym żelazie i stali, ale twój mąż nie mógł ci ich dać. Nieba by ci przychylił i oddał własną gwiazdę, bylebyś tylko była szczęśliwa. I zginął, próbując to zrobić.

– Ależ ja byłam szczęśliwa! – krzyknęła Dobrosława z rozpaczą. Żelazna Klacz westchnęła ciężko.

– Wiesz to teraz czy wiedziałaś już wcześniej, kiedy jeszcze żył? Rybaczka przymknęła oczy. Odwróciła głowę. Milczała długo nader wymownym milczeniem.

– Tylko jaki to ma związek z piorunem? – odpowiedziała wreszcie pytaniem.

Żrebiarka potrząsnęła włosami jak klacz grzywą, dzwonki i kamyki zabrzęczały dźwięcznie.

– A jak inaczej zwie się kwiat paproci?

Dobrosława poczuła, że grunt raptownie ucieka jej spod nóg.

– Perunowy kwiat... – szepnęła, z trudem łapiąc równowagę. – Zakwita na jedną noc w roku, w Noc Kupały, w miejscu, gdzie uderzył piorun...

– A temu, kto go odnajdzie, wskazuje drogę do zakopanych w ziemi skarbów – dokończyła mówczyni. – Czy już rozumiesz?

Rozumiała. Osunąwszy się na kolana, zapłakała gorzko, a jej gorące łzy mieszały się z zimną krwią ziemi. A kiedy w końcu podniosła na żrebiarkę błagalne spojrzenie, ta tylko pokręciła głową.

– Nie nurzaj się dłużej w jego śmierci, córko – przestrzegła surowo szamanka. – Dla własnego dobra zaakceptuj prawdę i pozwól mu odejść. Pokochaj go razem z jego śmiercią. Nie szukaj na siłę

innych odpowiedzi, byle tylko zagłuszyć wyrzuty sumienia, bo jeśli się w tym zatracisz, to również utoniesz. Lepiej idź i rozpal wreszcie płomyk życia w waszej słodkiej córce, i do końca swych dni grzej się w jego blasku. Posłuchaj mnie uważnie, powiem ci teraz, co zrobić z igłą...

Gdy mówczyni skał skończyła objaśniać, jak wyłowić gwiazdę Skierki z jeziora, słońce stało wysoko nad lasem, a powietrze było gorące i parne. Zbierało się na burzę.

– Zapamiętałaś?

– Tak. Dziękuję, matko.

Żrebiarka chciała pomóc wdowie dźwignąć się z ziemi, lecz zaraz cofnęła rękę. Pobrzękując talizmanami, z sykiem odskoczyła w tył, bo Dobrosława sięgnęła po mniszka i schowała go do sakiewki razem z darowaną igłą.

– Woda i ogień – powiedziała Żelazna Klacz, zanim rybaczka zdążyła zadać pytanie, które wisiało w powietrzu od samego początku ich rozmowy. – Rybak i kowal. Dwa żywioły złączone przez piorun. I to niejeden, bo ty, Dobrosławo, też jesteś gromem. Idziesz jak burza, nie bacząc, co po drodze utopisz, a co spopielisz. Powiedziałam już wszystko, a nawet więcej, pójdź więc w swoją stronę. Niebiańskie żelazo, nawet to przeklęte, zawsze powraca do źródła i tam cię zaprowadzi. Zresztą, ty już i tak wiesz, kto zna odpowiedź, której uparłaś się szukać.

Dobrosława wiedziała.

Pożegnała żrebiarkę pełnym szacunku ukłonem, po czym wyszła z półmroku lasu na białe światło dnia.

Po spotkaniu z Żelazną Klaczą miała wątpliwości, czy aby powinna rozmówić się z poławiaczem. Przestrogi szamanki brzęczały jej w głowie niby rój rozgniewanych os, mniszek w sakiewce ciążył jak kowadło. Jednak koniec końców to nie rybaczka splątała ponownie nici ich losu, ponieważ kowal odnalazł ją pierwszy.

Całonocne obchody perunyści ściągnęły mieszkańców Glinianki na polanę pod lasem, gdzie wśród ogromnych ognisk i suto zastawionych stołów, w powietrzu gęstym od nadciągającej burzy, składano całopalne ofiary na cześć Gromowładnego. Dobrosława ujrzała poławiacza od razu, ledwo tryskające dymem i iskrami światło wyłowiło z cienia jego smagłą twarz. To wystarczyło, aby poczuła się tak jak podczas letniego przesilenia wiele, wiele lat temu, gdy po upojnej, płomiennej, nieznośnie parnej nocy o mała nie skoczyła z nim przez święty ogień, zostając tym samym jego żoną w oczach bogów i ludzi...

No właśnie. O mała.

– Jesteś pewna, córuś? – pytała z troską matka jeszcze w dzień ślubu Dobrosławy z Radomiłem. – Ty i Wilkomir jesteście przecież stworzeni dla siebie...

– Wiesz dobrze, w jaką żonę umyślił mnie sobie przekuć – ucięła dziewczyna, w nerwowym odruchu poprawiając wianek oraz warkocz, choć ani jeden kosmyk i ani jeden kwiat nie wymknął się z misternych splotów. – Taką, co to nawet marzyć nie ma czasu, bo zbyt jest zajęta mieszaniem w garach, praniem gaci i rodzeniem dzieci. Inaczej żeście mnie z tatkiem wychowali.

– Może to był nasz błąd – westchnęła matka. – Ojciec niepotrzebnie...

– Ojciec – przerwała jej znowu panna młoda – nauczył mnie wszystkiego, co sam umiał, żebym w razie nieszczęścia mogła liczyć na siebie, zamiast zdawać się na cudzą łaskę albo zrządzenie losu. Radek jest taki sam. Jeszcze nawet po słowie nie byliśmy, a już znałam jego najlepsze łowiska i pomagałam mu naprawiać sieci. Ba, on mi nawet kuźnię chce koło wędzarni postawić! – Dobrosława roześmiała się radośnie, po czym chwyciła matkę za ręce i ucałowała ją w oba policzki. – Nie martw się, matuś. W łodzi Radomiła będę szczęśliwsza niż kiedykolwiek w Wilkomirowej kuźni, zobaczysz...

A teraz, wiele, wiele lat później, Dobrosława patrzyła, jak Wilkomir idzie przez ciżbę prosto do niej, pewnie i szybko niczym strzała z łuku.

Zgarnął z mijanej ławy dwa kubki miodu, po czym stanął przed nią, jaśniejszy i gorętszy niż otaczający ich ogień. Węgielki żrenic zatopione w bursztynie parzyły jej skórę, przepalały ciało, rozniecały w lędźwiach żar, który niegdyś tylko on jeden potrafił ukoić.

Dobrosława drgnęła, czując szarpnięcie u boku, jakby czyjaś niewidzialna ręka pociągnęła ją za pas. A wraz z tym szarpnięciem przyszło otrzeźwienie. Gdy stanął przed nią, czarnowłosa, ogorzała, ze skórą poznaczoną bliznami oparzeń, ona była już zimna i twarda niczym stal. Wyjęła czarcie żelazo z sakiewki. Bez słowa wyciągnęła je do Wilkomira na otwartej dłoni, a on bez słowa pokiwał głową. Postawił kubki na ławie, usiadł przed nią na pniaku.

– Przykro mi – powiedział cicho. – Nie sądziłem, że...

Uciszyła go gestem i sama zaczęła mówić. Słuchał ze spokojem, wpatrzony w płomień. Gdy już wyrzuciła z siebie wszystkie ostre

słowa, wszystkie oskarżenia w oczywisty sposób przykre dla obojga, spojrział na nią z takim bólem, że aż zakłuło ją serce.

– Mówczyni jak zawsze ma wiele racji – odrzekł głosem miękkim i dławiącym jak dym. – Lecz w jednym się myli. Nie jestem poławiaczem, tylko dla niego pracuję. To do niego należał mniszek, który twój mąż wykradł z mojej pracowni.

– Radek nigdy by...

– Każdy by to zrobił na jego miejscu. Diabłu żelazu nie sposób się oprzeć, nie bez znajomości kowalskiego rzemiosła. Nim się zorientowałem, już było za późno.

– Nie uwierzę, że nie miałeś z tym nic wspólnego. – Zacisnęła metalową łzę w dłoni. – Żrebiarka powiedziała...

– Żrebiarki przy tym nie było. Byłem ja, Radomił oraz ten mniszek. Tylko my trzej znamy prawdę.

– Żrebiarka powiedziała – ciągnęła uparcie – że łowisz żywe gwiazdy i...

– Nie jestem poławiaczem, powtarzam raz jeszcze. Zresztą, sama pomyśl... – Wyciągnął rękę, czułym, powolnym ruchem odgarnął jej włosy z policzka. Tak ją tym zaskoczył, że nie uciekła w porę od jego dotyku. Poczuła, jak wszystko w niej topnieje niby rozgrzane żelazo. – Po cóż miałbym gonić za gwiazdami z nieba, skoro już dawno znalazłem swoją tu, na ziemi.

– Wilku...

– Kocham cię, Dobrusiu. Od zawsze i na zawsze. Wiesz o tym przecież.

– Wiem – odszepnęła. – Jak i to, że z miłości ludzie robią złe i głupie rzeczy.

Nie cofnął dłoni, tylko zanurzył ją głębiej w pachnące jeziorem włosy. Z bliska zajął jej w oczy.

– Ja, Radomił i mniszek – powtórzył szeptem. – Radek nie żyje. Mnie nie uwierzysz. Pozostaje więc on. – Powiódł kciukiem wokół jej ust. Drugą dłoń, twardą i szorstką, położył na pięści, w której trzymała kroplę wygasłej gwiazdy. – Wyłowiłaś go z jeziora, a ja mogę sprawić, że teraz on wyłowi z niego prawdę.

– To mnie przecież zabije – wymamrotała, starając się nie muskać wargami jego skóry. – Przeklęte żelazo...

– Mniszki są niebezpieczne jedynie dla tych, którzy je kradną. Zmarszczyła brwi.

– Nie tego uczył mnie ojciec.

– Kanimir nigdy nie trzymał w ręku meteorytu. – Wilkomir uśmiechnął się przeproszająco, jak gdyby nie chciał źle mówić o zmarłych. – Mniszki wytopione z kawałka nieba to co innego. Najwyraźniej bogowie uznali, że magia spadłych gwiazd jest zbyt wyjątkowa, żeby pozwolić poławiaczom zagarnąć ją całą wyłącznie dla siebie. Kara spotyka więc złodziei, ale nie znalazców ani obdarowanych. Niech to będzie mój pożegnalny prezent.

– Wybierasz się dokądś? – Nie chciała o to pytać, samo jej się wyrwało.

Powoli wyplątał palce z jej włosów, a ona wbrew sobie poczuła ukłucie żalu.

– Owszem. Niebawem odchodzę szukać szczęścia gdzie indziej. Czekałem na ciebie przez te wszystkie lata, bo wciąż miałem nadzieję... – Nie dokończył, pozwalając, by mówiły za niego oczy. – Ale teraz widzę – podjął po chwili – że jego kochałaś tak, jak mnie nigdy nie będziesz. A mniej to dla mnie za mało. I dla ciebie także.

Jednak zanim wyruszę, chciałbym się pożegnać. – Wziął mniszka z jej dłoni i uniósł go na wysokość ich oczu. – Pozwól mi. Proszę.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – Nieufnie zwęziła powieki. – Przecież złamałam ci serce.

Wzruszył ramionami po to tylko, żeby je zaraz bezradnie rozłożyć.

– Bo mimo wszystko czuję się winny, że nie upilnowałem tego pieruńskiego żelastwa. Gdybym lepiej go strzegł, nic złego by się nie stało. Chciałbym więc teraz pomóc najlepiej, jak umiem, i wykuć dla ciebie lustro, w którym ujrzysz przeszłość.

Długo siedzieli naprzeciwko siebie w ciszy, otoczeni korowodem tańczących i roześmianych ludzi.

– Twoje milczenie jest dla mnie rozkazem – rzekł wreszcie Wilkomir, wstając. – Żałuję, że nie znam innego sposobu, żeby przywrócić ci spokój. Odejdę teraz i więcej mnie nie zobaczysz. Żegnaj, moja gwiazdo. – I ruszył między ognie.

Daleko nie dotarł.

– Zaczekaj! – Dobrosława dogoniła go biegiem. Musiała zastąpić mu drogę, żeby się zatrzymał. – Zgadzam się. Zrób to. – Wcisnęła mu mniszka w dłoń. – Tak się pożegnamy.

Na moment przytrzymał jej palce, gdy chciała cofnąć rękę, ale ostatecznie nic nie powiedział, a myśl o pocałunku, którą dostrzegła w jego oczach, na zawsze pozostała jedynie myślą.

Szurgot osuwających się polan i głośny trzask ognia na moment odwróciły uwagę Dobrosławy. A kiedy znów spojrzała przed siebie, Wilkomira już przy niej nie było.

Zgodnie ze wskazówkami źrebiarki i kowala obydwaj rytuały należało odprawić w czas bezchmurnego nowiu.

W tafli jeziora, gładkiej niczym klinga sztyletu, odbijało się usiane gwiazdami niebo. Świeciły tej nocy wyjątkowo jasno, obsypując wyspę oraz czarcią wierzbę pyłem zimnego srebra. Wszędzie wokół panowała cisza, a chłodne powietrze drżało w napiętym oczekiwaniu na to, co zaraz miało nastąpić.

Dobrosława obejrzała się na Skierkę, którą usadziła w koszu przy niewielkim ognisku pośród wierzbowych korzeni. Potem odwróciła się plecami do wyspy tak, aby widzieć swój cień, a odbłask płomieni na powierzchni wody nie przyćmiewał lustrzanej mapy nieba. Wydobyła z sakiewki drogocenną igłę, czując pod palcami tętniącą w niej moc. Ostrożnie położyła ją na łódeczce z kory wierzby, którą następnie puściła na jezioro.

Jak nakazała Żelazna Klacz, Skierka przez trzy dni i trzy noce nosiła podarunek stale przy ciele, przyciśnięty bandażami do nagiej skóry na wysokości serca. Rano i wieczorem matka delikatnie nakłuwała jej też powieki, bo to przez oczy, zwierciadła duszy, złe oraz dobre wchodziło i wychodziło z ciała. W ten sposób nasycona aurą dziecka igła miała wskazać miejsce zatonięcia jego niebieskiej iskry.

Chociaż księżyc nosił tej nocy żałobę po własnej śmierci, igła jarzyła się w niebiańskim świetle niby biały płomyczek i rybaczka mogła śledzić jej ostry koniec. Łódka dryfowała miękko i lekko, ledwo marszcząc tafelę. Obracała się nieustannie, wodziła czubkiem metalu od gwiazdy do gwiazdy.

I nagle znieruchomiła. Zniknęły kręgi na wodzie. Jeziorny obraz nieba wygładził się, wyostrzył, po czym pociemniał

z wyjątkiem jednej jedynej kropelki migotliwego blasku.

Wstrzymując oddech, jak gdyby w obawie, że najlżejszy powiew mógłby zdmuchnąć iskrę bogów z wodnego lustra, Dobrosława długo wpatrywała się w rozjarzony punkcik, który wskazywała igła. Mrugał i pulsował o wiele jaśniej niż inne. Rybaczka spojrzała w górę, prędko odszukała właściwą konstelację. Tak, bez wątpienia brakowało w niej jednej gwiazdy.

Tej gwiazdy.

Powoli i z uwagą Dobrosława nabrała wody do miedzianego kociołka tak, aby nie zmącić odbicia i ani na moment nie stracić z oczu drogiego światełka. A potem, ze wzrokiem przez cały czas utkwionym w naczyniu, pomału, krok za krokiem, wyszła na brzeg. Powiesiła kociołek na trójnogu nad ogniem, a sama uklękła obok.

Gdy woda zaczęła parować, Dobrosława roztarła nad nią pęk suszonych ziół, drugi wrzuciła w płomień. Wciąż nie odrywając spojrzenia od kawałka nieba zaczerpniętego z jeziora, wyjęła dziecko z kosza. Zaczęła krążyć wokół ogniska z córeczką w objęciach. Podążała krok w krok za zmiennym wiatrem, aby każdy ciepły podmuch owiewał buzię Skierki aromatyczną parą i ziołowym dymem. Tańcząc, śpiewała:

*Kiedy się duszyczka z ciałem rozłączyła,
Wzięła se dzbanuszek, poszła z nim na łączkę
Po zdrojową wódeczkę
Wody nie nabrała, rzewnie zapłakała.*

Woda zaszumiała, zawrzała gwałtownie, aż Dobrosława się przestraszyła, czy aby zaraz nie wykipi i nie zaleje ognia. Niebo

w kociołku zabulgotało i pobiełało od piany, a gwiazda córki zniknęła matce z oczu.

Teraz.

*Rzewnie płacze woda, dzban napętnia łzami
Łowi nic, co łączy biedną duszkę z nami
Wlewa w dzbanek gwiazdkę ze swej ciemnej toni
Duszka wraca w ciałko i skrzącą łzę roni.*

Naraz ukrop chlusnął z kociołka, z sykiem ugasił płomień. I tylko jedna jedyna iskra zdołała uciec z dymiącego żaru. Maleńki ognik w absolutnej ciszy wzleciał nad jezioro, niesiony wiatrem coraz dalej i dalej, aż błysnął niczym kryształ na czarnej tkaninie nieba, rozpalając na powrót miriady złotych gwiazd.

Wtedy milczenie nocy przerwał płacz dziecka, a potem niepowstrzymany kobiecy szloch.

*

Głęboka czerń nowiu zaczynała już płowieć, gdy Dobrosława zdołała w końcu oderwać oczy od wtulonej w nią Skierki. Nakarmiona, przewinięta, ukołysana w ramionach matki dziewczynka spała głęboko i spokojnie, posapując z rozkoszą. Blask ognia igrał w ciemnych kędziorkach złocistym pyłem, zalewał rumiane policzki bursztynowym miodem. Rybaczka musiała zaprząć całą siłę woli, żeby odłożyć miękkie, ciepłutkie, nareszcie żywe ciałko do wyściełanego kosza pod wierzbą.

– Tata nie mógł się ciebie doczekać – szepnęła, odgarniając dziecku kosmyk z czoła. – W noc twych narodzin chciał znaleźć dla

nas cudowny kwiat paproci. Piorunową gwiazdę, co zakwita na ziemi zamiast na niebie. Myślał, że życie z nim i tobą mi nie wystarczy, i pragnął zdobyć dla nas wszystkie skarby świata. Wybacz mi, córuś, bo to przeze mnie nie wiedział, że ja za żadne skarby nie chciałam go stracić. Komuś, kto kocha na zabój, trzeba mówić takie rzeczy, inaczej gotów jest naprawdę zginąć z miłości.

Poczuła, jak jej dłoń sama wędruje do zawieszanej u pasa sakiewki. Ścisnęła palcami ukryty w niej płaski, okrągły przedmiot. Niebawem miało zaświtać. Zostało mało czasu. Albo robi to teraz, albo nigdy.

– Zaraz do ciebie wrócę, isquierko. – Pocałowała córkę w pulchne policzki. – Zanim na dobre pogrzebię twojego ojca w jeziorze, muszę ujrzeć prawdę. A potem znajdziemy sobie nowy dom, za górami, za lasami, gdzieś bardzo daleko stąd.

Z tymi słowami podniosła się z klęczek, wyszła z kręgu ognia. Stała nad brzegiem szmerzącej cicho wody. Wyjęła z sakiewki lusterko z polerowanego metalu, niewiele większe od otwartej dłoni. Odwróciwszy się plecami do jeziora, zatopiła wzrok w jego odbiciu w zwierciadle, uważając, aby przypadkiem nie złowić własnego spojrzenia.

Niemal natychmiast usłyszała chlupot. Dostrzegła nagły ruch w szuwarach. Ze świstem wciągnęła powietrze na widok znajomej męskiej sylwetki, która wynurzyła się z wody i stanęła na brzegu. Tuż za nią, tak blisko, że czuła na karku jego gorący oddech. Popatrzyli na siebie w lustrze i pod Dobrosławą ugięły się nogi.

A jednak Wilkomir miał rację, przemknęło jej przez głowę.

– Radek? – szepnęła w połowie z nadzieją, a w połowie z trwogą. – To ty?

Odpowiedział dotykiem. Mocno objął ją w pasie, powiódł ustami po jej szyi, wciągając głęboko słodki zapach włosów. Jęknęła cicho, miękąc w jego ramionach jak roztopiony wosk.

– Radek – westchnęła z ulgą. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą także, moja gwiazdo – odpowiedział jej głos, a od jego brzmienia stanęło jej serce. – Nie mogę uwierzyć, jak łatwo dałaś się złowić.

Zdumiona ponownie zerknęła w lusterko, a twarz, którą ujrzała tuż obok własnej, była już inna, choć nadal znajoma. Dziki ogień w oczach pożerał ją żywcem. W źrenicach kipiała czerń niby w kotłach smoły.

Szarpnęła się z krzykiem, ale Wilkomir był znacznie silniejszy. Zakrył jej usta dłonią i zaśmiał się jak szaleniec, tak radowała go jej bezradność.

– Żrebiarka miała rację we wszystkim bez wyjątku – tchnął Dobrosławie wprost do ucha, parząc skórę oddechem. – A ty musisz mnie jednak chociaż troszkę kochać, skoro tak gładko przełknęłaś wszystkie moje kłamstwa.

Patrzyła na niego oczami schwytej sarny, a on napawał się tym widokiem, pochłaniał spojrzeniem jej pobladłą twarz.

– Jestem nieszczęściem, które ściągnął na ciebie mniszek z meteorytu – zamruczał, odurzony jej strachem. – W noc perunicy powiedziałem ci tylko jedną prawdę: nie byłem poławiaczem. Ale dzięki tobie właśnie się nim staję. Popatrz no.

Upuszczone w szamotaninie lusterko leżało na brzegu, odbijając niebo. Przez chwilę nie działo się nic, a potem ciemność nocy rozdarł nagi piorun, bez chmur, bez burzy, a nawet bez grzmotu.

Spłynął błyskawicą z najjaśniejszej z gwiazd i bezgłośnie zanurzył się w żelaznym zwierciadle.

Dobrosława zaszamotała się znowu i znowu na próżno.

– Teraz umrzesz, najmilsza – szepnął Wilkomir niemal czule, muskając wargami płatek jej ucha. – A twoja gwiazda wpadnie prościutko w metal, który widział twą twarz. Dusza po śmierci ciała przyciąga swój okruch nieba niczym światło ćmę, o ile nie pozwoli jej się odejść do Nawii. Bo widzisz, Dobrusiu, nie wystarczy unikać wzroku własnego odbicia, aby lustro wykute z mniszka nie skradło ci duszy. W takim zwierciadle najlepiej w ogóle się nie przeglądać. Ja to co innego. Ja swoją duszę zaprzedałem już dawno, po tym, jak jednym słowem wyrwałaś mi serce, i odtąd niczego więcej nie można mi skraść. – Powiódł palcami po jej włosach i szyi, a ogień w jego oczach zaczął dymić mrokiem. – Nie mogę uwierzyć, że dałaś się oszukać. Ty, córka Kanimira, wielkiego kowala, która tyle razy próbowała mi imponować tajemną wiedzą rudników. Która uważała się za mądrzejszą od wszystkich, a już zwłaszcza ode mnie. Dawna ty od razu by mnie przejrzała. Od razu by zrozumiała, że mój pożegnalny dar to pułapka. O tak, z miłości ludzie robią złe i głupie rzeczy. Jak ty. Jak ja. Jak twój żaloszny rybak. W pogoni za tą wersją prawdy, która uciszyłaby twoje sumienie, zaufałaś temu, kto już raz próbował zagarnąć cię tylko dla siebie. Wtedy mi się to nie udało. Ale od tamtej pory sporo się nauczyłem.

Zdjął rękę z warg kobiety, jak gdyby oczekiwał, że zacznie go błagać. I nie zawiódł się.

– Wilku... Proszę...

– Za późno, Dobrusiu. Teraz jesteś moja.

Wrzasnęła, próbując zaprzeć się nogami, zahaczyć palcami bosych stóp o korzenie wierzby, gdy kowal bez wysiłku powłókł ją do jeziora. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, były ogromne szalone oczy pełne diabelskich płomieni.

– Świetlana... – Ostatnim jej słowem było imię, jakie pragnęła nadać Skierce podczas wiankwin.

Wilkomir ponownie zamknął Dobrosławie usta, tym razem głodnym, zachłannym pocałunkiem.

– Pozdrów ode mnie Radomiła – wysyczał jej w twarz, parząc policzki kroplami wrzącej śliny.

I wepchnął ją pod wodę, brutalnie wcisnął w grząskie dno. Niemy piorun, który łączył gwiazdę na niebie z duszą w zwierciadle, zatętnił blaskiem, trysnął pióropuszcami oślepiających iskier. Ale Dobrosława nie mogła już tego widzieć.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała za życia, o ile nie uległa tylko przedśmiertnemu złudzeniu, był radosny pisk oraz śmiech małej Skierki.

A potem Radomił wziął żonę w ramiona i pociągnął za sobą w odwieczną toń.

*

Niebawem słuch zaginął o całej trójce.

O córce rudników, wdowie po rybaku, nieszczęsnej matce nieszczęsnej córeczki.

O dziewczynce podobnej do drewnianej kukiełki albo lalki z gałganków, co to nigdy nie zaczęła prawdziwie żyć i nie było wiadomo, czy mogła prawdziwie umrzeć.

Oraz o kowalu, który po zniknięciu wybranki, tej, co złamała mu serce, z dnia na dzień opuścił osadę w Lisiej Przełęczy, bo nic już go nie trzymało w tym kawałku świata.

Wieśniacy plotkowali, bazarze bajali, wiedzący jak zawsze wiedzieli swoje i nic nikomu nie chcieli powiedzieć. A z czasem, jak to bywa, prawie wszyscy zapomnieli i mało kto poznał koniec tej historii.

*

Tymczasem daleko, hen daleko od czerwonych rudaw oraz przytulonych do ich zboczy wiosek, za rwącymi rzekami i ciemnymi puszciami, do Palonki, małej górniczej osady otoczonej łańcuchem ośnieżonych grani, przybył młody kowal zwany Wilkomirem, owdowiały ojciec dziewczynki imieniem Skierka.

Jak przybył, tak został. Zamieszkał z córką w opuszczonej chacie na krańcu wsi, obok postawił warsztat, po drugiej stronie dymarkę i wraz z pierwszym uderzeniem młota o kowadło przestał być obcy, a stał się swój. Osada położona u podnóża bogatych w kruszce gór nieustannie ściągała rudników z najodleglejszych krain, więc żaden przybysz ani nikogo tu nie dziwił, ani też specjalnie nie interesował.

A jednak Wilkomir szybko zdobył powodzenie zarówno wśród klientów, jak i miejscowych kobiet. I o ile apetyt tych pierwszych zaspokajał z zapalem oraz kunsztem godnym mistrza, o tyle niewiasty musiały obejść się smakiem. Chociaż niejedna robiła do kowala maślane oczy i wpadała w odwiedziny pod byle pretekstem, ot, choćby po to, żeby pomóc przy dziecku, Wilkomir nie śpieszył się wcale do powtórnego ożenku.

Po latach wdowiec wciąż pozostawał wdowcem, a pólsierotka pólsierotką, w której wychowaniu pomagała cała rudnicza dolina. Górale żartowali nieraz, że Swaróg wykuł duszkę dziewczynki z żywego srebra, bo wszędzie jej było pełno, a buzia nie zamykała jej się ani na chwilę. W bystrej główce nieustannie rodziło się tyle dociekliwych pytań, że nagabywani co dnia kowale, hutnicy, górnicy i ludwisarze, od pomocników, przez czeladników, aż po samych majstrów, dla świętego spokoju pokazywali Skierce to i owo, byle tylko na chwilę zająć jej czymś myśli, żeby samemu móc popracować.

Tylko Wilkomir córki uczyć nie chciał i innym także tego zabraniał, co w zasadzie nikogo nie oburzało, bo przecież miejsce baby jest w domu, a nie w kopalni czy kuźni. Jednakże towarzystwo Skierki, acz na dłuższą metę stawało się nieznośne, w nieco mniejszych dawkach było na tyle zajmujące i miłe, że rudnicy z chęcią zamieniali z nią parę słów, mimochodem karmiąc ją wiedzą, której tak bardzo łaknęła. A głód jej umysłu zdawał się nie do zaspokojenia. Niejeden raz przyłapano dziewczynkę na podglądaniu rzemieślników przy pracy, a to z ciemnego zakamarka warsztatu, a to z belki pod powałą, a to spomiędzy kopających dymarek, lecz zamiast ją karać, wszyscy się tylko śmiali.

Wszyscy oprócz ojca.

Im była starsza, tym surowiej Wilkomir karał córkę za nieposłuszeństwo. Uważał bowiem od zawsze i uparcie się tego trzymał, że wiedza przeznaczona wyłącznie dla mężczyzn tylko dziewczynę ogłupia, robiąc z niej coraz marniejszy materiał na gospodynię. Tłukł zatem Skierce życiowe lekcje do głowy najpierw słowami, potem ciężką ręką – a ta nic. Jak grochem o ścianę. Mimo

siniaków i strachu przed ojcem nawet jego ciągle próbowała szpiegować.

Ale na próżno. Dziewczynie ani razu nie udało się podpatrzeć Wilkomira przy pracy. Znikał z chaty, gdy spała, wracał dopiero o zmierzchu. Rzadko zdarzało jej się obudzić, nim wyszedł, a wtedy jak na złość zostawał w domu i gonił ją do roboty. A chociaż nigdy nie widziała ojca w pobliżu kuźni, którą postawił przed laty nieopodal chałupy, Wilkomir uchodził za najbieglejszego w kowalskiej sztuce ze wszystkich rzemieślników w okolicy. Im częściej wychwalano jego wyroby, tym większa paliła Skierkę ciekawość, gdzie też ojciec przepadał na całe dni. I tym większy czuła do niego żal, że nie chciał nauczyć jej choćby odrobiny tego, w czym sam najwyraźniej celował.

*

Dopiero gdy śnieg czternaście razy zasypał przełęcz i czternaście razy zamarzyły górskie rzeki, boża iskra tłąca się w sercu kowalowej córki miała wreszcie okazję buchnąć silniejszym płomykiem. A stało się to wkrótce przed jej szesnastymi urodzinami, wszakże zazwyczaj to w tym szczególnym wieku dziewczętom w jakiś sposób naznaczonym przez los zaczynają przytrafiać się nadzwyczajne rzeczy.

Poprzedniego wieczora ojciec spuścił Skierce takie lanie za to, że znów od świtu do zmierzchu włóczyła się po kuźniach, skutkiem czego kowal nie zastał w domu ani ciepłej strawy, ani czystej przyodziewy, że teraz ledwo mogła ruszać obolałym ciałem. Posapując i pojękując, niemrawo tłukła kijanką w rozłożone na kamieniach koszule. Robota była ciężka, żmudna i nudna tak

przeraźliwie, że aż się w dziewczynie wszystko gotowało. Nawet spokojny szum wody, nawet chłodny górski wiatr nie były zdolne ostudzić jej gniewu.

Ani ukoić niepokoju, który tlił się w jej sercu od długiego już czasu, a wczorajszego wieczora rozgorzał ogniem zimniejszym od lodu.

*

Góry chorują, szeptali między sobą mieszkańcy Palonki. Spoglądali przy tym z lękiem na szczyty zasnute sinawą mgłą i czynili w ich stronę znaki odpędzające zło.

Nie chcą dawać rudy, ostrzegali górnicy, zasypując kolejny szyb na wiele następnych lat, ażeby złoża miały czas się odrodzić.

Ruda zubożała, powtarzali hutnicy, a hałdy żużlu wokół dymarek rzeczywiście były o wiele większe niż kopce drogocennej łupki.

Żelazo zmarniało, narzekali kowale, wsłuchani w jego fałszywy brzęk, wpatrzeni w gęsty, oleisty dym, który skapywał z rozżarzonego metalu wielkimi czarnymi kroplami. Łupka kruszy się i łamie pod młotem, odkuwki tępią się i rdzewieją, ledwo zdjęte z kowadła.

Gwiazdy nie chcą tu spadać, bili na trwogę łowcy niebiańskich metali. To dlatego ziemia tak szybko nam jałowuje.

Obraziliśmy rudawy, zawyrokowali wiedzący. Rozgniewaliśmy gwiazdy. Jesteśmy zbyt zachłanni. Za mało ofiar składamy skalnym duchom, nazbyt dotkliwie ranimy Matkę Ziemię. Musimy ich przebłagać, inaczej nigdy już nie zechcą rodić dla nas dobrego żelaza.

A wtedy przyjdzie nam porzucić ojcowiznę i szukać nowych złóż, lamentowali rudnicy. A co, jeżeli kupcy nie odnajdą naszych nowych wyrobisk? Co jeśli nie zechcą nadkładać drogi, aby do nas dotrzeć, i szlaki handlowe zupełnie ominą nasze kopalnie, dymarki i kuźnie? Z czego wtedy będziemy żyli?

Należy co rychlej sprowadzić źrebiarza, uradziła starszyzna, i jeszcze przed końcem wiecu wyprawiła poselstwo na drugą stronę Stalowych Sopli.

Skierka przemykała jak cień między warsztatami, wszędzie zaś łowiła strzępki ukradkowych rozmów, które mało co wyjaśniały, za to potwierdzały jej najgorsze obawy. Bo przecież i ona już dawno zauważyła, że z górami dzieje się coś niedobrego. Nawet w słoneczne dni zębate granie spowijał mrok. Wiatr wył i zawodził złowieszczo, dmąc w skalne szczeliny niby w ostrzegawcze rogi. Grunt u podnóży wzniesień dygotał coraz silniej, a jego stłumiony warkot przypominał grzmoty podziemnej nawałnicy.

Nikt nie chciał odpowiedzieć na żadne z tysiąca pytań, które kotłowały się w głowie dziewczyny, i zanim zdążyła sama zrozumieć, co dolega ich ukochanym rudawom, do Palonki wrócili posłowie.

A wraz z nimi przybyła mówczyni skał.

*

Przyczajona w zaroślach Skierka ostrożnie rozchyliła gałęzie kosodrzewiny. Zmierzchało już, więc trudno jej było cokolwiek dojrzeć, lecz po jakimś czasie wyłowiła z szarzyzny sylwetki ludzi zebranych u podnóża góry. Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, zaczęła rozpoznawać twarze. Byli tam wiedzący, członkowie starszyzny, mistrzowie cechowi oraz poszukiwacze gwiazd z wielu

okolicznych wiosek. Stali w kręgu nad wielką jamą ziejącą w ziemi przed wejściem do kopalni, a ciężkie milczenie, które wisiało między nimi, można było rąbać tępą siekierą.

Pozostałym mieszkańcom Palonki nakazano pozostać w domach i wznosić modły do Mokoszy, Peruna oraz Swaroga. Jednak Skierka poszłaby o każdy zakład, że nie ona jedna kryje się teraz po krzakach, żeby na własne oczy ujrzeć pradawny rytuał odprawiany nie częściej niż raz na pokolenie.

Przez wiele długich chwil działo się niewiele. Tylko ciemności gęstniały w ciszy, chmury sunęły po roziskrzonym niebie, coraz przenikliwsze zimno biło z czarnej gardzieli góry...

I naraz zza skalnego załomu dobiegło dzwonienie podkutych kopyt o kamień. Głośne, przeciągłe parsknięcie. Rytmiczny brzęk turlików. Jak gdyby czekając na ten znak, wiedzący kazali pachołkom rozpaść pochodnie.

Wkrótce spomiędzy głazów wyszła niewysoka postać w popielatej szacie, a tuż za nią wyłonił się biały koń. Gdy wkroczyli w krąg światła, Skierce z zachwytu zapało dech w piersi. Siwek był nieziemsko wręcz piękny, o nieskazitelnej maści i jedwabistej sierści, smukłej szyi oraz ślepiach jak zeszlony żużel, w których tańczyły złote refleksy ognia.

Obok tak wspaniałego rumaka kobieta wyglądała niczym grudka ziemi przy kwarcowym kwiecie. Drobna, krucha, z burzą zmierzwionych włosów opadających luźno na ramiona ukryte pod obszerną suknią. Kiedy jednak zbliżyła się do pochodni i można było lepiej przyjrzeć się jej twarzy, w głowie Skierki rozgorzała dziwna myśl, że zna skądś te sędziwe oczy w młodzieńczej twarzy, że nie

pierwszy raz widzi te gładkie policzki upstrzone runami czerwonymi jak krew.

Żelazna Klacz, przypomniała sobie nagle. To takim tytułem powitał ją jeden z wiedzących, gdy mówczyni skał przybyła do osady.

Żrebiarka nie weszła do kręgu, lecz powiodła ogiera w stronę wejścia do kopalni. Nie miał uzdy, szamanka nie prowadziła go nawet na rzemieniu. Po prostu szedł za nią krok w krok, z pyskiem tak blisko jej głowy, jak gdyby nieustannie coś do siebie szeptali.

W pewnej chwili koń wrył kopyta w ziemię, a kiedy Żelazna Klacz mimo to postępowała dalej, stanął dęba i zarżał, aż echo strąciło kamyki ze zboczy. Mówczyni skał uspokoiła rumaka dotykiem, czule pogłaskała go po chrapach, po szlachetnej szyi, przeczesała palcami lśniąca grzywę. A potem zerknęła w stronę zebranych. W milczeniu pokręciła głową. Rudnicy zaszemrali między sobą, wymieniając gorączkowe uwagi.

Skierka nadstawiła ucha. Ze skrawków zdań i pojedynczych słów zrozumiała tyle, że skoro koń nie chciał udać się z poselstwem w głąb ziemi, to tocząca góry zaraza była o wiele gorsza, niż przypuszczano.

Dopiero teraz żrebiarka wprowadziła siwka do kręgu. Bez protestów podszedł za nią do samej krawędzi jamy. Podniósłszy łeb, przez długi czas zdawał się podziwiać migoczące gwiazdy, szamanka zaś zaczęła tańczyć. Dzwoniła amuletami i janczarami, zawodziła błagalne pieśni, kadzidlany dymem rysowała w powietrzu święte runy. Zwierzę trwało w bezruchu jak zaklęte, podczas gdy kobieta wirowała wokół niego coraz pręcej i pręcej, aż rozmazała się w szarą, hałaśliwą smugę.

Skamieniała nagle tuż przed rumakiem. Śpiew zamarł jej na ustach, ucichły amulety. Koń wyczytał chyba z ciał niebieskich, jaki czeka go los, bo ukląkł przed źrebiarką, pochylił białą głowę. Żelazna Klacz złożyła na jego czole długi pocałunek. A potem przyjęła od starszego wielką bryłę żużlu i jednym uderzeniem roztrzaskała siwkowi czaszkę.

Skierka musiała zakryć usta dłońmi, żeby zdusić okrzyk, ale koń nawet nie kwiknął. Bryznęła krew, grunt zadygotał pod padającym ciałem. Przez jakiś czas siwek wierzgał konwulsyjnie, zrywając kopytami darń, błyskając białkami spod trzepoczących powiek. W końcu znieruchomiał. Cały zdawał się syczeć i dymić niczym meteoryt stygnący w mokrej ziemi.

Źrebiarka pochyliła się, umoczyła palce w kałuży krwi. Płynnymi ruchami wymieszała czerwień z odpryskami żużlu, po czym naznaczyła nią czoło konia, a następnie własne.

Skierka nie była pewna, czy to opowieści wioskowych babek zanadto pobudziły jej wyobraźnię, czy może podziałał tak na nią dym z szamańskich kadzideł, ale w pewnym momencie zobaczyła, jak powalony źrebiec dźwiga się na nogi, a Żelazna Klacz wskakuje mu na grzbiet, jak oboje wznoszą się galopem aż pod rozgwieżdżone niebo.

Dziewczyna mrugnęła i wizja znikła.

Pachołkowie starannie zbierali nasiąkniętą krwią ziemię do garnców oraz mis, aby zakopać je potem przy pozostałych wyrobiskach. Jeden przyniósł topór i oparłszy się na stylisku, czekał na znak od mówczyni, żeby odrąbać koniowi łeb. Źrebiarka nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Wciąż stała w kręgu z zadartą głową, wciąż wodziła oczami za białym rumakiem, który niósł na

swym grzbiecie modlitwy i błagania od kowali na ziemi do kowali w niebie.

Wszyscy zgromadzeni, łącznie ze Skierką, wpatrywali się w nią jak zaczarowani, próbując wyczytać coś z jej kamiennego oblicza. Drgnęli odruchowo, gdy w końcu opuściła wzrok. Powiodła nim powoli po twarzach obecnych. I po raz drugi bez słowa potrząsnęła głową.

Zrozumieli natychmiast.

Pachołek odłożył bezużyteczny topór i pomógł pozostałym zepchnąć truchło do dołu. Zebrani zaczęli dyskutować z ożywieniem, przekrzykując się nawzajem i wymachując rękami.

Gwiazdy nie przyjęły posłańca. Skały nie przyjęły krwi. Koń, którego nie wysłuchało niebo, nie mógł zostać opiekunem ziemi. Boskie żelazo nadal nie będzie tu spadać i zapładniać kamiennego łona.

Biada góróm, zaszemrali ze zgrozą rudnicy. Biada nam i dzieciom naszym.

Skierka zobaczyła jeszcze, jak Żelazna Klacz ze łzami na policzkach kładzie pierwszy kamień na kurhanie siwka, po czym bezszelestnie wycofała się w las.

*

Zmęczona dziewczyna przerwała pracę. Wyprostowała się z jękiem, przetarła spocone czoło. Jej myśli nadal krążyły wokół wczorajszego rytuału i była nimi tak pochłonięta, że w pierwszej chwili jej umysł nie zarejestrował tego, na co patrzyły oczy. Dopiero później niecodzienny widok na dobre wyrwał ją z zadumy. Wśród kaskad, wodospadów i spienionych wirów dostrzegła bowiem maleńką

łódeczkę z kory. Nie byłoby w niej niczego niezwykłego, gdyby nie to, że płynęła pod prąd. Sunęła w górę strumienia, dzielnie walcząc z nurtem, jak gdyby ktoś ciągnął ją na powrozie. Ale żadnego powroza nie było. Za to w dłubance nie większej niż liść leżało coś drobnego i błyszczącego w słońcu.

Zaintrygowana Skierka w mig porzuciła kijankę oraz ojcowskie koszule. Wystarczyło, że przeskoczyła z jednego kamienia na drugi, a na dobre zapomniała, po co przyszła nad wodę i co ją czeka, jeśli nie wróci w porę z praniem do domu. W kilku susach dotarła na środek strumienia. Przykucnęła na krawędzi głązu, pochyliła się nisko i wyciągnęła rękę, gotowa zaryzykować kąpiel w lodowatej wodzie, byle tylko dosięgnąć czarodziejskiej łódki. Bo to przecież musiały być jakieś czary.

Ku jej zdumieniu żadne akrobacje nie były wcale potrzebne, gdyż zaklęty kawałek kory gładko dopłynął do kamienia, na którym czekała. Zatrzymał się nagle, za nic sobie mając szarpiący nim nurt. Dopiero kiedy Skierka spróbowała jej dotknąć, łódka pomknęła dalej. I zastygła ponownie. Podrygiwała w miejscu na falach jak spławik, gdy ryba chwyta przynętę.

W imię przygody córka kowala była gotowa zostać tą rybą.

Ruszyła po śliskich kamieniach, ale dłubanka znów przed nią umknęła. I znów dopłynęła niedaleko. Czekwała cierpliwie, aż dziewczyna za nią podąży. Prowadziła ją w górę bystrej rzeczki, najpierw przez kwietne łąki, a potem ciemnym lasem. Wędrówka trwała godzinę, może ciut dłużej. Wreszcie łódeczka stanęła na dobre i pozwoliła Skierce się zbliżyć. Dopiero teraz, gdy mogła lepiej się przyjrzeć, rozpoznała drobny przedmiot w zagłębieniu wydrążonym w korze.

To była igła. Gruba i długa, jarząca się zimnym światłem niby odprysk zamarznętej błyskawicy.

Gdy tylko Skierka wyciągnęła po nią rękę, łódeczka gwałtownie podpłynęła do przeciwległego brzegu, a ostry czubek igły błysnął jeszcze jaśniej. Dziewczyna spojrzała w kierunku, który wskazywał, a wtedy zobaczyła, usłyszała i poczuła, pojmując wszystko w jednej krótkiej chwili.

Smuga ciemnego dymu nad wierzchołkami sosen.

Rytmiczne podzwanianie kowalskiego młota.

Woń rozgrzanych węgla i przetapianej rudy.

Nie było wątpliwości, że za tymi drzewami znajdował się warsztat kowalski. Nie było też wątpliwości, do kogo należał.

Zerknęła na łódkę i zdziwiła się, że wcześniej nie zauważyła, w jak złym była stanie. Poczerniała od wilgoci, zbutwiała i przegniła, wyglądała, jak gdyby zaraz miała się rozlecieć. Powodowana odruchem Skierka chwyciła igłę, a w chwili, gdy uniosła ją z pokładu, kora obróciła się w garść spleśniałych wiórów, które natychmiast porwał wartki nurt.

Dziewczyna wpięła igłę w rękaw i przeszła na drugi brzeg po powalonym pniu. Dotarła na skraj lasu, gdzie przycupnąwszy między brzożami, długo obserwowała sekretną pracownię ojca na rozległej polanie, z dymarką po jednej, a mielerzem po drugiej stronie warsztatu. Gratulując sobie w duchu, że nie od razu opuściła kryjówkę, patrzyła z zarośli, jak Wilkomir wychodzi z kuźni, zamyka wrota na kłódkę większą od swej ogromnej pięści, po czym rusza ścieżką i znika między drzewami.

Chociaż ciekawość pochłaniała ją żywcem, Skierka odczekała jeszcze dobrą chwilę, zanim odważyła się podejść do zabudowań.

Była mniej więcej w połowie drogi, gdy serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, bo naraz z kuźni dobiegły ją miarowe uderzenia młota. Dziewczyna najpierw znieruchomiała, potem obejrzała się na dopiero co opuszczone zarośla, wreszcie zgięta wpół, cichcem podbiegła pod ścianę. Zaczęła uważnie przepatrywać deski, lecz nie znalazła dość szerokiej szpary, żadnego pęknięcia czy dziury po sęku, przez które mogłaby zajrzeć do środka.

Znalazła za to coś o wiele lepszego. Drewno nieoczekiwanie drgnęło jej pod palcami, skrzypnęło obiecująco. Skierka odchyliła obluzowaną deskę, lecz ujrzała jedynie czarną od dymu i smoły bryłę pieca, a także blask ognia tańczący pod powalą z chmurą dymu i iskier.

Niewiele myśląc, wślizgnęła się do kuźni. Po chwili ostrożnie wychynęła zza pieca.

Na szczęście widok, jaki ukazał się jej oczom, zaparł Skierce dech w ściśniętej nagle piersi, w przeciwnym razie dziewczyna niechybnie krzyknęłaby z grozy, podziwu oraz dziwnej, nieposkromionej radości.

Bo oto przy czarnym kowadle, na tle czerwonych węgla stała olśniewająca cud-żar-kobieta. Ciało miała splecione z trzeszczących płomieni, włosy skrzyły się i syczały jak ogon komety, oczy pałały rubinowym blaskiem. Ale to nie wygląd nieziemskiej istoty tak oczarował Skierkę, że aż zaniemówiła chyba po raz pierwszy w życiu, a czysty niczym kryształ, dzwoniący w uszach dźwięk, jaki wydawał kowalski młot w dłoni nieznajomej.

Ośłupienie dziewczyny nie trwało jednak długo. Paląca ciekawość, gorąca głowa i niewyparzony język wnet wzięły w niej górę. Nim zdążyła pomyśleć, wyskoczyła z ukrycia.

– Ty jesteś aitwarem! – zawołała z zachwytem. – Żarką, raraszkim!

Cudowna żar-panna uniosła złotą głowę.

– A ty to kto? – spytała głosem śpiewnym jak stalowe ostrze tnące górski wiatr.

– Świetlana, córka Wilkomira. Ale wszyscy wołają na mnie Skierka.

Dziewczyna podbiegła bliżej, za to istota gwałtownie odstała od kowadła. Żar w jej oczach przygasł i zadymił złowrogo.

– Pomiot poławiacza – syknęła, a z jej ust buchnęły języczki ognia. – Proszę, proszę. Nie sądziłam, że ten demon jest w stanie spłodzić cokolwiek miłego dla oka.

– Poławiacz? – zdziwiła się Skierka. – Demon? Mój ojciec nie...

– Nie jest diabłem wcielonym? – wpadła jej w słowo żarka, wymownie taksując dorodnego siniaka pod okiem dziewczyny. – Nie jest złym człowiekiem?

Każda cząstka Skierkowego istnienia pamiętała wczorajszy wieczór równie dobrze jak każdy dzień każdego roku, kiedy Wilkomir trzymał ją żelazną ręką, jak sam lubił to nazywać, a tak naprawdę po prostaku bił i kpił. Nie odpowiedziała, bo i nie było potrzeby.

– A ty masz jakieś imię? – szybko zmieniła temat.

– Nie. To, które mi tu nadano, nie należy do mnie, a mego prawdziwego nie zdołasz wymówić.

– No to od teraz będziesz dla mnie Krasną.

Żarka skrzywiła się lekko, lecz nie protestowała.

– Co tu robisz? – Ze wszystkich szalejących jej w głowie pytań dziewczyna na pierwszy ogień rzuciła najoczywistsze.

Krasna parsknęła popiołem.

– A jak ci się zdaje? Kto wykuwa te cuda, którymi handluje demon zwany przez ciebie ojcem? Odkąd mnie złowił, sam nie kiwnął palcem.

– Złowił?

Cud-kobieta ściągnęła usta w wąski, blady płomyk, a jej mieniące się barwami jesieni tęczówki z jasnego bursztynu przeszły w ciemny szkarłat.

– Rozpoznałaś aitwara na pierwszy rzut oka, a nie wiesz, z czego się rodzimy?

– Ze spadających gwiazd – odparła natychmiast Skierka i z miejsca nabrała rozpędu. – Za każdym razem, gdy ktoś z nas umiera, jego gwiazda przemienia się w płonące jajo, a z niego wykluwa się aitwar, przepiękny ognisty ptak. Tuż po wylęgu nie umie jeszcze latać, więc spada z nieboskłonu i rozbija się o ziemię, trawiąc płomieniami wszystko dookoła. Jeśli przeżyje i ktoś go przygarnie, przynosi znalazcy szczęście oraz bogactwo. Jeśli zginie, zamienia się w bryłkę żelaza zwaną meteorytem, i taki kawałek niebios również przynosi pomyślność. Jeśli zaś nikt go nie odnajdzie, zamknięty w metalu aitwar wnika w głąb skały i zapładnia ją kruszcem. A wkrótce jak z ziarna wyrasta z niego podziemne drzewo z żelaza, co rośnie korzeniami ku niebu, koroną zaś do dołu, a gałęzie zamiast liści wypuszczają grudki rudy...

– Czyli jednak wiesz – przerwała Krasna, teraz już w widoczny sposób zaciekawiona rozmową. – Więc jak mnie rozpoznałaś? W tej postaci nijak nie przypominam ptaka – zauważyła, iście po ptasiemu przekrzywiając głowę. A potem poruszyła stopą i Skierka dopiero teraz spostrzegła czarne jak noc kajdany na rdzawozłoty kostkach. – Twój ojciec o to zadbał.

– Po co cię uwięził? – odparła pytaniem dziewczyna, nie kryjąc zdumienia. – Przecież aitwary chętnie odwdzięczają się temu, kto je odchowwał...

– Chyba że zbyt dobrze pamiętają śmierć, która strąciła je z nieba.

Żarka powiedziała to takim głosem, że chociaż w kuźni było gorąco jak w piecu, Skierkę przeszedł dreszcz.

– Chcesz powiedzieć, że mój ojciec... Że ktoś przez niego... Że on kogoś...

– Zabił. Tak, to jedyne wyjaśnienie. Żar-ptaki nigdy nie służą mordercom. Do tego trzeba je zmusić.

– Kto to był? – wydusiła dziewczyna, na co Krasna tylko rozłożyła ręce. – Jak to? Nie wiesz, komu przyświecałaś z nieba?

– Niewiele pamiętam z życia tej ludzkiej duszy. – Aitwar wymownie zabrzączał łańcuchami. – Przeklęty metal tłumi moje wspomnienia i dławi moc.

Skierka zadumała się głęboko, bezwiednymi ruchami głaszcząc kowadło niby wielkiego kocura ze stali.

– No więc skąd wiedziałaś, czym jestem? – spytała znów żarka.

Dziewczyna zastanawiała się chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Poczułam to... jakoś. Gdzieś tam w środku.

– Jakoś gdzieś tam w środku – powtórzyła z przekąsem Krasna, mrużąc oczy w pełgające szparki. – Nie masz przypadkiem przy sobie meteorytu? Gwiazda zawsze rozpozna gwiazdę.

– Nie – westchnęła Skierka z takim żalem, że na ustach aitwara zatlił się ciepły uśmiech.

– A jak tu trafiłaś? Przez czternaście lat nie widywałam nikogo poza Wilkomirem. Zakopał w ziemi łańcuch z zaklętego żelaza, żeby zablokować innym dostęp do tej polany.

Skierka ponownie wzruszyła ramionami, a w jej oczach błysnęły figlarne ogniki.

– Rzeki nie mógł zatrzymać.

– Ach! – Żarka klasnęła w dłonie, aż na moment przygasły. – No oczywiście! Żywa woda przełamie każdą diabelską magię... Sama na to wpadłaś?

– Nie. – Dziewczyna sięgnęła do rękawa sukienki. – Ona mnie tu przywiodła – to mówiąc, wcisnęła żar-kobiecie igłę do ręki.

Krasna zachłysnęła się własnym oddechem. Migotliwy blask zastygł na jej skórze, jak gdyby całą ognistą istotę nagle ściał lód. Po policzkach aitwara spłynęły łzy czarne jak sadza, zmieniając się z sykiem w kwiaty gęstej pary.

– Niebiańskie żelazo zawsze powraca do źródła... – szepnęła żarka. I naraz porwała oszołomioną dziewczynę w ramiona. – Skierko... Och, Skierko, córeczko!

Skierka zeszywniała. W głowie jej zahuczało, oczy zrobiły się wielkie jak szyby kopalni.

– Czy ty... – wydusiła, nie mogąc chwycić żadnej z rozbieganych myśli ani znaleźć słów. – Czy ty to...

– Nie. Jestem tylko jej gwiazdą. – Krasna odsunęła ją na długość ramion, po czym zaczęła mówić szybko, nieskładnie i niezbyt wyraźnie, jak gdyby musiała wyrzucić z siebie odzyskane wspomnienia, zanim ulotnią się niczym dym. – Gwiazdą twojej matki zamordowanej przez człowieka, którego nazywasz ojcem. Twój prawdziwy ojciec był rybakiem. Na imię miał Radomił. Na

krótko zanim przyszedł na świat, Wilkomir zwabił go do warsztatu swego ówczesnego mistrza. Wiedział, że zgromadzone tam mniszki nakłonią Radomiła do kradzieży jednego z nich, a wtedy...

– Mój ojciec zginie – dokończyła Skierka przygaszonym głosem. Zagryzła zęby, zacisnęła dłonie, pod powiekami zapiekły ją łzy wściekłości i bólu. – Wilkomir skradł także i jego gwiazdę? – Rozejrzała się odruchowo, jakby spodziewała się ujrzeć gdzieś drugiego aitwara.

– Nie. Próbowałam, lecz przepadła w jeziorze razem z twoją.

– Moją? Ale ja...

– Nie teraz, dziecko, nie mamy czasu, Wilkomir niebawem powróci, nie może cię tu zastać! Uciekaj. Nie, nie do domu. Uciekaj z wioski, uciekaj z doliny, za siedem gór i siedem rzek, zanim ten diabeł wyrządzi ci krzywdę, jakiej nie uleczą okłady z octu ani ziołowe napary.

– Nie... Nie ma mowy! Dopiero cię odnalazłam!

– Ale ja nie jestem...

– Nie dbam o to!

– Skierko...

– Nie!

– Jestem zaledwie okruchem jej istnienia...

– I wszystkim, co z niej pozostało – dokończyła dziewczyna twardo. – Wszystkim, co mam. Bez ciebie nigdzie się stąd nie ruszę. Zapomnij.

– Nie wolno ci tu zostać, a ja nie mogę odejść. – Krasna zadzwoniła czarnymi kajdanami. – Sama ich nie otworzę.

– Ja to zrobię. Powiedz mi tylko jak.

– Dziecko, to nie takie proste. Jedynie ktoś, kto osiągnął mistrzostwo w kowalskim rzemiośle, mógłby...

– Naucz mnie zatem.

– Co?

– Zostań moją mistrzynią.

Ogniste brwi powędrowały w górę, usta drgnęły w zapowiedzi pobłażliwego uśmiechu, lecz już po chwili żar-kobieta w zadumie kiwała złotą głową.

– Twoja matka zawsze tego pragnęła – powiedziała półgłosem, zaglądając gdzieś w głąb siebie. – Dla was obu. Jeśli ja, jej własna gwiazda, nie spełnię teraz jedyne go życzenia, jakie kiedykolwiek miała, jeśli pošlę cię w świat bez wiedzy, bez fachu, do końca życia będziesz skazana na łaskę i niełaskę jakiegoś nowego pana i władcy...

– Chcę tego samego co ona. – Skierka splotła ramiona, hardo zadarła podbródek. – Chcę być kowalem własnego losu. Chcę wiedzieć o żelazie to co ty.

– Ja wiem wszystko – odparła Krasna tonem przestrogi. – O wszystkich metalach na niebie i ziemi.

– Tym lepiej. Znaczy dla mnie. Tobie już współczuję.

– Czego?

– Ty masz całą wiedzę, a ja wszystkie pytania.

Śmiech aitwara brzmiał jak huk pożaru po miesiącach suszy.

– Dobrze więc. Zaczniemy niebawem – zakomenderowała żarka. – Odtąd w każdą bezchmurną noc spoglądaj w niebo i czekaj na znak. Jeśli twoja gwiazda zamruga trzy razy, rankiem możesz przybyć na naukę.

– Wilkomir nas nie nakryje?

Po twarzy Krasnej przemknął chytry uśmiech.

– Zdołał stłumić moje moce – wysyczała, smużąc czernią z kącików ust – więc skały ani metale nie mogą go dla mnie śledzić, ale nauczyłam się rozpoznawać, kiedy diabeł wybiera się na kolejną wyprawę w góry. Po czternastu latach czytam w nim jak niegdyś czytałam w gwiazdach. A skoro już o tym mowa, czy wiesz, która gwiazda na niebie jest twoja?

Skierka z niejakim zakłopotaniem pokręciła głową.

– Igła ci ją wskaże, tak jak niegdyś wskazała ją twojej matce. Oto pierwsza lekcja: wyteż dobrze umysł i pamięć, bo czasu mamy mało, więc nie będę powtarzać. O zmierzchu, gdy sklepienie rozbłyśnie niebieskimi iskrami, zaczerpnij wody do wiadra, najlepiej z żywego źródła, weź dębowy liść lub kawałek kory, najlepiej z wierzby niedawno trafionej piorunem...

*

Tego wieczoru Skierka po raz ostatni wróciła do chaty Wilkomira. Spakowała kilka rzeczy do skromnego tobołka, a potem cichaczem wyniosła się ze wsi.

Pomieszkiwała odtąd gdzie popadło. W górskich jaskiniach i leśnych jamach, w pasterskich bacówkach i cudzych stodołach, w starym, opuszczonym młynie lub własnoręcznie stawianych szałasach. A czasem nawet pod gołym niebem. I wszędzie było jej lepiej niż w domu.

Czekając na lato oraz leśne owoce, łowiła ryby, zdierała świeżą korę z brzoźek oraz lip, zbierała żołądź, lebiodę, kłącza tataraku, pączki stokrotek, młode pokrzywy, pędy sosen, świerków i trzcin.

A wszystko to smakowało tak, jakby spadło z nieba specjalnie dla niej.

Termin u kowala zazwyczaj trwał latami, zanim czeladnik mógł choćby zamarzyć o przyjęciu do cechu. Ale cud-żar-kobieta nie była przecież zwyczajną mistrzynią ani córka rybaków zwyczajną adeptką.

Księżyc umarł i odrodził się zaledwie parę razy, a Skierka знаła już każdy metal i każdą skałę, wszystkie okruchy kosmosu zsyłane prosto z gwiazd oraz wydawane na świat przez górskie łona. Nosila w pamięci mapę konstelacji, tych na ciemnym niebie i tych głęboko w ziemi. Odróżniała błyski błędnych ogników, błędnic, świetli czy świeciorzy od płomienistych wietrunków, które pełgały w skalnych szczelinach i wskazywały złoża bezcennego kruszcu. Wykonała swój pierwszy kowalski młot, zamawiając stal magicznymi formułami, żeby ciężki obuch dał się bez trudu unieść jej dziewczęcej ręce. Wydobywała spod darni rudę, kruszyła siekierką jasnobrazowe bryły na jak najdrobniejsze grudki, po czym wytapiała z nich żelazo w samodzielnie postawionych dymarkach. Przepalała w mielerzach drewno na węgiel. Wykuwała z żelaza rozmaite cuda, od nierozzerwalnych łańcuchów czy podków na szczęście po lusterka, co mamia, kłódki, co złe moce blokują, dzwonki, co wszelkie plugastwa przepędzą, oraz ostrza, co przekłuć potrafią zarówno ciało, jak i ducha.

Aitwar początkowo skąpił dziewczynie pochwał, z czasem jednak w jego oczach coraz częściej pojawiał się błysk aprobaty. Aż w końcu Skierka usłyszała słowa, od których o mało nie wyrosły jej skrzydła:

– Masz żelazo we krwi, dziewczyno.

I całkiem możliwe, że zakończyłaby naukę dużo, dużo wcześniej, gdyby nie to, że z górami było coraz gorzej. Ziemia raz po raz trzęsła się w posadach, zawałała kopalniane tunele i szyby, blokowała górskie szlaki lawinami głazów, a żyły rudy wnikały w głąb skał, jak gdyby próbowały uciec przed zarazą aż do korzeni Drzewa Świata.

Pewnego dnia mistrzyni miała właśnie zademonstrować, jak przyczernić stal, zanurzając rozgrzaną do czerwoności w ługu lub we wrzącym oleju, gdy nagle zastygła w pół ruchu, urwała w pół słowa. Po chwili ogień w palenisku zgasł ze wściekłym szumem niczym zalany wodą, a gdzieś spod ziemi dobiegł ryk, od którego zadrżał cały las.

– Zostało nam mało czasu – oznajmiła żar-matka do swej skracórki. – Góry umierają. Wkrótce nie zostanie w nich ani odrobiny kruszcu, a do dalszej nauki darniowa ruda nam nie wystarczy.

– Wilkomir ma aż nadto żelaza. – Skierka wskazała na okazały kopiec łupki pod ścianą. – Zagląda tu tak rzadko, że nawet nie zauważy.

– Albo zauważy właśnie dlatego.

Dziewczyna niefrasobliwie wzruszyła ramionami.

– Igrasz z ogniem – ostrzegła ją żarka z cieniem uśmiechu i spoważniała natychmiast, bo grunt ponownie zadygotał im pod stopami.

– Słyszałam, że starsi posłali po kolejnego mówcę skał – powiedziała Skierka. – Jak dotąd żaden nie zdołał przebłagać gwiazd, a nasi wiedzący...

– A wasi wiedzący jak zwykle niczego nie wiedzą. – Szydarczy śmiech aitwara brzmiał jak dopalające się zgliszczka. – Bo pewnie wciąż nie mają pojęcia, co dolega góróm, prawda?

– A ty masz?

– Może bym i miała, gdyby nie to. – Żarka wymownie zadzwoniła łańcuchami. – Słyszę głosy skał, lecz nie rozróżniam słów. Wiem tylko, że cierpią. I nie sądzę, żeby jakikolwiek mówca zdołał je przekonać do rodzenia żelaza.

– We wsi powiadają – podchwyciła Skierka – że na dzień Lodowego Kotła ma stanąć wielki dzwon odlany z przetopionych odłamków nieba. Zbierają je już ponoć po całej okolicy. Mówią, że jedno uderzenie serca z meteorytu wystarczy, żeby uzdrowić góry, bo z Lodowego Kotła dźwięk poniesie się na wszystkie strony świata i...

Krasna nie rzekła słowa, tylko zacisnęła usta, ale to wystarczyło, żeby zbić dziewczynę z pantałyku.

– No przecież sama dopiero co uczyłaś mnie o magicznych mocach żelaza! – zachnęła się adeptka i nie dając mistrzyni dojść do słowa, zaczęła wymieniać jednym tchem: – Ostrość chroni przed złem i chorobą. Twardość i wytrzymałość blokuje czary. Lustrzane odbicie zamracza umysł i kradnie duszę. A brzęk żelaznych przedmiotów przepędza każde plugastwo...

– Pod warunkiem że żelazo, z którego zostały wykute, samo zawiera w sobie odrobinę tego plugastwa – dokończyła żarka. – Żeby dzwon rzeczywiście uzdrowił góry, trzeba by go odlać nie tylko z meteorytów, lecz także z choroby. No a skoro wiedzący, jak na wiedzących przystało, nie wiedzą, na co umiera wasza ziemia... – Krasna nie dokończyła. Nie musiała. Machnęła ręką, ucinając temat, po czym wskazała dymiące palenisko. – A teraz bądź tak dobra i rozpal ogień, zanim olej całkiem nam wystygnie.

Przeminęła wiosna, przeminęło lato, aż wreszcie u progu jesiennej słoty Krasna uznała, że nauczyła Skierkę wszystkiego, co ludzki umysł był w stanie pomieścić, a ludzkie ciało wytrzymać. To zaś oznaczało, że nadszedł wreszcie czas na ostatnią lekcję oraz ostatnie zadanie.

Skierka spakowała tobołek, przywdziała ciepły kożuch i solidnie podkute buty, po czym wyruszyła w góry. Długo przemierzała strome zbocza w poszukiwaniu miejsca, gdzie uderzył grom, a ogień niebieski przepalił litą skałę. Piorunowa strzałka, piorunowiec, Perunowe szkło lub skamieniały piorun – różnie nazywano ów podobny do korzenia, nieforemny twór. Z wierzchu popielaty i szorstki od stopionych ziarenek piasku, wewnątrz zaś wypełniony gładkim, przejrzystym krzemionkowym szkliwem. Strzałki były niezwykle rzadkie, dziewczyna zaś potrzebowała nie jednej, lecz dwóch. I to nie byle jakich. Obie musiały zrodzić się przed laty, pierwsza z pioruna, który naznaczył ziemię w noc śmierci jej ojca, druga zaś – w noc śmierci matki.

Aby odnaleźć drogocenne burzowe szkiełka, Skierka nasyciła igłę czarcią magią kajdan więźących aitwara.

– Wilkomir wykuł te więzy z tego samego mniszka, który pociągnął Radomiła na dno jeziora, a duszę Dobrosławy zamknął w zwierciadle – wyjaśniła Krasna. – Aura czarciego żelaza doprowadzi cię do piorunowców, ale jednocześnie zrobi, co w jej mocy, żebyś wróciła z pustymi rękami.

Ostrzeżenia mistrzyni jak zawsze okazały się słuszne. Gdy tylko Skierka wpięła igłę z powrotem w rękaw koszuli, natychmiast poczuła, że duszę ma zbrukaną, a ciało słabe i chore. Przez całą wędrówkę nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest od stóp do głów

oblepiona brudem, którego nic już nie zmyje. Który wnika pod skórę niczym plugastwo w ziemię, zatruwa krew jak ono rudę, oplata serce pajęczyną martwicy.

Pierwszą strzałkę znalazła na brzegu górskiego stawu i od tego momentu było już tylko gorzej. Magia żelaznych demonów pobrzmiwająca w igle wyczuła bliskość wrogiej im mocy i zaczęła omamiać dziewczynę podszeptami o porzuceniu zadania, terminu, Krasnej, wszystkiego.

Ale natarczywe szarpnięcia za rękaw koszuli oraz użądlenia zimnego metalu w skórę nadgarstka raz po raz przypominały Skierce, z jakiego powodu wyruszyła w drogę i czemu jeszcze nie może zawrócić. Dotarłszy na szczyt Mroźnego Wierchu, nie pamiętała co prawda własnego imienia i nie miała pojęcia, gdzie właściwie jest, wiedziała jednak, po co przybyła. Oczy łzawiły jej od gorączki, skronie ścisnęło imadło tępego bólu, ramiona miała odlane z ołowiu, a mimo to uparcie rozgarniała śnieg skostniałymi dłońmi, dopóki nie natrafiła na ciepłą, nieregularną chropowatość.

Z trudem przywołując słowa mistrzyni z gęstej jak śmietana mgły, w którą zamienił się jej umysł, dziewczyna wydobyła z tobołka drugie burzowe szkielecko, wyjęła igłę z rękawa. Zarysowała ostrym czubkiem najpierw jedną strzałkę, potem drugą, jak gdyby uderzała krzesiwem o krzemień. Spowita mrocznym cieniem meteorytowa drzazga zawibrowała w jej palcach, zadzwoniła przenikliwie jak naprężony drut. Z igielnego ucha poszedł siwy dym. Z czubka strzeliły iskry czarne i zimne niczym agaty. Plugawa aura ugrzęzła na moment w wieczornej mgle, lecz zaraz rozgonił ją halny wiatr. A wycieńczona Skierka padła na śnieg.

Po jakimś czasie ocuciło ją kłujące zimno i ukąszenia igły. Wygrzebała spod puchu trochę wilgotnych gałęzi, po czym wpełzła do pierwszej napotkanej groty. Kuląc się przy małym ognisku, przeżuła kawałek suszonej ryby, wypła trochę naparu z kwiatu lipy i brzozy kory. Nawet nie zauważyła, kiedy zapadła w kamienny sen.

Gdy nazajutrz wieczorem zeszła z gór, okazało się, że błąkała się w gorączce po zasypanych pierwszym śniegiem zboczach o wiele dłużej, niż przypuszczała. Mniszkowa magia całkiem wypaczała poczucie czasu, bo Skierka mogłaby przysiąc, że wyprawa zajęła jej najwyżej trzy dni, a wróciła do diablej kuźni oraz żar-mistrzynie dopiero po tygodniu.

Krasna poderwała miedzianą głowę znad kowadła, gdy skrzypnęła poluzowana deska w ścianie.

– No jesteś nareszcie! – ucieszyła się. – Bo już się zaczynałam martwić, że ty poszłaś w góry, a nauka w las.

Dziewczyna stanęła przed żarką. Bez słowa wyjęła z tobołka dwa piorunowe szkiełka i z satysfakcją patrzyła, jak oczy airtwara rozjarzają się nagle niczym kryształy w słońcu.

– Jesteś gotowa? – Adeptka z przekorą rzuciła pytanie, które do tej pory nieustannie zadawała jej mistrzyni.

Krasna nie powiedziała nic. Rozpłynęła się cała w płomiennym uśmiechu zdolnym spopielić świat.

*

Tym razem było inaczej niż zwykle.

Mistrzynie milczała i niczego nie demonstrowała, adepthka zaś słuchała wyłącznie własnych myśli, przeczesując wspomnienia oraz

gwiazdozbiory wiedzy. To była chwila prawdziwej próby i w dziwnie uroczystej ciszy szmer rozżarzonych węgli brzmiał niemal jak krzyk.

Skierka przywdziała skórzany fartuch, srodze już popalony, cały czarny od sadzy. Ułożyła piorunowe strzałki na kowadle. Zajęła miejsce obok aitwara, od którego gorąco buchało dotkliwiej niż z pieca. Mamrocząc pod nosem zaklęcia oraz modlitwy do Swaroga, boga Słońca i niebiańskiego ognia, boskiego kowala i twórcy ciał niebieskich, dziewczyna z namaszczeniem sięgnęła po swój młot.

Cud-żar-kobieta w bardzo ludzkim odruchu wstrzymała oddech, gdy jej uczennica wzięła do ręki pierwszy zeszkłony grom. Skierka przeciwnie: głęboko nabrała tchu i wolno wypuściła powietrze. Wreszcie opadła na jedno kolano u stóp aitwara, przyłożyła grot strzałki do obejmy na jego kostce niby dziwaczne, pokrzywione dłuto. A potem wzięła szeroki zamach zza głowy i z całej siły uderzyła młotem w drugi koniec szkiełka.

Zagrzmiało jak podczas burzy. Czarna błyskawica wessała całe światło, zdusiła ogień w palenisku. I tylko Krasna żarzyła się jeszcze krwistą czerwienią niczym płynne serce ziemi. Piorunowe szkło pękło z hukiem, rozpadło się na miliony migotliwych odłamków. Diabli meteoryt zawył chórem potępionych głosów, kiedy kajdany oplotła pajęczyna rozżarzonych rys.

Skierka zdjęła prędko następną strzałkę z kowadła, przytknęła jej koniec do drugiej obejmy. Uderzyła ponownie. Piorunowiec roztrzaskał się z rykiem godnym gromu, rozbił przekłete żelazo na deszcz skwierczących opiłków.

Wyzwolony aitwar uniósł się w powietrze w wielkiej kuli ognia, po czym wybuchnął z siłą umierającej gwiazdy. Ludzkie usta i nos stopiły się w dziób długi, ostry, krzywy jak sierp. Rozpostarte

ramiona obrosły rdzawymi piórami. Nogi pokryła łuska z zeszkłonego piasku, stopy wygięły się w splecione z dymu szpony. Miedziane włosy zastąpił bujny pióropusz spływający z karku na pierś kryzą płomieni, a także wspaniała wachlarz ogona, który skrzył się z trzaskiem i sykiem niczym warkocz komety. W tęczęwkach wciąż lśniły rubiny oraz złocisty miód, za to przez źrenice, wielkie i czarne niby księżyc w nowiu, raz po raz przemykały żmijki błyskawic.

Cud-żar-ptak machnął skrzydłami, zaśpiewał głosem szalejącej pożogi, rozjarzył się światłem tysiąca słońc.

– To on! – wrzasnął, buzując mocą, która zdawała się spijać przedwieczny ogień z nieba i spod ziemi, wysysać go z gwiazd, co widzą i wiedzą wszystko, oraz głęboko z trzewi konających gór. – Żelazne demony całkiem go opętały! Wilkomir zakopuje na zboczach mniszki z meteorytu, zapładnia skały plugawym nasieniem, rozmnaża przekłętą rudę! To przez niego gwiazdy nie chcą spadać, a ziemia umiera!

Skierka nabrała powietrza, by zadać mnóstwo pytań, lecz cała kuźnia naraz stanęła w płomieniach.

– Uciekaj! – krzyknęła żarka, osłaniając ją przed ogniem własnym gorejącym ciałem i pchając skrzydłami w stronę luźnej deski. – On zaraz tu będzie! Za mną, do lasu, prędko! – Z tymi słowami znowu zmieniła kształt, wydłużyła się w wąską, świetlistą wstęgę i szparą w drewnie wyślizgnęła na zewnątrz.

Dziewczyna wypadła za Krasną w wilgotny mrok tuż przed tym, jak płonąca belka runęła ze stropu i bryznęła czerwienią rozżarzonych drzazg.

*

Wyprawa po burzowe szkiełka wycieńczyła ją zupełnie i już po krótkim biegu Skierka leciała z nóg. Starła się nie tracić z oczu skrzydlatego węża, który raz po raz migał między drzewami, lecz z każdą chwilą on był coraz dalej, a ona coraz częściej lądowała na ziemi. Dyszała ciężko i głośno niczym miech, serce waliło jej jak młot, krew huczała w uszach niby ogień w piecu. Nic więc dziwnego, że kiedy usłyszała za sobą kroki, było za późno na szukanie kryjówki.

Wilkomir wypadł na nią z zarośli, pchnął w plecy, przewrócił. Uderzyła skronią o korzeń i na jedno mgnienie ujrzała blask swojej własnej gwiazdy. Ręce twarde i silne jak żelazne obejmujące przetoczyły ją po listowiu. Skuliła się pod gradem ciosów, chroniąc rękami głowę.

– Ty mała dziwko! – ryczał kowal w dzikiej furii. – Ty szmato zawszona! Od razu wiedziałem, od razu wyczułem, że coś się zmieniło! Że mojego żelaza dotyka inna ręka! – Stalowa pięść trafiła ją w brzuch, wyciskając z krtani zduszony jęk. – Sądziłem, że to wina aitwara, że gwiazda twojej matki dopała się i stygnie, dlatego metal ma zimniejszą duszę. A to byłaś ty, przez cały ten czas. – Skierka zawyła, gdy Wilkomir złapał ją za włosy, szarpnął w górę. Uciekając przed bólem, posłusznie uniosła głowę, z bliska spojrzała w oszalałe oczy. – Kradzież mojej rudy puszcę ci płazem, ale za aitwara zapłacisz mi krwią. – Aż się cały gotował. Była pewna, że lada chwila pęknie z hukiem i tryśnie na nią wrzącą czerwienią. – Przekuję cię, moja miła, w cichą, pokorną żonkę, tak jak wcześniej przekułem żarptaka, i nikt cię nie rozpozna, a ja znowu będę miał swoją Dobrosławę!

Skierka zasyczała jak żmija, wijąc się pod nim wściekle, lecz był o wiele za ciężki, wgniatał ją w ściółkę niby młyński kamień. Zaczęła na oślep okładać go pięściami, ale równie dobrze mogłaby obrzucać piaskiem górę. Śmiał się z niej, szydził, upajał jej słabością jak najśłodszym miodem. Przestał, gdy spróbowała wydrapać mu oczy i niemal dopięła swego. Zaklął z pasją, chwycił ją za nadgarstki.

I naraz zaskomlał głosem ranionego zwierza.

Jak oparzony oderwał od niej ręce. Złapał się za dłoń zalaną gęstą czernią, która pachniała siarką i płynnym metalem. Skierka skorzystała z okazji, grzotnęła go z całej siły kolanem w słabiznę. Stęknął głucho, zgiął się wpół, zwiotczał. Wystrzeliła spod niego, odbijając się stopą od potężnego uda.

Wciąż ogłuszona, ruszała się jednak jak mucha w żywicy, ślizgała na liściach, potykała o każdą napotkaną nierówność. Wilkomir z pewnością znów by ją dopadł, gdyby nie strumień ognia, który spadł na niego jak jastrząb spomiędzy gałęzi. Kowal zaryczał na całe gardło, w powietrzu zaśmierdziało spalonymi włosami i przypieczoną skórą.

– Wstawaj! – wrzasnęła Krasna, szarpiąc dziewczynę pazurami za kołnierz. – Tędy, szybko! Szybko!!!

Strach dodał Skierce sił, za to wypaczył czas, zlał długie chwile w jeden nagły błysk. Ledwo zaczęła biec za żarką rozmytą w smugę światła, a już docierały do pierwszych wzniesień, za którymi białe od śniegu szczyty gryzły czarne niebo. Krasna powiodła dziewczynę do skalnej szczeliny wypełnionej mrokiem niczym kocioł smołą i zawisała w powietrzu, niecierpliwie trzepocząc skrzydłami.

– Tu się rozdzielimy – powiedziała, gdy Skierka w końcu ją dogoniła. – Ty biegnij tędy, a ja odciągnę go dalej w las.

Dziewczyna wsparła się ciężko na głazie. Zanim zdołała wysapać choć słowo, żarka wyrwała sobie pióro z ogona i wcisnęła jej w dłoń.

– Te jaskinie zaprowadzą cię do Lodowego Kotła. Powinnaś dotrzeć na miejsce przed świtem.

Słyszając to, Skierka aż się wyprostowała i w jednej chwili zapomniała o zmęczeniu.

– Masz żelazo we krwi – rzuciła Krasna takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Po ptasiemu przekręciła głowę, szukając w spojrzeniu adeptki iskry zrozumienia. Znalazła ją od razu i napuszyła się z dumy niby piorun kulisty. – Strzeż igły jak źrenicy oka, a jeśli pobłądzisz, zdaj się na jej moc, żelazne gwiazdy bowiem...

Gdzieś niedaleko szurnęły kamienie, trzasnęła gałąź, zaszeleściły liście.

– Żelazne gwiazdy zawsze wracają do źródła! – dokończyła żarka, po czym ze świstem przecięła ciemność i zgasła w odmętach bezdennej nocy.

*

O ile ucieczka przez las zdawała się trwać nie dłużej niż kilka uderzeń serca, o tyle przeprawa w głąb milczącej góry zajęła całą wieczność i jeden dzień dłużej. Oświetlając sobie drogę piórem żarptaka, Skierka kluczyła w labiryncie jaskiń oraz solnych komnat, w sieci kopalnianych szybów, opuszczonych tuneli, na wpół zawalonych ciasnych korytarzy. Przeskakiwała jamy i rozpadliny, brodziła w wodach podziemnych rzek, wspinała się po zdradliwych skalnych rumowiskach, a szlak prowadził wciąż wyżej i wyżej, z każdym krokiem węższy i coraz bardziej stromy.

Niedaleko przed nią błysnęło wreszcie światło. Dziewczyna pobiegła ku niemu jak ćma do płomienia, a gdy wypadła z mroku w szarość przedświt, jak ćmę przyszpilił ją do ściany czyjś srebrzysty głos.

– Góra uprzedziła mnie, że będziemy mieć gościa – oznajmiła postać, która siedziała na głazie przy wyjściu z jaskini. – Wyglądasz, moje dziecko, jakby cię sam diabeł gonił.

Zadyszana Skierka przytaknęła bez słowa.

Skryta w cieniu skały kobieta wstała i podeszła wolno, podpierając się kosturem. Przy każdym poruszeniu podzwaniała janczarami, amuletami oraz rytualnymi grzechotkami przyczepionymi do powłóczystej szaty. W skołtunione włosy wplotła kamyki i metalowe paciorki, na szyi nosiła obręcz w kształcie podkowy. Gdy popatrzyły na siebie z bliska, dziewczyna od razu rozpoznała te stare oczy w młodej twarzy o czole i policzkach wymalowanych w święte znaki.

– Jesteś Żelazną Klaczą – powiedziała i skłoniła głowę. – Kapłanką gór i mówczynią skał.

– A ty jesteś Skierką. – Żrebiarka uśmiechnęła się ciepło. – Córką Dobrosławy i Radomiła. Rozpoznaję gwiazdy na pierwszy rzut oka – wyjaśniła na widok jej zdumionej miny. – A ty wszak spędziłaś początek swego życia jako gwiazda na niebie odbitym w jeziorze. Wygląda na to, że przez cały ten czas szukałam cię nie w tym zakątku świata.

– Szukałaś mnie?

– Przez ponad czternaście lat. Od chwili, gdy poławiacz strącił z nieba gwiazdę twojej matki. Cieszę się, że wcześniej odzyskałaś własną. – Mówczyni zerknęła na pióro żar-ptaka w dłoni dziewczyny

i wtedy jej uśmiech sięgnął jasnych oczu, rozgrzał chłodny metal tęczówek. – Domyślam się już, jak ma na imię ścigający cię diabeł. A także tego, że nieprzypadkowo uciekłaś przed nim tutaj, do Lodowego Kotła... – Żrebiarka zawiesiła głos. Zastygła w oczekiwaniu.

– Przynoszę wam w darze odrobinę kruszcu – odparła dziewczyna zgodnie z obyczajem, a mówczynie przyzwalająco kiwnęła głową. – Kawałeczek niebios oraz okruch piekieł. Przyjmijcie je i przetopcie wraz z całym żelazem, z którego będziecie odlewać dzwon.

Skierka wyciągnęła igłę z rękawa, ostrożnie przepychając ją przez materiał czubkiem do przodu, aby nie stracić z niego zaschniętej kropli, jarzącej się w pierwszych promieniach słońca niczym maleńki rubin.

– To wszystko, co mam – dodała tonem przeprosin. – Igła z meteorytu oraz żelazo we krwi.

– Żelazo płynie w żyłach nas wszystkich – odparła szamanka. – Tak samo jak tętni we krwi Matki Ziemi. – Powiodła palcem po świętych runach na swej twarzy, wykonanych brunatnoczerwonym, zeskorupiałym mazidłem. – Wszystkie ciała ludzkie i ciała niebieskie zostały wszak ulepione z tej samej gliny, wykute z tego samego gwiazdowego pyłu...

– Demony również?

Żrebiarka w milczeniu tylko uniosła brwi.

– Żelazo w tej kropli to krew wcielonego diabła. – Skierka wyciągnęła do niej rękę z igłą. – Tego samego, który zabił mi rodziców i o mało nie uśmiercił naszych gór.

Tym razem źrebiarka nie zdołała ukryć zaskoczenia. Otrząsnęła się jednak prędko, nakreśliła w powietrzu ochronne znaki, mamrocząc pod nosem niewyraźne zaklęcia. Podeszła do dziewczyny, delikatnie wyjęła z jej palców bezcenny metal. Przez jakiś czas szeptała coś do igielnego ucha, a potem najwyraźniej słuchała odpowiedzi, bo na zmianę kiwała i potrząsała głową.

Wreszcie gestem nakazała dziewczynie, by podążyła za nią. Ruszyły ścieżką, która wiła się niby wąż w dół stromego zbocza. Dotarły do stóp wzniesienia, wyszły spomiędzy skał i oczom Skierki ukazała się niewielka dolinka, a w niej morze ognisk, gąszcz dymarek, całe mrowie uwijających się jak w ukropie ludzi. Po jednej stronie polany stały polowe kuźnie, po drugiej imponujący ludwisarski piec. Obok niego ział dół odlewniczy z glinianą formą na dzwon, pośrodku zaś pięła się ku niebu wysoka wieża z kamienia.

Żelazna Klacz powiodła dziewczynę w głąb rudniczego obozu. Dymarki dymiły i migotały żarem w okrągłych wietrznikach. Przepychane z miejsca na miejsce taczki podskakiwały na kamieniach, pełne czarnych, gruzłowatych łupków i niebieskawego, szklistego żużlu. Miechy sapały, płomienie trzaskały, dzwoniły kowalskie młoty.

Mówczyni zaprowadziła Skierkę do mniejszego pieca do topienia metalu na niewielkie odlewy.

– Niebiańskie żelazo zawsze wraca do źródła – odezwała się źrebiarka uroczystym tonem. – Kołowrót czasu zatoczył pełen krąg. Abyś mogła odzyskać gwiazdę, przed laty podarowałam twojej matce tę oto igłę. A teraz ty przynosisz mi ją w darze, żebyśmy odzyskali gwiazdy dla nas i dla naszych gór. – Szamanka uniosła rękę. Igła zalśniła w słońcu, w zastygłej na czubku łożeczce błysnął karminowy

żar. – Przyjmuję twoją ofiarę, Skierko. Choć z pozoru niewielka, właśnie przeważała szalę. Z tego żelaza wykujemy serce dzwonu. – Żrebiarka otworzyła drzwiczki do komory, gdzie lejny metal zdawał się topić powietrze, gorący jak oddech podziemnych smoków. – I mam nadzieję, że nam w tym pomożecie. Ty i twoja kowalska magia, której nauczył cię aitwar.

Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, Żelazna Klacz przeturlała w palcach meteorytową drzazgę i pstryknięciem posłała ją do pieca.

Igła z kroplą krwi Wilkomira przez krótką chwilę unosiła się na powierzchni płynnego ognia. A potem zaiskrzyła, splunęła kopącym płomykiem i rozplynęła się w plamkę niebiańskiego światła.

*

Kiedy wreszcie dzwon zawisł na wieży pośrodku Lodowego Kotła, otaczające dolinę góry wstrzymały wichrowy oddech. Rudawe serca zamarły w skalnych piersiach, żelazna krew ścięła się w żyłach ziemi. Ustał halny wiatr. Ucichło wszelkie echo. Głazy znieruchomiały na rumowiskach i nawet woda zastygła na moment w korytach rzek.

Bajarze opowiadali potem, że pierwsze uderzenie Młota Burzy wstrząsnęło kosmosem. Zadygotał Alatyr, biały żar-kamień skryty pod korzeniami Drzewa Świata. Zatrzeszczał pień gigantycznego dębu, jęknęły potężne konary. W tej samej chwili górskie zbocza trysnęły kamieniami i pióropuszami ziemi, a wyrzucone z niej mniszki rozsypały się w proch, rozwiały jak zły sen. Uleciały z wiatrem aż do samych gwiazd, bo niebiański metal, nawet ten przeklęty, prędzej czy później zawsze wraca do źródła.

Od drugiego uderzenia stalowego serca o mało nie pękła żelazna czara nieba, która odwrócona do góry dnem opiera się na dębowej koronie i obraca nieustannie na wyznaczonej przez pień osi wszechświata. Kopułę firmamentu oplotła sieć dymnych chmur oraz ognistych błysków. Pioruny waliły z rykiem, gromy pobrzmiwały metalicznie jak krzyżujące się ostrza.

Następnie Młot Burzy zadzwonił po raz trzeci, a gdy jego śpiew ucichł, ucichła też nawałnica. W głębokiej czerni niebios znów zawisł księżyc, znów zaśniły gwiazdy. I tylko jedna z nich spadła tej nocy na ziemię.

Skierka z uwagą śledziła jej lot, kreśląc w pamięci mapę nieba, kształty konstelacji oraz górskich szczytów.

– Jeśli się pośpieszymy, złowimy ją żywą – syknął jej do ucha znajomy głos, łaskocząc skórę płomyczkiem oddechu. Z uśmiechem odwróciła głowę i spojrzała w rozmigotane oczy aitwara.

– My?

– Teraz, gdy odzyskałam swą prawdziwą postać, mogę pokazać ci takie rzeczy na niebie i ziemi, jakie nie śniły się waszym wiedzącym.

– Myślałam, że odlecisz cieszyć się wolnością.

– Też tak myślałam. – Krasna przysiadła Skierce na ramieniu, wygładziła dziobem pióra. – Ale po latach zamknięcia łaknę towarzystwa, a z tobą, nie powiem, jest całkiem ciekawie. To co? – Wskazała skrzydłem zębaty horyzont. – Idziemy?

– Idziemy. Na żywym aitwarze co prawda mi nie zależy, w końcu jednego już mam...

– No, no, no, tylko mi bez takich!

– ...za to chętnie zobaczę, co też zostało z naszego Wilkomira. – Dziewczyna uśmiechnęła się mściwie. – Niech ten ostatni okruch jego parszywego istnienia będzie początkiem mojej kolekcji. No i chyba warto popatrzeć, czy ta ciemna dusza żyła pod równie ciemną gwiazdą, nie uważasz? A jeśli tak, to jak ta ciemność wpływa na moc meteorytu...

– Ha! – Żarka od razu zapaliła się do tego pomysłu. – W drogę zatem! – Z łopotem skrzydeł wzbiła się w powietrze i kreśląc nad głową Skierki rozjarzone kręgi, zaintonowała żalobną modlitwę nader rozradowanym głosem:

*Wyleciała dusza z ciała
Nie wiedziała, gdzie paść miała,
Padła na zielonej łące
Krzyczy, płacze, składa ręce.*

Dziewczyna ruszyła żwawo w ślad za aitwarem, po czym podjęła pieśń:

*Hejże, ogniopióra gwiazdo!
Nim uwijesz w ziemi gniazdo,
Ja, rybaczka co się zowie,
Jak spod wody cię wyłowię!*

Krasna oświeślała drogę i patrzyła z wysoka, jak Skierka, córka rybaków, uczennica żar-ptaka, mistrzyni kowalskiej magii i przyszła poławiaczka niebieskich ciał, bez cienia lęku kroczy przez noc. Jak idzie na spotkanie losu, który zgotowały jej gwiazdy.

A także na spotkanie gwiazd, które zapisał jej los.

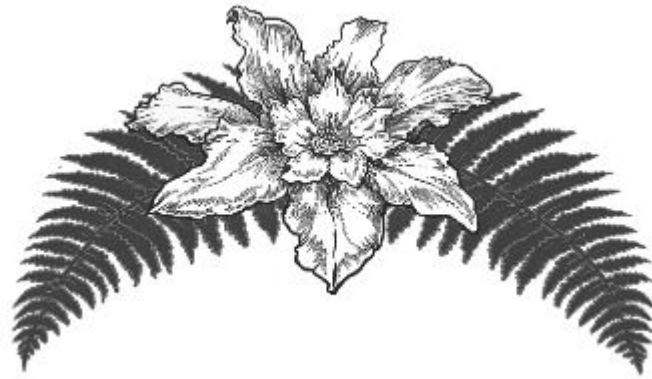
W opowiadaniu wykorzystałam fragmenty wiersza *Poeta* Bolesława Leśmiana oraz pieśni żałobnych ze *Śmierci w obrzędach i zwyczajach ludu polskiego* Henryka Biegeleisena (Armoryka, Sandomierz 2017, s. 25 i 75), na ich podstawie dopisałam też własne zwrotki.



JAGNA ROLSKA

Wiedźmi kamień

Jagna Rolska – autorka i współautorka powieści fantastycznych i obyczajowych, w tym bestsellerowego *Kaprysu milionera* wyróżnionego tytułem Książki Roku 2020 w plebiscyie portalu Granice.pl oraz *SeeIT* nominowanego do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, a także w konkursie Lubimyczytac.pl na Książkę Roku 2019 w kategorii science fiction. Debiutowała w 2011 roku na łamach miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Jest zastępczynią redaktora naczelnego portalu Fahrenheit.



Działo się to roku Pańskiego 1878 i choć minęło osiem długich i raczej spokojnych lat spędzonych na Rybakach, wciąż pamiętam wydarzenia tamtego dnia, jakby to miało miejsce wczoraj. Wiara moja jest niezachwiana, lecz rozum, wystawiony na próbę, nadal nie wie, czego był świadkiem tamtej nocy świętojańskiej. Ale zanim do tego doszło, muszę opowiedzieć, skąd się wziąłem na półwyspie Heli, miejscu ustronnym, odsuniętym od spraw kraju, jak tylko się da, lecz nie tak niegościnnym, jak się powszechnie zwykło przypuszczać. Przybyłem objąć parafię w Jastarni wczesną wiosną, gdy piaski jeszcze były grząskie po zimowych sztormach, a wóz zaprzężony w woła prawie utonął w depce. Depka, jak wyjaśnił miejscowy woźnica, to obniżenie terenu, gdzie jeszcze i w dzisiejszych czasach Wielkie Morze przelewa się do zatoki, nazywanej przez miejscowych wikiem. Cud jeno sprawił, że pospołu z woźnicą wyprowadziliśmy zwierzę z piaszczystej pułapki, a wóz, rozmontowawszy na części, wyciągnęliśmy na stały grunt. Niezbyt ciepło witała mnie półwyspa, lecz niezrażony tym złym proroctwem, objąłem parafię jastarnicką po zmarłym poprzedniku. Sam budynek kościoła wielce me serce ucieszył. Zbudowany z zasmołowanych na czarno desek miał dach pokryty czerwoną

dachówką, a drzwi i okna pomalowane na modro. Wkrótce się przekonałem, że to ulubiony kolor tutejszych ludzi. Kiedy cały kraj nazywa to miejsce półwyspą Heli, miejscowi mówią, że mieszkają na Rybakach. A modry kolor przeważa w domach, nawet podłogi z desek tak malują, mają spodnie, koszule, kubraki w tejże barwie. Niebieski odstrasza owady, więc w tym zamięłowaniu objawia się także mądrość ludowa. Barwa przypomina też morze. Życie w tym niezwykłym miejscu sprawia, że więcej czasu spędzam na obcowaniu z malowniczą naturą niż w kościele. Świątyni nie zaniedbuję, rzecz jasna, lecz półwyspa ma tak wiele do zaoferowania, że wciąż nie mam dość jej boskich przymiotów.

Rozpisałem się, a przecież miałem mówić o tamtej nocy świętojańskiej, ku mojej zgryzocie wciąż nazywanej tu Nocą Kupały. Zawsze szczyłem się przenikliwym rozumem, więc do dzisiaj mi wstyd, że wówczas mój umysł zwątpił w istnienie tylko jednego, boskiego bytu nadprzyrodzonego, i wciąż nie wiem, co mnie spotkało. Trzeba krajanom wiedzieć, że świętego Jana tutaj obchodzi się zupełnie inaczej niż u nas. Cała rybacka brać wychodzi na małą plażę nad wikiem i przede wszystkim pragnie rozproszyć mrok. Każda z maszoperii, czyli związków rybackich, funduje smołowaną beczkę, którą zatyka się na wysoką żerdź. Płonące ognie rozciągają się po całym wybrzeżu, a jeśli pogoda sprzyja, widać je ze Swarzewa, Pucka i nawet z Gdańska. Młodzież bardzo jest grzeczna na półwyspie i zupełnie niechętna grzechowi. Aż się serce duszpasterza raduje na ten widok. Tańczą, a potem śpiewają pobożne pieśni. Nigdy nie widział żadnych parok pospiesznie umykających w zarośla. Takie rzeczy na Rybakach zupełnie nie mają miejsca. Panny cnotliwe, a kawalerowie wybierają sobie żony z najbliższego otoczenia. Ot, nie chcą się bratać z nikim z kraju, a i przy

ożenku wcale nie myślą o posagu. Sami posiadają niewiele, choć głodu nie cierpią. Rzecz w tym, że wszyscy są sobie równi, panów nie mają, więc i godność zachowują. Nie tak jak chłopci wewnątrz kraju. Ciekawostką jest też, że tutejsi dużą wagę przykładają do kształcenia dzieci. Wszystkie chodzą do szkoły, a zawdzięczają to nieurodzajnej ziemi. Parzyc, czyli łąk, jest na półwyspie niewiele, roli prawie wcale, więc ani prace rolne, ani pasterskie nie odciągają najmłodszych od nauki. Na połowy nikt dzieci nie zabiera, więc mają czas na szkołę, w czasie gdy ojcowie, często z narażeniem życia, wypływają na połowy. Życie na Rybakach nie rozpieszcza. Hartuje ludzi, jednocześnie sprawiając, że więzi między nimi są nadzwyczaj silne, a uczciwość ceni się tutaj wyżej od pieniędzy.

Przyznać muszę, że choć ta ich hardość z początku nieco mnie zbijała z tropu, teraz, po latach tu spędzonych, dumni ludzie morza stali się moją rodziną i wielce ich poważam. Choć oczywiście staram się zbytnio nie bratać. Kapłaństwo zobowiązuje do godnego zachowania.

Gdy mnie zaproszono do Kusfeldu na uroczystość świętojańską, wpierw się wahałem, lecz ciekawość zwyciężyła. Gospodarze w wiosce są najpobożniejszymi na całej półwyspie, więc się zgodziłem. Wiedziałem, że lokalne obrzędy, choć w całości odbywają się w intencji naszego Pana, wciąż mają ziarno dawnych, pogańskich wierzeń. Półwyspa położona tak daleko od reszty kraju rządzi się swoimi prawami. Jednak nie byłem gotów na młode dziewczki, które bez żadnego umiarkowania zatraciły się w tańcu na strandzie pod światłem smolnych beczek. Zapytałem jednego rybaka z kusefeldzkiej maszoperii, czy tak wypada, lecz on się jedynie roześmiał w odpowiedzi.

Gospodarze podlewali piwa, więc trudno było nie przyjąć poczęstunku. Przyznać trzeba rybakom, że gdy beczki ze smołą zaczęły

się dopalać, w spokoju rozchodzili się do chałup. Odszedłem nieco na bok, by w samotności kontemplować roziskrzone gwiazdami niebo i podziwiać dzieło Pana, gdy ujrzałem oświetloną księżycem dziewczynę wirującą na środku pustej plaży. Zupełnie nie przejmowała się końcem uroczystości. Zaintrygowany, lecz też słusznie oburzony jej zachowaniem, zapytałem ostrymi słowy, czy zamierza się zatracać w tańcu, ściągając na siebie grzech nieumiarkowania.

Podeszła do mnie, uśmiechając się zawadiacko. Niewątpliwie była piękna: długie, zupełnie proste i lśniące czarne włosy spływały niczym jedwab po jej ramionach. Suknię miała modrą, jak większość kobiet we wsi. Zapytała, czy lubię tańczyć, i przedstawiła się imieniem Maryka. W życiu nie spotkałem się z taką zuchwałością u białogłowy, więc zapomniałem języka w gębie. A ona wyciągnęła przed siebie dłoń i podała mi kamień. Zwyczajny, zapewne wyłowiony z morza. Z otworem na środku. Zdziwiłem się, lecz przyjąłem dar. Powiedziała, że przez tę dziurkę można zobaczyć zupełnie inny świat, po czym odwróciła się z furkotem modrej spódnicy i ze śmiechem odeszła do rówieśników. Nigdy więcej jej nie widziałem, choć przecież znam z imienia wszystkich swoich parafian. Dziś sądzę, że musiała przyjechać do nas z kraju. Może ze Swarzewa? Albo z Pucka?

– Proszę księdza! – Głos dobiegający z sieni wytrącił mężczyznę z zadumy. Proboszcz westchnął z rezygnacją, zamknął dziennik i odłożył pióro do kałamarza. Podniósł się ciężko zza biurka i wyszedł z gabinetu. W progu stał jeden z rybaków ubrany w ciepłą kapotę.

– Co tam, Macieju?

– Potrzebne klucze do szopy z przyrządami ratunkowymi – odparł rybak.

– Na cóż? – zdziwił się ksiądz. – Przecież cisza panuje na wodzie. Nijaki okręt pomocy nie potrzebuje.

– Na morzu głada. Jeszcze dzisiaj w nocy zacznie się wielka burza. Sprawdzę, czy wszystko w porządku i czy lonty rakiet suche. Jakby się miały przydać...

– Głada? Jak spokojna woda może świadczyć o sztormie?

– Głada wcale nie jest spokojna. Morze płaskie jak stół znaczy tyle, że czeka w napięciu na rychłe uderzenie Szalińca...

– Nie plećcie bzdur, Macieju – obruszył się duchowny. – Znów te zabobony? I to jeszcze w wigilię Wszystkich Świętych? Nie ma żadnego demona wywołującego sztormy. To czyste brednie. Jesienna aura, i tyle. Jutro msza zaczyna się o siódmej rano, więc idź spać, dobry człowieku, bo wszyscy mamy przed sobą pracowity, pełen wrażeń dzień.

– Zobaczycie jutro. Stare demony nie odchodzą tak łatwo – ostrzegł rybak i uchyliwszy czapki, pospiesznie wyszedł z plebanii.

Ksiądz odruchowo się przeżegnał, a złowieszcze słowa na tyle go wzburzyły, że postanowił zażyć świeżego powietrza. Dochodziła piąta po południu, więc jesienny dzień powoli dobiegał końca. Nad pobliskim cmentarzem widniała poświata z kilkunastu świeczek, które zapalili na mogiłach bliskich najbardziej szczodrzy rybacy. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widać było płomieni pogańskich ognisk palonych dla zmarłych. Dziady stanowiły jeden z tych ludowych zwyczajów, których tak samo jak zapuszczania kołtuna zupełnie nie dało się wyplenić. Właśnie dlatego zaleceniem władz kościelnych msza we Wszystkich Świętych miała trwać tak długo, jak

było to możliwe. Zwykle zaczynała się o siódmej rano, żeby nie dać ludziom sposobności czuwania poprzedniej nocy, i kończyła się po trzeciej po południu, gdy uroczysta procesja opuszczała cmentarze. Nikt nie powiedział, że wykorzenianie zabobonów jest łatwym zadaniem. Szczególnie że wciąż powstawały nowe.

Duchowny doskonale wiedział, dlaczego Maciej umknął w takim pośpiechu. Rybacka brać wręcz nurzała się w zabobonach, a jednym z nich była głęboka wiara, że w noc poprzedzającą Wszystkich Świętych trzeba się trzymać jak najdalej od kościoła, bo zmarły ksiądz wstaje z grobu i prowadzi mszę dla wszystkich spoczywających na cmentarzu, a zmarli rybacy podnoszą się z mogił. Modlitwa martwego kapłana prowadzi ich pod ołtarz, gdzie przyjmują sakrament.

To było idiotyczne, lecz tak zakorzenione wśród rybaków, że ksiądz ostatecznie uległ i na tę słotną listopadową noc polecał zostawiać wrota świątyni otwarte. Był mądrym kapłanem, kochał swoich parafian i nie chciał zmieniać panujących zwyczajów gwałtem ani przemocą. Zmiany muszą się dokonywać stopniowo.

Plebania, otoczona pachnącym żywicą sosnowym lasem, wciąż go zachwycała. Popołudnie było bezwietrzne, a łagodna aura Rybaków sprawiała, że wrzosa w lasku prowadzącym do wielkiego morza miejscami jeszcze kwitły, barwiąc połacie wydmy na fioletowo.

– Nie wiem, czym zasłużyłem, dobry Boże, na to widowisko, lecz pokornie dziękuję – wyszeptał, gdy wyszedł na plażę.

Widok był zachwycający. Horyzont tonął w ołowianej ciemności, lecz piasek barwiło mdłe, właśnie zachodzące słońce. Morze trwało w bezruchu, co było o tyle dziwne, że przecież zwykle nawet przy pogodnej, bezwietrznej pogodzie kołysało się delikatnie, a brzeg

moczyło nieznaczne falowanie. Teraz woda przypominała bardziej staw. Maciej miał rację. Było w tym coś dziwnego i nienaturalnego. Księdzu skojarzyło się z nieruchomą bestią przyczajoną do ataku. Odruchowo poszukał w kieszeni kamienia Maryki. Nosił go przy sobie zawsze, lecz od tamtej nocy nie odważył się przytknąć do niego oka.

– Jeszcze trochę i sam uwierzę w te zabobony – mruknął pod nosem. Przeżegnał się pospiesznie i odwróciwszy się na pięcie, poszedł w stronę kościoła.

Coś zaszeleściło w zaroślach, jakiś cień przemknął po pniu sosny, ksiądz poczuł się nieswojo. Ruszył przed siebie, pragnąc jak najszybciej zaszyć się na przytulnej plebanii. Najkrótsza droga od strony morza prowadziła przez cmentarz. Świece płonęły jasno, ich płomieni nie targał najłżejszy podmuch wiatru. Gdzieś w leśnej gęstwinie zahukała sowa. Dźwięki zaskoczyły księdza, który prawie podskoczył ze strachu. Strofując się w myślach, jeszcze bardziej przyspieszył kroku. W gęstniejącym mroku dojrzał niewielki pagórek pomiędzy nagrobkami. Nigdy wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, więc odnotował w pamięci, że musi się temu przyjrzeć za dnia. Z ulgą wszedł na plebanie i zarygłował za sobą drzwi.

– Bojaźliwy się robię na starość – oświadczył pustym ścianom. – A jeno Boga powinienem się lękać.

Zapalił nowoczesną lampę naftową, której był dumnym posiadaczem. Dom zalało ciepłe światło, skutecznie rozpraszając upiorną ciemność. Podniesiony na duchu wrócił do gabinetu, z którego wyciągnął go godzinę wcześniej rybak, i usiadłszy przy biurku, ponownie otworzył dziennik. Zanim wyjął pióro z kałamarza, pomyślał, że dobrze mu zrobi kieliszek wina. Wieczór był młody,

więc z pewnością wstanie na czas, by rozpocząć mszę. Upiwszy solidny łyk trunku, wrócił do pisania pamiętnika.

Najdziwniejsze w tamtej nocy świętojańskiej było, że woda w wiku, czyli Zatoce Puckiej, też była gładka jak stół. To pewnie nic nie znaczy, przecież w czerwcu na Rybakach panuje zupełnie inna aura niż teraz, gdy właśnie zaczął się listopad. A jednak poczułem wówczas dokładnie ten sam niepokój. Dlaczegoż miłosierny Bóg mnie wtedy nie powstrzymał przed spojrzeniem w ten diabelski kamień Maryki? Widoku utopców czy jak mówią miejscowi, morzkulców nie zapomnę do końca życia. Dziwna to sprawa z tymi wodnymi upiorami. Niektórzy rybacy wierzą, że to oślizgłe potwory, inni, że Szalińc, demon sztormów, zamienia utopionych ludzi w wynaturzone ptaki, które miotają się nad wodą, nie mogąc zaznać ukojenia na brzegu. Ja, po spojrzeniu w kamień Maryki, mogę powiedzieć tylko tyle, że morzkulce są tym wszystkim po trochu. Ognie ze smołowanych beczek zatkniętych na kijach już dogasały, lecz wyraźnie widziałem pełznące w stronę wody potwory. Na wpół szkielety, lecz obrośnięte błonami. Ich plecy znaczyły czarne, pewnie gnijące pióra, a gdy jeden odwrócił do mnie oblicze, z przerażeniem ujrzałem bursztynowe, świecące w ciemnościach oczy i narośle, przypominające żółte dzioby. Krzyknąłem bezwiednie i odsunąłem przeklęty kamień od oka, pragnąc cisnąć go w wody wiku. Coś mnie jednak powstrzymało. Wsunąłem go do kieszeni, lecz obiecałem sobie, że nigdy więcej przez niego nie spojrzę. Po powrocie do kościoła spędziłem trzy godziny na kolanach, modląc się do Litościwego Pana o wybaczenie, lecz i tak przez długi czas nie znajdowałem ukojenia. Pomyślałem, że schwytanie czarownicy uczyni zadość Bogu, lecz rozpytywanie o nią ludzi nic nie dało. Nikt na Rybakach o Maryce

nie słyszał. A może tracę zmysły? Czasem zastanawiam się, czy to wszystko mi się nie przyśniło. Umysł ludzki bywa zwodniczy, więc kto wie, czy nie mam jakichś omamów, a Maryka i morzkulce nigdy nie istniały. Ja zaś przyniosłem przypadkowy kamień z dziurką z plaży i tylko w szaleństwie niebывałym uwierzyłem, że to wszystko mi się przydarzyło.

Zza okna dobiegł ryk. Ksiądz wyprostował się gwałtownie, a na kartkę spadł kleks atramentu. Westchnął z irytacją i natychmiast użył bibułki, żeby wywabić plamę. Zadzźwięczały szyby, a to oderwało mężczyznę od dziennika. Nadstawił czujnie uszu, po czym chwycił lampę naftową i pobiegł w stronę okna. Nieprzenikniona ciemność na zewnątrz zdecydowanie nie pomagała w obserwacji. Ksiądz odryglował drzwi i zdziwił się, że nie może ich otworzyć. Od strony otwartego morza nadciągnął wicher o niezwykłej sile. Mężczyzna naparł na klamkę i wreszcie udało mu się wyjść na zewnątrz. Sosna położyła się z trzaskiem na pobliskie nagrobki, lampa naftowa zgasła od razu, a po świeczkach przepadł ślad. Zaczynał się sztorm, który już teraz swoją siłą przewyższał wszystko, czego duchowny doświadczył podczas lat spędzonych na Rybakach. Budząc się tu dzień po dniu, o różnych porach roku, nauczył się rozpoznawać pomruki morza, a nawet określać wysokość i kierunek fal tylko na podstawie szumu wiatru w koronach sosen. Tak potężnego wycia i hałasu jeszcze nigdy nie słyszał.

Ksiądz wycofał się pospiesznie do domu, lecz nie umknął mu widok otwartego na oścież kościoła. Zgodnie z zaleceniem nikt nie miał prawa w nim przebywać w tę noc, a rozpalania ognisk z okazji dziadów surowo zabroniono. A jednak okazały budynek był

oświetlony i pomimo ryku rozjuszonego morza do uszu księdza docierały odgłosy chóralnego śpiewu.

– Oszalałem – szepnął trwożliwie.

Położył się na łóżku, mając nadzieję, że prześpi majaki. A rano, tuż przed mszą, zatopi się w lekturze Biblii i odzyska ukojenie. Upiorny wizg, dźwięczenie szyb i stukot odrywających się z dachu plebanii dachówek nie pozwoliły ani na sen, ani nawet na beczynne leżenie. Ksiądz usiadł. Przez chwilę wsłuchiwał się w ryk żywiołów wywołujący ciarki na plecach. Ponownie zapalił lampę naftową i poszedł sprawdzić godzinę na zegarze w jadalni. Wskazówka przesunęła się właśnie na północ. Wahadło poruszało się jednostajnie, a zza niewielkich drzwiczek, przypominających wyglądem kostkę szwajcarskiej czekolady, wychyliła się tandetna, wystrugana z drewna kukułka. Zgrzytliwy dźwięk mechanicznego zegara zupełnie nie przypominał odgłosu ptaka, brzmiał upiornie pośród skrzypienia ścian, jęku szyb i trzasków za oknami.

Strwożony ksiądz odruchowo wsunął dłoń do kieszeni w poszukiwaniu kamienia wiedźmy. Marzył o tym, żeby pójść spać, lecz wszystko, co działo się teraz na Rybakach, sprawiało, że tej nocy nikt nie uśnie. Ziemia drżała, przypominając ludziom o potędze żywiołów, wobec której nie znaczyli nic. Oczami wyobraźni ujrzał, jak bałwany wdzierają się w głąb lądu i przelewają się do wiku, zabierając ze sobą chałupy i ludzi wraz z całym dobytkiem. Próbował sobie tłumaczyć, że przecież jastarnicki odcinek Rybaków jest szeroki, jednak umysł natychmiast podpowiadał, że sztorm jest przecież groźniejszy niż zwykle. Chwilę później pomyślał o ludziach w Kusfeldzie, wiosce najzręczniejszych na półwyspie rybaków. Ląd w jej miejscu był tak wąski, że woda przelewała się przez niego

nawet przy mniej rozszalałej wodzie. To samo w Borze, wiosce za Jastarnią położonej najniżej ze wszystkich. Bywało, że zwykła burza podtapiała tam chałupy. Z niewesołymi myślami krążącymi mu po głowie ksiądz przesiedział do piątej rano. Hałas nieco zelżał, lecz morze nadal ryczało wściekle. Właśnie zaczynało się rozwidniać, więc dopiero teraz odważył się podejść do okna i zerknąć na kościół. Światła zniknęły, a budynek wyglądał zupełnie zwyczajnie. Wiatr nadal przyginał drzewa w pobliskim lesie, lecz ze znacznie mniejszą zaciekłością. Zamiast szykować się do mszy, ksiądz postanowił wyjść na zewnątrz, żeby z bliska ocenić zniszczenia.

– Miłosierny jesteś, Panie Boże! – Staął przed plebanią i spojrzał na budynek świątyni. Otwarte modre drzwi stuknęły w ścianę raz za razem poruszane przez wiatr, kilka szyb wytłukły gałęzie, lecz właściwie nic więcej się nie wydarzyło. Podszedł i zamknął wrota na klucz.

– Proszę księdza! Proszę księdza! – Od strony plaży nadbiegł Maciej. Zdyszany przystanął i oparł dłonie na kolanach.

– Co się stało? – zapytał. Rybak zawsze zachowywał stoicki spokój, a teraz wydawał się bardzo poruszony.

– Statek! Usiadł na mieliźnie, wciąż są żywi na pokładzie! – odparł rybak.

– Coś robił tak rano na brzegu? – zdziwił się ksiądz. Poniewczasie przypomniał sobie, że miejscowi podczas sztormów polują na „bytę”, czyli na wszystko, co wyrzuci z rozbitych statków morze, a co wedle obyczaju należy do znalazcy. Jednak ważniejszą sprawę stanowiło prawo stacji ratowniczej, którą zarządzał ksiądz. Za zaalarmowanie o katastrofie morskiej Maciejowi należało się pięć marek, a ochotnicy ze stacji dostawali dwadzieścia za każdego

uratowanego człowieka. Hojność włodarzy tylko na pierwszy rzut oka dziwiła. Zanim powołano stację ratunkową, miejscowi niespecjalnie się garnęli do ratowania rozbitków. Nikt nie chciał ryzykować życia dla obcych kupców zmierzających do Gdańska, którzy najwyraźniej, według miejscowych, nie posiadali pokory wobec morza, a poza tym, gdy znikali właściciele okrętów, „byta” w całości przypadła znalazcom. Wraki dostarczały drewna, metali i innych dóbr. Niejedna chata w rybackich wsiach została zbudowana z belek zatopionego okrętu. I właśnie dlatego narodziła się idea stacji ratunkowej.

Dziwując się w duchu nad ludową mądrością, dzięki której rybacy bez pudła przewidzieli katastrofę morską, ksiądz, nie pytając o nic więcej, pospieszył za Maciejem w stronę szopy.

– Przyobiecane pięć marek wypłacę po mszy – mruknął cicho do towarzysza.

– Bóg zapłać – odparł rybak.

Zwykle to ksiądz przyjmował pieniądze i dziękował tymi słowy, lecz udał, że niezręczność sytuacji go nie obesza. Zwłaszcza że Maciej spojrzał na niego bez zwykłej unizoności. Zamiast niej na twarzy rybaka zagościł nieco kpiarski uśmiech.

– Msza o siódmej się nie odbędzie, proszę księdza. Ani o ósmej. Może w południe – oświadczył. – A teraz trza nam na strand!

Ksiądz odnotował w pamięci, żeby przyjrzeć się rodzinie Macieja, bo chyba nie najlepiej tam było z dyscypliną i szacunkiem do stanu duchownego, lecz zaraz uznał, że są ważniejsze sprawy, a tamto może poczekać.

Nieopodal szopy czekali pozostali ratownicy, więc ksiądz otworzył ją kluczem, rybacy zaś błyskawicznie wyciągnęli liny,

rakiety i butelki araku. Te ostatnie miały pokrzepić rozbitków, jeśli uda się ich wyciągnąć na brzeg.

– Nie traćmy czasu! – rozkazał ksiądz, ruszając w stronę plaży.

– Tam się nie przejdzie! Cały strand pod wodą – powiedział jeden z rybaków stanowczo. – Na dynę nam trzeba.

Ksiądz zmieszał się nieco. Dotarło do niego, że jest przewodnikiem rybackich dusz w kościele, ale w sprawach morskich nie powinien przejmować dowodzenia. Ludzie na Rybakach doskonale wiedzieli, co należy robić, a żywioł rozumieli jak nikt z głębi lądu. Tutaj rola duchownego powinna się ograniczyć do modlitwy. I nie miało znaczenia, że jest przełożonym stacji ratowniczej.

– Nie uda im się, zobaczcie! – zawyrokował Maciej. Jako pierwszy wszedł na wysoką wydmę i wskazał palcem okręt. Leżał przekrzywiony, a przez jego kadłub przelewały się wściekle ryczące bałwany, raz za razem wbijając go w mieliznę, na którą wyrzucił go sztorm. Trzask miażdżonego drewna świadczył o tym, że los okrętu już został przypieczętowany.

– Naliczyłem sześciu żywych – powiedział jeden z rybaków. – Dwóch woda odcięła na rufie. Pozostali wspięli się na maszt.

– Którzy dłużej wytrzymają? – zapytał bez tchu ksiądz. Patrzył w dół wydmy, dziwiąc się w duchu, jak to możliwe, że szeroka plaża, którą jeszcze wczoraj spacerował, przestała właściwie istnieć, a fale rozbijają się o podstawę piaszczystych gór.

– Ani jedni, ani drudzy – odparł rybak flegmatycznie. – Jeśli mamy wystrzelić raketę, to tylko w stronę masztu. Może uda im się złapać linę. Stoimy na dynie, więc jest dobra wysokość.

– Strzelajcie więc, w imię Pańskie! – Widok nieszczęśników na tonącym okręcie sprawił, że ksiądz poczuł dreszcze na plecach.

Maciej ujął rakieta i stanął pewnie na rozsuniętych nogach.

– Ojciec zaczeka, poprawię! – wtrącił się młokos stojący dotąd z tyłu. Podszedł do urządzenia i wyprostował przymocowany do bloczka cieńszy sznur. Za nim ciągnęła się w dwie strony gruba lina.

– Doniesie? – zatroskał się ksiądz.

– Tylko Bóg wie – odparł dzieciak, podpalając lont.

Jego ojciec skupił się na celu i gdy eksplozja nim szarpnęła, nawet nie drgnął. Ksiądz z podziwem obserwował atletyczną sylwetkę rybaka. Rakietą poleciała w stronę okrętu, lecz wiatr zniósł bloczek wraz z liną zbyt mocno na prawo. Nie było możliwości, żeby nieszczęśnicy z tyłu tonącej jednostki ani ci siedzący na maszcie zdołali wyciągnąć linę z wody.

– Diabli nadali! – wściekł się Maciej.

– Miarkuj słowa, synu – odparł odruchowo ksiądz, lecz nawet nie spojrział w stronę parafianina. Spektakl na okręcie zmroził mu krew w żyłach. – Boże, dopomóż! – krzyknął.

Kolejne bałwany wcisnęły dziób statku głębiej w mieliznę, a maszt się niebezpiecznie przechylił. Jeden z marynarzy nie utrzymał się i spadł wprost w lodowatą kipieli. Dwaj ludzie na rufie chwilowo byli bezpieczni, tył statku uniósł się ponad wściekłe morze.

– Jeszcze chwila i nie uratujemy nikogo – powiedział z zawodem Maciej.

Ksiądz próbował odgonić z głowy natrętą myśl, że dzielny rybak żałuje straty dwudziestu marek za każdego ocalonego rozbitka.

– Mamy drugą szansę – odparł, wpatrując się w miotany falami statek.

– Ale gdzie wystrzelić? – Syn Macieja podszedł do księdza, trzymając drugą i zarazem ostatnią rakieta.

– Ci na maszcie wydają się bardziej żywi – zdecydował ksiądz.

– Wiatr i tak nie pozwala przewidzieć, dokąd zniesie linę. – Maciej wziął od syna rakieta.

– Oczywiście. Nie wiadomo, w którą stronę Wielkiego Morza Szalińc przegoni morzkulce! – Gdy ksiądz usłyszał głos Maryki, wzdrygnął się, a jego czoło oblał pot, choć stał na smaganej lodowatym wiatrem wydmie. – Myślałam, żeś mądrzejszy, kapłanie nowej wiary – oświadczyła świszczącym głosem, który mieszał się z wichrem.

Ksiądz się odwrócił. Dziewczyna wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, podczas nocy świętojańskiej. Nosila modrą sukienkę, miała rozpuszczone czarne włosy. Jedyne, co uległo zmianie, to ich ozdoba. Misterny wianek tym razem okazał się plecionką z morszczyanu.

– To ty! – powiedział niezbyt odkrywco. Miał wrażenie, że sztorm, tonący statek i rybacy nagle przestały istnieć.

– To ja – odparła po prostu. – Powierzyłam ci kamień. Nie bez przyczyny. Jesteś pasterzem tych ludzi, więc musisz ich bronić. Tymczasem nie robisz nic, by ich ratować.

Oniemiały ksiądz rozejrzał się wokół. Żaden z rybaków nawet nie spojrział na urodziwą dziewczynę. Zajęci obserwacją tonącego okrętu, nie zwracali uwagi na nic innego, a już z pewnością się nie odwracali.

– Cóż może tu pomóc zwykły kamień? – zapytał.

– Sądzisz, że Szalińc tak łatwo wypuszcza ofiary? – zaśmiała się. – Niewiele wiesz o życiu, prawda? Chociaż wydaje ci się, że jak każdy mężczyzna posiadłeś wiedzę, jak powinien wyglądać świat – zadrwiła. – Poza tym, jaki zwykły kamień, głupcze? Przejrzyj na oczy!

– Nigdy nie pozwoliłem, żebyś odzywała się do mnie bez szacunku – oburzył się ksiądz, lecz na dziewczynie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Zerknij przez kamień, zanim rybak wystrzelił raketę. Może uratujesz dzisiaj ludzkie życie? Cud właśnie kończących się dziadów. Ale przecież ty w takie rzeczy nie wierzysz, prawda? – Maryka roześmiała się i przysiadła na zwałonym pniu sosny. – Do dzieła, klecho.

– Nie damy rady! Wiatr się zmienia – zameldował Maciej. – Już po nich.

Ksiądz odruchowo zerknął na rybaka, a gdy ponownie spojrzął w miejsce, gdzie siedziała Maryka, po dziewczynie nie było już śladu.

– Poczekajcie, w imię Boże! – powiedział. Kamień w kieszeni zawibrował.

– Gdzie celujemy? – ponaglił młokos.

Ksiądz drżącą dłońią wyjął wiedźmi kamień. Przytknął go do oka. Nie krzyknął z przerażenia, wciąż miał w pamięci słowa Maryki, że jest pasterzem tutejszych ludzi. Panika nikomu w niczym nie pomoże.

– Boże, dopomóż! – jęknął udręczony.

Wokół statku uwijały się morzkułce. Ich bursztynowe oczy błyskały złowrogo w ołowianej wodzie. Jeden z marynarzy miotających się bezradnie po rufie poślizgnął się nieszczęśliwie

i wpadł do wody. Potężna fala natychmiast go nakryła, lecz mężczyzna dobrze pływał, więc wynurzył się na powierzchnię i wiedząc, czym grozi przebywanie obok tonącego okrętu, rozpaczliwie próbował dotrzeć do lądu. Morzkulce dopadły go całym jazgoczącym stadem. Pożarły nieszczęśnika w kilka minut.

– Gdzie strzelać? – ponowił pytanie syn Macieja.

Ksiądz w panice rozglądał się po powierzchni morza. W jednej chwili zrozumiał, że morzkulce, zwabione zapachem krwi marynarza, stłoczyły się z prawej strony okrętu. Niczym rekiny czekały na kolejne ofiary.

– Wymierz z lewej strony, Macieju! – zdecydował natychmiast. Nie miał pewności, czy potwory przeszkodziły przy poprzedniej próbie ratunku, lecz słowa Maryki o Szalińcu kazały przypuszczać, że demon zrobi wszystko, by nie wypuścić ofiar.

Rybakowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Wszyscy na brzegu wstrzymali oddechy, gdy poniósł się huk, a wystrzelona lina przeleciała nad okrętem. Bloczek wylądował w wodzie. Ksiądz, wciąż patrząc przez kamień, zobaczył, że morzkulce natychmiast rzuciły się w jego kierunku.

– Ściągnijcie linę! Szybko! – ponaglił rybaków.

Jeden z marynarzy z tonącej jednostki, widząc linę, zsunął się niżej po maszcie. Udało mu się uchwycić jej koniec, co ratownicy przyjęli z westchnieniem ulgi.

– Chyba są obeznani z tymi nowymi przyrządami ratunkowymi – zauważył z zadowoleniem Maciej, widząc, że rozbitek wyciąga bloczek i przypina go do masztu. – Teraz! – wydał polecenie.

Rybacy trzymający końce grubej liny, przytwierdzonej obecnie bloczkiem do masztu, naciągnęli ją tak, że wzniosła się nad wodę, tworząc pomost pomiędzy wydumą a okrętem. Wkrótce w stronę rozbitków przesunięto ponad falami kosz. Ksiądz spojrział przez dziurkę kamienia. Morzkulce wyskakiwały z wody, lecz nie potrafiły dosięgnąć wikliny.

– Chyba się uda! – ekscytował się syn Macieja.

– Niech Bóg ma go w swojej opiece. – Ksiądz westchnął, gdy pierwszy śmiałek wsiadł do kosza i zacisnął na nim kurczowo dłonie.

Niežnośnie powoli przesuwał się nad wodą, a gdy wreszcie rybacy wyciągnęli go na wydumę, upadł bezwładnie na piasek. Siny z zimna, musiał tu dotrzeć tylko nadludzkim wysiłkiem.

– Dajcie mu araku na rozgrzewkę – zarządził ksiądz. – I spieszmy się. Tamci biedacy już długo nie wytrzymają.

Jakby na potwierdzenie tych słów kadłub okrętu złowieszczo zatrzeszczał pod naporem wody. Mimo to kolejni dwaj marynarze dotarli bezpiecznie na brzeg i podobnie jak pierwszy, opadli bezsilnie na ziemię.

– On coś mówi – powiedział rybak, który próbował napić rozbitka. – Nie rozumiem co.

Ksiądz przykucnął i przystawił ucho do zdrętwiałych ust marynarza.

– To po francusku – wyjaśnił po chwili. – Mówi, że na maszcie został kapitan, ale nie opuści okrętu, dopóki ten ostatni rozbitek z rufy nie zostanie uratowany.

– Godne szacunku – pochwalił Maciej. – W końcu kapitan schodzi na ląd ostatni, lecz tamtego nieszczęśnika nijak się nie da uratować.

– Marynarz mówi, że chłopak na tyle okrętu to syn kapitana – dodał ksiądz. – Więc tym bardziej nie zejdzcie.

– Rufa podniesiona coraz wyżej. Statek niedługo się przewróci – zawyrokował rybak. – Chłopak do masztu nie dotrze, nie ma najmniejszych szans. Przez kadłub przelewają się fale. Zmyją go jak nic.

Jakby wbrew rozsądnym słowom Macieja kapitan odpiął bloczek od masztu. Nawet z oddali widać było, że jego syn protestuje, kręci przecząco głową, lecz ojciec zamachnął się i rzucił mu linę. Chłopak złapał ją i stał niezdecydowany. Przez ryk fal nie docierały do brzegu słowa kapitana, choć on z pewnością coś krzyczał do syna, próbując przy tym gestykulować. Zsunął się przez to niżej na maszcie, więc natychmiast przywarł do niego bardziej, obejmując go z całych sił ramionami.

– No zapnij tę linę na burcie! Szybciej, chłopcze! – mruknął ksiądz.

– Nie wiem, czy coś z tego będzie, proszę księdza. – Maciej obserwował wnikliwie poczynania marynarza. – Udało mu się zamocować, ale lina jest znacznie niżej niż poprzednio. Do wody wleci jak nic.

– Chłopak wygląda na niedużego, może kosza nie dociąży – wyraził nadzieję jeden z rybaków.

Ratownicy czekali w pogotowiu, by zacząć ciągnąć linę, lecz rozbitek nadal nie wsiadał do podsuniętego kosza. Kapitan trzymał się masztu tylko jedną ręką, a drugą zawzięcie gestykulował, nakazując chłopakowi, by ten się natychmiast ratował. Wreszcie usłuchał. Nie usiadł, jak poprzedni uratowani marynarze twarzą do lądu, lecz tak, by cały czas widzieć swojego ojca.

– Cóż on najlepszego robi? – zdenerwował się Maciej. – Przecie nie będzie widział, jak daleko ma do brzegu.

– Wie, że patrzy na ojca ostatni raz w życiu – wyjaśnił drżącym głosem ksiądz. Przyłożył kamień do oka. Wcześniej starał się to robić dyskretnie, stojąc za plecami rybaków, lecz teraz nawet nie zwracał na nich uwagi. Z zapartym tchem lustrował wodę pod chłopakiem. Morzkulce kotłowały się, jakby wyczuwając, że kosz się obniża. W połowie dystansu do brzegu prawie dotykał spienionej wody.

– Nie uda się – jęknął syn Macieja, gdy zauważył, że nadchodzi kolejna, znacznie wyższa od poprzednich fala.

– Ciągnijcie z całych sił! – krzyknął ksiądz.

Chociaż rybacy walczyli, jak mogli, wielki bałwan w całości nakrył kosz. Chłopak zniknął ratownikom z oczu.

– Pomóżmy mu jakoś! – wrzasnął syn Macieja. Napatrzył się na śmierć dorosłych ludzi morza, lecz poczuł nagłą wspólnotę z nastoletnim jak on chłopcem. Jego śmierć nie mieściła mu się w głowie, a serce ścisnęło się z żalu.

– Jak pomóc? – odparł smętnie Maciej. – Nijakich nadludzkich mocy nie mamy.

Te zwyczajne słowa sprawiły, że ksiądz ocknął się z otępienia. Morzkulce krążyły chmarą w miejscu, gdzie fala zalała kosz. Duchowny poczuł, że kamień znów wibruje i rozgrzewa się w jego dłoni. Bezwiednie wysunął go przed siebie, jak zwykł to czynić z krzyżem, i zaczął się żarliwie modlić na głos. Zdawało mu się, że morzkulce cofają się jak oparzone, lecz nie miał pojęcia, czy przestraszyła je moc słów, czy aura bijąca od wiedźmiego kamienia.

– Zobaczcie! Nie zmyło go! Wciąż trzyma się kosza, choć pewnie długo się już nie utrzyma. Dalej, ruszcie się! Trzeba zdążyć przed

kolejnym bałwanem! – krzyknął jeden z rybaków.

Teraz poszło już sprawnie. Kompletnie przemoczony, blady jak płótno najwyżej piętnastoletni chłopak dotarł wreszcie do wydmy, a z kosza wyciągały go gorliwie dłonie rybaków.

– *Mon père!* – krzyknął i poderwawszy się natychmiast, pokazywał palcem przytulonego do masztu kapitana. Chłopak był wycieńczony, słał się na nogach, jednak troska o rodzica okazała się silniejsza.

– Nic już nie zrobimy, chłopcze – odparł po francusku ksiądz. – Nie ma więcej rakiet. Trzeba czekać, aż minie sztorm, a wtedy rybacy popłyną po niego łódką – dodał, sam nie wierząc we własne słowa.

– Zobaczcie! – Maciej wskazał miejsce za okrętem.

Od strony horyzontu nadchodziły ogromne fale, widoczne z bardzo daleka. Wzmogła się też siła wiatru. Burza, zamiast się uspokajać, znów nabierała mocy. Rybacy zaczęli się żegnać, wiedząc, że los kapitana jest przesądzony. Ksiądz spojrział przez kamień i struchlał. Tam, gdzie ratownicy widzieli unoszącą się gwałtownie wodę, on zobaczył ogromną sylwetkę. Z każdą chwilą, gdy się przybliżała, dostrzegał więcej szczegółów: zielonkawy umięśniony tors, głowę kojarzącą się z rybim pyskiem i szeroko rozłożone masywne ramiona zakończone gigantycznymi dłońmi z błonami pławnymi. To właśnie nimi Szalińc popychał masy wody w stronę uwięzionego okrętu.

– *Mon père!* – wykrzyknął znów z rozpaczą chłopak.

– Odwróć się, chłopcze. Nie patrz na to! – Odrętwiały ze strachu ksiądz przygarnął na siłę chłopaka do siebie i zdecydowanym ruchem przycisnął jego głowę do swojej klatki piersiowej, tak żeby ukryć jego twarz w fałdach swojego ubrania. Chłopak szarpnął się,

lecz po chwili dał za wygraną. Zamiast tego rozsłochał się rozpaczliwie, aż zaczęły mu drgać ramiona. – Boże, miej go w swojej opiece! – Ksiądz zaczął się głośno modlić.

Kapitan doskonale wiedział, co się dzieje. Nim ogromne fale go dopadły, spojrział w stronę brzegu i wyciągnął w pożegnalnym geście dłoń w stronę ratowników. Kadłub zajęczał w zderzeniu z masą wody, po czym maszt się złamał, a okręt ze zgrzytem przewrócił się na bok.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie – wyszeptał ksiądz. Bałwany niemal przelały się przez wydmę, więc ludzie odsuwali się w popłochu. Ksiądz zerknął przez kamień, lecz nie zauważył już niczego nadprzyrodzonego. – Zabierzmy tych ludzi do wsi, zanim się całkiem pozazębiają – zarządził.

Szli w ciszy, którą mącił jedynie wicher i żałosne łkanie osieroconego chłopaczka.

– Wezmę go do siebie, dobrze, proszę księdza? – zapytał cicho Maciej. – Rozpaczy to nie ukoi, ale może towarzystwo mojego syna nieco go na duchu podniesie.

– Dobry pomysł, Macieju. Później trzeba będzie przepytac marynarzy, skąd pochodzą, i odesłać do domu. Ale najpierw muszą nabrać sił. Niech piją herbatę. Powiedzcie kobietom, żeby przyszykowały im łóżka. Rozpowiedzcie, gdzie się da, że mszę wyznaczam na dziesiątą.

Nieludzko wyczerpany ksiądz poszedł na plebanię. Wiedział, że nie uśnie, choć nie spał od ponad doby. Zresztą, dochodziła już dziewiąta rano, więc pójście do łóżka nie miałoby większego sensu. Zamiast tego umył się starannie i ubrał.

Do kościoła poszedł okrężną drogą przez cmentarz. Chciał sprawdzić, jakie szkody wyrządziła długotrwała nocna ulewa. Poprzewracane, niedopalone świecek sprawiałały przygnębiające wrażenie, nie mniejsze niż trzy starsze nagrobki przygniecione zwalonym drzewem. Pomiedzy nimi wystawał spod ziemi kawałek kamienia. Ksiądz przypomniał sobie dziwny pagórek, jaki zobaczył poprzedniego wieczora. Pomyślał, że pewnie ulewny deszcz splukał z niego ziemię. Zaintrygowany znaleziskiem przykucnął i dłonią ściągnął na bok resztki mchu. Pod palcami poczuł regularne zagłębienia, więc przyjrzał im się z bliska. Na kamieniu był wyryty jakiś napis. Pochylił się mocniej.

– Maryka. Zginęła na morzu, 1698 – przeczytał drżącym głosem.

– Wielebny jeszcze nie w kościele?

Ksiądz odwrócił się gwałtownie i ujrzał Macieja.

– Wiesz, co to za nagrobek? – zapytał bez tchu.

– Coś tam wiem. – Rybak podrapał się w głowę. – Babka w dzieciństwie opowiadała. Okręt się wtedy rozbił, prawie tak samo jak dzisiaj. Ale wówczas nikogo nie dało się uratować. Następnego dnia na brzeg wypłynęły zwłoki, lecz tylko jednej kobiety. Nie wiadomo, co stało się z innymi. Babka mówiła, że ta utopiona dziewczyna była śliczna jak z obrazka i wyglądała, jakby po prostu spała. Nikt niczego o niej nie wiedział, ale wszystkich taka tkliwość ogarnęła na jej widok, że postanowili nadać jej imię i wypisać je na nagrobku. Jeszcze gdy byłem dzieckiem, ten nagrobek zniknął. A teraz wynurzył się spod ziemi jak gdyby nigdy nic? – zdziwił się Maciej.

– Wiesz, jak wyglądała? Babka mówiła?

– Tyle tylko że miała długie czarne włosy, które wyglądały tak, jakby dopiero co porządnie je wyczesła. Ludzie się dziwili, bo przecież woda z włosami robi, co chce... Czy ksiądz się dobrze czuje? – zaniepokoił się rybak, widząc bladą twarz duchownego.

– Nie, to nic. Pójdźmy do kościoła.

Przez dobry miesiąc układałem myśli w głowie, nim odważyłem się przelać je na papier. Kim właściwie była Maryka? Duchem, który nawiedza półwyspę? Ale jakże wówczas podałyby mi ów wiedźmi kamień? Czy mary mogą mieć cielesność? A może to tylko zbieg okoliczności? Może na jastarnickim cmentarzu leży zupełnie niewinna dziewczyna, a ja padłem ofiarą okrutnego żartu? Wszystkie te pytania już na zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Przeszukałem księgi parafialne w poszukiwaniu Maryki, lecz niczego nie znalazłem oprócz imienia i daty pogrzebu. Czasem myślę, że skoro na brzeg wypłynęła tylko jedna topielica, i to wcale nie poturbowana, może do końca kamień chronił ją przed morzkulcami? Modlę się więcej niż zwykle, żeby wyrzucić z głowy te wszystkie bluźnierstwa i zabobony, a im więcej czasu mija, tym bardziej wierzę w to, że mój umysł odmawia mi posłuszeństwa. Jutro wyjeżdżam z Rybaków, dostałem zgodę księdza biskupa i przenoszę się do parafii w głębi kraju. Kamień chciałem wyrzucić do morza, lecz coś mnie powstrzymało. Wcisnąłem go więc w ziemię koło głazu z inskrypcją nagrobną Maryki. Wyjeżdżam stąd z żalem, bowiem pokochałem Rybaki i ich mieszkańców, lecz jedynie z dala od morza zdołałem odzyskać zdrowy umysł.

*

Wóz zaprzężony w woła wjechał przed plebanię. Młody ksiądz z zadowoleniem zlustrował okolicę i uśmiechnął się szeroko. Nie miał pojęcia, że na Rybakach jest tak pięknie. Zeskoczył na ziemię, z zadowoleniem odnotowując, że kościół wygląda na zadbane, a plebania jest sielskim, niezwykle przytulnym budyneczkiem obramowanym łagodnie kołyszącymi się sosnami. Ich pnie właśnie barwił na pomarańczowo zachód słońca.

– Powitać dobrodzieja – rozległ się chrapliwy głos.

– Ktoś ty? – zapytał ksiądz, wpatrując się z ciekawością w mężczyznę stojącego przy drzwiach kościoła.

– Maciej, jeden z rybaków, proszę księdza – odparł tamten, pokornie trzymając czapkę w dłoniach.

– Dziękuję za miłe powitanie – powiedział z uśmiechem duchowny. – Nie wiem, czego wymagał od rybaków stary ksiądz, lecz przede mną nie musicie czapkować – dodał uprzejmie. – Jestem jedynie bożym sługą, a moim zamiarem jest doglądać jego owieczek w tym sielskim miejscu. O każdej porze dnia i nocy służę rybakom posługą pasterską.

Maciej nie odpowiedział. Uśmiechnął się zdawkowo do nowego włodarza. Ten, nieco zmieszany, odwrócił się do woźnicy i nakazał mu wnieść bagaże na plebanię.

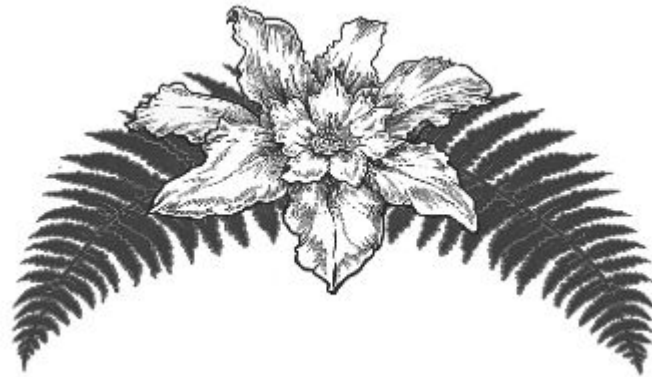
– Wszyscy jesteście tacy sami – zachichotał rybak. Namacał w kieszeni kamień wygrzebany z mogiły Maryki i poszedł w stronę wiku. Zaczynał się sezon polowania na wrony, smakołyk wszystkich mieszkańców Rybaków.



MAŁGORZATA STAROSTA

Noc Kupały w Babiborze

Małgorzata Starosta – gejzer pozytywnej energii i wodospad świetnych pomysłów. Wrocławianka z korzeniami na Kresach Wschodnich, polonistka dyplomowana i etnolożka niedyplomowana. Poliamorycznie zafascynowana Wrocławiem i Podlasiem. Niestrudzona orędowniczka przywrócenia kryminału ironicznego do łask. Autorka komedii obyczajowo-kryminalnych i nie tylko. Wbrew powszechnej opinii jej ulubionym kolorem jest zielony, choć różowy lubi coraz bardziej. Wydała już kilkanaście powieści, które zostały bardzo ciepło przyjęte przez czytelników. Z niesamowitym humorem potrafi opisać rodzinne perypetie lub poszukiwanie mordercy przez domorosłą panią detektyw.



Za oknami dzień dopiero budził się do życia, o kogutach nie wspominając, tymczasem Julka od dobrego kwadransa przewracała się z boku na bok, nie mogąc ponownie zasnąć, a wstawać też jej się jeszcze nie chciało.

Basia również obudziła się zadziwiająco wcześnie, choć właściwie nic aż tak bardzo jej nie trapiło. Zerknęła przez okno i stwierdziwszy, że brzask powoli wynurza się zza horyzontu, przeciągnęła się niczym kotka i wyskoczyła z łóżka. Mijając drzwi do sypialni Lilki, zauważyła, że także ona już nie śpi, co wydawało się wyjątkowo zaskakujące. Basia popchnęła uchylone drzwi i uśmiechnęła się promiennie do sobowtóra Lindy Evangelisty wykonującego codzienną poranną gimnastykę.

– A cóż to za święto lasu, że panna Laskowska już na nogach? – zapytała bez złości.

– Dziwne, nie? – Lilka wymachiwała długimi nogami, dotykając naprzemiennie wyciągniętych w przód rąk. – Jakby mi ktoś wstrzyknął coś na pobudzenie.

– Wiem, o czym mówisz. Idę na dół, kawy chcesz?

Oczywiście, że chciała, wiadomo przecież, że przed pierwszą kawą życie nie ma sensu, nawet gdy człowiek budzi się z zadziwiającą energią przed nastaniem świtu.

Basia zbiegła po schodach i tuż po skręceniu w kierunku kuchni natknęła się na Alicję owiniętą zbyt dużym szlafrokiem w kolorze spranych majtek.

– O! – przywitała przyjaciółkę. – I ty też nie śpisz?

– Jeśli śpię, to wyjątkowo płytko i z otwartymi oczami – odpowiedziała Ala, po czym ziewnęła tak szeroko, że można było obejrzeć jej migdałki. – Coś mnie obudziło i dotąd nie wiem, co to było.

– Hmm, dziwne... – zastanawiała się czarnowłosa Basia. – Mnie też coś obudziło i Lilka już wymachuje odnóżami.

– Lilka? Coś takiego! – Drobniutka, miedzianowłosa Ala klapnęła na krzesło, oparła łokcie na stole i potarła perkaty nasek. – Może to przesilenie? Podobno przesilenie letnie działa na nasze dusze.

– Albo zwyczajnie coś nam nie dało spać.

Basia naląła wody do czajnika i zajęła się szykowaniem trzech kubków. Myśl o tym, że Julka wstanie przed dziewiątą, zwyczajnie nie mieściła się jej w głowie. Z tym większym więc zdziwieniem przyjęła jej pojawienie się w kuchni w chwili, gdy czajnik pstryknął, meldując gotowość do użycia.

– Dzień dobry miłym paniom – przywitała się uśmiechnięta od ucha do ucha śliczna blondynka o rysach tak przyjemnych dla oka, że można by ją wziąć za lalkę. Jasne pukle związała w fikuśny kok na czubku głowy, co znakomicie korespondowało z jej strojem:

granatowym welurowym dressem podkreślającym wszystkie atuty dziewczyny.

– Jak pragnę urosnąć, coś się święci – skwitowała Ala, marszcząc nos. – Tego jeszcze nie grali, żebyś ty była gotowa do życia przede mną.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – stwierdziła Julia i puściła do niej oko. – To się nazywa precedens.

– O matko z córką, chyba trzeba iść dać na tacę! – Lilka stanęła jak wryta w progu kuchni, wytrzeszczając oczy na złotowłosą przyjaciółkę.

– Ale o co wam chodzi? – zachnęła się Julka. – Zachowujecie się, jakby zdarzył się jakiś cud.

– A nie zdarzył? – podjęła temat Basia. – Jak długo cię znam, tak długo nie widziałam, żebyś miała w sobie coś ze skowronka.

– Odwalcie się, dobra? Wstaję późno: źle, wstaję wcześniej: jeszcze gorzej. – Julia nadąsała się jak mała dziewczynka i usiadła przy stole.

– Ja chyba wiem, co tu się dzieje – zawyrokowała Alicja, której ładne czoło zdradzało oznaki zamyślenia.

Trzy pary oczu spojrzały na nią z intensywnością, jakiej nie powstydziliby się żaden szanujący się hipnotyzer.

– Czy wy wiecie, jaki dziś jest dzień?

– Eee, noooo... – Lilka zerknęła na wiszący obok lodówki kalendarz, ale niewiele jej to dało, bo był z poprzedniego roku.

– Dziś jest Noc Kupały, duraki – westchnęła ciężko Alutka i pokręciła głową. – Dzień zdobywa władzę nad nocą, a dobro nad złem. Natura dała nam znak, że powinniśmy się przygotować.

– E tam – zbyła ją Basia. – Pewnie znów koty u Lubartowskich się darły albo psy ujadaly i dlatego się obudziłyśmy.

– Nie słyszałam żadnych psów – zapewniła Julka.

– Kotów też nie – poparła ją Lila.

– Bo to ani koty, ani psy – odparła Alutka z szerokim uśmiechem. – To Ksantypa obudziła nas, żebyśmy przygotowały się do świętowania.

Choć żadna z nich, pomijając, rzecz jasna, Alicję, nie przyznałaby się do wiary w istnienie Ksantypy ani tym bardziej w jej moc kierującą życiem uroczyska, żadna też nie ośmieliła się wyrazić głośno swojej opinii. Na wszelki wypadek, żeby nie kusić licha i nie igrać z siłami, które niemal z całą pewnością nie istnieją, wołały przemilczeć rewelację Ali. Ostatecznie wyglądało to tak, jakby uwierzyły w interwencję strzegącej Puszczy Białowieskiej czarownicy i przyjęły z pokorą fakt, że najbliższa noc nie będzie bynajmniej zwyczajna.

*

– Proszę się przesunąć. Przepraszam. Uwaga, miejsce dla sołtysowej! – Malwina Maślankiewicz uskuteczniała slalom między rozstawiającymi rusztowania mężczyznami. Wokół i między drzewami rozwieszano girlandy wykonane przez Babiborskie Koło Gospodyń Wiejskich, na gałązki zarzucano uplecione z magicznych ziół warkocze, a na środku świętego gaju, stanowiącego centralny punkt uroczyska, układano kamienne okręgi, w których po zmierzchu zapłoną ognie.

– Pani Tarnacka, nie widziałam pani na ostatniej próbie grupy teatralnej – odezwała się zaczepnym tonem Malwina.

Siedząca po turecku kobieta podniosła wzrok znad plecionego z rumianku wianuszka i uśmiechnęła się blado.

– Ach tak, pani Malwino... lumbago mi dokucza – odpowiedziała przepraszającym tonem.

– To może zacznie pani cieplejsze majtki nosić, a nie te koronkowe bezceństwa – odparła Maślankiewiczowa i ruszyła dalej.

Teresa Tarnacka oblała się rumieńcem, po czym odruchowo obciągnęła spódnicę, która sięgała do połowy łydki. Z całą pewnością nie było widać spod niej koronkowych bezceństw, a jednak ta upiorna sołtysowa je dojrzała.

– Panie Ludwiku, panie Ludwiku! – wrzasnęła Malwina do stojącego na drabinie mężczyzny. – Przecież to nie tak się wiesz, w drugą stronę niech pan to wygnie!

– W drugą stronę się nie da, pani Maślankiewiczowa, bo inaczej wszystko się spali.

– Czy ja panu płacę za myślenie, czy może za wieszanie? – upierała się sołtysowa.

– Właściwie to za nic, w ramach wolontariatu to robię – odparł mężczyzna.

Malwina zmrużyła oczy, oparła dłonie na biodrach, rozstawiła nogi nieco szerzej i syknęła jak rasowa żmija:

– A ten wolontariat jest à propos myślenia czy wieszania?!

– No... wieszania?

– To niech pan wiesz i nie dyskutuje, bo skoro się pan zgodził wolontariacko, to pan jest najwyraźniej *volens*, a nie *cogitandi*!

Ludwik Luberda, miejscowy cieśla i dekarz, zacisnął usta w cienką linię i stłumił wewnętrzny bunt, jaki się w nim obudził. Nie miało sensu wszczynanie awantury, zwłaszcza że gołym okiem było

widać, iż Malwina Maślankiewicz musiała wstać lewą nogą, a w dodatku jej małżonek, miłościwie panujący w Babiborze sołtys Mieczysław Maślankiewicz, nie podołał zadaniu okiełznania wściekły swojej połowicy, wystawiając swój ukochany lud na łaskę oraz, co gorsza, niełaskę apodyktycznej sołtysowej.

Tadeusz Tarnacki, listonosz z zawodu i plotkonosz z zamiłowania, rychło rozpoznał stan ducha Malwiny i przezornie usunął się z jej światopoglądu, co ułatwił kilkusetletni dąb, za którym zasuszony staruszek schował się, gdy tylko Maślankiewiczowa ofuknęła jego siostrę. Na ten sam pomysł, dokładnie w tym samym momencie, wpadł starszy sierżant Szelest, na którego, nomen omen, wpadł Tarnacki.

– Noż skurczyflaku chędożony! – syknął nienachalnie urodziwy, samozwańczy komendant policji. – Ludzi nie widzisz?! Okulary sobie spraw!

– Ciiiiii, bo nas usłyszysz! – odparował wściekłym szeptem Tarnacki.

Podziałało. Złość sołtysowej potrafiła zmobilizować największych maruderów, bano jej się jak ognia i rzadko kiedy doprowadzano Malwinę do stanu furii. Tak na wszelki wypadek, żeby nie budzić licha.

Prace nad przygotowaniem wieczornych uroczystości trwały w najlepsze, mimo odzywających się co jakiś czas pomruków niezadowolenia sołtysowej albo wybuchających sporadycznie kłótni o to, którego zioła powinno być więcej czy też jak powinno się układać kwiaty w wiązance, żeby przyniosła szczęście, a nie parchy.

Cztery właścicielki siedliska pracowały w milczeniu, skupione na powtarzaniu ruchów rąk zaprezentowanych im przez Ninę

Nadworską i jej siostrę, matuszkę Melanię.

– Jakoś mi to krzywo wyszło, ujdzie? – Lilka podstawiła luźno spleciony wianek pod oczy Melanii.

– Ujdzie, ujdzie, tylko niech Lila dołoży trochę dziewanny – poradziła żona popa.

– Może lepiej krwawnika – zasugerowała Nina – albo szaławii. A ty, Natalia, szaławii nie wplataj, tobie już ani nie trzeba, ani nie wolno!

Jedyna córka Niny Nadworskiej łypnęła na matkę ze złością, ale słowem się nie odezwała. Zasłużyła sobie na przytyki, ale tej nocy miała nadzieję sprawę raz a dobrze załatwić. Niech no tylko ten wianek uwije, a potem pójdzie już gładko i nie tylko nie urodzi bajstruka*, ale i męża pozyska.

– A jakby tak ktoś chciał się odkochać, to jakie zioła potrzebne? – zapytała Julka, której wianek wyglądał imponująco.

– A po cóż to się odkochiwać, jeśli Pan Bóg miłość zesłał? – zdumiała się Melania.

– A matuszka chciałaby kochać się w kimś, kto matuszki nie chce? – dociekała Julia, nie śmiąc podnieść wzroku, a już szczególnie uważała, żeby nie zerkać na okrągły brzusek Natalii.

Wbrew obawom Julki Melania wcale się nie roześmiała, wręcz przeciwnie: oderwała wzrok od sukni, do której przyszywała liście bylicy, i spojrzała na dziewczynę z uwagą.

– O miłość trzeba walczyć – odpowiedziała z zaskakującą powagą. – Rzadko komu zdarza się, że uczucie wybuchnie u obojga równocześnie. – Matuszka zerknęła na Lilkę, której tęskny wzrok, przeszywający Julkę na wylot, zdradzał wszystko. Jeśli, oczywiście, chciało się widzieć. – Ja o Kolę walczyłam dwa lata, a taka byłam

uparta, że choćby mi archanioła za niego oferowano, to w życiu bym nie ustąpiła.

Alicja poczuła ukłucie smutku. Od tygodni tłumiała w sobie obawę, że jej małżeństwo, zrodzone z wielkiej i wzajemnej miłości, sypie się w gruzy, a właściwie rozmywa. Artur w Norwegii, ona na Podlasiu. Nie potrafiła już nawet przypomnieć sobie jego głosu, tak rzadko ze sobą rozmawiali.

Basia także siedziała z nosem na kwintę, co jakiś czas rozglądając się niby od niechcienia. Jeśli zaś sądziła, że nikt nie zauważył uśmiechu błakającego się na jej ustach, gdy w zasięgu wzroku pojawił się Piotr Piasecki, to była w błędzie, ale ten przecież nikomu nie szkodził.

– Łatwo powiedzieć, pani Melanio, ale w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz – stwierdziła Julka z filozoficzną nutą, czym wzbudziła ciekawość swoich przyjaciółek. Julka zakochana? Tak na serio? A to ci heca...

– No tak, prawda to – stwierdziła Nina i łypnęła złym okiem na córkę. – Jeśli Julcia nieszczęśliwie zakochana, to leszczyny do wianka niech napcha, pomoże odzyskać siły.

Julcia poderwała się natychmiast i pomknęła w stronę gęsto zadrzewionego leszczynami gaju. Urwała kilka witek i wcisnęła je do swojego wianka. Gdy wracała, nucąc pod nosem piosenkę zasłyszaną od którejś z kobiet, kątem oka dostrzegła rudą głowę posterunkowego Sebastiana Sierzanta, który żwawym krokiem zmierzał w stronę wsi.

– Panie Sierzancie, a pan dokąd? – zakrzyknęła radośnie.

– Sprawę mam do załatwienia, ale wróć! – odparł policjant, jednak w jego tonie nie było słychać radości.

– Byle przed zmrokiem, jeśli nie chcesz być nieszczęśliwy przez następny rok! – odpowiedział mu starczy głos, którego z żadnym innym nie dało się pomylić.

Z drugiej strony, mijając drzewo dające schronienie Tarnackiemu i Szelestowi przed wzrokiem Malwiny, zbliżała się para Maślankiewiczów. Maleńka posturą, za to wielka duchem Marlena, nestorka rodu, i wysoki, przystojny, a także młody, Mieczysław.

Na dźwięk głosu babki Maślankiewiczowej w Malwinie zastygła krew. Tego jej tylko brakowało, złośliwej jędry, która ani chybi wykorzysta ten dzień na dokuczanie żonie wnuka. Diabli nadali to stare próchno, myślała ze złością sołtysowa, a ona takie miała plany na wieczór! I nawet bieliznę koronkową z katalogu ekskluzywnego zamówiła. Laużeri, tak to się chyba nazywa. Psiakość!

– Malwino, dlaczego tu jeszcze nic nie jest gotowe? – zapytała staruszka, rozglądając się z niezadowoleniem. – Już dawno po południu, niedługo zacznie zmierzchać, a tu nawet nie ma gdzie ognia rozniecić.

– Niech się babcia nie martwi, wszystko będzie na czas – odparła oschle Malwina.

Rozejrzała się za mężem, który powinien ją wspierać, jednak nigdzie nie było go widać. Kiedy on zdążył prysnąć? Uff, nie prysnął, tam jest. Ale... Zaraz, z kim on rozmawia?

Malwina wyteżyła wzrok i poczuła, jak serce jej przyśpiesza, a atak apopleksji mruga do niej zalotnie. Melska! Monika Melska, ta chuda larwa! I co ten Miecio od niej chce, bo czego ona chce od Miecia, to Malwina już doskonale wiedziała. Wyrwała jej go ze szponów, z czym ta wywłoka nigdy się nie pogodziła! Wzięła nawet i nauczyła się tego całego prawa unijnego, żeby z Mieciem

w urzędzie gminy przesiadywać. Wielkie mecyje, ona, Malwina, też mogłaby się nauczyć, ale po co to sobie głowę zaśmiecać, skoro dostęp do internetu jest i każdą rzecz można wygooglować? Tym właśnie różni się człowiek inteligentny od nieinteligentnego: inteligentny potrafi korzystać z dobrodziejstw cywilizacji i w razie potrzeby sięgać po wiedzę, zamiast ją bezmyślnie gromadzić.

Z fantazjowania na temat tego, jaką śmierć zamówiłaby Malwina dla Moniki Melskiej, wyrwał ją ostry głos Marleny:

– Słuchasz ty mnie w ogóle?!

– Pardą? Babcia wybaczy, nie słuchałam, zajęta byłam.

– Widzę właśnie, w twoim wieku będzie się to zdarzać coraz częściej – zakpiła staruszka. – Może ja ci jakichś ziółek zaparzę, żebyś przypadkiem nie odpłynęła w trakcie święta?

– Dziękuję, nie trzeba, przygotowałam sobie maść z nasięźrzału – odparła odruchowo żona Miecia.

Marlena skrzywiła się brzydko po tych słowach i splunęła, zupełnie nie jak dama.

– Tfu, Malwino, w twoim wieku takie rzeczy?! Przynajmniej głośno byś tego nie mówiła.

– A co ja takiego powiedziałam? – zdziwiła się sołtysowa. – Noc Kupały to noc miłości i ani myślę zmarnować choćby sekundę.

– I kąpać też się zamierzasz? – W pytaniu Marleny słysząc było zarówno wstręt, jak i panikę.

– Oczywiście.

– O święci pańscy! – Staruszka chwyciła się za serce teatralnym gestem. – To ja siadam daleko, żeby na to nie patrzeć.

Malwina nie zaszczyciła jej żadną ripostą, skupiła się bowiem na pilnowaniu wzrokiem męża, który spacerowym krokiem oddalał się

od świętego gaju, a przebrzydła Melska oddalała się wraz z nim. Sołtysowa wcisnęła zaskoczonej Marlenie wiązankę z kwiatów i ziół, po czym ruszyła w ślad za małżonkiem.

Tymczasem Szelest, obserwujący scenę zza wielkiego dębu, przesunął się nieco w lewo, skąd mógł bez przeszkód podglądać układającą bukietki z kwiatów Sylwię Sierżant. Kobieta, zupełnie nieświadoma bycia obserwowaną, uśmiechała się do siebie, nucąc jakąś ludową melodię. Szelest z uwielbieniem przyglądał się delikatnym dłoniom, które z zaskakującą zręcznością spletały zielone łądźki, a następnie owijały je czerwoną wstążeczką. Starał się zapamiętać wygląd wianka uwitego przez Sylwię, żeby natychmiast wyłowić go po spuszczeniu z nurtem rzeki.

– A co tu się wyprawia?! – ryknęła tuż nad jego głową Malwina. – To taki przykład daje pan komendant? Pod drzewem sobie wywczasu urządził, kiedy cała wieś pracuje?!

Nie tyle zawstydzony, ile zaskoczony starszy sierżant spłoszył w okamgnieniu i języka w gębie mu zabrakło. W normalnych okolicznościach zapewne uniósłby się honorem i spróbował Marlenę zakrzyczeć, jednak udało jej się złapać go *in flagranti*. Z nosem na kwintę podniósł się spod drzewa, otrzepał portki i ruszył w kierunku stosu drewna, które posłużyć miało do rozpalenia ognisk.

– Dobrze mu tak – bąknęła Julka, wróciwszy z polowania na leszczykę.

– Ja bym mu za karę kazała te wszystkie wianki upleść – syknęła Lilka, najwyraźniej niemająca zdolności manualnych. Co innego nokautujący wygar z patelni.

– Ale wy jesteście podłe i złośliwe – stwierdziła Alutka, która serce miała złote i szlachetne jak mało kto. – Ja wierzę, że nawet

w panu Szeleście jest dobro, tylko trochę głębiej ukryte.

– Mhm, w siódmym kręgu piekieł, tuż za tronem Lucyfera – skwitowała Julka i wszystkie dziewczęta zachichotały.

– Naprawdę nie wiem, Alu, czy istnieje na świecie kobieta, która podjęłaby się dokopania do tej jego dobrej części – odezwała się Basia. – Niektórzy ludzie robią wszystko, żeby inni nie mogli ich znieść.

– Nie każdy zasługuje na miłość. – Lilka miała nadzieję, że ona się do takich nie zalicza.

– A ja wierzę, że każdy – odparowała Ala. – Miłość potrafi zmienić każdego, tylko nie każdy ją do siebie dopuszcza.

– A co tu się tak romantycznie zrobiło? – Wysoka i zgrabna posterunkowa Agnieszka Antkowiak pojawiła się tuż obok Julki zupełnie zniecka.

– Lepszej pory ku temu raczej nie będzie – zauważyła Nina Nadworska. – Natalia, idź zobaczyć, czy ojcu pomoc nie jest potrzebna.

Z głośnym stęknieniem brzemienna Natalia podniosła się z ziemi i poszła szukać ojca, który wraz ze Szczepanem Szymczakiem zajmował się przygotowaniem drewna.

– Wciąż nic? – rzuciła Nadworska do Antkowiak.

– Ani-ani – odpowiedziała policjantka. – Sebek rozpuścił wici, ale ślad urwał się we Wrocławiu.

Julka zamarła, a po jej kręgosłupie spłynął lodowaty dreszcz. Czyżby chodziło o Karola? Ostatnią pocztówkę wysłał jej właśnie z Wrocławia. Nadstawiła uszu, pilnując, żeby nie zdradziła jej mina.

– Cholera jasna, jak tak dalej pójdzie, to mi dziewczucha z bajstrukiem zostanie, a szwagier do kościoła nie wpuści.

– Wpuści, wpuści, już ty się o to nie bój – pocieszyła Ninę siostra. – Jak będzie trzeba, to napisze się, gdzie trzeba, żeby oko przymknęli. Zostaw to mnie.

Uspokojona słowami matuszki Nina wróciła do plecenia wianka porzuconego przez Natalię i na wszelki wypadek wplotła do niego czerwoną wstążkę. A nuż Perun przychylnym okiem spojrzy i pobłogosławi Natalii dobrym mężem.

Tymczasem zignorowana przez Malwinę Marlena zajęła się szykowaniem ziół, których magiczne moce miały za zadanie chronić wieś od złego. Przekazywana od wieków legenda dotycząca Nocy Kupały mówiła bowiem o tym, że gdy dzień zwyciężał panowanie nocy, na ziemię schodziły złe duchy. Aby je odpędzić, należało palić zioła, których zapach odstraszał złe. Niosące się wraz z letnim wiatrem opary dziurawca, dziewanny, rumianku, ruty i pokrzywy otulały ziemię, strzegąc ją przed magią, której nie boją się jedynie wiedźmy.

– Chłopak będzie – rzuciła babcia Maślankiewiczowa do Natalii, kiedy dziewczyna mijala ją, idąc do ojca.

– Hę? – Jedynaczka Nadworskich nie grzeszyła intelektem, urodą zresztą też nie. Nadrabiała natomiast ochotę, której efekt wyraźnie rysował się pod materiałem sukienki.

– Syna pod sercem nosisz, głupie dziewuszysko – syknęła staruszka. – Zdrowego i silnego jak ojciec.

Natalia odruchowo pogłaskała się po brzuchu, zerknęła na matkę, która na szczęście zajęta była rozmową z posterunkową Antkowiak, i zbliżyła się do Marleny.

– I babcia Maślankiewiczowa to tak... widzi? Jakby mi brzuch prześwietlała oczami?

Marlena odłożyła wiązki ziół i popatrzyła na dziewczynę spod oka.

– Widzę, dziecko, widzę. I widzę też, że nie tego, co trzeba, chłopaka twoja matka szuka.

– Ciiii! – Natalia rzuciła się do kolan szeptuchy. – Cicho, niech babcia nic nie mówi! Ja mam pomysł, jak to załatwić, ale potrzebuję pomocy.

Marlena dotknęła czoła dziewczyny.

– Musisz na siebie uważać, dziecko, teraz odpowiedzialna jesteś za was dwoje. Kochasz go?

To pytanie zaskoczyło Natalię. Nie wiedziała też, którego „jego” dotyczy: ojca czy syna. Po krótkim zastanowieniu uznała jednak, że kocha obu, więc odrzekła cicho:

– Tak.

– A on ciebie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zacisnęła usta.

– Czyli chcesz, żeby cię pokochał? – domyśliła się szeptucha. – I chcesz się z nim połączyć dzisiaj?

Nieśmiały uśmiech pojawił się na obliczu Natalii, a w oczach zabłysła nadzieja. Co z tego, że jej ciotka jest matuszką? Co z tego, że wierzy w Pana Boga? Kto jej zabroni wierzyć także w Mokosz, Swaróżyca i Peruna? A nade wszystko: kto jej zabroni wierzyć w magię?

Jakby czytając w myślach Natalii, Marlena zniżyła głos do szeptu i poinstruowała ją dokładnie:

– Idź no, dziecko, narwij kwiatów i ułóż je w równiankę. Dla bezpieczeństwa dołóż nasięźrzału i bylicy, a nie żałuj, wszak intencję mamy jasną. – Zajrzała w oczy Natalii, aby upewnić się, że

dziewczyna wszystko zrozumiała. – Przygotuj miskę, byleby czysta była, najlepiej cynowa, a do miski zaczerpniesz wody z jeziora. Tylko pamiętaj, żeby do miski nie zaglądać przed północą! A po północy wstawisz ją w równiankę, pomyślisz o lubym i trzykrotnie wypowiesz zaklęcie: „Najmilszy przychodzi pić”. Zrozumiałaś?

Natalia niepewnie skinęła głową.

– Powtórz, co masz powiedzieć o północy – zażądała szeptucha.

– Najmilszy przychodzi pić – wymamrotała pobladłymi wargami dziewczyna.

– Bardzo dobrze, tylko może z życiem, żeby cię jaki nieboszczyk nie nawiedził – skwitowała Marlena, a Natalia zbladła jeszcze bardziej. – I pamiętaj, żeby myśleć o tym chłopcu, którego chcesz przywołać, a nie o tym, którego akurat przypadkiem spotkałaś i który się do ciebie uśmiechnął. Rozumiesz?

Tym razem pokiwała głową energiczniej, a Marlena poklepała ją po ramieniu.

– No dobrze, to idź już, bo zaraz nas zaczną podejrzewać, że my tu jakieś czary przeciw twemu bajstrukowi planujemy.

Natalia podniosła się z klęczek i ruszyła w stronę matki. W ostatniej chwili zmieniła jednak zdanie i postanowiła natychmiast udać się na poszukiwanie miski. Jaka ona miała być? Cynowa? O bogowie, jak wygląda cyna?

Zerknęła jeszcze przez ramię, w stronę leszczynowego gaju, w którym młodzi chłopcy siedzieli na kamieniach i moczyli nogi w strumyku. Z przyjemnością zauważyła, że oni też na nią spoglądali, a jeden to nawet dwa razy, a gdy uśmiechnęła się do niego, to mu źdźbło trawy z ust wyleciało, tak je rozdziawił.

Na skraju lasu, tuż obok plebanii księdza Antoniego, minęła posterunkowego Sierżanta zmierzającego w przeciwną niż ona stronę. Chyba jej nie zauważył, zamyślony był i jakby całkiem nieobecny. Nie żeby jej to przeszkadzało, Sebek nie był w jej typie, co innego Szymek od Szymczaków, ale on już zajęty. Chociaż w sumie wcześniej mu to nie przeszkadzało, ale teraz mówi, że „żonaty”. A przecież to ta sama, którą zdradzał z Natalią w lesie, kiedy jeszcze u ołtarza nie byli, to co mu za różnica? A może jemu o brzuch Natalii chodzi, że niby z ciężarną nie może... Szkoda, że Książek dał nogę, ten to był ładny chłopak i jak całował! Co prawda za stodołę nie dał się zaciągnąć, nawet gdy kusila go przeźroczystą sukienką, pod którą miała tylko to, co od Pana Boga przy narodzinach dostała. Szkoda wielka, ładna byłaby z nich para.

Tak rozmyślając, minęła dom należący ongiś do Olgi Olszewskiej, którego losy miały niebawem znaleźć się w porządku obrad rady sołectwa, i zorientowała się nagle, że znalazła się na terenie siedliska. Rzecz jasna w domu nikogo nie było, bo właścicielki, cztery sympatyczne dziewczyny, pomagały w przygotowaniu obchodów Nocy Kupały, ale przecież mogła usiąść sobie nad jeziorem, popatrzeć na wodę, pomyśleć.

– Ciekawe, co tu mają – szepnęła do siebie, zauważywszy uchylone drzwi do stojącego w zachodniej części ogrodu niewielkiego budynku gospodarczego, potocznie nazywanego pierdolnikiem.

Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. W ciemnościach, za ledwie odrobinę rozświetlonych przez wpadające promienie słoneczne, widziała jedynie zarysy przedmiotów upchniętych aż po sufit. Nie chciała otworzyć drzwi szerzej w obawie, że zawartość składziku

wysypie się ze środka i, nie dajcie, bogowie, ją przygniecie. Zrezygnowała więc z wytrzeszczania oczu, co nie przynosiło żadnego efektu poza nieprzyjemnym szczypaniem i łzawieniem, zostawiła składzik w spokoju i ruszyła w stronę pomostu. Mijając werandę, służącą nader często za miejsce spotkań towarzyskich, odniosła wrażenie, że coś zabłyszczało. A przecież nie powinno. Cofnęła się i spojrzała uważniej.

O wielkie nieba! Na Mokosz! Czy to możliwe?!

Na rattanowym stoliku stała miska. Metalowa, niezbyt duża, ale też nie malutka. W sam raz. Niewiele myśląc, Natalia podbiegła do schodków, pokonała je jednym susem, chwyciła miskę i pożyczyla ją sobie, uznając jej znalezienie za dobry omen. Teraz wystarczyło jedynie upleść girlandę i czekać do północy. Bułka z masłem!

Przepełniona dumą i zachwycona łatwością, z jaką udało jej się wykonać zadanie, ruszyła z powrotem na polanę, gdzie matka z pozostałymi kobietami kończyły wyplatanie ziołowych talizmanów.

Słońce pomału skłaniało się ku zachodowi, co oznaczało, że nadeszła pora, aby rozpocząć najważniejszą i najciekawszą część obrzędu związanego z przesileniem letnim. A bez względu na to, czy ktoś marzył o wielkiej miłości, czy chciał pozbyć się tej nieszczęśliwej, czy szukał przygodnego seksu – tej nocy wszystko było możliwe. Nawet to, co nie śniło się najstarszym szeptuchom.

*

Noc Kupały była jedynym momentem w roku, kiedy w Babiborze milkły dzwony kościołów. Batuszka z księdzem Antonim zajmowali się kosztowaniem ubiegłorocznych nalewek, słuchając największych

przebojów Louisa Armstronga, i udawali przed samymi sobą, a tym samym przed całym światem, że za oknem nie dzieje się kompletnie nic. A tymczasem działo się, że ach!

Polana w sercu świętego gaju, stanowiąca idealne centrum uroczyska, rozbrzmiewała głośnymi śpiewami, śmiechem i radosnymi rozmowami. Ogromne ognisko symbolizujące stos całopalny dla odchodzącego Jaryły, boga płodności, płonęło wysoko, sypiąc iskrami, co zwiastowało obfite plony. Babiborzanie dawno już odeszli od tradycji palenia na stosie kukły Jaryły, jej przygotowanie było bowiem nader czasochłonne, a nikt też szczególnie do tej roboty się nie kwapił. Uznawali więc, sprytnie, że Jaryle wystarczy wypalenie świeczki w wigilię kupalnocki, a obrzędy właściwe rozpoczynać się będą od etapu kolejnego. Nikt przecież nie może mieć pretensji o postęp, taka już natura ludzi i chwała im za to.

Na szczycie stosu, prastarym zwyczajem, płonęło obtoczone w smole koło z sześcioma szprychami, symbolizującymi sześć miesięcy roku. Koło od lat było to samo, a nad jego stanem czuwał Lucjan Luberda, syn Ludwika, który robił to wcześniej.

Wokół trzaskającego ognia utworzono korowód złożony z kobiet odzianych w białe szaty i uplecione specjalnie na tę okazję wieńce, które podskakiwały na ich piersiach przy każdym tanecznym ruchu. Wianki na głowie miały zaś wyłącznie panny gotowe do zamążpójścia.

Starszy sierżant Szelest niemalże wpadł w amok na widok Sylwii Sierżant wchodzącej na polanę w długiej lnianej sukni i przepięknym wianku zdobiącym jej głowę. Od lat czekał na sygnał jej gotowości do wejścia na rynek matrymonialny. Gapił się teraz na to dzieło jej delikatnych dłoni, jakby chciał wyryć na siatkówce oczu obraz

wianka, który zamierza złowić w następnej sekundzie po spławieniu go Narewką. Zapomniał tylko, że nad rzeką będzie ćmok, a on baterijki** ze sobą nie zabrał. Idiota.

Sebastian Sierżant, żeby pozostać przy rodzie Sierżantów, odmówił tańca w korowodzie, w ogóle nie zamierzał się bawić, a zjawił się na polanie tylko dlatego, że okrutnie bał się nieszczęścia, jakie mógłby na siebie sprowadzić, gdyby nie wziął udziału w uroczystości. Rozłożył się pod dębem, tym samym, pod którym wcześniej sołtysowa zdybała Szelesta, pod głowę wcisnął zwinięty w rulon tobołek z ubraniami matki i przyglądał się spod grzywy płomiennorudych włosów niczym nieskrępowanej zabawie. Trochę mu było żal, że tak sobie leży z boku, że nie tańczy, nie śpiewa, nie upaja się zapachem palonych ziół, ale postanowił, że dopóki nie spotka swojej rusałki o oczach niczym niezapominajki i z warkoczem w kolorze pszenicy, to nie będzie w ogóle zajmował się takimi pierdołami. Albo rusałka, albo żadna. O!

Marlena Maślankiewicz siedziała po drugiej stronie wielkiego niczym znicz Statui Wolności ogniska i radośnie merdała nóżką w takt piosenek intonowanych przez tańczących. Ktoś tam nieźle fałszował i stawiała na Szelesta, ale na szczęście fujarki nieco łagodziły bolesne dla uszu dźwięki. Babka Maślankiewiczowa, choć w życiu i po śmierci nigdy by się do tego nie przyznała, z przyjemnością patrzyła na swojego wnuka, który podskakiwał i pisał u boku swojej żony. Musiała również oddać sprawiedliwość Malwinie i z uznaniem stwierdziła, że w lnianej sukni sięgającej do połowy łydki sołtysowa wyglądała niemal jak rusałka. Co prawda utyta i trochę stara, ale po ciemku i kilku głębszych można by się nawet pomylić.

Natalia Nadworska też tańczyła, a jej okrągły jak piłka brzusek pięknie ukryła biała szata. Długie włosy ufarbowane na platynowy blond rozpuściła i teraz unosiły się jak promienie słońca przy każdym podskoku dziewczyny. Tylko na kogo ona tak się lampi? Na Szymczakowego syna? Przecież on żonaty i dziecko w drodze, nie może być! Nie! O bogowie, jeszcze gorzej, na tego przygłupiego chłopaka od...

Nagle coś trzasnęło w kniei, a wiatr ucichł niespodziewanie. Marlena zastygła w bezruchu, to samo zrobili tańczący wokół świętego ognia. Muzyka ucichła.

Sebastian Sierżant podniósł się jednym ruchem i nasłuchiwał. Nic. Cisza. Kompletna, niezrozumiała cisza.

Owa cisza dała się słyszeć także na plebanii, gdzie proboszcz z popem dojrzeli już do gry w karty i uzgadniali właśnie stawki, jakimi mogą licytować. W jednej chwili oświetlający pomieszczenie żyrandol zgasł, ale zaraz znów się rozjarzył. Księża zadarli głowy, jakby spodziewali się ujrzeć gigantyczną ćmę, która zasłoniła im na moment światło, jednak niczego podobnego nie dostrzegli.

– Wszelki duch... – wyszeptał batuszka Mikołaj. – Ki diabeł?

– A tobie co, Kola? Jużeś się nażłopał? – Antoni spojrzał na przyjaciela podejrzliwie, a widząc nieudawane przerażenie, on także zerknął na sufit.

Tuż nad głowami duchownych, zgodnie z wielowiekową tradycją wsi, pod powałą wisiał bukiet polnych kwiatów i ziół, które Melania zawiesiła tam poprzedniego wieczora. Gdyby Antoni nie widział na własne oczy, że kwiaty były świeżo zerwane, musiałby teraz uznać, że żona batuszki przyniosła mu suchy wiecheć, być może mający odstraszać komary czy mole. Wiązanka wyglądała

bowiem, jakby wyschła na wiór, co nie było możliwe, bo nikt w czerwcu nie palił w piecu. A jednak.

Proboszcz zamrugał kilka razy, po czym opuścił głowę i spojrzał w oczy przyjacielowi.

– Nie żeby przerażała mnie myśl o śmierci, ale trochę mnie jednak przerażała – stwierdził Antoni, nie mogąc się zdecydować, czy wierzy, czy może jednak niezupełnie.

– Doskonale cię rozumiem, bo i ja mierzę się z tym dylematem – poparł go Kola.

Siedzieli jeszcze przez chwilę w milczeniu, a następnie, wciąż bez słowa, postanowili temat zignorować. Antoni wlaź na stół, odciął bukiet od belki i wyrzucił go na kompost na tyłach plebanii. Kiedy wrócił, czekał na niego kieliszek mocnej jak pierun piołunówki, którą wypił jednym haustem i poprosił o repetę. Po trzech kieliszkach tak pop jak ksiądz proboszcz wiedzieli już, że nawet gdyby wróżba miała okazać się prawdą, niczego już się nie boją, a umieranie pewnie wcale nie boli aż tak bardzo.

Podobne myśli błąkały się w tym samym czasie w głowie Marleny Maślankiewicz, która co prawda zegnała się z życiem już co najmniej trzydzieści razy, ku rozpaczyci Miecia i radości Malwiny albo właściwie odwrotnie, niemniej wyglądało na to, że po tamtej stronie wcale nikomu aż tak bardzo nie zależało na zażywej staruszce, może i słusznie, wszak o niektórych wiedziała zbyt wiele. Tym razem jednak Marlena uwierzyła w nadchodzący wielkimi krokami koniec, bowiem wiele lat wcześniej sama sobie wywróżyła, że śmierć upomni się o nią tuż po tym, jak zapłonie Narewka. A Narewka w tej właśnie chwili rozjarzyła się, jakby ktoś ją polał benzyną i wypuścił fajerwerki.

Oniemieli uczestnicy zabawy ku czci Kupały zerwali się naraz do biegu i gromadnie ruszyli ku rzece. Ruszył także Sierżant, ale zaraz zawrócił, przypomniawszy sobie o leciwej Marlenie. Ujął staruszkę pod rękę i zaprowadził ją na miejsce dziwów, niemalże ciągnąc za sobą, tak mu było pilno.

Na wodzie, a w zasadzie nad wodą, unosiła się postać, czy może projekcja postaci. W mroku nocy bijąca od niej łuna musiała być widoczna z daleka, tymczasem nawet z bliska trudno było dojrzeć jej rysy. Przy jako takiej wyobraźni udawało się jedynie wykoncypować, że to na dole to nie macki, a poruszane podmuchami powietrza brzegi sukni.

– Ksantypa – szepnęła Marlena, ale nie dosłyszał jej nawet Sebastian, wpatrujący się w zjawę z rozdziawioną paszczką.

Nagle postać poruszyła się nieznacznie, uniosła prawą dłoń i wycelowwała ją w Julię. A potem w Alę, Basię i Lilkę. Następnie ledwo widocznym ruchem, w którym można było jedynie domyślić się podniesienia głowy, zmodyfikowała swoją pozycję, jak gdyby szukała kogoś w tłumie. W końcu znalazła, uniosła rękę i wskazała nią prosto na czoło Sebastiana Sierżanta. Z niewidocznych za zasłoną magicznego blasku ust popłynęły słowa, a wypowiadający je głos brzmiał słodko, aksamitnie i pozostawiał po sobie przyjemne uczucie, choć ich treść wcale przyjemna nie była:

*Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły:
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!
Cóż to za człowiek? – Umarły.*

Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,

*Gwiazda pamięci promyków użycza,
Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.*

*Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem,
Na świecie znowu, ale nie dla świata;
Czymże ten człowiek? – Upiorem.****

Postać znikła, a wraz z jej zniknięciem zrobiło się ciemno. Zahipnotyzowani sceną babiborzanie stali jak urzeczeni, nie mogąc poruszyć żadnym mięśniem. Nawet powieki im zastygły, jakby ktoś ich zamroził.

Mijały minuty, a oni wciąż stali, patrząc niewidzącym wzrokiem w pustą przestrzeń, niedawno rozświetloną przez niezrozumiałą fenomen. Nawet Marlena, której udało się rozpoznać w zjawie czarownicę, panią Puszczy Białowieskiej, odwieczną strażniczkę uroczyiska, nie śmiała czy też nie mogła wykonać żadnego ruchu.

I znów w kniei rozległ się dźwięk, który obudził ich z tego letargu. Zaczęli mrugać, stękać, drapać się po głowach i rozglądać wokoło, jakby żadne z nich nie pamiętało, w jaki sposób znaleźli się nad rzeką. Ktoś nagle zauważył, że zbliża się północ, a więc nadszedł czas, by rozpocząć ostatni etap obrzędu. Wrócili na polanę skonfundowani, pokrywając niepewność płytkimi rozmowami o niczym.

– Pamiętasz, co masz robić? – szepnęła Marlena do Natalii Nadworskiej.

– Pamiętam, niech się babcia nie martwi – odparła również szepem dziewczyna, rozglądając się.

– Nie zapomnij: skup się na tym, którego wybierzesz – przypomniała jej staruszka. – Idź, dziecko, niech ci Bogini Matka błogosławi.

Natalia chwyciła uplecioną z siedmiu ziół girlandę, pożyczoną z siedliska miskę i ruszyła nad brzeg Narewki, trzymając się światła pochodzącego z niesionych przez pozostałych pochodni. Pochyliła się nad rzeką, nabrała wody do miski, upewniając się, że nikt jej się nie przygląda, ustawiła miskę wewnątrz kwietnego wieńca i skupiła myśli na twarzy ukochanego.

Przynajmniej próbowała skupić myśli na jego twarzy, ale z uporem maniaka jej rozgorączkowany umysł co chwilę podsuwał twarze innych: Karola Książka, Szymona Szymczaka, Piotrka Piechocińskiego, Łukasza Łopucha, Antka Abardowicza, a tego, jak na złość, zupełnie nie. Wzięła trzy głębokie wdechy i spróbowała jeszcze raz. Udało się dopiero przy kolejnej próbie.

– Teraz zakłęcie, jak to szło? – bąknęła do siebie, nie otwierając oczu. I choć z pewnością nie byłaby w stanie wskazać autora tych słów, z jakiegoś powodu siedem razy powtórzyła:

*Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.*

Zgodnie z radą Marleny otworzyła oczy i spojrzała do miski. W następnej chwili krzyczała tak głośno, że jej wrzask usłyszeli nawet dwaj kapłani ululani mocną jak pierun piołunówką z poprzedniego roku. Wydawało im się, że to jakieś dzikie zwierzę zawyło, bo przecież ludzka istota takich dźwięków wydawać nie jest w stanie.

Przerażoną i mdlejącą z wycieńczenia Natalię odwieziono do domu radiowozem, który to zaszczyt przypadł w udziale Sebastianowi Sierżantowi, bowiem Szelest zamierzał zostać i wyłowić z Narewki wianek Sylwii. Słyszając jednak, że jej jedynak nie planuje wracać na polankę, Sylwia zabrała się razem z Nawrockimi, co doprowadziło Szelesta do wybuchu furii, którą rozładował, wyżywając się na rosnącym nieopodal krzaku. Zwymyślał go od sflądrysynów, skurczyflaków i chędożonych, zafajdanych badyłasów, po czym z ogromnym zdziwieniem zauważył, że krzak nie pozostał mu dłużny i poczęstował go kłującymi igiełkami, których nijak nie dawało się wyjąć w tej ciemności.

Ala, Basia, Julka i Lilka puściły swoje wianki, co zrobiły w zasadzie dla zabawy, ale każda patrzyła jeszcze długo, czy aby któryś nie zatonął.

– Widziałyście Malwinę? – zagadnęła je Marlena, pojawiając się zniienacka.

– Yyyy, ostatnim razem to chyba jak znikąca z sołtysem w krzakach – odpowiedziała Julka.

– W krzakach? O wszelki duch! – Staruszka wzniosła oczy ku niebu.

– Ale czym się pani przejmuję, przecież dzisiaj to nawet bez ślubu można – stanęła w obronie wolności seksualnej Maślankiewiczów Lilka.

– Ona się nasięźrzałem wysmarowała! – utyskiwała Marlena.

– No to co? My też. – Basia wyszczerzyła się szeroko, ale jej wzrok wciąż był nieco rozbiegany.

– Wy nic nie rozumiecie – syknęła babcia sołtysa i odwróciła się na pięcie.

Rzeczywiście nie rozumiały, ale też nie zamierzały szczególnie się tym przejmować, zwłaszcza że wdychany przez kilka godzin dym zdawał się pozytywnie wpływać na ich nastroje. Ruszyły ku pozostałym, którzy bawili się wokół ognisk, skakali przez nie, a niektórzy, połączeni w pary poprzez upolowanie wianka, czmychali tam, gdzie wcześniej zniknęli pan i pani Maślankiewicz.

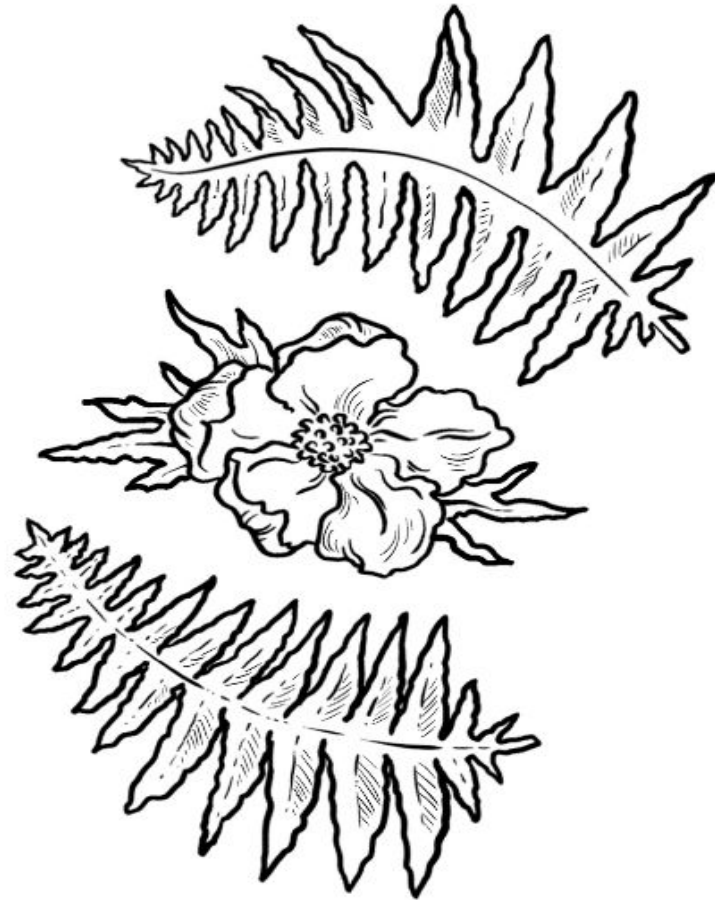
Wyglądało na to, że zanim święty ogień doszczętnie się wypalił, nikt z obecnych nie pamiętał o pojawieniu się jaśniejącej istoty, o słowach Adama Mickiewicza, a wkrótce zapomniano również o zachowaniu Natalii Nadworskiej. Ona zaś nie potrafiła sobie przypomnieć, co tak bardzo wystraszyło ją w tej misce.

Jedynie Marlena, zapewne jedną nogą badająca już stan bruku w piekle, nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że oto wydarzyło się coś istotnego. Coś, co powinno zaalarmować Babibór i przestrzec przed zbliżającym się nieszczęściem.

* Bajstruk – [reg.] bękart, dziecko z nieprawego łoża.

** Baterejka – [gwar.] latarka.

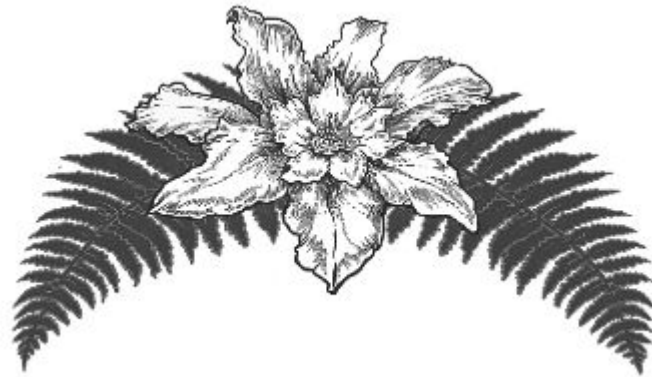
*** Adam Mickiewicz, *Upiór*.



ANNA SZUMACHER

Na kwiatu urok

Anna Szumacher – archeolożka, dziennikarka, korepetytorka, tłumaczka, redaktorka, pisarka – w zależności od układu gwiazd i bieżących potrzeb. Autorka głównie fantastyczna i zwolenniczka tezy, że jeśli pomysł jest głupi, ale działa, to nie jest głupi. Dumna matka kilkudziesięciu opowiadań i dwóch rozpoczętych serii fantastycznych oraz paru jeszcze niewydanych powieści. Miłośniczka wszelkiego rodzaju portal fantasy, czemu daje upust w obecnie pisanych książkach. Gorliwa wyznawczyni kawy, czekolady i puchatych dresów. Pisze od zawsze, a jej pierwsza książka składa się z dwóch nabazgranych kredką stron i własnoręcznie narysowanej okładki.



Szymon Fern miał wszystko w życiu poukładane i nic, ale to zupełnie nic go nie zaskakiwało. Głównie dlatego, że był pedantycznie wręcz zorganizowany i jakikolwiek pierwiastek chaosu w jego życiu po prostu nie miał prawa zaistnieć.

Wychodził do pracy codziennie – poza weekendami, oczywiście – o 7.37, ani minuty wcześniej, ani minuty później. W zależności od pogody i pory roku wsiadał albo na elektryczny rower, albo do leasingowanego elektrycznego samochodu, zawsze w kolorze czarnym. Czarne albo białe były wszystkie jego ubrania, a także meble w niedawno kupionym apartamencie przy ulicy Piotrkowskiej w Łodzi. Stara kamienica miała wszystko, czego potrzebował: odpowiedni metraż, wysokie sufity, duże okna i masę światła. Do tego znajdowała się w ścisłym centrum miasta i wszędzie było o rzut kamieniem. Odpicował niemodne mieszkanie na błysk i z przyjemnością spędzał czas sam ze sobą – oglądając filmy, czytając książki i kupując przez internet lśniące czernią płyty gramofonowe na czyszczących jego kieszeń aukcjach. Od poniedziałku do piątku, równo o trzynastej, przymykał laptopa i udawał się na lunch do restauracyjki naprzeciwko siedziby firmy,

gdzie siadał zawsze przy tym samym stoliku i zamawiał dokładnie ten sam zestaw: tartaletkę z wędzonym jesiotrem, sosem muślinowym i kawiozem, carpaccio z buraka z serem kozim, rukolą i słonecznikiem, a czasami także krem z dyni z imbirem i chorizo. Do tego imbryk herbaty jaśminowej.

Obsługa knajpki już go kojarzyła, więc kiedy przychodził, nie musiał nawet składać zamówienia. Punkt czternasta wracał do pracy, robił sobie drugą kawę – czarną, dwie łyżeczki białego cukru – i siadał z powrotem do komputera. Wychodził z budynku codziennie o 19.15 i ruszał prosto do domu, o ile nie miał wcześniej zaplanowanych wyjść biznesowych lub towarzyskich. Na niezaplanowane nie chodził, nie mieściło mu się w głowie, że można zrobić coś ot tak, spontanicznie.

Wracał do domu koło dwudziestej – niestety nic nie mógł poradzić na korki, wypadki, zepsute światła lub wiecznie rozkopane drogi, więc słuchał w tym czasie medytacji nagranych na empetrójkach. Gdy był już u siebie, przyjeżdżał kurier z opłaconymi wcześniej zakupami spożywczymi, a Fern, w zależności od nastroju, albo gotował sam, albo zamawiał coś na mieście z dowozem do domu, oglądał dwa odcinki – nigdy mniej i nigdy więcej – popularnego akurat serialu, brał prysznic i szedł spać. Szymon Fern miał wszystko w życiu poukładane i dlatego nic, ale to zupełnie nic go nie zaskakiwało. Aż do teraz.

Tego dnia wrócił później, bo po pracy miał jeszcze szkolenie, a potem poszedł z kolegami z kursu na piwo. Dosłownie jedno piwo, ale nim udało mu się dotrzeć do domu, zaczynało się już robić ciemno, a to o czymś świadczyło, jako że był 21 czerwca, pełnia lata. I już od progu wiedział, że coś jest nie tak. Na początku myślał, że

pani Jadzia – która raz w tygodniu ogarniała mu mieszkanie na błysk, robiła prasowanie i podlewała dwie stojące w kuchni rośliny – zmieniała płyn do podłóg i nieoczekiwanie inna woń wytrąciła go z równowagi. A tak prosił, by używała cały czas tych samych środków!

Krzywiąc się na ciężki zapach, zdjął buty, ustawił je równiutko przy ścianie, poluzował czarny krawat w białe skośne paski i w skarpetkach ruszył w głąb olbrzymiego, praktycznie pustego mieszkania. Idąc za coraz intensywniejszym smrodem – bo inaczej nie był w stanie tego nazwać – minął gabinet, sypialnię, salon i w końcu skręcił do kuchni z geometrycznym wykuszem, dzięki któremu w pomieszczeniu zawsze było cudownie jasno.

I tam zamarł. Na blacie kuchennym na lewo od zlewu stały dwie wybujałe paprotki. Stały tam od zawsze, kupił je, gdy się wprowadzał kilka lat temu, bo uznał, że rośliny w domu wyrównują energię. Był to również jego jedyny kompromis kolorystyczny w mieszkaniu, plama koloru na idealnej monochromatycznej szachownicy. Jednak teraz... teraz kolorów było więcej. Sprawczynią całego tego zamieszania węchowo-wizualnego była jedna z paprotek, która stała sobie przy oknie jak gdyby nigdy nic i kwitła. Kwitła, śmierdziała potępieńczo jak dresiarz, który wylał na siebie od razu cały flakon taniej wody perfumowanej, i napażiała po oczach wielkim, opalizującym kwiatem w różnych odcieniach burgundu, karmazynu i ognistej czerwieni.

Fern usiadł na wysokim barowym stołku, wciąż nie odrywając wzroku od paprotki i starając się nie oddychać za głęboko, pozwolił, by dotarła do niego jedna konkretna myśl, brzmiąca: „No przecież paprocie nie kwitną!”.

*

Zamknął się w gabinecie, otworzył okno, by nie siedzieć w tym demonicznym zaduchu, a potem włączył stojący na biurku komputer. Tępo wpatrywał się przez chwilę w proponowany przez Bing krajobraz, po czym wpisał hasło. Kiedy uznał, że system wreszcie się zalogował i okno przeglądarki mu się nie zawiesi, rozpoczął wyszukiwanie od słowa: „Paprocie”.

No przecież musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co właśnie wyprawiało się w jego kuchni!

– „Paprocie, paprociowe, *Polypodiopsida*” – mrucał pod nosem, przebiegając tekst wzrokiem. – Chryste, jedenaście tysięcy różnych gatunków. „Zazwyczaj rośliny zielne, wyjątkowo drzewiaste – czytał dalej. – Zarodnie powstają na spodniej stronie liścia sporofila, często odmiennie wykształconego niż liście płonne”. No tylko że to w żaden sposób nie wygląda na liść. – Przypomniawszy sobie olbrzymie śmierdzące coś wyglądające jak nieudane dziecko lilii i róży.

Dojechał do końca strony, zamknął ją i tym razem wpisał hasło: „Czy paprocie kwitną?”. Google od razu podrzuciło mu kilka podobnych pytań sugerowanych: „Jak kwitną paprocie?”, „Kiedy paprocie kwitną?”, „O co chodzi z kwiatem paproci?” i „Co kwitnie w noc świętojańską?”. Te dwa ostatnie pytania powinny już wzbudzić w Fernie pewien niepokój, ale na razie styki w jego mózgu jeszcze nie zaiskrzyły, wobec czego kolejne kilkanaście minut spędził, wertując stronę za stroną. Skończyło się to potwierdzeniem jego pierwszej myśli. Internet wyraźnie mówił, że paprocie nie kwitną. Przynajmniej nie normalne paprocie. Co najwyżej te bajkowe.

Gdzieś na skraju świadomości kołatała się Fernowi myśl, że 21 czerwca, czyli dzisiaj, to tak jakby ta magiczna noc, kiedy miała zakwitać równie magiczna paproć, ale jako że słowo „magiczna” występowało tam o dwa razy za dużo – czyli w ogóle – zepchnął wspomnianą myśl w cholere.

I pewnie nie zajmowałyby się nią dłużej, gdyby nie wydarzenia, które nadeszły później tej nocy.

Tymczasem jednak Fern uznał, że ma jakąś dziwną mutację i powinien podpytać panią Jadzię, czym podlewa kwiatki. I może poprosić, by od tej pory używała normalnej wody. Uznał też, że nie wytrzyma z tym potwornym śmierdzielem w jednym mieszkaniu, nawet przy otwartych oknach, więc wyszedł z gabinetu, chwycił paprotkę z wielkim burgundowym i lekko chwiejącym się kwiatem i wyniósł ją na niewielki balkon. Zatrzasnął za nią wysokie drewniane drzwi, popatrzył przez moment na snujących się po deptaku imprezowiczów i wrócił do mieszkania.

Z ciężkim westchnieniem opadł na olbrzymią czarną kanapę stojącą na samym środku salonu i odchylił głowę do tyłu, na wysokie, miękkie oparcie. Potarł nasadę nosa, czując, że te wszystkie dodatkowe atrakcje wykończyły go psychicznie. Szczęśliwie zjadł coś na mieście, ale nie miał specjalnie siły ani ochoty na oglądanie czegokolwiek. I zanim się zorientował, tak wpółleżąc, nadal w ubraniu, zupełnie nieplanowanie zapadł w lekki sen.

*

Obudziło go jakieś nieludzkie wycie. Zerwał się na równe nogi i od razu zachwiał się na geometrycznym dywanie, który falował jak wzburzone morze. Zamachał rękoma, starając się złapać równowagę,

a potem bardzo ostrożnie zrobił jeden krok. I drugi. Dywan nagle wyprostował się i wrócił do normalnego kształtu zeberki.

– Chryste – jęknął Fern, łapiąc się za głowę. – To jeszcze sen, to musi być sen. – Uszczypnął się w policzek. Zabolało. No ale jeśli nie sen, to co? Już wiedział! – Coś było w tym piwie! Więcej z nimi nie piję...

Zrobił kilka kolejnych, nieco pewniejszych kroków i popatrzył ze zdumieniem na podłogę salonu, która nagle zaczęła robić się dłuższa i dłuższa. Ściany też oddaliły się od niego, a droga do balkonu wydała mu się nagle przestrzenią oceanu czerni i bieli o takim bezmiarze, że żaden człek nie byłby jej w stanie pokonać. Fern stanął w miejscu i nabrał powietrza. Jeden oddech: wdech przez nos i długi, powolny wydech przez usta. Nos... usta. Nos... usta. Stał tak przez kilka minut, próbując odzyskać spokój i panowanie nad sytuacją. Podłoga jakby nieco się skurczyła, ale gdy tylko zrobił krok w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, dobiegało to ni wycie, ni łkanie, ściany pochyliły się ku niemu groźnie, jak baśniowe stolemy.

– Chryste – powtórzył, choć ten akurat chyba nie miał nic wspólnego z ostrymi halucynacjami, jakich Fern właśnie doświadczał.

Zrobił kolejny, ostrożny krok, zastanawiając się, co teraz wyskoczy z zakamarków jego umysłu – no bo to musiał być chemiczny wytwór jego skołowanego mózgu, cóż innego – kiedy przez zawodzenie w okolicach drzwi balkonowych dobiegło go całkiem swojskie dzwonienie do drzwi i nieco mniej grzeczne walenie.

Odwrócił się i odruchowo ruszył w tamtym kierunku, po drodze palcami zaczesując włosy do tyłu i poprawiając koszulę tak białą, że

prawie niebieską. I dopiero przy drzwiach wyjściowych zorientował się, że gdy tylko stanął plecami do wycia, jego mieszkanie wróciło do całkiem normalnych rozmiarów i kształtów.

Otworzył drzwi i popatrzył niechętnie na stojącą na wycieracze sąsiadkę z naprzeciwka, wyjątkowo wścibskie i irytujące babsko, które sądząc po wyglądzie, musiało pamiętać pierwszych Piastów.

– Słucham – powiedział chłodno, sugestywnie patrząc na zegarek, by dać do zrozumienia, że o godzinie tak nieboskiej do mieszkań dobijają się wyłącznie sutenerzy w poszukiwaniu swoich dziewczynek.

– Naprawdę, młody człowieku, jeśli nie skończą się te hałasy, zadzwonię po milic... – zaczęła sąsiadka.

No tak, jak nie Piastów, to czasy słusznie minione na pewno.

– Czy wyglądam na kogoś, kto wydaje takie dźwięki? – przerwał jej w pół słowa, po czym wykorzystując chwilę wahania i ciszy, dodał: – To dobranoc. – I zatrzaskał jej drzwi przed nosem. Szczęśliwie nie zaczęła się dobijać ponownie, więc Fern, z nowym bojowym nastawieniem, ruszył w poszukiwaniu źródła tego nieszczęsnego dźwięku.

Tym razem pokój nie wydłużał się w nieskończoność, jednak światło jakby przygasło, choć przecież w starym, zabytkowym żyrandolu palił się komplet żarówek. Wycie to cichło i łkało smutno, to zawodziło w wysokich tonacjach. Od czasu do czasu przerywane było jękiem, śmiechem albo płaczem. Wybitnie już poirytowany Fern dotarł do balkonu, przekręcił klamkę i otworzył wysokie drewniane drzwi, by wyrzeć na zewnątrz.

A tam powitała go pradawna dżungla. Po chwili dotarło do niego, że otaczają go paprocie, setki, tysiące olbrzymich

przerośniętych paproci, paproci krzaków i paproci drzew. Przeciskał się koło grubych pni, rozgarniał na boki spiralnie zakończone, łaskoczące wąsy, przekraczał olbrzymie liście i parł przed siebie, żałując tylko, że nie trzyma w garści maczety, choć przecież balkon w jego mieszkaniu miał może ze cztery metry kwadratowe.

Wreszcie dojrzał krótki błysk bordowej czerwieni, sięgnął ręką nieco na oślep i dotknął opuszkami palców krawędzi ceramicznej doniczki. Pochylił się bardziej, napierając na te wszystkie pnie i liście, chwycił doniczkę i...

Dżungla zniknęła. Szybko tego pożałował, bo okazało się, że znalazł źródło dźwięku. Wokół doniczki, a teraz głównie wokół niego, czaiły się i płąsały... stwory.

Więc Fern zrobił to, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek na jego miejscu. Wrzasnął prawie tak samo straszliwie jak maskary zgromadzone na jego balkonie, chyba podświadomie mając nadzieję, że tym sposobem ustali swoją pozycję samca alfa w stadzie, po czym wziął nogi za pas i zwiął z paprotką do mieszkania, zatraskując drzwi za sobą, aż zabrzęczały szyby.

Wpadł do kuchni, odstawił paprotkę na blat i z rozmachem sięgnął po stojącą na suszarce do naczyń szklankę. Nalał sobie wody z kranu i wypił ją duszkiem. W połowie drugiej szklanki łypnął podejrzliwie na – przynajmniej do dziś – niepozorną roślinkę. Nadal kwitła. I śmierdziała, co przypomniało Fernowi, dlaczego na samym początku wyrzucił ją na balkon. Cóż, widocznie ten nieznośny smród przyciągnął te... te stworzenia. Fern naprawdę chciałby zignorować ich istnienie, no bo przecież to nie było normalne, ale trudno udawać, że ich nie ma, gdy z balkonu cały czas dobiegały podejrzane hałasy, jakby to pokraczne towarzystwo z piekła rodem starało się

dostać do środka. Fern gapił się tępo w zlew i myślał, że byłoby doprawdy świetnie pomodlić się w tym momencie do jakiejś boskiej istoty sprawczej. Szkoda tylko, że w nic nie wierzył...

Jednak jeśli nie wiara, to wiedza.

Zerknął na zegarek. Pierwsza w nocy.

Najpierw kawa. Potem wiedza – postanowił.

*

Podobno w internecie jest wszystko. Po godzinie Fern uznał, że owszem, jeśli do tej teorii dodać zakończenie „wszystko, co niepotrzebne”. W poszukiwaniu informacji o tym, jak poradzić sobie z ohydnyimi demoniszczami przyciąganymi przez cuchnącą paproć, przebił się przez kilka forów ogrodniczych, ostatecznie uznając, że magiczne potwory to nie do końca to samo co szkodniki roślin, po czym z wyraźną niechęcią stuprocentowego realisty przeszedł do czytania podań o kwiecie paproci. Bo, niestety, jako realista, musiał w końcu przyznać, że obecna, całkiem realna sytuacja nieco wykraczała poza dotychczasowe granice jego pojmowania.

– „Dalej jeszcze powiadają, że sam kwiatek w początku rozeznąć trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich” – przeczytał, myśląc przy tym o wielgachnym czerwonym kielichu. – Ta, mhm, sranie w banię. – Przebiegł wzrokiem dosyć krótką, wyjątkowo idiotyczną i moralizatorską bajkę o Jacusiu, który najpierw nie był w stanie zdobyć kwiatu paproci, a jak już mu się to udało, doprowadził siebie do szaleństwa, a rodzinę do śmierci z ubóstwa. Uznał, że nic mu to nie pomogło, i przeskoczył na kolejną zakładkę. – „Wyprawa w poszukiwaniu kwiatu paproci wiązała się

z nadzieją na liczne skarby ukryte w ziemi, wiedzę i mądrość, moc uzdrawiania”. Tak, tak, nic, co by mnie specjalnie interesowało. Lekarzem nie zamierzam zostać, a jak znajdę skarb w ziemi, to, z tego, co kojarzę, muszę go oddać Skarbowi Państwa, bo inaczej mnie wsadzą do pierdła. Takiego wała. – Kliknął w kolejny link. – „Podanie o kwiecie paproci wywodzi się ze zwyczaju smarowania się przez kobiety liśćmi nassie... nasię...”, ja pierdołę, „nasięźrzału w trakcie obchodów święta, co miało w magiczny sposób podnieść ich atrakcyjność”. Tylko że ze mnie żadna kobieta, atrakcyjny jestem wystarczająco, a całe to święto obchodzę co najwyżej z daleka – burknął i przeszedł na kolejną stronę, powoli tracąc nadzieję, że znajdzie jakiegokolwiek sensowne informacje. – „Kto chce znaleźć kwiat paproci, musi się spieszyć, gdyż ma na to jedynie godzinę, ewentualnie czas, który pozostał do pierwszego piana koguta”. No to zajebiście! – Ucieszył się, z lubością odchylając się na profilowanym fotelu i kompletnie ignorując dalszy fragment tekstu mówiący coś o tym, że kwiat pilnowany jest przez diabły, czarownice, żmije i inne tajemnicze gady, a jego poszukiwaczy niechybnie czeka szaleństwo, pobłądzenie, a nawet śmierć. – Przeczekam tych sukinsynów, a o świcie wszystko wróci na stare dobre tory. Pozostanie tylko wywietrzyć mieszkanie...

*

Kwadrans później szykujący sobie prysznic Fern usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Wycie stało się jakby głośniejsze. Przeklinając i ślizgając się w przydużych kapciach, wypadł na korytarz, przewiązany wyłącznie ręcznikiem, po drodze chwytając puchaty szlafrok.

– Rrrwa mać! – Z jego gardła dobiegł niski warkot, kiedy zobaczył wybite okno balkonowe i grupkę tych cholernych paskudztw przebiegających brudnymi nogami, czy tam może łapami, po jego drogim dywanie i jeszcze droższym dębowym bielonym parkiecie. Całe to towarzystwo zniknęło w kuchni, więc Fern, mając już tego wszystkiego po dziurki w nosie, pognał za nimi. Zatrzymał się w progu, zmierzył to pełzająco-drepczące zebranie wzrokiem seryjnego mordercy i szczechnął rozkazująco:

– Moje mieszkanie! Moja paproć! Mój kwiat!

I wtedy jeden z tych stworów użarł go w kostkę u nogi.

*

Po dosyć długiej serii wrzasków, przekleństw i grożenia bardzo, bardzo dużym nożem Fernowi udało się jakoś wszystkie te demony spacyfikować. No, powiedzmy. Na pierwszy ogień poszło ohydne półtyse ptaszysko biegające w kółko, trzepiące chaotycznie skrzydłami i wyjące: „Tyj! Tyj! Tyj!”. Po tym, jak użarło Ferna w nogę i próbowało wyrwać mu kawał mięsa, chwycił je za długą, grudkowatą i nieco oślizgłą szyję, otworzył piekarnik i wrzucił je do środka, zamykając z hukiem drzwiczki. Tam mogło się trzepać aż do śmierci z wycieńczenia, a jak przegnie, to Fern zamierzał włączyć jakiś sprytny program i nastawić na odpowiednio wysoką temperaturę, by, powiedzmy, skrócić jego cierpienia.

Z krasnalogoblinami poszło już Fernowi gorzej, bo grupa wybitnie nieatrakcyjnych, by nie powiedzieć brzydkich istot rozbiegła mu się po całej kuchni i przyległościach, wieszając się na lampach, wysuwając szuflady i tłukąc kieliszki od kompletu.

Brakuje tylko tej sąsiadki jędzy – myślał Fern, stwierdzając, że goblinopodobne stwory były nawet do niej nieco podobne. Może to jakaś daleka rodzina...

W końcu udało mu się wszystkie połapać i zamknąć w schowku na mopy, wiadra i odkurzacze, pieścotliwie zwanym pierdolnikiem. Zatrzasnął za nimi drzwi, klamkę zablokował krzesłem i mógł się zająć tym, co zostało.

A zostały jeszcze trzy sztuki. Zaczął od półzjawy, wyglądającej jak rozkapryszona czterolatka, którą, jak praktycznie każde dziecko, dało się czymś przekupić. W tym wypadku skuteczny okazał się jogurt waniliowy i batonik hojnie zaopatrzony w orzechy i czekoladę. Półprzezroczyste, nieco widmowe dziecko usiadło sobie na stołku barowym, machało gołymi nóżkami i skutecznie zakleіło się słodkościami. Poza tym, o ile paskudnego ptaka Fern bez wahania wsadził do pieca, o tyle z widmową dziewczynką miałby już problem natury moralnej – w końcu naczytał się w dzieciństwie o Jasiu, Małgosi czy Rozalce – nawet jeśli dla niej był tylko potencjalną ofiarą, którą dało się zwieść na jakieś manowce i wepchnąć do naprawdę głębokiego bagna. Czy gdziekolwiek słodkie widmowe przedszkolaki wciągały mało fartownych wędrowców.

I tak oto, po dosyć absurdalnej i męczącej walce z nadprzyrodzonym, siedział w kuchni z zasłodzonym dzieciakiem, gadającym czerwonym kotem, który przedstawił się jako Didko, i rozchichotanym karzełkiem, wyglądającym jak miniaturowy Zagłoba, o imieniu Łełek. Albo nie imieniu, tylko przynależności gatunkowej. Fern starał się w to nie wnikać. Już i tak bolała go od tego wszystkiego głowa. I noga, nie zapominajmy o nodze.

I to właśnie Didko z Łełkiem wprowadzili go w tajniki tego, co grasowało po jego mieszkaniu, i powiedzieli mu, co pacyfikował, zalewając kuchnię stekiem przekleństw i krwią własną.

– Bohynie – powtórzył Fern, oczyszczając ranę i sycząc, gdy środek na bazie alkoholu rozświetlił mu wszystkie neurony jak choinowe lampki na święta. – Zwodzijos. – Pokazał głową na trzęsący się i podskakujący piekarnik i zaczął owijać nogę bandażem. Nieco spuścił nogę ze stołka, kiedy przypomniał sobie, że owszem, włożył szlafrok, ale od dołu odstawia właśnie pełen *Nagi instynkt*. – Ta mała to błędnica, ty jesteś didko, a ty łełek. To nazwa własna czy gatunkowa? – nie wytrzymał.

– Możesz to traktować jako imiona, by nie wprowadzać zbędnego chaosu – miauknął kot w odpowiedzi i zwinął się w kłębek na stole, zostawiając wszędzie kłaki, zupełnie jakby chwilę wcześniej nie przedstawił się przyjemnym barytonem. Widocznie kot, nawet gadający, przede wszystkim pozostawał kotem.

– Zbędnego... chaosu? – powtórzył ogłupiały Fern. – A to, co tu się wydarzyło do tej pory, to był, przepraszam, chaos niezbędny?!

Tym razem odezwał się Łełek.

– Dokładnie tak – przyznał, a potem dodał: – Masz może jakieś drobne, kierowniku?

– Kiero... – Ferna zatkało. Oto siedzi w jego apartamencie, w jego kuchni, jakieś słowiańskie, a już na pewno pogańskie straszdyło, ale dostosowane wybitnie do czasów, bo mówiące typowym językiem meneli z parkowej ławeczki. Jakim cudem?!

– Jakie drobne? – spytał słabo.

– Jemu chodzi o monety. Lubi dźwięk pieniądza, choć pewnie wolałby czyste złoto albo srebro – mruknął Didko, leniwie otwierając

jedno oko i podwijając łapki pod siebie.

– W przedpokoju leży taki duży czarny skórzany portfel. Sprawdź se, bo mnie noga boli – odpowiedział Fern, starając się to wszystko ogarnąć jakoś rozumem. Po chwili uznał, że nie da rady. Począł, aż karzełek wróci, z zadowoleniem brzęcząc groszówkami, po czym zadał chyba najistotniejsze w tej sytuacji pytanie:

– Ale co wy w ogóle tutaj robicie?

– Pilnujemy kwiatu – odparł Łełek.

– Kwiatu – poprawił go odruchowo Fern.

– Nawet nie wiesz, jak rzadko kwitnie! Kiedy tylko usłyszeliśmy jego zew...

– Raczej poczuliście. – Fern ponownie nie wytrzymał i im przerwał. – Moja paproć to jedyna rzecz w tym domu, która nie wyła jak potępieniec, w odróżnieniu od was. Tylko śmierdziała jak jasna cholera. Zresztą nadal to robi, tylko ja już węch w dużym stopniu straciłem.

– Naszym obowiązkiem jest pilnować kwiatu w noc magiczną! Strzec go w głębi lasu, w cudownych uroczyskach, w paprociowych gajach! Przed ludźmi nieodpowiednimi, strachliwymi, niegodnymi...

– A jednak tu jestem. – Fern sugestywnie rozłożył ręce, jakby był najbardziej nieodpowiednim i niegodnym człowiekiem na całej tej cholernej planecie. – W mojej kuchni. Z paprotką w doniczce. W centrum dużego miasta, jakbyście nie zauważyli. Sześćset sześćdziesiąt cztery tysiące mieszkańców. Więc powtórzę moje pytanie: Co wy tu w ogóle robicie?

– Pilnujemy kwiatu...

Fern miał ochotę zabić się własnym fejspalmem. W ten sposób nigdy do niczego nie dojdą...

*

Myślał, że ich przetrzyma. W końcu jaki to problem dotrzeć do świtu? Ale nie, oczywiście że nie mogłoby być tak prosto.

Pierwsze z pułapki wydostały się te, jak im tam, bohynie, ni mniej, ni więcej, tylko przegryzając się przez grube drzwi ze sklejki. Fern przeklinał słowami, których znajomości nawet u siebie nie podejrzewał, kiedy jednym okiem oglądał zniszczenia, a drugim próbował namierzyć, dokąd brzydale zwiały. Kiedy kuśtykał po mieszkaniu, starając się powyłapywać cholery do kosza na brudną bieliznę, widmowa szczylówa zaczęła wyc z kuchni, że jest głodna. A potem kura z piekła rodem zepsuła coś istotnego w piekarniku, doprowadziła do snięcia i wywaliła korki w całym pionie.

Fern uznał, że ma dosyć.

*

Kwadrans później, w czarnych firmowych dresach z odblaskami, z paprotką radośnie wystającą z koszyka zawieszzonego na kierownicy elektrycznego roweru, Szymon Fern ruszył spod zabytkowej kamienicy i skierował się w stronę najbliższego lasu pierwotnego, jaki miał pod ręką. Krótko mówiąc, do łódzkich Łagiewnik.

– Dziewięć i cztery dziesiąte kilometra, trzydzieści dwie minuty, przeważnie płasko – usłyszał pogodny głos lektora nawigacji.

Świetnie, dotrę akurat tuż przed świtem – pomyślał Fern nieco kąśliwie, pozwalając, by silniczek odwalał za niego całą robotę. Praktycznie bezszelestnie sunął ulicą Piotrkowską, omijając zamknięte sklepy i w większości otwarte kluby, puby, restauracje

i małe lokaliki serwujące wyłącznie wódkę albo słodkie nalewki. Mijał ludzi siedzących w ogródkach i przechadzających się ulicą. Wyprzedził kilka przemieszczających się leniwie taksówek. Neony tańczyły mu w oczach, błyszcząc wiśnią, niebieskościami i złotem, a Fern mknął deptakiem, obserwując coraz to niższe numery.

„Praktycznie bezszelestnie” było może pewnym eufemizmem, bo za jego rowerem podążało całe piekło z przyległościami. Biegły czerwone na twarzyczkach bohynie, frunęła błędnicą, podskakiwał nieco potargany Zwodzijos, a Didko z Łękiem siedzieli mu częściowo na plecach, a częściowo zwisali z ramion i wrzeszczeli potępieńczo, tworząc najgorsze stereo wszech czasów. A na dodatek Fern miał dziwne wrażenie, że z każdym kilometrem to potępione towarzystwo rozrastało się, tak jakby z mijanych kamienic, bloków, piwnic i parków wypadały coraz to nowe stwory zwabione obrzydliwym smrodem kwiatu paproci. Jutro na bank znajdzie się na czymś tiktoka. Kanale jutubowym. Ewentualnie w głównych wiadomościach lokalnych. Rany boskie.

Dużym półkolem, marząc o zatyczkach do uszu, Fern przeleciał przez kompletnie rozkopany plac Wolności, który zamknęli zdecydowanie zbyt dawno temu i otworzą po remoncie pewnie w kolejnym stuleciu, dotarł do równie rozkopanej ulicy Północnej i zostawiając po swojej lewej stronie elegancko oświetlony pałac Poznańskiego, ruszył w dół ulicy Zachodniej, ciesząc się, że o tej porze nie ma dużego ruchu i może spokojnie nabierać prędkości na długasnej dwupasmówce. No i że nikt go nie widzi. Mógłby co prawda ściąć drogę i kluczyć po zaułkach i uliczkach Bałut, ale po co, skoro mógł jechać prosto aż do Zgierskiej. Odbił w kierunku Łagiewnik na olbrzymim skrzyżowaniu, uważając na migających na

pomarańczowo światłach, a potem pomknął pod wiaduktem już bezpośrednio w stronę lasu.

Do tej pory szło całkiem nieźle, ale kiedy dotarli do Łagiewnickiej i skręcili w gęsty liściasty las, Didko i Łełek dostali szału.

– W lewo! – wył jeden, ciągnąc go za ucho.

– W prawo! – wrzeszczał drugi, wpijając się ostrymi pazurami w jego obojczyk, aż do kości.

– Zdecydujcie się, do cholery! – wrzasnął Fern, stając na rozstajach i rozglądając się po okolicy. Rowerowa lampka nie dawała zbyt dużo światła, więc dodatkowo włączył latarkę w telefonie i popatrzył dookoła.

– A nie możemy po prostu wkopać jej, no nie wiem, o tutaj? – Wskazał pokryte starymi liśćmi pobocze. – Miejsce dobre jak każde inne...

– Nie! – wrzasnęły oba stwory, siedzące mu już praktycznie na głowie, a reszta bestiariusza krążącego teraz wokół nich po lesie zaczęła gwałtownie lamentować.

– To dokąd w takim razie mam jechać? – warknął Fern.

– W lewo!

– W prawo!

– Do jasnej cholery!

Na pomoc przysłała mu dosyć niespodziewanie błędnicą, która w środku lasu dosłownie rozkwitała w oczach. Nie miała już kształtu rozkapryszzonego przedszkolaka, urosła i nabrała wybitnie kobiecych kształtów. Teraz Fern był w stanie uwierzyć, że mogła zwodzić nieostrożnych mężczyzn na manowce. Czy gdziekolwiek indziej by zapragnęła.

– Jeden z nich kłamie – powiedziała słodkim głosem, pochylając się kusząco, by mógł sobie zerknąć na jej dekolt.

– Ta, a drugi mówi prawdę, zagadka stara jak świat. – Na Fernie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. – Konkrety!

– Didko to szkodnik! – wrzasnął Łełek. – Odkąd Słowianie przestali mu znosić dary, stał się pełnym pychy i żądy zemsty obłudnikiem, życzliwym tylko dla łotrów i złoczyńców! Nic tylko śmierć i nieszczęście przynosi, mąci w głowach i do złego namawia!

– Łełek wyłącznie o skarbach myśli, przesypuje złoto z ręki do ręki, z wora do wora – mruknął Didko, wydrapując dziury w drogim materiale. – Dzieli się swymi pieniędzmi tylko z dobrymi i prawymi, a drogę w gęstwinie pokaże co najwyżej wędrowcy o czystym sercu.

Fern przewrócił oczami. Czyli co, powinien teraz sam postanowić, czy słuchać demoniszczą A czy demoniszczą B, opierając to na czystości własnego serca i moralności? Zdecydować, czy bliżej mu do zła, czy bohatera? Antagonisty czy protagonisty? Ewentualnie mógł zapytać o drogę dziunię o dużym biuście, która już z nazwy doprowadzała do błędzenia i zwodziła nie tylko na pokuszenie, ale przede wszystkim na straszliwą i bolesną śmierć. No rzeczywiście, cała paleta wyborów.

– A niech was wszystkich szlag trafi – powiedział, wyciągając telefon i oglądając mapę. – O, Rezerwat Przyrody Las Łagiewnicki. – Kliknął w sam środek zielonego fragmentu mapy. Po chwili jego oczom ukazała się proponowana najkrótsza trasa. – I tam pojedziemy – oświadczył stanowczo i ruszył.

Towarzystwo pognało za nim.

Las stał się jakby bardziej mroczny i starszy, starością czegoś, co pamięta przechadzających się po ziemi bogów. Czyli, przynajmniej według Ferna, głównie było widać. Musiał zsiąść z roweru i przeciskać się między drzewami, omijać owijające się wokół kostek i czepiające się dresów chaszcze, przekraczać leżące, na wpół przegniłe gałęzie i pnie. Wcale nie czuł, że znajduje się na skraju wielkiego miasta. Bardziej jakby utkwiał gdzieś w czasie i przestrzeni, a zza drzewa mógł wychynąć jakiś dinozaur. Jednak rzeczywistość była jeszcze gorsza. Cholerna paprotka, świecąca w ciemności własnym krwawym światłem, przyciągała wszystko, co kryło się w tych lasach. Dzikie. Pająki. Bestie z bagien. Tych ostatnich nagromadziło się tyle, że wraz z paskudztwami, które towarzyszyły mu już z miasta, zrobiła się z tego jakaś rozświergotana, rozgadana i rozwarzana procesja. Tu, między drzewami, przemykało jakieś pokracczne, niskie stworzenie prawdopodobnie płci żeńskiej, pokryte głównie wiechciami ziół, łubinowymi badyłami i pękami grochowin. Tam czołgało się coś, co wyglądało jak bardzo stara krowa kompletnie pozbawiona układu kostnego. A nad podmokłymi zagłębieniami latały błędne ogniki, z jakiegoś niezrozumiałego dla Ferna powodu głośno czkając od czasu do czasu.

– Chry... – zaczął Fern, gdy zobaczył wystające z pnia zielonkawę dłoń z błonami i zdecydowanie zbyt wiele oczu. Przerwał w pół słowa, uznając, że odwoływanie się do bóstw chrześcijańskich w tym zagłębieniu pogańszczyzny może nie jest najlepszym z jego pomysłów. W ogóle musiał przyznać, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie miał zbyt wielu dobrych pomysłów. Dlaczego po prostu nie wywalił paprotki przez okno? Nie zerwał kwiatu? Nie zalał rośliny jakimś żrącym udrażniaczem do

zur? Nie wsadził jej do pieca razem z piekielną kurą? Było tyle sposobów, by pozbyć się problemu, a tymczasem paprotka radośnie tkwiła w koszyku przed jego oczami, a on miał wytłuczone drzwi balkonowe, szkło na podłodze w salonie, wygryzioną dziurę w drzwiach schowka, pełno wiórów w korytarzu, wyczyszczonej przez błędnicę lodówkę i masę poniszczonych przez te goblinopodobne ohydztwa drobiazgów. Nie wspominając o zepsutym piekarniku! Jak on to zgłosi do ubezpieczyciela? Czy jego ubezpieczenie pokrywa zniszczenia spowodowane przez słowiańskie demony?!

– Cooo jaaa tuuuu roooobieęęę... – zajęczał, kiedy potknął się o coś w ciemności. Miał tylko nadzieję, że był to kolejny pień, a nie coś, co odgryzie mu nogę na wysokości kolana.

Nie spodziewał się, że na to, w końcu dosyć retoryczne pytanie dostanie odpowiedź.

– Też się nad tym zastanawiam, przyznaję. W całej historii ludzkości jesteś pierwszym człowiekiem, który w noc świętojańską odnosi kwiat perunowy do lasu, zamiast go poszukiwać – miauknęła Didko, liżąc swoją rdzawoczerwoną sierść. – Normalny to ty nie jesteś...

Mężczyzna zatrzymał się w miejscu, jakby ktoś zamienił go w słup soli.

– Jestem całkowicie normalny! – wrzasnął Fern, który resztki normalności wraz ze zdrowym rozsądkiem zostawił kilka kilometrów wcześniej. Wiele wspólnego z tą niewątpliwą stratą miały te cholerne pomioty słowiańskie, które od momentu przyplątania się na balkon ani na chwilę nie były w stanie się zamknąć. Ani. Na. Chwilę. – Nie interesuje mnie wasz zasrany kwiat, zakopane w leśnych ostępach zaczarowane złoto, majątek, który zniknie, kiedy

się nim z kimś podzielę, zdolność bycia niewidzialnym czy umiejętność rozmowy ze zwierzętami. Nie chcę rozmawiać ani ze zwierzętami, ani z niczym innym, co nie jest *homo sapiens*, jak już o tym mówimy! A jak będę z kimś chciał uprawiać seks, to naprawdę nie muszę nacierać się jakimś śmierdzącym zielem i biegać nago po lesie! – Zamilkł, bo zabrakło mu tchu. – Dosyć! Jesteśmy na zadupiu zadupia, koniec tego dobrego! – Zaparkował rower, skierował światło rowerowej lampki na ziemię i wtedy sobie przypomniał o małym, drobnym szczególe. Nie miał łopaty. Nawet saperki. Szpadelka...

Westchnął ciężko, zmierzył spojrzeniem doniczkę, by ocenić jej wielkość, a potem przykucnął i zaczął grzebać w wilgotnej ziemi. Po chwili obok jego dłoni pojawiły się jedne łapy z błoną, potem inne z pazurami, czyjeś delikatne białe palce, a nawet jakieś kopytko. Starał się nie patrzeć na właścicieli owych, tylko kopał. I kopał. Wreszcie wyprostował się, powstrzymując jęk, gdy strzeliło mu coś w plecach, i sięgnął po paprotkę. Odwrócił ją do góry nogami, starając się nie zniszczyć liści ani tym bardziej kwiatka, i ostrożnie wytrząsnął roślinkę z doniczki. Kiedy ponownie przykucnął i wsadził ją do ziemi, miał wrażenie, jakby cały las na sekundę wstrzymał oddech, a potem odetchnął głęboko, rozświetlając się jakoś tak wewnętrznie.

– Co do lasu należy – mruknął, przyklepując ziemię i sprawdzając, czy żadne korzenie nie wystają na wierzch. Wyprostował się i odstąpił o krok, wyraźnie pokazując, że nie ma zamiaru zrywać kwiatu. Wręcz odwrotnie. Chciał się go wreszcie pozbyć. Otrzepał dłonie i powiódł spojrzeniem po przyczajonym wokół niego bestiariuszu. – No, to by było na tyle – dodał.

Rejwach, który później wybuchł, mógł być porównywalny tylko do wrzasku, jaki wydobywa się z płuc młodzieńcych w ostatnim dniu szkoły.

*

Fern nie zdawał sobie sprawy z tego, jak intensywnie potrafią się bawić słowiańskie demony. Nie żeby miał w tym temacie jakiegokolwiek doświadczenie. Nie żeby wiele pamiętał z tej nocy i nadeszłego jakby zniecka poranka. Chyba biegał w jakimś wianku z leśnych i polnych kwiatów, choć nie był nawet pewien, skąd je wziął. Chyba skakał przez jakieś dziwaczne niebieskozielone ognisko. Chyba tańczył dziki, wściekły taniec z potworami, których normalnie nie życzyłby sobie widzieć w najgorszych nawet koszmarach. Tymczasem tej nocy płażał z nimi jak ostatni szaleniec. Albo jakby sam był jednym z nich. Chyba pił jakiś osobliwy, nieco miodowy, a nieco ziołowy trunek, po którym zaczął widzieć dźwięki i słyszeć kolory. Było tego poranka naprawdę wiele „chyba”, łącznie z: chyba flirtował z obwieszoną złotem i klejnotami kobietą, która była piękna, ale od dołu miała też ogon i łuski i podobno jej tatuś był węzowym królem, więc w sumie to flirtował z księżniczką, na tyle zresztą skutecznie, że skończyli razem w jakichś krzakach. Okazało się, że anatomicznie była kobietą bardziej, niż sądził. Odbyło się to wszystko dosyć zaskakująco i w sumie też dosyć zabawnie, więc – choć nie przyznałby tego nawet na najgorszych torturach – chętnie by to doświadczenie powtórzył. Oczywiście w celach wyłącznie naukowych. Zataczając się potem na polanę z magiczną paprocią, myślał z nieco wisielczym humorem, że zabawnie to będzie dopiero wtedy, gdy za kilka lat na progu jego domu stanie dziecko

o pionowych źrenicach i łuskach na powiekach. No, to by dopiero było „dziecko niespodzianka”.

Nucąc pod nosem „przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci, zerwany w borze o nocnej porze”, dotarł z powrotem na niewielką polankę. Ciężko usiadł na ściółce i oparł się o pień jakiegoś liściastego drzewa. Ziemia przed nim była zryta od demonicznych harców i swawoli, co pewnie zostanie zwalone na dziki, psy albo inne normalne rzeczy. Cóż, Fern chyba musiał się pożegnać z normalnym...

– Nie! – wrzasnął, kiedy tylko ta myśl pojawiła się w jego głowie. – Nie zgadzam się!

– Na co? – Łełek przysiadł przy nim, upychając w kieszeni coś, co wyglądało jak ciężki szczerozłoty łańcuch.

– Ja nie chcę być nienormalny. – Fern załkał nad swym losem. – Ja chcę odzyskać moje dawne życie!

– No to w czym problem? – Karzeł wzruszył ramionami. – Przecież paproć w lesie, noc świętojańska dobiega końca, kwiat magiczny nie pojawia się jakoś tak hurtowo i często...

– Tak? – Mężczyzna popatrzył na niego z nadzieją. – Znaczy... wrócę do domu i wszystko... wszystko to – potoczył ręką wkoło, pokazując na wyjące i skaczące stwory – zniknie?

– No, poza wybitym oknem i zniszczonymi drzwiami – przypomniał mu Łełek, na co Fern tylko jęknął i schował twarz w dłoniach.

– Nie chciałem, naprawdę nie chciałem o tym pamiętać – powiedział stłumionym głosem. Został w tej pozycji, tak straszliwie zmęczony tym, co go spotkało przez ostatnie kilka godzin. A chciał po prostu jak zwykle wrócić do domu, wziąć prysznic i pójść spać...

I z tą myślą, skulony pod drzewem, okrążony przez płasające stwory, zapadł w niespokojny, pełen dziwacznych majaków sen. Choć nie aż tak dziwacznych jak to, co otaczało go jeszcze przez chwilę, a potem rozeszło, rozbiegło i rozpełzło się po lesie, znikając wśród zielonych odmętów.

*

Droga do domu dłużyła się Fernowi wybitnie, szczególnie że dopiero po kilku kilometrach bezwładnego, lekko kulawego spaceru przypomniał sobie, że w lesie, poza godnością osobistą, zostawił także rower. Zawrócił więc, mamrocząc pod nosem przeróżne inwektywy, znalazł rower, wsiadł na niego i starając się ograniczać pedałowanie do minimum, bo noga bolała go coraz bardziej, ruszył w stronę domu.

Wczesnoporanny ruch nie pomagał, kiedy Fern próbował wrócić do siebie. Ktoś go obtrąbił, ktoś go zwyzywał, a na Piotrkowskiej prawie przejechał jakiegoś człowieka wytaczającego się nagle z bramy. W końcu jednak dotarł pod odpowiedni numer. Z ulgą zsunął się z roweru, wstawił go do komórki na parterze i powoli, sycząc przy każdym kroku, wspiął się na właściwe piętro. Poklepał się po kieszeniach, z ulgą odkrył, że nie zgubił kluczy, wsadził je w zamek i przekręcił. Powoli, baaardzo ostrożnie, popchnął drzwi i wsadził głowę do środka. Nic. Pusto. Otworzył jeszcze odrobinę i wsunął jedną stopę do mieszkania. Zrobił krok. Potem drugi. Nadal nic. Cisza. Błogosławiona cisza, tylko sąsiad na górze spuszczał wodę w kiblu. Fern, ośmielony tym niebywałym sukcesem, zamknął drzwi za sobą i pozwolił sobie na głębszy oddech. A nawet na nieśmiałe westchnięcie ulgi. Rozejrzał się po apartamencie.

W przedpokoju, poza nierówną dziurą w drzwiach pierdolnika, nie było śladu po tych cholernych maszkarach. Zajrzał do salonu. Pusto, choć przez wybite balkonowe okno wlatywał rześki chłód poranka. Jedyne, co pozostało po nocnym koszmarze, to wciąż intensywny zapach kwiatu paproci unoszący się w całym mieszkaniu.

Uradowany tym faktem, Fern raźniej, choć wciąż lekko kulejąc, ruszył do kuchni, marząc o mocnej, cudownej, aromatycznej kawie i... zamarł w wejściu. Na blacie, przy oknie, stała druga, osamotniona teraz paprotka.

I kwitła. Wielkim różowofioletowym kwiatem, rozwijając się radośnie w pierwszych promieniach czerwcowego słońca.

Fern powoli osunął się po framudze na czarno-białe kafle, mogąc przysiąc, że słyszy zbliżające się wycie. Otworzył usta i słabo wyszeptał:

– Fak.

Redakcja: Ewa Białołęcka (REM-X, Maliny na śniegu,
Noc nas tu zastanie, Na kwiatu urok),
Piotr Chojnacki (Kukuk, Iskra niebieska),
Anna Szumacher (Sezon na nowożeńców, Dziecina się kwili,
matusieńka lili, Wiedźmi kamień, Noc Kupały w Babiborze)
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Beata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych, ilustracje wykorzystane
na okładce i wewnątrz książki: Hanna Dola

Skład i łamanie: Dariusz Ziach
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m 3
biuro@wydawnictwomieta.pl
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-42-4